

KRISTIN HANNAH

Błyskawica

Przełożyła Teresa Komłosz

DC
DHQ110

Wydawnictwo Da Capo Warszawa

Tytuł oryginału WHEN LIGHTNING STRIKES

Copyright © 1994 by Kristin Hannah

Koncepcja serii Marzena Wasilewska-Ginalska

Ilustracja na okładce Robert Pawlicki

Opracowanie graficzne okładki Sławomir Skryśkiewicz

Skład i łamanie „Kolonel”

For the Polish translation Copyright © 2001 by Wydawnictwo Da Capo

For the Polish edition Copyright © 2001 by Wydawnictwo Da Capo

Wydanie I ISBN 83-7157-563-7

DRUKARNIA GS: Kraków, tel. (012) 65 65 902

I

Mojemu teściowi Fredowi, który chciał, żebym napisała western.

Mojej siostrze Laurze z podziękowaniem za pomoc i słowa otuchy.

*Moim codziennym bohaterom, Benjaminowi i Tuckerowi.
Miłość każe nam wierzyć w rzeczy niewyobrażalne.*

Drogie Czytelniczki

W itajcie w moim świecie. W krainie mitu, magii i niemożliwości, gdzie fakty w niewytłumaczalny sposób stają się fikcją. Zatem przymknijcie oczy, wyzbądźcie się podejrliwości i śmiało podążajcie za mną do królestwa czystej wyobraźni.

Aha, jeszcze jedno. Zadajcie sobie pytanie, co byście zrobiły, co pomyślały, budząc się jutro winnym czasie, w świecie, który nie może istnieć. Co byście zrobiły, gdyby w świetle błyskawicy wszystko się zmieniło i nic nie było już takie jak wcześniej...

W głąb Króliczej nory

W ciągu całego tego czasu konduktor przyglądał się jej,
najpierw przez teleskop,
później przez mikroskop,
wreszcie przez lornetkę operną
W końcu powiedział: - Jedziesz w złym kierunku. -
Zamknął okno i odszedł.

- Nie, Nie! Najpierw przygody _ powiedział Gryf niecierpliwym głosem
- Wyjaśnienia zabierają okropnie wiele czasu

»

Lewis Carroll przełożył Maciej Słomczyński

Nowy Jork, czasy obecne

Zatem, pani Constanza, ile czasu poświęca pani na zgłębianie zagadnień seksu?

Jeszcze teraz, prawie cztery godziny po wywiadzie udzielonym Geraldowi, Lainie krzywiła się na wspomnienie obraźliwego pytania.

W kółko powtarzała je w myślach, za każdym razem znajdując nową, ciętą odpowiedź w rodzaju: „Zatem, Geraldo, ile prób pan wykonał przed wysadzeniem piwnicy Capone'a w najlepszym czasie oglądalności?”

Oczywiście nie powiedziała niczego równie błyskotliwego. Nie, to do niej niepodobne. Dała się ponieść złości - znowu - i bez zastanowienia wypaliła:

- Czy byłby pan w stanie wymyślić głupsze pytanie, Geraldo? To naprawdę ciekawe.

Znów się wzdrygnęła na wspomnienie tamtego zdarzenia. Nie powinna była odpowiadać tak ostro. Miała do czynienia ze starym wygą, zbyt biegłym w przeprowadzaniu wywiadów, żeby jakaś autorka romansów historycznych ośmieszyła go na wizji. Natychmiast wyczuł wrogość i zręcznie przerwał Lainie w pół zdania, zwrócił się do następnego gościa. Do kobiety, która zachowywała się dokładnie tak, jak oczekiwał - czerwona za wstydu przeproszała za książki, które tworzyła z takim trudem.

Miał dość rozumu, żeby nie wracać już do Lainie. Przez niemal godzinę pozostałą do końca programu nie zadał jej żadnego pytania. Siedziała więc przyszpilona do niewygodnego krzesła, niczym martwy owad, ledwie słuchając tego, co działo się wokół niej, i z utęsknieniem wyczekując końca.

Boże, jakież to było okropne. Dopiero teraz, po wielu godzinach, w anonimowej otwartej przestrzeni międzynarodowego lotniska Johna F. Kennedy'ego wreszcie zaczynała się odprężyć.

Zerknęła z ukosa na siedzącą obok kobietę. Widząc kwaśny uśmiech na twarzy Judith, natychmiast tego pożałowała. Jej przyjaciółka i zarazem wydawca wciąż kipiła wściekłością.

- Musiałś tak często spoglądać na zegarek? - warknęła Judith.

Lainie zapaliła marlboro. Rzuciwszy torebkę na stertę niebieskich walizek, sięgającą jej lewego łokcia, spojrzała na przyjaciółkę.

- Takie rzeczy mogę znieść wyłącznie od facetów, w których jestem zakochana.

Judith przeciągnęła wymanicuiowaną dłonią po krótko przyciętych włosach w kolorze starannie dobranym z blond palety Clairola. Za jej plecami strumień pasażerów jednostajnie przepływał przez punkt kontroli bezpieczeństwa.

- Ale to było takie... wrogie. Jakbyś wprost mówiła całej Ameryce, że marnujesz tam czas. :

- Bo marnowałam.

- Kierownik działu publikacji włożył mnóstwo wysiłku, żeby cię wkreślić do tego programu. Nie jest łatwo dostać się na ogólnokrajową antenę.

Lainie wywróciła oczyma.

- Następnym razem, jak ktoś wspomni o występie w ogólnokrajowych mediach, to zwymiotuję. Może w ten sposób wreszcie stanie się jasne, co o nich myślę.

Judith z trudem skryła uśmiech cisnący jej się na usta. Pokręciła głową.

- Wiedziałam, że nie powinnam wyciągać z błota akurat twojego rękopisu. Trzeba było raczej wybrać ten o przebranych piracie. To dopiero była książka.

Lainie z uśmiechem przyjęła dobrze znane narzekania. Jej przyjaciółka powtarzała to samo od dziesięciu lat. Od czasów, gdy Judith była głodną sukcesu asystentką wydawcy, a Lainie marzycielką. Obecnie ta pierwsza miała własne wydawnictwo, a druga figurowała na liście najlepiej sprzedawanych autorów, drukowanej przez „New York Times”.

- I szczególnie niezbędna współczesnym czytelnikom.

- Chyba nie jesteś stworzona do wywiadów telewizyjnych. Byłaś taka... nieufna.

Lainie parsknęła śmiechem.

- Bo jestem z natury nieufną dziewczyną. Spytaj, kogo chcesz.

Judith wyrwała przyjaciółce papierosa i zaciągnęła się głęboko, po czym wypuściła długą strugę dymu.

- Po cóż miałabym sprawdzać to, co oczywiste? Spędzasz więcej czasu w samotności niż jakakolwiek

inna znana mi osoba. Gdybym cię osobiście nie widziała w dziennym świetle, mogłabym przysiąc, że jesteś wampirem.

Lainie wzruszyła ramionami.

- Lubię być sama. Nie potrzebuję nikogo oprócz Kelly.

Judith zaciągnęła się jeszcze raz i oddała papierosa.

- Twoja córka jest miłym dzieckiem... mimo początków hormonalnego zamętu... ale ona ci nie zastąpi całego świata. Musisz wyjść wreszcie z domu.

- Za kogo ty mnie uważasz? - zachnęła się Lainie. - Za Madonnę? Codziennie wychodzę z domu. Chodzę do sklepu, do skrzynki pocztowej, do...

Przyjaciółka posłała jej znaczące spojrzenie.

- Hm.

Lainie zgaszyła papierosa w stojącej nieopodal popielniczce.

- Nic mi nie jest, Jude. Nie martw się o mnie, dobrze?

- Nie traciłabym czasu na martwienie się o jakąś pisarkę. Jesteś zapatrzonym w siebie, niezdiscyplinowanym postrachem mediów.

Lainie skrzywiła się w kwaśnym uśmiechu.

- Jasne, nie zapomnij mnie zgłosić do programu Howarda Sterna. Najszybciej jak się da, bo jestem rozgrzana.

Judith przyjrzała jej się z ukosa.

- Przydałaby ci się inna rozgrzewka. Wiesz, o co mi chodzi?

- Trudno się nie domyślić. Ale w Seattle nie ma zbyt wielu ciepłych facetów. Zwłaszcza zdrowych, heteroseksualnych i wolnych. Ale jeśli już takiego znajdę, sama doprowadzę go do wrzenia.

- Ja nie żartuję - powiedziała Judith z wahaniem. - Wiesz, co się z tobą dzieje, kiedy Kelly wyjeżdża.

- Wróci za dwa tygodnie - przypomniała jej szybko Lainie.

Judith miała ochotę ją objąć, ale w ostatniej chwili powściągnęła serdeczny odruch i przycisnęła rękę do boku.

- Może byś się zatrzymała u nas na jakiś czas? Lesowi i mnie byłoby bardzo miło.

Lainie zajrzała jej w oczy, szczerze żałując, że nie potrafi ulec prośbie.

- Dzięki, Jude - powiedziała dziwnie zduszonym głosem. - Ale muszę się nauczyć sobie z tym radzić. Kelly dorasta. I będzie wyjeżdżać... coraz częściej.

- Wiem, skarbie.

Lainie odchrząknęła z zakłopotaniem, sięgając pod bagaż.

- Powinam już lecieć, bo samolot mi ucieknie.

Judith posłała przyjaciółce smutny, pełen zrozumienia uśmiech. Jej spojrzenie mówiło więcej, niż sama zdołałaby z siebie wydusić.

- I pamiętaj, kochana, jeśli ktoś w samolocie zapyta cię, kim jesteś, masz zmyślić jakieś nazwisko. Nie chcemy, żeby czytelniczki się dowiedziały, że Alaina Constanza jest wulgarnym, rozczochnym, wytatuowanym czupiradłem z kartonem marlboro, wystającym z torebki.

Lainie uśmiechnęła się szeroko, słysząc dobrze znaną radę, świadoma, że słowa Judith nie do końca są żartem. Szorstka w obejściu, niezależna kobieta z wielkomiejskiej dżungli daleko odbiegała wyglądem od wizerunku autorki romansów, kreowanego przez media. Podobnie jak jej luźne swetry, dziurawe lewisy i kowbojskie buty.

- Bywaj, Jude.

Uśmiech Jude nieco zbladł, spojrzenie nabrało powagi, może nawet smutku.

- Cześć, skarbie. Będę czekać na rękopis *Błyskawicy*.

Przyjaciółki patrzyły na siebie trochę dłużej, niż powinny.

Może ta chwila była zbyt długa tylko o sekundę, lecz Lainie i tak wiedziała, że popełniła błąd. Westchnęła. Chryste, jakże nienawidziła pożegnań. Wyprostowała się sztywno, z trudem przybierając beztroską minę.

- Nie będziesz musiała długo czekać.

- Szczęśliwego lotu. I... nie pij za dużo.

Lainie wydała z siebie chrapliwy dźwięk, który miał być śmiechem, ale nawet w jej własnych uszach zabrzmiał bardziej jak prychnięcie.

- To możliwe?

Wyraz troski na twarzy przyjaciółki sprawił, że poczuła się jeszcze gorzej.

- Uważaj na siebie przez te dwa tygodnie. Nie angażuj się za bardzo w książkę, żebyś nie zapomniała o całym świecie.

- Żałuję, że nie potrafię się aż tak zaangażować. Jude wyciągnęła ramiona.
- Och, Alaina...

Lainie cofnęła się odruchowo, nim przyjaciółka zdążyła jej dotknąć. Poprawiając na wąskim ramieniu nylonowy pasek podróźnej torby, uśmiechnęła się z przymusem.

- Naprawdę muszę już lecieć. Cześć, Jude.
- Trzymaj się, skarbie.

Lainie odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

Judith patrzyła, jak przyjaciółka się oddala. Szła z wyprostowanymi, wręcz usztywnionymi plecami, jak zwykle mocno stawiając kroki. Lewy łokieć trzymała przyciśnięty do pasa, jakby się obawiała, że może przypadkiem kogoś dotknąć albo zostać przez kogoś dotknięta. Nawet w tej sytuacji, przedzierając się przez tłum niecierpliwych pasażerów, pozostawała samotną, zachowującą dystans kobietą.

Przez lata Jude obserwowała, jak ekran komputera przesłania Alainie prawdziwe życie. Poza macierzyństwem pisanstwo było dla niej wszystkim. Twierdziła, że niczego więcej nie porzeka. Praca była ucieczką, bezpiecznym schronieniem, gdzie mogła panować nad losem.

- Proszę... - szepnęła Jude, zastanawiając się, czego mogłaby oczekiwać od Boga, z którym tak rzadko rozmawiała. - Opiekuj się Alainą. Niech książka wypełni jej czas do powrotu Kelly.

Książka... Jude zmarszczyła czoło i pokręciła głową. To było tak niewiele, tak cholernie mało. Ale poza Kelly było to wszystko, co Lainie miała.

Bainbridge Island w stanie Waszyngton

Lainie stała przy oknie sypialni, wpatrując się w ciemną, targaną ulewą noc. Próbowwała być dzielna, ale jej się to nie udawało. Strugi deszczu chłostały szybę jednostajnymi, niekończącymi się uderzeniami. Wiatr wył dziko, trzęsąc skulonymi kępami dereni, okalającymi jej niewielką posesję. Każdy kolejny podmuch zrywał nowe garście liści i niemilosiernie szarpał gołymi bezbronnymi gałązkami. Rosnący blisko okna wiąz zadrżał, pukając b szybę sękatym drewnianym palcem.

Lainie podniosła do ust papierosa i zaciągnęła się głęboko.

Ostry nieprzyjemny smak dymu podrażnił jej gardło i płuca. Kiedy znów opuściła rękę, dłoń drżała jej tak mocno, że popiół rozsypał się pod drewnianej posadzce.

- Cholera! - zakląła, rozglądając się za popielniczką. Znalazła ją, przepełnioną, na pianinie i zdusiła papierosa.

Nagle przyszło jej do głowy, żeby się napić. Potrzebowała czegoś mocniejszego. Poszła po butelkę Jacka Danielsa, którą trzymała ukrytą za wieżą stereo. Szybko zdjęła zakrętkę i pociągnęła solidny łyk. Trunek pozostawił palącą ścieżkę w przetyku, nim wypełnił żołądek pulsującym żarem. Na krótką chwilę zrobiło jej się prawie ciepło. Ale zaraz potem znów ogarnął ją chłód, rozpełził się wokół serca, przeniknął kości aż do szpiku, zmroził duszę.

Pociągnęła kolejny potężny łyk i otarła usta rękawem. Dopiero po następnych trzech pojawiło się miłe, znajome otepienie, które zdjęło z niej zimny ciężar lęku.

Odstawiła butelkę na miejsce, poczłapała do sypialni, usiadła na kraju rozestanego łóżka i naciągnęła na siebie niebieską flanelową kołdrę. Obejmując się ramionami, pochylona do przodu, suchymi oczyma wpatrywała się tępo w podłogę. Nienawidziła burzy... i samotności.

Nagle zadzwonił telefon.

Musiała się mocno przechylić, żeby sięgnąć po suchawkę, bo telefon był po drugiej stronie łóżka.

- H...halo?

- Mama? - rozległ się cienki, stłumiony przez odległość głosik Kelly.

Lainie z trudem przełknęła ślinę. Łzy dławily ją w gardle, piekły pod powiekami. Powstrzymała je całą siłą woli, jaka jej jeszcze pozostała.

- Cześć, dziecinko! - zawołała, zła na siebie, że nie potrafi ukryć drżenia w głosie.

- Tu w Montanie leje, więc pomyślałam, że w domu jest pewnie jeszcze gorzej. Wiesz, martwiłam się o ciebie.

Lainie zamknęła oczy, oddychając głęboko. Dzięki ci, Boże, ; szepnęła w duchu. Dzięki, że dałeś mi to dziecko.

- Nie ma się czym martwić, kotku. Nic mi nie jest. Ważniejsze, jak ty się miewasz?

W słuchawce rozległo się wyraźne westchnienie ulgi.

- Świetnie, mamó. Tu jest rewelacyjnie. Jutro wyruszamy na wędrówkę. Pan Hade, przewodnik, przymocował zapasy żywności do drzew w niektórych miejscach. Mamy kompas, żeby je odnaleźć. Potem będziemy rozbijać namioty, gotować jedzenie i pójdziemy spać. Dlatego nie będę mogła do ciebie dzwonić, dopóki nie wrócimy z wyprawy.

Ostatnie słowa wytrąciły Lainie z równowagi.

- Och - wykrztusiła. Wiedziała, że nie tak należało zareagować, że powinna powiedzieć coś więcej, ale głos uwiązł jej w gardle ze strachu i rodzicielskiej rozpacz.

- W porządku? - spytała Kelly z wahaniem.

Lainie przekłęła się w duchu za brak opanowania.

- Oczywiście, skarbie. W końcu nie bez powodu nazywają to obozem przetrwania.

Kelly roześmiała się nieco piskliwym, czystym śmiechem, który podziałał na duszę jej matki jak balsam.

- Jasne, mamó.

- Tęsknię za tobą, kochanie.

- Ja też za tobą tęsknię.

- Porozmawiamy, jak wrócisz. Kiedy to będzie... za dziesięć dni?

- Dwanaście. Mamó?

- Tak, skarbie?

- Uważaj na siebie, dobrze?

Lainie pomyślała o papierosach, których nigdy nie paliła w domu przy córce, i o Jacku Danielsie wypitym przed kilkoma minutami. Zdjęło ją poczucie wstydu. Miała ochotę powiedzieć: „Spróbuję”. Tylko tyle mogła obiecać i na tyle mieć nadzieję. Ale to nie mogło wystarczyć wrażliwej trzynastolatce. Todziecko nie zasługiwało na to, żeby się ciągle martwić o nieźrównoważoną matkę.

- Dobrze, Kelly. Nie martw się o mnie, dobrze? Ty i Jennifer bawcie się jak najlepiej.

- Cześć, mamó. Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Lainie przez kilka minut wsłuchiwała się w monotonne buczenie w słuchawce, gdy połączenie zostało przerwane, a potem z ociąganiem odłożyła ją na widełki.

Zacisnęła powieki, próbując powstrzymać łzy.

Oczywiście, zdawała sobie sprawę, jak będzie się czuła, pozwalając Kelly wyjechać na obóz. Spodziewała się dotkliwego poczucia opuszczenia, lecz wiedziała, że musi się zgodzić na wyjazd córki.

Ale to wcale nie umniejszało bólu rozstania. Po omacku odszukała przy łóżku fiolkę z pigułkami nasennymi. Potrzebowała zapomnienia, musiała się na jakiś czas wyłączyć z rozmyślań, bo gdyby się im poddawała jeszcze przez chwilę, niechybnie zaczęłyby płakać. A jeśliby raz zaczęła, mogłaby nigdy nie przestać.

Kelly, tęsknię za tobą, skarbie. Tak bardzo za tobą tęsknię...

Zdjęła nakrętkę fiołki, wysypała na dłoń dwie... a może więcej pigulek i połknęła, popijając szklanką mętnej ciepłej wody, która stała na stoliku przy łóżku.

Opadła na posłanie, wbijając wzrok w granatowy sufit usiany gwiazdami. Widok jakrawozłotych punkcików jak zwykle podziałał na nią kojąco. Sięgnęła przez wezgielnie łóżka, żeby wyłączyć lampę i pozostać sam na sam z gwiazdami w tej galaktyce na niby.

Przypomniała sobie sennie, jak dziwnie się czuła, pomalowawszy w ten sposób swoją sypialnię. Bo to nie był pokój dorosłej osoby, lecz dziecięcy raj, ucieczka od dorosłego świata. Ściany, podobnie jak sufit, również pomalowała na głęboki odcień granatu, imitujący barwę nocnego nieba. Na

suficje przykleiła chyba z tysiąc świecących w ciemności gwiazdek i namalowała fluorescencyjną farbą księżyc w pełni.

Wówczas nie wiedziała, dlaczego to robi, ale zrozumiała, kiedy pierwszej nocy położyła się do łóżka. Czowała się jak dziecko pośrodku wielkiej, lecz przyjaznej, nieznanej przestrzeni. Ten pokój ją usypiał, chronił, otulał ciepłym blaskiem gwiazd. Tutaj, nawet kiedy nie mogła spać, czowała się bezpieczna.

Na zewnątrz szalała ulewa, woda bębniła o okna i dach, a Lainie stopniowo przestawała słuchać. Po chwili już w ogóle nic nie słyszała. Skupiwszy wszystkie myśli na równomiernym rytmie oddechu, chłonęła wzrokiem lśniąca światelka swego własnego wszechświata.

Czując, jak alkohol i środek nasenny rozchodzą się po jej ciele, ze wszystkich sił próbowała się rozluźnić, zapaść się w miękką przytulność pościeli i odpłynąć w sen.

Nie udawało jej się.

Z westchnieniem rezygnacji usiadła na łóżku, przyciągając kolana do piersi. Tej nocy nie było jej dane zasnąć.

Sięgnęła do nocnego stolika po zmiętą paczkę marlboro i zapaliła ostatniego papierosa. Zaciągnąwszy się głęboko, oparła plecy o błyszczące mahoniowe wezglowie, po czym ; wolno wypuściła dym.

Właściwie wcale nie pragnęła snu, przynajmniej nie takiego, jaki jej się zdarzał. Zazdrościła ludziom, którzy śpią na- > prawdę, spokojnie i głęboko, znajdując we śnie wytchnienie i odnowę sił. Ona nigdy tak nie potrafiła. Dla niej zasypianie było niczym zapadanie się w sam środek piekła.

Nic dziwnego, że cierpiała na bezsenność, i to od wielu lat. Pigułki i alkohol rzadko pomagały, czasem tylko udawało się za nie kupić zapomnienie, którego tak pragnęła. Najczęściej męczyła się przez kilka dni z rzędu, aż wreszcie ciało samo się poddawało. Zapadała wówczas w kamienny sen podobny do śpiączki, który zazwyczaj kończył się jakimś straszliwym koszmarem.

- Nie myśl o tym - powiedziała do siebie głośnym szeptem.

Musiała się skupić na czymś innym, zapomnieć o samotności i lęku.

Książka.

Ta myśl spadła jej jak z nieba. Mogła włączyć komputer i zanurzyć się w spokojnym, bezpiecznym świecie własnej wyobraźni.

Powlokła się do gabinetu i zasiadła przy biurku, nawet nie zadając sobie trudu zapalenia światła. Wcisnąwszy dwa guziki rozsiadła się wygodnie w fotelu. Urządzenie ożyło z dobrze znanym buczeniem, natychmiast gotowe do pracy; kojący szum mechanizmu wypełnił ciche ciemne pomieszczenie.

Zielony kursor zamrugał, na przemian ukazując się i znikając na czerni pustego ekranu.

Wielkie okno za biurkiem drżało od uderzeń deszczu. Stare drewniane ramy okienne wydawały cichy klekot, niczym źle dopasowane sztuczne zęby staruszka. Lainie spłotła ramiona na piersi, zdjeta nagłym dreszczem. Starła się nie patrzeć w stronę okna.

Jednakże burza przyciągała jej wzrok, jakby chciała ją wciągnąć w rozszałę, mroczny świat na zewnątrz. Żywiół zmienił jej zwykle sielankowo spokojny ogródek za domem w pulsujący wir ruchów i dźwięków. Fotelik huśtawki, dawno zapomnianej przez Kelly, miotał się dziko na wietrze. Lainie niemal słyszała skrzypienie zardzewiałych łańcuchów. Strugi ulewy bębniły o dach, przelewały się przez zapchane liśćmi rynny i spływały po szybach.

Lainie położyła drżące dłonie na klawiaturze i przebierając palcami z wprawą zawodowej maszynistki, odnalazła zbiór zawierający tekst swej nowej powieści.

Uśmiechając się ironicznie, na widok tytułu *Błyskawica*, weszła do rozdziału szesnastego, który zaczęła pisać poprzedniego dnia.

- *Już nie musisz uciekać, Jessico. Nie rozmiesz? Możesz tu zostać, ze mną. Na zawsze...*

Jessie spojrzała na niego oczyma szklistymi od łez.

- *Nie mogą. Bóg mi świadkiem, że bardzo żałują.*

Joe poczuł, jak ciężar jej strachu przygniata mu serce zimnym głazem.

- *Wkrótce przestaną cię szukać. Zapomną. Zachód to dobre miejsce do zapominania, Jess. Do Ucha, większość z nas nawet nie używa swoich prawdziwych imion.*

Zamknęła oczy i z ciężkim westchnieniem opuściła głowę. Nic dziwnego, że tak lubiła historię opisaną w tej książce. W życiu Lainie było wiele spraw, o których pragnęła zapomnieć. Drobnych, na pozór niewiele znaczących wspomnień, które ją prześladowały, kiedy niebo ciemniało i zaczynały walić pioruny.

Zachód to dobre miejsce do zapominania.

Gdyby rzeczywiście takie istniało... Miejsce, gdzie mogłaby zacząć wszystko od nowa, być taką matką,

jaka chciała być, kobietą, jaka... Miejsce, gdzie to ona ustanawiałaby zasady.

Nagle potężne, głośne uderzenie wichury targnęło oknem. Deszcz chlusnął na zaparowaną szybę, pomruk gromu odbił się echem w ciemności. Błyskawica rozdarła chmury i z oslepiającą poświatą trafiła w środek placyku za domem. Pień dorodnej sosny pękł na pół w snopie niebieskawych iskier. Dziwne światło przeniknęło przez szybę i wtopiło się w ekran komputera.

Lainie aż się wzdrygnęła, przeszta niesamowitym wrażeniem. Nagle rozgrzane klawisze sparzyły ją w opuszki palców. Próbowwała oderwać ręce od klawiatury, ale nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Czuła mrowienie w dłoniach. Gryzący swąd palącego się ciała "dławił ją w gardle.

Przeżrana, zamrugła, wpatrując się w ekran i próbując zachować jasność widzenia. W niezwyklej poświacie, bijącej od niego, klawisze zdawały się unosić nad blatem lśniącego mahoniowego biurka. Komputer wydał z siebie dźwięk podobny do tupnięcia. Słowa widoczne dotąd na ekranie zniknęły, pozostawiając pusty czarny prostokąt, obwiedziony pasem niesamowitego zielonego światła.

Próbowowała krzyczeć, ale głos jakby uwiązał jej w gardle. Pod czaszką narastał pulsujący ból. Miała wrażenie, że powieki jej się skleiły, bo na próżno usiłowała otworzyć oczy. Zaszło jej w ustach; odczuwała pragnienie tak dokliwe, że aż bolesne.

Próbowowała siedzieć prosto, ale przychodziło jej to z wielkim trudem. Czuła się tak, jakby ktoś wyjął z niej końcówkę sznurka i powoli, nieubłaganie zaczął ją zwijać. Przyszła jej do głowy szalona, zupełnie absurdałna myśl, że kiedy to się skończy, zostanie z niej jedynie zwój starej, sparciałej liny.

Jedno po drugim, niczym obłoki gorącej mgły, spadały na nią przedziwne wrażenia. Obejmowały całe ciało, nasycaly każdą kroplę krwi. Zapach róż mieszał się z kurzem zatykającym nozdrza, a wszystko wydawało się tak rzeczywiste, że przez moment nie była w stanie oddychać.

Zaczęła się wolno pochylać do przodu. To było jak upadek we śnie. Spadała powoli, niepowstrzymanie, kręcąc się wokół własnej osi. Wreszcie dotknęła czołem klawiatury, która tym razem była lodowato zimna. Zadrżała, zwijając się w rozdygotany kłębek.

W końcu, ostatkiem sił, walcząc ze słabością, Lainie zapadła się w ciemność, która wyszła jej na spotkanie.

Lainie jeszcze nigdy nie czuła się tak zrelaksowana. Odetchnęła głęboko, napawając się zupełnie niespodziewanym doznaniem. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz obudziła się w takim stanie, z tak cudownym, wręcz musującym radośnie uczuciem spokoju. Przywykła do tego, że każdy dzień wita z lękiem i nieufnością.

Tego ranka było inaczej, czuła się wspaniale. Świeża i odprężona. Dobrze znany ból w biodrach i krzyżu zniknął i po raz pierwszy w wieku trzydziestu pięciu lat nie czuła się irytująco stara.

Przypomniała sobie ubiegły wieczór. Właściwie wcale nie kładła się spać. To było bardziej jak... spadanie...

- Dziwne - mruknęła do siebie. Jej głos miał w sobie trochę chrapliwą, wczesnoporaną szorstkość. Nawet jej się to podobało. Wszystko było lepsze od jej normalnego głosu-jednej z wielu rzeczy, których u siebie nie znosiła. Pogodziła się ze zbyt szerokimi biodrami, nie zwracała uwagi na zbyt szczupłe uda, ale własny głos doprowadzał ją do szału. Miał w sobie eteryczną miękkość, która absolutnie nie pasowała do jej osobowości.

Z wahaniem otworzyła jedno oko, spodziewając się ujrzeć lekko skrzywioną perspektywę komputerowej klawiatury.

Zobaczyła kurz. Mnóstwo kurzu.

Zamrugła i spróbowała ponownie, tym razem wolno unosząc obie powieki.

Leżała rozciągnięta na głównej ulicy dziwnego, staroświeckiego miasta. Po obu stronach ciągnęły się fasady drewnianych budynków, przyklejonych do siebie bokami, jakby nie mogły ustać samodzielnie. Frontowe drzwi każdego z nich wychodziły na nierówny drewniany chodnik.

Uniosła brwi. Tak wyglądało każde miasto na zachód od Pecos, żyjące z handlu bydłem, w późnych latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku.

Szczegóły nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Do licha, można było się spodziewać, że z najbliższego saloonu zaraz wyjdą Linda Evans z Kennym Rogersem.

Lainie usiadła na piętach, z dłońmi wspartymi o uda. Gdzie się znajdowała? I skąd się tu wzięła?

Przecież zeszłej nocy nie była na tyle pijana, żeby wyjść z domu? Czy to możliwe, że wsiadła do samolotu lecącego na południowy zachód?

Strach ścisnął jej serce. Nie...

Nie mogła tego zrobić. Pamiętała, że zasnęła przy komputerze.

Pamiętała? To słowo wróciło do niej, lodowate i okrutne. Dawno temu, jako nastolatka, kiedy nie unikała narkotyków, często budziła się w dziwnych miejscach. A to, co pamiętała, miało zwykle niewiele wspólnego

z rzeczywistością.

Jakie więc było wytłumaczenie? Czyżby mieszanka Jacka Danielsa i pigulek nasennych podziałała na nią tak mocno, że wróciła do swych dawnych zwyczajów?

Nie zdarzało jej się to od lat. Od czasu, gdy zaszła w ciążę. Macierzyństwo ją uratowało, dając zadziornej dziewczynce z ulicy bezpieczne schronienie i poczucie przynależności. Była teraz mądrzejsza, bardziej odpowiedzialna. Nie upiłaby się do tego stopnia, żeby przypadkowo wsiąść do samolotu. Nie miała już przed czym uciekać.

Poza pustym domem...

Ta myśl ją zmroziła. Wiedziała, że ostatniej nocy wypła za dużo, połknęła zbyt wiele pigulek, co jej się nie zdarzało od dawna. Ostatnio bardzo się starała nie zbaczać z prostej, wąskiej ścieżki, ale Bóg jeden wie, że choć trzymała się rozsądku ze wszystkich sił, niemal wszystkie dziedziny jej osobistego życia układały się nie tak, jak trzeba. *U Ciebie wszystko jest możliwe...*

Nie. Odeszła daleko od swojej niechlubnej przeszłości. Nie wpadłaby tak łatwo w tę samą pułapkę. Niemożliwe. Nieważne, że wydawało się to całkiem prawdopodobne, że pasowało do wyobrażenia, jakie miała o sobie. Nie zamierzała w to uwierzyć.

- Cholera! - zakląła, przeciągając brudną ręką po zmierzwionych włosach. Żałując, że nie ma pod ręką papierosa, rozejrzała się po otoczeniu.

Na ulicy znajdowali się ludzie, konie i wozy, słowem to, czego by można oczekiwać w scenie z filmu *Młode strzelby...* tylko że wszystko było nieruchome.

Konie stały przywiązane przy barierkach. Na środku ulicy zatrzymał się wóz; ciągnący go koń zastygł w bezruchu z kopytem uniesionym nad ziemią. Dwaj mężczyźni siedzący na ławce patrzyli na siebie; ich twarze przypominały maski gniewu - ściągnięte brwi, otwarte usta, zmrużone oczy. Na chodniku pełno było przechodniów, skamieniałych w milczeniu niczym posągi.

Lainie otarła zakurzone dłonie o dzinsy i wstała, wpychając ręce głęboko kieszenie. Po drugiej stronie ulicy, niczym złoty ząb w zwiędłych ustach, sterczała ceglana budowla - jedyna taka w mieście i najwyraźniej niedawno postawiona. Potężny prostokątny gmach miał solidne okna po obu stronach podwójnych dębowych drzwi, nad którymi wielkie, ozdobne litery układały się w napis: FORTUNE FLATS BANK.

Lainie odetchnęła z ulgą. Powinna się była domyślić -to się nie działo naprawdę. Nic nie było prawdziwe. A ona wciąż spała przy swoim komputerze. To wszystko było jedynie snem.

Musiało być snem, ponieważ takie miasto nie istniało. Sama stworzyła Fortune Flats, zaprojektowała i nazwała budynki, wymyśliła nawet zakurzoną ulicę. To było fikcyjne miasto, w którym rozgrywała się akcja jej ostatniej powieści.

Miała przed oczyma scenę z pierwszego rozdziału - domyśliła się tego, widząc cztery wierzchowce przed bankiem. W tej właśnie chwili odbywał się napad na bank, a Skeeter Johnson, niezbyt rozgarnięty oprych, stał na czatach, zaciskając kurczowo dłonie na zwiniętych w pętlę wodzach. Obserwował i czekał.

Lainie uśmiechnęła się do siebie. Śniła treść własnej książki. Nic dziwnego, skoro zasnęła podczas pracy.

Nagle ogarnęło ją podniecenie. Rozejrzała się po ulicy, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Niezupełnie tak wyobrażała sobie to miasto - to, co miała przed oczyma, było znacznie doskonalsze. Najwyraźniej podświadomość podsuwała jej detale, które zgromadziła podczas wcześniejszych starannych badań.

Cóż za niebywała okazja! Nigdy wcześniej nie miewała tak wyraźnych snów, nigdy też sny nie były dla niej źródłem nowych wiadomości. Teraz dopiero dostrzegła swoją szansę: mogła się przechadzać między budynkami, do woli oglądać scenerię, czuć na ciele pustynny żar, spotykać ludzi, o których pisała. To powinno nadać książce wiarygodność, jakiej jeszcze nigdy nie udało jej się osiągnąć.

Do licha, miała nadzieję, że rano będzie to wszystko pamiętać.

Na początek skierowała się do banku... bo dla czegoż by inaczej. W końcu to w nim zaczynała się akcja jej powieści.

Killian wycelował winchestera prosto w pierś kasjera. Drobny mężczyzna o ostrych rysach, siedzący za metalowymi kratami, wyraźnie pobladł. Na jego policzkach ukazały się rdzawe wypieki.

- N...nie sądzę, żebym mógł panu dać pieniądze. T...to by było nie w porządku. P...pan Harold Springs p...powiedział, że j...jestem odpowiedzialny za wszystkie fundusze w tym banku.

- Yhm.

Kasjer przełknął ślinę z takim trudem, że widać było, jak grdyka skacze mu w górę, a potem w dół pod zwiotczącą skórą szyi.

- T...to znaczy, chętnie bym je panu dał, ale te pieniądze nie są moje. S...sam pan rozumie...

- Zastrzel go, szefie - poradził Mose głosem przypominającym chrzęst żwiru. - Nie mamy czasu na takie pierdoły. - Odwrócił się i wymierzył w łysiejącą czaszkę kasjera z pistoletu o perłowej kolbie.

- Jasne - wtrącił Purty, pilnujący w kącie trzech osób, leżących przed nim twarzami do ziemi. Killian uniósł dłoń w rękawiczce, nakazując im milczenie.

- Panie...-Zerknął na metalową plakietkę umieszczoną na : okienku kasjera. - Panie Ernieście Lubbe, próbuj e pan tu zgrywać bohatera.

Ernest przez moment wyglądał tak, jakby miał ochotę się ; uśmiechnąć. Wąskie jak ołówek wargi zdrząły niepewnie. ' Rumieniec na policzkach przybrał o ton ciemniejszy odcień.

- C.cóż, nie powiedziałbym...
 - Tylko, że ma pan problem. Kasjer omal się nie zakrztusił.
 - C.co to znaczy? - Zamrugał bezradnie.
 - Podczas napadu na bank jest tylko jeden sposób, żeby zostać bohaterem.
- Ernest zwilżył językiem bezbarwne usta. Pot zrosił mu pomarszczone czoło.

- T...to znaczy jaki?

Killian nieznacznie uniósł winchestera, tak że czarny wylot lufy znalazł się dokładnie na wprost zapadniętej piersi Ernesta.

- Musi mnie pan zabić albo sam zginąć.
- Och... - wydusił z siebie Ernest.
- Brał pan to pod uwagę?

Kasjer otworzył usta, ukazując garnitur pożółkłych zębów. Sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale z jego gardła wydobył się jedynie mysi pisk.

Killian pokiwał głową, z trudem skrywając uśmiech. Stary Ernie nie miał zamiaru ryzykować życia dla cudzego złota.

- Słuszną decyzją. Teraz proszę spakować wszystkie pieniądze do tych worków.

Kasjer pokiwał głową, sięgając po wielkie jutowe worki, które Purty wrzucił za barierkę. Drżącymi spoconymi rękami zaczął zgarniać banknoty i bilon do pierwszego z nich.

Killian opuścił nieco lufę strzelby, ale nie zdejmował palca ze spustu. Spod zmrużonych powiek rozglądał się po banku, zwracając czujną uwagę na każdy najdrobniejszy szczegół. Żaden dźwięk, nawet najlżejsze poruszenie, nie mógł mu umknąć. Promienie słońca, wpadające przez zakurzone okna nad jego głowę, oświetlały trzy postacie, rozciągnięte na zimnej posadzce, z rękami splecionymi za głowę. Purty stał w kącie z bronią niedbale wycelowaną w ludzi, leżących u jego stóp niczym szmaciane lalki. Mose znajdował się przy końcu długiej dębowej lady klasjera. On także miał broń gotową do strzału.

Wszystko szło, jak trzeba, nawet lepiej, niż Killian się spodziewał, lepiej niż zwykle. Sam moment włamania przebiegł bez niespodzianek i nie licząc przejściowego wahania Ernego, wszyscy zrobili to, co im kazano. Na zewnątrz, w mieście, panowała grobowa cisza.

Skąd więc się brało u Killiana to dziwne, irytujące przecucie, że coś jest nie tak?

Może z powodu Skeetera? Ten człowiek miał mniej rozumu : od muła i właściwie równie dobrze mógł zastrzelić Killiana, ; jak go chronić. Ale ostatecznie stanie na czatach nie jest zbyt ; trudnym zadaniem. Zwłaszcza w takim sennym miasteczku, gdzie szeryf jest tłustym, leniwym pijakiem. Nie wymaga żadnych specjalnych talentów. Wystarcza para oczu, a tych przynajmniej Skeeterowi nie brakowało.

Wszystko jest w porządku, powtórzył w duchu Killian, po raz chyba setny, odkąd z bronią na wierzchu przekroczyli próg ; banku. Do diabła, przecież za niecałe pięć minut już ich tu nie będzie.

Więc dlaczego odczuwał niepokój? Jakby to nie był od powiedni dzień na rabowanie banku. Jakby musiał kogoś zabić, zanim to się skończy...

Liainie przeszła przez ulicę. Kiedy postawiła nogę na chodniku, nagle jakby ktoś nacisnął jakiś przycisk. Miasto ożyło tysiącem dźwięków i ruchów: wozy zaprzężone w konie toczyły się ulicą, wzniecając tumany kurzu, kopyta stukały rytmicznie o twardą ziemię, deski chodnika skrzypia ły pod ciężarem tuzinów stóp wędrujących od drzwi do drzwi.

Zaskoczył ją ten ruch i zgiełk. Ilekroć sobie wyobrażała stare i miasteczko na Zachodzie, zawsze panował w nim spokój i cisza, przerywane najwyżej skrzypieniem skóry, gdy jakiś kowboj zsuwał się z siodła, albo mizernymi tonami rozstrojonego pianina, dobiegającymi zza uchylonych drzwi saloonu. Ale to było coś innego. Miasto pulsowało własnym, i bujnym życiem, jakiego nigdy by się nie spodziewała. Dotychczas bowiem, myśląc o Zachodzie, miała przed oczyma statyczną, na wpół widmową scenerię. A miasto, w

którym się ; znalazła, przypominało raczej żywiolowy, hałaśliwy Nowy Orlean.

Miała nadzieję, że będzie o tym pamiętać, kiedy się obudzi. Sięgnęła do klamki dębowych drzwi banku.

- Stać! - rozległ się schrypnięty męski głos.

Lainie obejrzała się przez ramię. Mężczyzna trzymający konie przyglądał jej się natarczywie. Miał twarz bladą jak brzuch węża i szeroko otwarte oczy wielkości ćwierćdola-rówek.

- N...nie wolno tam wchodzić - wydukał, nerwowo przelitykając ślinę.

Lainie nie mogła powstrzymać uśmiechu. Skeeter wyglądał dokładnie tak, jak go wymyśliła - był wysokim, krzywonogim kowbojem w obwisłych, przykrótkich portkach i wyświechtanej koszuli. Z brudnej ogorzałej twarzy patrzyły na nią wodniste oczy o trochę gapowatym wyrazie. Z tego, co pamiętała, obdarzyła tę postać sercem lwa i rozumem komara.

- Lepiej uważaj na szeryfa, Skeeter, i nie martw się o mnie.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy. Zerknął niepewnie w stronę wylotu ulicy, jakby się spodziewał ujrzeć tam przedstawiciela miejscowej władzy.

- Skąd...

Lainie wśliznęła się do wnętrza banku i cicho zamknęła za sobą drzwi.

- A ty, u diabła, coś za jedna?! - Słowa odbiły się echem po holu tak głośno, że Lainie aż się wzdrygnęła.

Przysadzisty mężczyzna o beczkowatym tułowiu mierzył do niej z dwóch sześciostrzałowych rewolwerów o perłowych kolbach. Rozpoznała go natychmiast. Ciemne, lekko zezowate oczy, ledwie widoczne między fałdami pomarszczonej skóry, zdawały się przewiercać ją na wskroś.

- Do ciebie mówię! - warknął.

Lainie przyglądała mu się zaskoczona, bo nie spodziewała się, że będzie wyglądał aż tak okropnie.

- Nie zwracaj na mnie uwagi, Mose. Ja tylko patrzę.

Człowiek stojący na środku pomieszczenia odwrócił się gwałtownie. Jego cień padł na białą-czarną marmurową posadzkę, wielki i złowrogi. Miał jakieś metr dziewięćdziesiąt wzrostu oraz szerokie ramiona. Ubrany był w długi brązowy płaszcz, czarne wełniane spodnie, białą bawełnianą koszulę i wytartą kamizelkę. Na nogach miał zakurzone skórzane buty z wysokimi cholewkami. Stroju dopełniał szeroki skórzany pas z błyszczącymi miedzią nabojami oraz dwa rewolwery.

Spod runda czarnego stetsona, zsuniętego nisko na czoło, spływały aż do łopatek bujne fale srebrzystosiwych włosów. Dolną połowę twarzy zasłaniała mu czerwona chustka, ale j Lainie i tak poznałaby go wszędzie. Miał oczy, jakich kobieta nigdy nie zapomina... szczególnie, jeśli sama je i wymyśliła. Były brązowe, głęboko osadzone pod gęstymi czarnymi brwiami i patrzyły zimno. Zimniej, niż się spodziewała.

- Skąd się tu wzięłaś? - spytał głębokim, dźwięcznym głosem z lekkim śladem szkockiego akcentu.

Lainie z uśmiechem wzruszyła ramionami.

- Skeeter nie jest najlepszym strażnikiem.

Oczy ponad czerwoną maską zwięzły się w wąskie szparki. : Mężczyzna stał w lekkim rozkroku, z bronią zarzuconą niedbale na ramię.

- Skąd wiesz o Skeeterze?

Przyglądała mu się, pełna podziwu dla własnej inwencji. Do licha, było na co patrzeć. Miała przed sobą wyjątkowego przystojniaka. W jego oczach czaiły się tysiące mrocznych sekretów, a całą postać otaczała jakaś niesamowita, groźna aura. Brakowało mu jedynie harleya davidsona.

Ruszył wolno w jej stronę; przy każdym kroku poły płaszcz z klapnięciem uderzały o uda. Kiedy przyciągnął ją do siebie gwałtownym szarpnięciem, potknęła się i opadła na jego pierś, uderzając tak mocno, że na moment brakło jej tchu. Odchyliwszy głowę do tyłu, spojrzała mu w twarz, dostrzegając w ostrych rysach i zmarszczkach tę całą trudną przeszłość, jaką mu przypisała.

- Kładź się.

Przeniosła wzrok na brudną zimną posadzkę.

- Myślę, że chyba jednak tego nie zrobię.

Wpatrywał się w nią bez mrugnięcia. Jedna brew podjechała mu wolno do góry. Zaciśnął mocniej palce na ramieniu Lainie, niemal ją unosząc.

- To nie jest najlepszy moment na myślenie, kobieto. No już, kładź się na tę cholerną podłogę.

- Dość tego. - Próbowała oswobodzić ramię, ale jej się nie udało. - Posłuchaj, John... - zaczęła, starając się przybrać pojednawczy, lecz jednocześnie stanowczy ton.

Usłyszała trudny do określenia, zduszony dźwięk. Przypominał gwałtownie wciągany oddech.

- Jak mnie nazwałaś? - Ścisnął ją jeszcze mocniej.

Lainie poczuła lęk, zupełnie niedorzeczny w tej sytuacji. Przecież to był tylko sen. Ten człowiek nie mógł jej nic zrobić.

- John. Przecież tak ci na imię?

Przeszywał ją lodowatym wzrokiem.

- Skąd to wiesz?

Lainie przypomniała sobie nagle, że nikt nie znał prawdziwego imienia Killiana. Był legendą wśród wyjętych spod prawa, człowiekiem bez przeszłości, znanym wyłącznie jako Killian.

Przekleła się w duchu za głupotę. Czy nawet we śnie nie mogła być idealną, powściągliwą istotą, tylko niemądrą babą o niewyparzonym języku?

Serce zabiło Lainie mocniej, oddech przyspieszył. Dobry Boże, chociaż wiedziała, że to tylko sen, ciarki przebiegły jej po plecach. Znała Killiana, i to na wylot. Stworzyła go, obdarzając cechami wyjętymi wprost z mroków własnej duszy.

Uosabiał wszystko, czego się bała u mężczyzny. I wszystko, czego w sobie nienawidziła.

Zwalczyła idiotyczne uczucie strachu. To przecież był tylko sen, więc wszystko musiało przebiegać tak jak w wymyślonym przez nią wątku. Nawet jeśli czuła niebezpieczeństwo, to nie było ono realne. W każdej chwili mogła się obudzić w bezpiecznym zaciszu swojej sypialni. Ta myśl przywróciła jej spokój i dodała pewności siebie. Nie musiała się wcale przejmować tym nieokrzesanym typem. Ostatecznie bez niej on w ogóle nie istniał.

Odzyskała poczucie panowania nad sytuacją. To ona tu rządziła, ona miała moc sprawczą. On nie znaczył nic więcej od słów na komputerowym ekranie.

- Nie boję się ciebie.

Jeszcze bardziej zmrużył oczy. Zobaczyła drżenie mięśnia na jego zacisniętej szczęce.

- Więc nie jesteś zbyt mądra, kobieto.

- Zastrzel ją, szefie! - warknął Mose. - Nie mamy czasu na głupoty.

Killian kiwnął głową, wskazując na kasjera.

- Zabierz pieniądze, Purty.

Purty porwał pełne worki i przycisnąwszy je do chudej piersi, zaczął się powoli wycofywać.

Mose uniósł oba pistolety i podążył za nim, cały czas odwrócony plecami do drzwi.

Killian stał w miejscu niczym posąg, obserwując Lainie, z bronią wciąż wycelowaną w kasjera. Niemal widziała myśli kłębiące się w jego mózgu - zastanawiał się, skąd ona tyle wie i na ile może być niebezpieczna.

Nagle chwycił ją od tyłu za szyję.

- Au! - pisnęła, próbując się uwolnić.

Pociągnął ją mocno, wbijając boleśnie palce w delikatną skórę na jej karku.

- Nie ruszać się! - rzucił do ludzi leżących na podłodze. - Mamy swojego człowieka na ulicy. Wy go nie widzicie, ale ona was widzi. Zastrzeli pierwszą osobę, która wyjdzie tymi drzwiami.

Objął Lainie za ramiona i przycisnął do swej szerokiej piersi. Próbowwała mu się wyrwać, ale trzymał ją w żelaznym uścisku i ani myślał puścić, choć kopała, drapała, walczyła ze wszystkich sił.

- Napiszę tę scenę od nowa i uśmiercę cię, Killian. Na środku tej sali. Będzie mnóstwo krwi. I będzie bolało...

Zakrył jej usta dłonią. Z trudem łapała powietrze, szarpiąc go wściekle za ramię.

Przeciągnął ją przez drzwi na rozgrzaną słońcem ulicę. Skeeter szybko oddał każdemu wodze. Purty i Mose wskoczyli na swoje wierzchowce.

Na ulicy nie było poza nimi żywej duszy.

Lainie wpadła w złość. Gdzie się, u licha, podziewał Joe Martin?! Powinien w tej chwili wyjść zza rogu, z bronią gotową do strzału, ze srebrną gwiazdą szeryfa, połyskującą w słońcu.

Nie mogła się doczekać, kiedy go zobaczy. Jego pojawienie się w tym śnie było nadzwyczaj pożądane. Łączył w sobie najlepsze cechy Mela Gibsona i Daniela Day-Lewisa i mógł zachwycić każdą, nawet najwybredniejszą kobietę. Nieziemsko przystojny mężczyzna z gorącym sercem i poczuciem humoru. Ona i Joe na pustyni, sami... Tak, to dopiero byłby sen.

Killian pociągnął ją w stronę koni, a potem chwycił w pasie i zarzucił sobie na ramię. Zaskoczona i wściekła, zaczęła go okładać pięściami po plecach.

- Co ty wyprawiasz?

- Zamknij się, kobieto.

Dosłownie wrzucił ją na siodło i przygwoździł w miejscu surowym spojrzeniem.

Skeeter uniósł brwi.

- Hej, szefie, to mój koń.

- Możesz sobie go zabrać! - warknęła Lainie. - Wystarczy że powiesz temu Tarzanowi, żeby mnie puścił...

Skeeter spojrzał na nią półprzymkniętymi oczami.

- Że co?

Lainie jęknęła.

- Niemożliwe, żebyś napisała dla mnie takie beznadziejne dialogi, Skeeter.

- Zamknij się, kobieto - powtórzył Killian. - Skeet, siadaj za Purty. - Na postoju dostaniesz świeżego konia.

Skeeter wzruszył ramionami.

- Dobra.

- Zamknij się? - zirytowała się Lainie. Nienawidziła, kiedy mężczyzna kazał jej zamilknąć. - Słuchaj no, ty bezczelny draniu...

Uciszył ją morderczym spojrzeniem.

- Chyba nie zdajesz sobie sprawy ze swojego położenia, kobieto. Mogłbym cię zastrzelić.

- Proszę bardzo, jeśli ci to ulży. Jezu, nie pojmuję, jak! mogłam stworzyć taką szowinistyczną męską świnię... nawet) jako czarny charakter.

Chwycił wodze jej konia i wskoczył na własne siodło. Podjechał tak, że konie stanęły tuż obok siebie, ostrzegł:

- Jeśli będziesz sprawiać kłopoty, zastrzelę cię.

- Ple, ple, ple.

Owinął wodze wokół łęku siodła i spiął konia piętami. Ogier rzucił się naprzód, pociągając za sobą wierzchowca, na którym siedziała Lainie. Zakotyła się bezwładnie niczym kukła.

Ruszyli ostrym galopem.

- Niezły odjazd - syknęła, boleśnie odbijając się od twardego siodła. - Jestem pewna, że nikt w mieście nie zauważył.

- Zamknij się.

Załawionymi od kurzu oczyma Lainie patrzyła, jak miasto /ostaje za nimi. Gdzie, u diabła, był Joe?

- Tylko mnie się to może zdarzyć. Tylko ja mogłam stworzyć bohatera, który się spóźnia. - Potrząsnęła głową, uważając przy tym, żeby się utrzymać na koniu. - Można by pomyśleć, że się z nim umawiałam.

W niecałą godzinę dotarli do miejsca zmiany koni. Killian odruchowo obejrzał się za siebie, chociaż wiedział, że nie będzie żadnego pościgu... jeśli w ogóle można nazwać pościgiem gromadę niezdarnych kupców na tłustych szkapach. Zajmował się rabowaniem banków na tyle długo, by umieć; odczytywać różne znaki, a tego dnia sytuacja była wręcz kryształowo czysta. W mieście panował martwy spokój, a gdy tylko poczciwi mieszkańcy usłyszeli o Killianie, natychmiast! zapomnieli o swoich pieniądzach. To była jedna z korzyści; posiadania złej reputacji na Zachodzie. Tylko straceńcy ośmielali się podążać za bandytą do jego kryjówek.

Przed nimi stały cztery konie przywiązane do drzewa. Killian zmarszczył czoło. Ulga, jaką poczuł na widok niezmaconego spokoju pustyni, ustąpiła miejsca irytacji. Akurat tego mu było trzeba... cztery konie dla pięciu jeźdźców.

Szarpnął wodzami, równocześnie odchylając się w siodle do tyłu. Jego ogier stanął jak wryty, a koń, na którym jechała Lainie, nie zdążył zwolnić i wpadł na niego.

Lainie stęknęła ze złością.

- Do cholery! - wyrzuciła z siebie, próbując się wyprostować. - Nie powinieneś przypadkiem dać znaku, że stajesz?

Pozostałe konie zatrzymały się obok nich, wzniesając tumany kurzu. Purty i Mose zeskoczyli na ziemię i od razu zaczęli ciągać siodła.

Zsunawszy się ze swego miejsca za plecami Purty'ego, Skeeter spojrzął na pozostawione w oddali miasto. Pot spływał mu krętymi strużkami po pobrużdżonych policzkach, brudząc ciemnymi plamami jasnoniebieski kołnierz koszuli.

- Myślisz, że wystali za nami pościg, szefie? Mose zaśmiał się gardłowo.

- Nie z tej zapadłej miejsciny.

- Fortune Flats nie jest żadną zapadłą miejsciną - obruszyła się Lainie z godnością.

Killian ściągnął ją z konia i mocno przytrzymał za ramię. Ani na moment nie zwalniając uścisku, zręcznie rozpiął rzemienie i zrzucił siodło na ziemię.

Kopnęła go z całej siły, trafiając czubkiem buta w goleń. Musiało solidnie zboleć.

- Ty... - zaczęła, ale nie dał jej dokończyć.

Zakrył jej usta dłonią i przycisnąwszy ją do swego boku tak mocno, że nie mogła się poruszyć, zwrócił się do swoich kompanów:

- Lepiej będzie, jak się rozdzielimy, na wypadek gdyby jakiemuś śmiałkowi przyszło do głowy nas gonić.

Skeeter, ty ominiesz ranczo od tyłu, a Purty i Mose pojedą w stronę kanionu. Spotkamy się za parę dni w tunelu, żeby podzielić gotówkę.

Mose spojrzął na towarzyszącą im kobietę oczyma, które wyglądały jak czarne szczeliny w jego ogorzałej zarośniętej twarzy.

- Chcesz, żebym ją zabił, szefie?

- Nie jesteśmy zabójcami, Mose -przywołał go do porządku Purty, zsuwając z czoła kapelusz i ocierając pot znad brwi. - Poza tym przyda nam się kobieta w kryjówce.

Mose przyjrzał się Lainie, mierząc ją od stóp do głów zaciekawionym wzrokiem.

- Ja tam wolę chudsze.

Bez słowa pokazała mu rękę z wysuniętym środkowym palcem.

Mose rzucił się ku niej.

- A żesz ty...

Killian powstrzymał go ostrym spojrzeniem. Przycisnął, Lainie mocniej do swego boku.

- To miało być zaproszenie?

- Niezupełnie, dupku.

Szarpnięciem odwrócił ją twarzą do siebie. Zadarła głowę i spojrzała mu w oczy ze złością.

- Zabieraj ode mnie łapy, ty świnió!

Killian nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Ludzie raczej nie mają odwagi nazywać mnie świnią. -Pochylając się nad nią, dodał szeptem: - Bo się boją, że ich zabiję.

- Mnie nie możesz zabić, idioto - oświadczyła drwiąco. -To mi się śni.

To, co powiedziała, było tak absurdalne, że aż zbiło Killiana z tropu. Przez chwilę przyglądał jej się spod uniesionych brwi.

Coś z tą kobietą było nie w porządku. Mocno nie w porządku. A właściwie nic w niej nie było... normalne. Nawet ubranie. Miała na sobie wielki czerwony sweter, zakrywający biodra. Głębokie wycięcie pod szyją sięgało niemal pasa, ukazując sporo gołego ciała i tę dziwną czarną rzecz osłaniającą piersi. Jej spodnie musiały być bardzo stare, bo całkiem spłowiały i świeciły dziurami. Nawet dziwki wkładały na siebie więcej.

Zresztą nie tylko jej strój wydawał się dziwny. Miała krótko obcięte włosy, jak mężczyzna, tylko że na czubku głowy sterzące, jakby chciały zaprzeczyć prawom przyciągania ziemskiego. W pociągłej jasnej twarzy rzucały się w oczy wydatne kości policzkowe i pełne, kształtne usta, które u innej kobiety można by uznać za całkiem pociągające.

- Jesteś stuknięta - oznajmił spokojnie Purty.

Killian zwolnił nieco uścisk, co natychmiast wykorzystwała, żeby mu się wyrwać. Westchnęła z zadowoleniem, po czym, skrzyżowawszy ramiona na piersi, mocno zacisnęła powieki.

- Obudź się, obudź się, obudź się. Przyglądał jej się lekko ogłupiały.

- Co ty, u diabła, robisz?

- Obudź się, obudź się, obudź się - powtarzała, nie zwracając na niego uwagi.

Skeeter tyknął na szefa z przestrachem.

- Ona jest stuknięta - mruknął. - I zna moje nazwisko.

- Moje też - wtrącił Mose znaczącym tonem.

- Obudź się, obudź się. - Westchnęła z irytacją. - Do cholery, obudź się!

- Jezu Chryste, szefie - wystękał Mose, siodlając świeżego konia. - Mamy świadka w postaci wariatki.

Powinniśmy ją zastrzelić i wynosić się stąd w cholerę.

- Nie możesz jej zastrzelić za to, że gada od rzeczy - upomniał go Purty, przywiązując worek z pieniędzmi do łęku i wspinając się na siodło. - Lepiej zabierzmy ją do tunelu. Tam się dowiemy, skąd ona tyle wie.

Propozycja wydawała się rozsądna. Poza tym Killian nie miał czasu na wymyślanie lepszego rozwiązania.

- Dobrze, Purty. Zabierz ją ze sobą.

Purty zaśmiał się soczystym, dudniącym śmiechem, od którego niemal zdrżała spieczona ziemia.

- Ja mam już dość towarzystwa wariatów, szefie. Wybacz.

Skeeter podniósł ręce, nim Killian zdążył się odezwać.

- Nie patrz na mnie, szefie. - Rzucił na Lainie niepewne spojrzenie. - Ja... się jej boję.

Killian zacisnął zęby.

- Świetnie. No to pojedzie ze mną. Wy weźcie świeże konie. Ja przejadę jeszcze parę mil na karym. A ona może jechać na moim deresz.

Purty wyszczerzył do niego zęby.

- Przydałby ci się znacznie większy koń, szefie. Ten deresz jest trochę za wąty.

Kobieta wbiła w Purty'ego nienawistne spojrzenie.

- Purty, jeszcze jedna uwaga na temat mojej wagi, a przyłożę ci w dziób tak, że połkniesz te swoje zepsute żółte zęby. Zrozumiano?

Roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu. Podobny o gdakania dźwięk rozniósł się po pustyni. Kiedy wreszcie ucichł, Purty pokręcił głową i naciągnął na oczy rondo brudnego kapelusza.

- Szefie, trafiła ci się robota, jak znalazł. Do zobaczenia w tunelu.

Mose zmarszczył czoło. Był to jego zwykły wyraz twarzy, zimny i podejrzliwy. Popatrzył na kobietę i wolno pokręcił głową.

- A ja ci mówię, szefie, że lepiej ją załatwić. To nam zaoszczędzi czasu na dłuższą metę.

Purty walnął go w łopatkę, wzniciając tuman kurzu.

- Mose, dosyć już tych grzeczności wobec kobiet.

Skeeter zarechotał głośno i wskoczył na konia. Wszyscy trzej zawrócili w miejscu i odjechali. Kiedy kurz opadł, byli już daleko, pozostało po nich jedynie zamierające dudnienie kopyt, uderzających o twarde podłoże.

Wreszcie nastąpiła chwila błogosławionej ciszy, którą przerwała Lainie.

- Potrzebuję... no wiesz... odosobnienia.

Killian spojrział na nią z zaciekawieniem. Stała z lekko wysuniętym biodrem, z rękami skrzyżowanymi na piersi i wyrazem zakłopotania na twarzy. Po jej oczach poznał, że ma ochotę uciec, a równocześnie zdaje sobie sprawę ze swej sytuacji. Nie miała dokąd uciekać.

Wykonał nieokreślony gest ręką.

- Proszę bardzo.

Przez chwilę stała, postukując stopą o ziemię, a potem odwróciła wzrok.

- Powiedziałam, że muszę się oddalić.

Rozejrzał się po otoczeniu. Znajdowali się na rozległej brązowej równinie, upstrzonej gdzieniegdzie kwitnącymi krzewami. Uśmiechnął się mimowolnie.

- Trudno o bardziej odosobnione miejsce.

Wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.

- Spodziewasz się, że przykucnę tu, na środku tego pustkowia? Jezu, przecież tu są skorpiony, węże i jaszczurki. - Otrząsnęła się z obrzydzeniem. - Pełno tych okropnych małych stworzeń, które tylko czekają, żeby się przyczepić do mojego gołego tyłka. O, nie. Mowy nie ma.

Killian uśmiechnął się szerzej.

- Ta kobieca delikatność... Myślałem, że umiesz sikać na stojąco.

Zmierzyła go wrogim spojrzeniem spod opuszczonych powiek.

- Odwróć się.

- No, nie wiem... Całe życie marzyłem, żeby zobaczyć sikającą wariatkę.

Pokazała mu wystawiony środkowy palec, co najwyraźniej było jej ulubionym gestem, po czym odwróciła się do niego plecami i ruszyła przed siebie. Mijając rachityczne drzewko, zerwała z niego garść liści i pomaszerowała w stronę najbujniejszego krzaka, jaki udało jej się wypatrzyć.

Killian podniósł z ziemi przeznaczone dla niej siodło i zarzucił je na grzbiet deresza, szybko zaciągając rzemienie. Słyszał oddalające się kroki, którym towarzyszyły zupełnie niekobiece przekleństwa.

Cały czas stał odwrócony plecami. Po paru minutach usłyszał, że kobieta wróciła. Ruchem głowy wskazał jej deresza.

- Wsiadaj.

- Nie ma mowy. Teraz mam zamiar się obudzić.

Zniecierpliwiony, pokręcił głową. Chryste, zaczynała mu działać na nerwy. Odwrócił się do niej z westchnieniem.

- Wsiadaj.

Wbiła w niego nieruchome spojrzenie zielonych oczu. Przez moment zdawało mu się, że ich wyraz nieco złagodniał, ale zaraz uznał to za niemożliwe. Ta kobieta była ostra jak cierń.

- Jakoś nie mogę się obudzić - powiedziała, krzyżując ramiona na piersi i uciekając od niego wzrokiem.

Sięgnął do pasa na biodrze, wyciągnął broń i kołyszac nią nonszalancko na wysokości uda, powtórzył:

- Wsiadaj na konia, bo inaczej sam cię wrzucę.

Zerknęła na rewolwer. Po nagłym zmrużeniu oczu poznał, że dotarła do niej jego niewypowiedziana groźba. Uniosła kącik ust w uśmiechu całkowicie pozbawionym humoru.

- Domyślam się, że i tak nie mam wyboru.

- Zgadza się. Więc wsiadaj wreszcie na tego cholernego konia.

- Niech ci się nie zdaje, że jadę z tobą z powodu tego rewolweru. Nie możesz mnie zabić. To się dzieje w moim śnie... - zmarszczyła czoło - który powoli zmienia się w senny koszmar.

Przyjrzał jej się, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

- Kobieto - odezwał się w końcu cicho - ty jesteś szalona. Wzruszyła ramionami.

- Nie ty pierwszy tak mówisz.

- Wcale się nie dziwię. - Sięgnął po linę przytroczoną do siodła.

Przełknęła nerwowo ślinę na widok tego gestu.

- Co... co masz zamiar z tym zrobić?

- Mam zamiar związać ci ręce. - Zauważył, że się wzdrygnęła, policzki jej pobrały, a dolna warga zdrząła lekko, nim zdążyła ją przygryźć. - Bo co?

- Nie rób tego - poprosiła głosem niewiele mocniejszym od szeptu. - Mam... uraz na tym punkcie.

Nagle wydała mu się młoda, zalękniona i całkowicie bezbronna. Wiedział, że nie powinien jej słuchać i zwracać uwagi na jej prośbę. Powinien wymierzyć w nią z rewolweru i powtórzyć groźbę. Ale było w tej kobiecie coś, co go przed tym powstrzymywało... coś znajomego.

Niemal wbrew własnej woli podszedł do niej, zasłaniając ją swoim cieniem.

- Dobrze. - Sam nie mógł uwierzyć, że jest do tego stopnia głupi. Ona była niebezpieczna, śmiertelnie niebezpieczna i z całą pewnością nie powinien jej okazywać współczucia. Powinien ją związać, zakneblować i zostawić gdzieś na pustyni, żeby umarła. Tak byłoby najrozsądniej.

Jesteś idiotą, Killian, powiedział sobie w duchu. Odwrócił się od niej, od tych jej cholernych oczu, w których była zarówno bezbronność, jak i wrogość.

- Nie będę cię wiązał, jeśli grzecznie pojedziesz za mną. Jeżeli zostaniesz w tyle, choćby na sekundę, zmienię zdanie.

Parsknęła szorstkim, nienaturalnym śmiechem.

- Sekundę? Nie jesteś zbyt rycerski.

- Jeszcze jedno...

- Tak?

- Jeśli będziesz się odzywać... to cię zaknebluję.

- Naprawdę? - Popatrzyła na niego, unosząc gęstą czarną brew. Wszelka bezbronność gdzieś się ulotniła, pozostawiając jedynie zimną niechęć. Killianowi przeszło przez myśl, że wyraz słabości w oczach kobiety musiał być tylko przywidzeniem. - Wiesz co - dodała - właśnie coś postanowiłam.

- Co takiego?

- Że uśmiercę cię wcześniej w mojej książce. Jesteś zwyczajnym dupkiem.

Westchnął. Znowu ogarniało ją szaleństwo.

- Wsiadaj na tego cholernego konia.

Patrzył, jak podchodzi do deresza i wspina się na siodło. Pochyliła się, zebrała wodze i trzymając je, oparła dłonie na udach. Potem przekrzywiając lekko głowę, spojrzała z góry na Killiana.

- Nie jedź za szybko, dobrze? - Powiedziała to wolno, z wahaniem, jakby zła na to, że musi go o coś prosić. - Jeździłam konno tylko parę razy na obozie harcerskim. Nie jestem Johnem Wayne'em.

- Nie za szybko? - powtórzył jej niedorzeczną prośbę. - To jest ucieczka. - Jednym skokiem znalazł się na grzbiecie wierzchowca. Wychylił się na bok i chwycił jej wodze. - Trzymaj się łęku siodła. - Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, ścisnął konia piętami i ruszyli galopem przez bezkresną pustynię, otoczeni chmurą kurzu.

Słyszał za sobą jej krzyki, widział, jak rozpaczliwie próbuje się utrzymać w siodle. Uczepiona kurczowo łęku, pochyliła się nad końską szyją i machając bezładnie nogami, usiłowała wsunąć stopy w strzemiona.

Po krótkiej chwili ciszy rozległy się przekleństwa. Pełne złości i absolutnie niestosowne w ustach kobiety, ale z początku mrużane pod nosem. Jednak po dziesięciu minutach jazdy wściekłość wezbrała w niej na tyle, że miotła obelgami ile sił w płucach.

Był głupi, że jej nie zakneblował.

- Cholera! - zawołał nagle.

Lainie posłała mu pełne odrazy spojrzenie. Wychylony z siodła, wpatrywał się w ziemię przed sobą. Jego surową, przyciemnioną świeżym zarostem twarz ściągał grymas gniewu.

Ale ona się go nie bała. Do licha, wcale się nie bała. Mógł sobie wyglądać groźnie, ale to przecież nie miało żadnego znaczenia. On nie istniał naprawdę. Jego broń nie była prawdziwa, tak jak kule, a nawet pogrożki. Za jakieś dziesięć minut ona, Lainie, się obudzi i całe to doświadczenie zostanie przekształcone w kilka stron dobrego opisu w książce. Przynajmniej tyle pożytku będzie z jej snu. Wcześniej, kiedy pisała o Killianie, przedstawiała go jako jednowymiarowego łotra o kamiennym sercu. Był postacią, która miała poprzez kontrast uwydatniać siłę, mądrość i bystrość głównego bohatera. Teraz ujrzała Killiana w zupełnie nowym świetle.

Był prawdziwym dupkiem.

Ale nie związał jej rąk.

Dostrzegła w tym przejaw współczucia, całkiem nieoczekiwanego, ponieważ nie obdarzyła go akurat tą cechą charakteru. Wiedziała, że u Johna Killiana nie warto szukać zrozumienia, ponieważ jest w nim jedynie gwałtowność, egoizm i nieufność. Powinna była to wiedzieć.

A jednak bez wątpienia to, co widziała w jego oczach, było współczuciem. Przez moment, krótki jak mgnienie oka, wydał jej się jakby kimś innym, kimś, kogo wcale nie знаła.

- To niemożliwe - syknęła, odbijając się boleśnie od twardego siodła. - On jest dokładnie taki, jakiego wymyśliłaś. Jakim cudem mógłby być inny?

Ściągnął wodze, przechodząc w stępa. Znow się wychylił i z napięciem wpatrywał się w rudą ziemię.

Koń Lainie także natychmiast zwolnił i przebierał nogami w nerwowym klusie. Uczepiona siodła, miała wrażenie, że dzwonią jej wszystkie kości i zęby.

- Cholera! - powtórzył Killian.

Lainie skrzywiła się, postanawiając w duchu lepiej dopracować powieściowe kwestie tego bohatera. W kółko powtarzała „cholera” i „zamknij się”, co nie było przyjemne, nawet w wypadku czarnego charakteru.

Próbowała go zmierzyć pogardliwym spojrzeniem, ale okazało się, że nie jest to łatwe, kiedy się

podskakuje w siodle, bezwładnie niczym worek kamieni.

- Mam nadzieję, że nie próbujesz mi przekazać wiadomości jakimś prymitywnym, starodawnym kodem. Obejrzał się na nią ze ściągniętymi gniewnie brwiami.

- A czemu, u diabła, miałbym w ogóle chcieć z tobą rozmawiać?
- Nie mam pojęcia. Proszę bardzo, krzycz sobie dalej i patrz w ziemię.
- Kary kuleje.
- Jaki kary?

Obrzucił ją wzrokiem tak lodowatym, że aż ciarki przebiegły jej po plecach.

- Mój koń.
- No, toś się wysilił.
- Co?
- Nazywając swojego konia. Ile ci zajęło wymyślenie takiego imienia? Dziesięć, dwanaście dni?
- Zamknij się.

Westchnęła.

- Muszę staranniej popracować nad twoimi dialogami. Bo na razie się odzywasz, jakbyś występował w „Walce o ogień”.

Nie zwracając na nią uwagi, zatrzymał konia i zsiadł. Ostrożnie unióś przednią nogę ogiera. Lainie spojrzęła z góry na końskie kopyto.

- Jedziemy już od godziny. Prawdopodobnie jest zmęczony.

Killian bez słowa wyjął z sakwy przy siodle jakieś narzędzie i zaczął wylubywać z kopyta konia odłamki kamieni i grudy ziemi.

- Aha.

Lainie rozejrzała się. Znajdowali się pośrodku rozległej doliny, otoczonej gładkimi kamiennymi ścianami. Po prawej płynęła mulista rzeka, wijąca się niespiesznie pośród kęp topoli. Na piaszczystej brunatnej ziemi tu i ówdzie widniały plamy nieśmiało rosnącej trawy. A w górze rozciągała się bezkresna, wolna od chmur połać błękitnego nieba. Zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażała. Upał był silniejszy, bardziej dawał się we znaki, a krajobraz miał w sobie surowe, bolesne piękno, jakiego wcale się nie spodziewała. Stojąc pod skalną ścianą, trwającą w tym miejscu od stworzenia świata, czuła się bardzo mała, nieważna i... samotna.

To chwilowe poczucie bezbronności wytrąciło ją z równowagi. Wyprostowała ramiona i odgarnęła włosy z czoła. Pochodząca z drogiego salonu fryzjerskiego pianka usztywniająca zaczynała się rozpuszczać.

Killian ściągnął siodło z grzbietu ogiera.

- Co robisz? - spytała zdumiona.
- Tańczę. - Posłał jej drwiące spojrzenie. Punkt dla tego osiłka, przyznała w duchu.
- Pozwól, że ujmę to inaczej. Dlaczego to robisz?
- On kuleje.

Lainie poczuła niemiłe ssanie w żołądku.

- Chyba nie zamierzasz go zastrzelić?

Tym razem nawet na nią nie spojrzął.

- Prędejm bym cię zastrzelił. - Odrzucił siodło za siebie, tak że wylądowało na pochyłym pniu niskiej sosny. Bez słowa sięgnął po wodze i przywiązał konia do tego samego drzewa.

Dopiero wówczas się odwrócił i skierował w stronę kobiety. Poruszał się z drapieżnym, kocim wdziękiem, kołysząc biodrami w charakterystyczny, typowo męski sposób. Głuchy odgłos jego kroków wydawał się dziwnie złowieszczy w pustynnej ciszy.

Nagle zrozumiała, co to znaczy, że rzeczywistość przerasta wyobrażenia. Stworzyła tego człowieka, ukształtowała go, czerpiąc z bogatych źródeł własnej wyobraźni, i częściowo był taki, jak miał być, ale było w nim też coś... więcej.

Patrząc na niego teraz, dostrzegała głębokie bruzdy na jego czole i siateczkę zmarszczek wokół oczu. Wydawał się starszy, niż powinien być - miał mieć dwadzieścia osiem lat i twarz ogorzałą od częstego przebywania w palącym słońcu. A mężczyzna, który się do niej zbliżał, miał pewnie czterdzieści, może nawet trochę więcej lat i rysy naznaczone okrutnymi życiowymi doświadczeniami. Był w nim jakiś niepokój, którego mu nigdy nie przypisywała, i surowa męskość, budząca w niej lęk.

Marszcząc czoło, Lainie uświadomiła sobie z całą pewnością, że nie od niej pochodzą bruzdy na jego twarzy. Owszem, to ona obdarzyła go potężną posturą, ale nie jej zawdzięczał swą zwinność, ujawniającą się w sposobie poruszania, w ułożeniu rąk, trzymanyh zawsze w pobliżu pasa z bronią.

- Podoba ci się to, co widzisz?

Zesztywniała, przyłapaną na tym, że mu się przygląda. Poczula się głupio, ale w końcu była to zwykła

ludzka reakcja. Wiadomo, że niegrzecznie jest się na kogoś gapić... nawet na fikcyjną postać.

- Prawdę mówiąc, nie. Myślałam, że będziesz bardziej...

- Jaki?

Skrzywiła się i zamyśliła na chwilę.

- Nie wiem. Bardziej zły i mniej... bezczelny.

Chwyił ją za nadgarstek i mocno pociągnął. Zachwiała się i zsunęła po śliskiej skórze siodła. Drewniane strzemię uderzyło ją w bok głowy.

- Au... cholera!

- Ładnie się wyrażasz - mruknął.

- A ty masz świetną dykcję - odgryzła się.

Wciąż ją trzymając, ruszył w kierunku wielkiego drzewa. Szła obok niego, potykając się i przy każdym kroku próbując wyswobodzić rękę.

- Puść mnie, do diabła.

Pod drzewem nagle się zatrzymał i szarpnięciem postawił ją przed sobą. Świat zawirował jej w oczach.

- Cholera jasna! - wycedziła, unosząc pięść i biorąc zamach do ciosu.

Popatrzył na jej drobną zaciśniętą dłoń i wybuchnął śmiechem.

- Chcesz mi podbić oko?

- Uważaj, bo mogę to zrobić.

- Możesz mi wierzyć, że swoim gadaniem wyrządziłaś już więcej szkody, niż mogłabyś zrobić pięścią.

Znacząco przeniosła wzrok na jego krocze.

- To zależy, gdzie wyceluję.

Znow się roześmiał zaskakująco donośnym serdecznym śmiechem.

- Jeśli mnie tam dotkniesz, to nie po to, by zadać ból.

- Nie pochlebiaj sobie. Nie dotknęłabym cię... tam, nawet gdybyś był ostatnim facetem na ziemi.

Sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął brudną czerwoną chustkę, którą miał na twarzy podczas napadu.

Obrzuciła ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Co masz zamiar z tym zrobić?

Nie odezwał się, ale wyczytała odpowiedź w jego oczach. Głośno wciągnęła powietrze.

- Nie ośmielisz się...

Wepchnął jej zmięty kłęb materiału do ust, zawiązując końcówki z tyłu głowy.

Przeszyła go wściekłym wzrokiem. Rozpierała ją furia, serce jej waliło jak oszalałe, oddychała z trudem.

Odstąpił o krok, uśmiechając się z zadowoleniem.

- Już mi się bardziej podobasz.

Lainie wymierzyła cios, trafiając go zaciśniętą pięścią prosto w oko. Następnie uniosła kolano i z całej siły kopnęła go w przyrodzenie.

Zgiął się wpół, głośno chwytając powietrze. Oburącz trzymał się za oko.

Poczuła upajającą radość zemsty. Miała nadzieję, że oko mu zsinieje. I genitalia również.

- Dobrze ci tak za to, że mnie prześladujesz, draniu.

W końcu podniósł głowę i spojrzał na nią lodowato, i Na widok wyrazu jego oczu dreszcz przebiegł jej po ko- j ściach.

- A więc tak chcesz to rozegrać - wycedził.

Lainie z trudem przełknęła ślinę. W miejsce jej świętego oburzenia zakradł się strach. Odniosła wrażenie, zupełnie niedorzeczne, jakby to wcale nie był sen, a człowiek, którego uderzyła, nie był wytworem wyobraźni. Cofnęła się, potrząsając głową. Knebel nie pozwalał jej nic powiedzieć.

Killian zbliżył się do niej jednym zwinnym skokiem, chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę koni. Kopała, próbowała wypluć knebel, wyrwać mu się. Nie zwracając najmniejszej uwagi na jej poczynania, jeszcze przyspieszył kroku.

Przy koniach przycisnął ją do siebie i z torby przy siodle wyciągnął kawałek liny. Potem zaciągnął ją, wciąż szamoczącą się i krzyczącą bezgłośnie, do drzewa i pchnął na ziemię. Ostre kamienie kłuły ją w pośladki. Wydała z siebie stłumiony kneblem pisk bólu i usiłowała się podnieść, ale on był zbyt szybki, żeby na to pozwolić.

Złączył jej nadgarstki i kilkakrotnie mocno owiązał liną. Ze wszystkich sił, lecz bezskutecznie próbowała mu to uniemożliwić. W końcu, zrezygnowana, przeszła go wściekłym spojrzeniem. -

To nie potrwa długo. Pójdę na tamto ranczo i zobaczę, czy nie uda się kupić drugiej pary koni.

Próbowała na niego krzyczeć, ale jej wysiłki skończyły się jedynie stłumionym żalonym piskiem.

Zastygł w bezruchu, jakby nasłuchiwał.

- Mówiłaś coś? - spytał, unosząc kpiąco jedną brew.

Przeszyła go wzrokiem.

Szybkim, dobrze wyćwiczonym ruchem przyciągnął jej ręce do kostek nóg i związał je razem.

Szarpnęła się gwałtownie, ale nie dość, że mu nie przeszkodziła, to jeszcze straciła równowagę.

Przechyliła się i bezwładnie upadła na bok. |

Pochylił się nad nią, tak że widziała jego twarz od dołu.

- Wolisz na mnie czekać na leżąco?

- Pieprz się! - wymamrotała w chustkę. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Zaczekaj, niech zgadnę, co powiedziałaś. Czy może zaczynało się na p... i kończyło na się? - Poczekał chwilę na odpowiedź, a potem znów się zaśmiał, głośno i rubasznie.

Słyszając ten śmiech, miała ochotę wydrapać mu oczy.

- Już dobrze. - Delikatnie podniósł ją do pozycji siedzącej. - Zaraz wrócę. Zabawię nie dłużej niż kwadrans. A ty po prostu... - uśmiechnął się szeroko - ...siedź cicho.

Lainie patrzyła, jak się oddala. Przez chwilę, rozpierana złością, zdolna była myśleć tylko o tym, co mu zrobi, w jaki sposób każe mu zapłacić za to, że ją tak potraktował.

Zabije go przy użyciu gorącego wosku już w pierwszym rozdziale. Będzie go łamać kołem i ćwiartować... powoli. Będzie...

Kiedy podniosła głowę, już go nie było.

Została sama.

Skalne ściany o barwie cynamonu przytłaczały ją. Miała wrażenie, że brakuje jej powietrza w płucach. Słońce świeciło jej prosto w twarz, wyciskając krople potu na czole i szyi. W oddali rozległ się krzyk jastrzębia, przejmujące wołanie na pustkowiu.

Opuściła ją złość, ustępując miejsca odrętwieniu. Wkrótce potem zjawił się strach, rozpelzał się po całym ciele, pokrywał gęsią skórą zeszywniałe kończyny. Czowała w ustach obrzydliwy gorzki smak żółci. Z przerażeniem pomyślała, że zaraz będzie musiała zwymiotować.

Zacisnęła mocno powieki, co okazało się błędem. Natychmiast opadły ją wspomnienia; okropne, natrętne obrazy oblepiały jej mózg, odbierając resztki odwagi i zatruwając myśli. Oddychała z trudem. Ze wszystkich stron dobiegał szum przyciszonych głosów, szuranie ciężkich kroków, brzęk kluczy.

Czyjeś ręce chwytaly ją, siłą kładły na zimne ceratowe łóżko. Skórzane pasy zaciskały się na jej nadgarstkach, ocierając delikatną skórę. Zgrzytały obracane w zamkach klucze.

Otworzyła oczy i próbowała odgonić nieznośne wizje, ale j nie miała na to dość siły.

Głowa opadła jej na piersi. Proszę, Boże, pozwól mi się teraz obudzić. Nie chcę tego koszmaru. Nie chcę być związana. Proszę, Boże...

Ale z góry nie przyszła żadna odpowiedź, ciężar nie zelżał, obrazy nie zniknęły. Znowu zamknęła oczy i, zwinięta w mały drżący kłębek, próbowała wyłączyć znękany mózg.

Po chwili nadeszła ciemność. Lainie zapadła się w siebie, zatoneła w wewnętrznej ciszy, która przyjęła ją w swe dobrze, znane, szeroko otwarte ramiona.

I jej sen przestał już mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Killian ostrożnie, z rękami zaczepionymi o pas z bronią, zbliżał się do zabudowań farmy. Wszystkimi zmysłami chłonał panującą wokół ciszę.

Znajdował się w niewielkim kanionie, w miejscu, które wyglądało tak, jakby Bóg wydrążył je własną ręką. Wysokie ściany z wielobarwnego kamienia łagodnym kręgiem otaczały dolinę, stanowiąc cudownie bezpieczną osłonę przed dzikim pustynnym wiatrem. W jednym ze skalnych zagłębień stała rozłożysta chata z płaskim dachem, ogrodzona drutem rozpiętym na sękatych palikach. Za ogrodzeniem pasło się osiem dorodnych koni, zbitych w gromadę przez nadchodzącą nocą.

Killian wolno przeszedł przez piaszczyste podwórze i otworzył drewnianą bramę. Skrzywienie zużytych zawiasów rozpląnęło się w melancholijnym szumie wiatru i ucichło.

Podszedł do drzwi chaty i zapukał. Stare drewno wydało dźwięk podobny do jęku. Za drzwiami zadudniły ciężkie kroki, a zaraz potem drgnęła drewniana zasuwka.

Wyprężył się odruchowo i wolno zsunął prawą rękę po udzie, aż końce palców natrafiły na chłodny metal broni.

Drzwi się otworzyły. W szparze ukazał się niski mężczyzna o zgarbionych ramionach, z siwą brodą i oczyma przypominającymi odłamki granitu. Była to twarz człowieka, który spędził całe życie w bezlitosnym pustynnym klimacie, wyostrzona, zeschła i pociemniała od niemiłosiernie palącego słońca. Zmierzył przybysza od stóp do głów niechętnym wzrokiem.

- Czego chcesz?

- Potrzebuję dwóch koni - oparł Killian spokojnie. Mężczyzna splunął; potężna struga zabarwionej tytoniem śliny spadła tuż przy lewym bucie Killiana i natychmiast wsiąkała w spragnioną wilgoci ziemię. Czujne spojrzenie prześliznęło się po rewolwerach, a potem wróciło do twarzy niespodziewanego gościa.

- Aha. Uciekamy, co?

- Lepiej nie zdawać takich pytań, staruszk. Mężczyzna uśmiechnął się, odsłaniając nieliczne, pożółkłe od tytoniu zęby.

- Chodzi ci o mój najlepiej pojęty interes, co?

- Coś w tym rodzaju.

- Aha. - Gospodarz znów splunął, a potem odchrząknął szczekliwie. - Miałeś zamiar je kupić czy raczej ukraść?

Killian przyglądał się staremu człowiekowi, oceniał go, czekał na jakiś nierozsądny ruch.

- To zależy od ciebie.

Staruszek zaśmiał się chrapliwie, co natychmiast wywołało u niego atak kaszlu.

- Nie jesteś pierwszym typem wyjętym spod prawa, który tu zagląda. Byli tu kiedyś Butch i Elza... jeszcze w osiemdziesiątym dziewiątym.

- Tak?

- Tak. Sprzedałem Cassidy'emu konia za sześćdziesiąt dolców. - Stary człowiek pokręcił głową, trzymając się za brodę. - Miły był facet ten Cassidy.

- Ja nie jestem taki miły.

Mężczyzna zadarł głowę, po raz pierwszy patrząc Killianowi prosto w oczy. Szczerbaty uśmiech zniknął z jego twarzy, zastąpiony wyrazem zastanowienia.

Killian sięgnął do kieszeni i wyjął dwa zmięte banknoty dwudziestodolarowe.

- Dam ci czterdzieści dolarów za dwa konie.

- To stanowczo za mało.

Killian sięgnął do rewolweru, jakby od niechcienia wsuwając palec w pałąk spustu.

- Ja sądzę, że wystarczy.

Mężczyzna utkwiał w broni szeroko otwarte oczy, nerwowo przesunął językiem po wąskich wargach. Killian znał na pamięć jego myśli, bo tysiące razy bywał w podobnych sytuacjach. Najpierw bezskuteczne szukanie pomocy. A zaraz potem błysk zrozumienia, co to znaczy stać oko w oko z człowiekiem wyjętym spod prawa.

Stary człowiek ponownie oblizwał wargi i nerwowo przelknął ślinę. Sękaty palec poznaczone wątrobowymi plamami drżały mu niespokojnie. Rzucił szybkie spojrzenie w głąb chaty.

- Próbujesz mnie nabrać? - odezwał się Killian miękkim, niemal uwodzicielskim głosem. - Chcesz sięgnąć po tę strzelbę ukrytą za drzwiami?

- Jaka... strzelbę?

Killian uśmiechnął się pobłaźliwie. W palcu spoczywającym na chłodnej stali języczka spustowego czuł lekkie mrowienie.

- No to lepiej się pośpiesz.

Mężczyzna omal nie zakrzuszył się ze strachu.

- Jestem za stary, żeby być szybki.

Killian powoli wypuścił powietrze z płuc, rozluźnił napięte ramię. Wiedział, że już jest po wszystkim.

- Tak też myślałem.

- Jestem biedakiem. Te konie są wszystkim, co mam.

Killian przyjrzał się staremu, zauważył wystrzępione mankiety koszuli, dziury w spodniach. Na moment zaciekawilo go, jakie życie miał ten człowiek i co sprawiło, że mu się nie wiodło. Nikt przecież nie chce skończyć tak jak on - samotny, bezbronny i biedny, wyrywający środki do życia z surowej pustyni w Arizonie.

Może tylko stary rewolwerowiec, który nie potrafi już wystarczająco szybko sięgać po broń...

Bezwiednie zadrżał na tę myśl. Wyjął z kieszeni jeszcze jeden banknot, tym razem dziesięciodolarowy.

- Nie mam przy sobie więcej. Ale dam ci jeszcze dwudziestkę następnym razem, jak będę tędy przejeżdżał.

- Prosisz, żebym ci uwierzył?

- Nie nazwałbym tego prośbą.

Mężczyzna przesunął językiem po zębach, wydymając górną wargę. Rosnące nad nią wąsy nastroszyły się jak szczotka.

- Chyba nie mam wyboru, co?

- Żadnego.

Starzec zamyślił się na chwilę, a potem niespodziewany uśmiech rozciągnął jego pomarszczone oblicze. Spojrzał z ukosa na Killiana.

- To śmieszne, ale chyba i tak ci zaufam. Masz coś takiego w twarzy...

Niespodziewane wyznanie tak zaskoczyło Killiana, że aż zeszytniał. Poczul nagły chłód w środku.

- To niezbyt rozsądne z twojej strony, staruszk.

Mężczyzna nie przestawał się uśmiechać.

- Nie mówiłem, że jestem kasjerem. Wejdiesz do mnie na kawę?

- Nie.

- Aha. - Rozczarowanie pogłębiło bruzdy na ogorzalej twarzy.

Killian poczul coś na kształt współczucia dla starego człowieka. Bez wątpienia musiał być piekielnie samotny.

- No to chodźmy. Mam parę naprawdę dobrych koni. Kapitana i Zmoreę.

Killian nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Kapitana i Zmoreę, powiadasz?

Nie miał wątpliwości, którego z koni odda swej towarzysze.

znalazł ją zwiniętą w ciasny kłębek tam, gdzie ją zostawił. Rozległa pustynia rozciągała się na wszystkie strony, zamknięta na horyzoncie łańcuchem sinoniebieskich wzgórz. Nad leżącą kobietą pochylała się drżąca rachityczna sosna. Obwisłe zielone konary stanowiły jedyny barwny akcent na tle bezkresnej połaci żółtobrazowej ziemi.

Killian zmarszczył czoło. Już z daleka widział, że coś jest nie w porządku. Kobieta się nie ruszała; patrząc z oddali miał wrażenie, że nawet nie oddycha. Leżała skulona pod drzewem, z podbródkiem przyciągniętym do piersi, z zamkniętymi oczyma. Konie stały z opuszczonymi nisko łbami, bok przy boku, odwrócone tyłem do wiatru, który ciągnął od wzgórz. Nad piaszczystą powierzchnią ziemi wirowały kłęby zeschniętych liści.

Killian ścisnął swojego wierzchowca piętami, zmuszając go do przyspieszenia kroku.

- Halo! - zawołał.

Nawet nie drgnęła. Nie padło żadne przekleństwo.

Zatrzymał Kapitana i szybko zeskoczył z siodła. Zaczepił wodze o wystającą gałąź sosny, po czym przykucnął obok leżącej kobiety.

Była nieruchoma, jak martwa, ale u nasady jej szyi bił puls - cienka niebieskawa żyłka na mlecznobiałej skórze. Palce złożonych razem dłoni miała blade i wiotkie. Na równie bladej twarzy dostrzegł kropelki potu oraz smugi kurzu. Ciemne kosmyki włosów przykleiły się do wilgotnych skroni, a brudny skrawek chustki wyglądał jak krwawa pręga na jasnej cerze.

Odwrócił wzrok na dłuższą chwilę, a potem zamknął oczy. Jakieś gorzkie uczucie, nieprzyjemnie podobne do wstydu, ścisnęło mu trzewia. Kiedy nauczył się robić coś takiego kobiecie, tylko po to, żeby była cicho?

Wyciągnął rękę i leciutko dotknął jej policzka. Następnie rozwiązał końce chustki i wyjął jej z ust knebel.

- Halo, obudź się.

Zadrżała. Ciemna firanka rzęs zatrzepotała.

Powoli uniosła powieki i spojrzała na niego. Jej źrenice wydały mu się ciemniejsze niż wcześniej, miały głęboki odcień zieleni. Skręcony kosmyk ciemnych włosów opadł na czoło. Kiedy zajrzał jej w oczy, zobaczył w nich smutek i coś jeszcze, coś, co świetnie rozumiał. Zobaczył rozpacz, która tak bardzo nie pasowała do jej młodych oczu.

Odezwał się, nim jeszcze zdążył pomyśleć.

- Przykro mi. - Jego głos zabrzmiał cicho i łagodnie. Zaskoczył sam siebie, bo to wyznanie pochodziło z odległych czasów, z tej części jego duszy, w której kiedyś mieściły się takie uczucia jak troska, żal i wstyd.

Cień uśmiechu przemknął przez jej usta, tak przelotny i niespodziewany, że Killian nie był pewien, czy nie uległ przywidzeniu.

- Nie mogę... się obudzić.

Zmarszczył brwi w wyrazie zdumienia. Rozumiałby strach, złość czy nienawiść. Nawet łzy. Tymczasem powiedziała spokojnie coś, co wydawało się całkiem niedorzeczne.

- Przecież się obudziłaś.

Pokręciła głową, strząsając na czoło kolejny niesforny kosmyk ciemnych włosów.

- Nie. Nie obudziłam się. Nadal śnię.

Killian przysiadł na piętach. Zupełnie nie mógł jej zrozumieć, stanowiła dla niego zagadkę. W jednej chwili zionęła ogniem, w drugiej była uosobieniem bezradnej niewinności, a w trzeciej zachowywała się jak osoba niespełna rozumu.

- Musimy się zbierać.

- Tak - powiedziała cicho, niemal sennie. - Pościg nie może być daleko.

- Jaki pościg masz na myśli? - zaniepokoił się.

- Joego Martina...

Na dźwięk tego nazwiska przebiegł go zimny dreszcz. I

- Masz na myśli szeryfa z River Rock Falls?

Przytaknęła.

- Harold Springs wynajął go, żeby cię dopadł i zabił.

Killian czuł się tak, jakby otrzymał mocny cios w szczękę. Cofnął się, patrząc na nią z osłupieniem. Miał nadzieję, że rzeczywiście jest szalona. Bo jeśli nie była, to znaczyło, że on i tkwi po uszy w kłopotach. i

- Skąd to wiesz?

- Miał udaremnić napad, ale mu się nie udało. Zorganizowanie grupy pościgowej zajmie mu jakieś cztery godziny. -

Zamyśliła się. - Jestem pewna, że uda mu się zebrać ludzi...choć wcale nie pojawił się w banku.

Westchnął głośno, próbując zachować zimną krew.

- Pytałem, skąd to wszystko wiesz.

- Ja to napisałam.

- Och, na litość boską...

Błagała go wzrokiem, żeby jej uwierzył.

- To prawda.

- Martin jedzie za mną? - spytał twardo.

- Owszem.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Zostaw mnie tu - poprosiła cicho. - Nie mogę już znieść tego snu. Zostaw mnie tu, żeby się mogła spotkać z Joem... On jest moim bohaterem.

Następne zupełnie absurdalne zdanie. Killian wpatrywał się w kobietę, powtarzając w myślach jej słowa i próbując zrozumieć, o co jej chodzi. Wydawało się niemożliwe, by wiedziała o tym wszystkim... ale przecież знаła jego imię. I Skeetera. Mose'a.

- Nie możesz tego wiedzieć - rzekł spokojnie, nie odrywając od niej oczu. Zamrugła pod jego spojrzeniem. Usta jej drżały, więc przygryzła dolną wargę, ale nie odwróciła wzroku. Miała najbardziej szczerą twarz, jaką w życiu widział. - Ale wiesz. Zacisnęła mocno powieki i westchnęła.

- Tak, wiem.

Nie mógł lekceważyć uzyskanych od niej informacji. Brzmiały cholernie prawdziwie.

Joe zawsze go nienawidził. Ten przedstawiciel prawa uważał, że Killian jest odpowiedzialny za zabicie pary starszków, wracających do domu z banku w Silver Springs. Dla Joego nie miał znaczenia fakt, że był

wówczas w Teksasie, ani to, że Killian nie był mordercą. Przynajmniej nie zabijał umyślnie.

Dla Joego liczyła się tylko zemsta. Od lat Killian zawsze wyprzedzał go o krok. A skoro ten strażnik prawa był w Arizonie, to znaczyło, że ściga Killiana.

- Zostawisz mnie tu? - spytała cicho.

Dostrzegł w jej oczach rozpacz, ale nie mógł sobie pozwolić na uleganie wzruszeniom. Jeśli istniała możliwość, że Joe depcze mu po piętach, a coś mu mówiło, że powinien jej wierzyć, Killian musiał wykorzystać wszystko, co pozwoli mu przeżyć.

- Nie.

Łzy napłynęły jej do oczu, nadając im przeraźliwie smutny blask. Ten widok ścisnął go za serce. Odwróciła głowę, jakby zawstydzona własną słabością.

- Dlaczego?

- Możesz być moim asem w rękawie, jeśli sprawy pójdą źle. Joe mnie puści, żeby ci ratować życie.

Rozwiązał jej ręce i nogi, po czym upchał linę do kieszeni płaszcza. Wyprostował się.

Chwyliła go za rękę, wpijając palce w sztywny od kurzu materiał rękawa.

- Proszę - szepnęła, wpatrując się w niego błagalnie szklącymi oczyma. - Proszę, puść mnie. Muszę się wreszcie obudzić.

Spojrzał na nią z góry. Czuł się okropnie, ale to niczego nie zmieniało; nie mógł jej puścić. Przeżył wiele lat, kierując się instynktem, i teraz, choć wydawało się to szaleństwem, uwierzył tej kobiecie. Joe Martin był na jego tropie. Killian czuł śmiertelne zagrożenie, niewidoczne, lecz pewne. Żył w cieniu tego zagrożenia już od bardzo dawna, niemal do niego przywykł. Pozwalało mu zapomnieć o wszystkim innym, zmuszając do skupienia się na walce o przetrwanie. A w jego życiu istniało wiele spraw, o których nie chciał myśleć.

- Przykro mi - powtórzył, lecz tym razem w jego głosie był stalowy chłód. - Ale to naprawdę nie jest mój problem.

Alainie trzymała się lęku obolałymi rękami. Skóra siodła była lepka i wilgotna, a od zapachu końskiego potu i kurzu kręciło jej się w głowie. Niemal pożałowała, że nie jest już zakneblowana. Oddałaby wszystko, żeby tylko pozbyć się obrzydliwego pyłu z ust i nosa.

Zamknęła oczy, sycąc się chwilą ulgi płynącej z ciemności. Gdyby tak mogła skulić się w jakimś zapomnianym kącie własnego umysłu i zasnąć. Może wówczas byłaby w stanie wreszcie się obudzić...

Tylko że to wcale nie było łatwe. Ten sen był taki... dziwny.

Dlaczego nie mogła się obudzić?

Może w tym śnie było coś nienormalnego. Może był... nienaturalny.

Przeszył ją zimny strumień lęku. To było straszne, lecz, niestety, prawdopodobne. Może wypila za dużo alkoholu i połknęła za dużo pigułek. Może to nie był tylko sen... może znajdowała się w stanie śpiączki.

- O Jezu! - wyrwało się jej z drżących ust. Czy to naprawdę możliwe? Czy tak właśnie wygląda życie tysięcy ofiar śpiączki, które trwały w podobnym do śmierci letargu? Czy biedna

Karen Ann Quinland wpadła w taką samą pułapkę, utknęła w scenerii stworzonej przez własną wyobraźnię, w niekończącym się śnie, z którego nie było przebudzenia?

Nagle Lainie z przerażeniem uznała, że to całkiem możliwe.

Może nadal znajdowała się przy komputerze, leżała z głową na klawiaturze...

Paniczny strach chwycił ją za gardło. Odetchnęła głęboko, zmuszając się do opanowania. Nie mogła się poddać, nie mogła, się stać ofiarą własnych emocji.

Jeśli jej przypuszczenia były słuszne, sen musiał się dośnić do końca. Mogła się obudzić dopiero wtedy - i tylko wtedy - gdy pigułki i alkohol przestaną zatruwać jej organizm. Nie wcześniej. Jak wiele razy w swym dawnym życiu, nie panowała nad sytuacją. Nie mogła się zmusić do obudzenia ani siłą woli i przestać śnić. Musiała czekać i być silna.

Przetrwała w życiu gorsze rzeczy - narkotyki, przemoc, j biedę, porzucenie przez rodziców... nawet tułaczkę po zimnych, niebezpiecznych ulicach Seattle. Niemożliwe więc, żeby jakiś głupi sen miał ją zniszczyć.

Wyprostowała się, zadarła podbródek i spojrzała w dal, na otaczający ich krajobraz. Miała przed sobą rozległe surowe pustkowia, a jednak, w tej nieprzyjaznej krainie, jakby na przekór wszystkiemu, istniało życie w postaci kęp kwitnącej zieleni. Ze spieczonej żółtej ziemi wyrastały poskręcane drzewa.

Wydawało się niemożliwe, by mogły rosnąć w miejscu tak ubogim w wodę. A mimo to rosły, jakimś

cudem przystosowane do ciężkich warunków, i nawet zdobiły monotonną piaszczystą równinę barwnymi plamami kwiatów.

Powinna wziąć z nich przykład. Przystosować się i przetrwać. Ten sen nie mógł trwać wiecznie, wkrótce musiał dobiec końca. Niedługo, w każdej chwili, już zaraz miała się obudzić, z pulsującym nieznośnie bólem głowy i smakiem starego kaptcia w ustach. Ale do tego czasu będzie robiła to, co potrafi najlepiej - będzie się starała przetrwać.

Zerknęła na człowieka jadącego obok niej. Siedział w siodle wyprostowany, prowadząc konia z gracją i swobodą, które brały się z wieloletniego doświadczenia. Na jego widok ogarnął ją dojmujący wstyd.

Tego ranka, kiedy zostawił ją związaną i zakneblowaną na środku bezkresnej pustyni, wycofała się w głąb siebie, w bezpieczny mrok. Nie korzystała z tej wewnętrznej kryjówki od wielu lat, a jednak trafiła do niej z niespodziewaną łatwością.

W tamtym momencie coś się w niej załamało, coś pękło. Bóg jeden wie, że prawie się poddała. Jak kiedyś. Dawno temu...

Ale teraz była mądrzejsza i, do licha, nie zamierzała powtórzyć tego samego błędu.

Nie pozwoli się poniewierać żadnemu mężczyźnie, nie będzie płakać ani skamleć. Od tej chwili była znów Alainą Constanzą i nikt nie miał prawa jej niczego narzucać.

Zwłaszcza wytwory jej własnej wyobraźni.

Jechali obok siebie w milczeniu przez długie godziny. Słońce stopniowo ustępowało ze swej pozycji na środku nieba i powoli zmierzało w stronę pasma wzgórz. Dwa nieosiodłane konie biegły luzem, cały czas trzymając się w pobliżu.

- Są za nami.

Lainie była tak zmęczona i obolała, że nie od razu zrozumiała, co Killian ma na myśli. Spojrzała na niego półprzyciemnie.

Kapitan zwolnił do klusa.

Zmora zrobiła to samo. Podrzucana na jej grzbiecie Lainie miała wrażenie, że słyszy dzwonięcie własnych zębów. Wstrząsane wnętrzości bolały ją niemiłosiernie. Jęknęła cicho, czepiając się siodła spoconymi dłońmi.

Jezu, czuła się tak, jakby ktoś od wewnątrz łamał jej kości. Modliła się, żeby wytrzymać choć chwilę dłużej. Wzrok ją zawodził; ciemniejąca pustynia przybierała formy czarnych skał sięgających ku niebu.

Killian zatrzymał się nagle, unosząc rękę.

- Coś słyszę.

Lainie minęła go, omal się z nim nie zderzając. Wyprzedził ją szybko, wyrwał jej wodze i szarpnięciem zatrzymał Zmorę.

- Mówiłem, żebyś stanęła.

Westchnęła z ulgą, pochodzącą z samej głębi duszy. Miała pośladki zbite jak befsztyki od ciągłego uderzania o siodło. Wyjęła prawą stopę ze strzemienia i zaczęła zsiadać z konia.

Killian ścisnął ją za ramię.

- Zostań - polecił ostrym tonem.

Wzbierająca irytacja nieco ją ożywiła. Może nie spisywała się najlepiej, ale żaden drań nie miał prawa rozkazywać jej jak psu.

- Słuchaj no, ty...

Posłał jej zmęczone spojrzenie.

- Błagam, zamknij się.

Lainie była zbyt wyczerpana, żeby wszczynać kłótnię. Dotarły do jej uszu dźwięki zapadającej nocy, odgłosy, których jeszcze przed chwilą nie słyszała - trzepotanie ptasich skrzydeł, szelest wiatru w gałęziach drzew, świszczące oddechy zgonionych koni.

Skrzyżowawszy ramiona na piersi, spojrzała w górę. Wieczne niebo wyglądało jak bezkresne pole lawendy, nakrapiane tysiącami migotliwych gwiazd. Tu i ówdzie spiralnie ukształtowane stożki skał sięgały z ziemi ku niebu niczym potężne wieże. Cała ta sceneria miała w sobie coś melancholijnego, ale też jakąś magię, przypominającą ludzi, którzy dawno odeszli, i dawno minione czasy.

- Słyszysz? - zapytał szeptem, ściągając z głowy kapelusz i przeczesując palcami wilgotne włosy.

Lainie wyteżyła słuch. Minęło sporo czasu, nim wreszcie sobie uświadomiła, że z oddali dobiega

dudnienie, głucho i miarowe jak bicie serca.

- Co to jest?

- Konie. Będzie ich z dziesięć lub dwanaście. Lainie natychmiast się ożywiła.

- Joe Martin - szepnęła, czując budzącą się nadzieję. Killian zaklął siarczyście, wciskając kapelusz z powrotem

na głowę.

- Jedziemy.

- Są daleko za nami?

Obejrzał się na nią zmrużonymi oczyma.

- O miło, może mniej.

- Jestem zmęczona - poskarżyła się. - Może powinniśmy rozbić obóz.

Parsknął śmiechem. Ostry, niespodziewany dźwięk rozniósł się echem po pustkowiu.

- Sprytnie zagranie.

Widząc, jak się do niej odwraca, Lainie poczuła gwałtowny ucisk w żołądku.

- Proszę, nie...

- Trzymaj się - rzucił z uśmiechem.

Pochyliła się szybko do przodu i chwyciła łęku akurat w momencie, kiedy mocno smagnął jej konia po zadzie.

Killian zapadł się głęboko w siodło. Wyczerpanie dawało o sobie znać, zaokrągliło mu ramiona, ale wciąż zdążał naprzód, nie zwalniając tempa. Kapitan szedł przodem; wielkie kopyta z chlupotem rozgarniały wodę leniwego strumienia, który dawno temu wyłobził ten kanion w potężnym płaskowyżu.

Killian zamknął oczy, wsłuchując się w dźwięki nocy. Chlup, chlup, chlup, chlup. Próbował usłyszeć odległy tętent dwunastu galopujących koni, ale mu się nie udawało.

Może zgubili pościg? Jedyne najlepsi indiańscy tropiciele umieli wykryć ślady kopyt w płynącej wodzie, a przecież jechali tym ciemnym kanionem od dobrych paru godzin.

Nie wierzył jednak, by udało im się wymknąć pogoni, zwłaszcza jeśli na jej czele jechał Joe Martin. Killian od dawna kierował się instynktem i nauczył się wierzyć przeczuciom. A w tej chwili mówiły mu one, że nie powinien się zatrzymywać.

- To niemożliwe. - Jadąca za nim kobieta westchnęła.

Wiedział, że nie powinien pytać. Niewiele go obchodziło, co ona myśli, a jednak, może z powodu ludzi podążających ich tropem, coś kazało mu się odezwać.

- Co jest niemożliwe?

- Jestem zmęczona.

- To akurat nie jest niemożliwe. Ja sam ledwo żyję.

- Ale ja śpię.

- Tak, jasne.

- Hej! - Jej głos zdradzał ożywienie, jakby nagle coś odkryła. - Może gdyby mi się przyśniło, że zasnęłam, wtedy mogłabym się obudzić.

Killianowi żadna odpowiedź nie chciała przyjść do głowy, więc zachował milczenie.

- Jak sądzisz? Moglibyśmy pójść do łóżka... - Zakaszłała. - To znaczy... może moglibyśmy się przespać.

- Nie.

Nastąpiła długa pauza.

- Pościg zatrzymał się na nocleg w Entrada Pass - powiedziała wreszcie Lainie.

Killian ściągnął wodze i odwrócił się, próbując ją dojrzeć w gęstej ciemności za sobą. Dostrzegł jedynie zarys kobiecej sylwetki na tle jaśniejszego wylotu kanionu.

- Skąd...

Zmora wpadła na zad Kapitana. Wałach parsknął i odskoczył na prawo, przygniatając nogę Killiana do kamiennej ściany.

- Prosiłam, żebyś sygnalizował, zanim się zatrzymasz - przypomniała z wyrzutem.

- Skąd wiesz, gdzie pościg nocuje... to znaczy będzie nocował?

- Ja to napisałam. A zresztą jakie to ma znaczenie? - dodała cicho. - Po prostu wiem.

Nie mógł zaprzeczyć. Wiedziała tak wiele rzeczy, których nie mogła wiedzieć, że jedna więcej istotnie nie miała znaczenia. A tym razem... Do diabła, chciał jej wierzyć.

- Entrada Pass, powiadasz?
- Owszem. Jest tam niewielki strumień i rosną topole...
- Wiem, jak wygląda ta przełęcz. Dobrze, dojedziemy do jaskiń i tam rozbijemy obóz.
- Dzięki ci, Boże - westchnęła resztką sił. Mimowolnie umiechnął się do siebie.
- Bardzo proszę.

Wbrew sobie Lainie parsknęła śmiechem. Bez wątpienia był to skutek braku pożywienia i wody. Najwidoczniej mózg odmawiał jej posłuszeństwa, skoro uznała, że jej towarzysz jest zabawny.

Wyteżając wzrok, odszukała wysoką, barczystą sylwetkę jeźdźca na tle lawendowego nieba, prześwitującego między skałami.

Przez następną godzinę jechali w milczeniu, pokonując kolejne ścieżki i strumienie. I chociaż była śmiertelnie wyczerpana, nie mogła zamknąć oczu.

Sceneria była niesamowita. W jednej chwili tonęli w lodowatej ciemności, by zaraz potem skąpać się w magicznym blasku księżycowej poświaty. Rzeczywistość znacznie przerosła wyobrażenia Lainie. Sporo czytała o skalnych formacjach Południowego Zachodu, od Monument Valley, przez Arches po Canyon de Chelly. Starła się zebrać jak najwięcej informacji o tych terenach, kiedy tworzyła opisy krajobrazów do swej powieści i wymyślała fikcyjną kryjówkę - tunel.

Oglądała fotografie, miała ich przed oczyma dosłownie tysiące. Widziała kolory, skalne załomy, kaniony... ale nie zdawała sobie sprawy z majestatu tej krainy. Wszystko było bogatsze, niż się spodziewała, większe, wyższe, bardziej czerwone, gorętsze, zimniejsze. Niebo rozciągało się w nieskończoność, kamienne ściany sięgały samego nieba. To było miejsce godne największego pisarza, miejsce, które koniecznie należało zobaczyć na własne oczy.

W końcu wydostali się z ciągu kanionów i wjechali do olbrzymiej nieckowatej doliny. Lainie z zapartym tchem chłoneła widok, rozpościerający się przed nią w świetle księżyca. Nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego. Potężne gładkie skały o barwie dymu miały w sobie jakąś groźną wyniosłość; panująca wokół martwa cisza przytłaczała.

- O Boże - szepnęła, nagle zziębnięta.
 - Dawni mieszkańcy tych terenów nazywali to Doliną Śmierci - powiedział cicho Killian.
 - Urocze. Wybrałeś Dolinę Śmierci na miejsce naszego obozowiska.
- Zsiadł z konia, odwrócił się i wyciągnął do niej rękę.

Spojrzała na niego z góry, zaskoczona tym gestem. Stał przed nią z uniesioną głową, z twarzą na wpół ukrytą w mroku, na wpół oświetloną światłem księżyca. Przerzuciła wodze przez koński kark, po czym niepewnie położyła zimną obolałą rękę na dłoni Killiana. Szorstka, nagrzana skóra jego rękawiczek przyłgnęła do jej palców, dając oparcie w ciemności.

Podniosła się w siodle, przerzucając prawą nogę ponad rozłożystym zadem konia. Lewa noga, nie wytrzymawszy podwójnego ciężaru, zadrzała i wysliznęła się ze strzemienia. Lainie z okrzykiem przerażenia runęła na ziemię.

A on miał czelność wybuchnąć śmiechem. Niezdarnie pozbierała się na nogi i otrzepała dżinsy z kurzu.

- To nie było śmieszne - syknęła, piorunując go wzrokiem.
- Owszem, było - oznajmił szczerze ubawiony.

Lainie spróbowała sobie wyobrazić, jak mogła wyglądać, kiedy krzycząc i wymachując rękami spadała z konia. I po namyśle musiała przyznać, że jednak było to trochę śmieszne. Pewnie sama by się uśmiechnęła, gdyby nie była tak strasznie zmęczona. Powoli, zdrewniałymi palcami, trzymając się za obolałe pośladki, odsunęła się od konia. Resztki świadomości podpowiadały jej, że powinna najpierw uwiązać swojego wierzchowca... co zawsze kazała robić swoim książkowym bohaterom. Ale właściwie było jej wszystko jedno. Gdyby nieszczęsne zwierzę miało ochotę uciec do Teksasu, tylko by mu pomachała na pożegnanie.

Chwiejnym krokiem ruszyła przed siebie. Natrafiła stopą na dziurę w ziemi i skrzyła sobie kostkę. Ból przeszywający nogę dosłownie odebrał jej oddech.

- Cholera! - zaklął Killian. Słyszała w jego głosie zniecierpliwienie, ale nie była w stanie się nim przejąć. Podszedł do niej, podniósł ją i zarzucił sobie na ramię. Zrobił to tak szybko i niespodziewanie, że aż zakręciło jej się w głowie.

Miała świadomość, że powinna kopać, krzyczeć i wydrapać mu oczy... bo tak zwykle zachowywały się bohaterki jej książek w podobnych sytuacjach, ale wydała z siebie jedynie słabe westchnienie. Nie mogła krzyczeć ani kopać. Ani też nie miała na to ochoty.

Cała energia z niej wyparowała, czuła się słaba niczym nowo narodzone kocię. Zarzuciła Killianowi ręce na szyję i oparła głowę na jego piersi. Oczy same jej się zamknęły.

Łagodnie falowanie jego torsu w rytm oddechu działało usypiająco. Zmarszczyła czoło. W tym, co się z nią działo, było coś dziwnie, smutno znajomego, jak gdyby już kiedyś, dawno temu, niósł ją w taki sposób. Wszystko w nim było znajome: zapach sztywnego od kurzu ubrania, miękkość włosów, muskających ją w policzek, lekko kołyszący rytm kroków.

Już to kiedyś robili, oni dwoje...

Uświadomiwszy sobie własną głupotę, parsknęła zmęczonym, cichym śmiechem. Znowu miała urojenia. Oczywiście, że w Killianie było coś dobrze jej znanego. Przecież sama go stworzyła, na litość boską. Zatem musiała wszystko o nim wiedzieć.

Posadził ją na występie skały przy strumieniu. Bulgotanie wody dawało namiastkę normalności pośród obcej, niegościnniej pustyni.

- Umiesz rozpalić ogień? - zapytał.

Podniosła na niego wzrok. Dostrzegła jedynie ciemną sylwetkę bez twarzy na tle rozjaśnionego księżycem nieba.

- Jeśli masz zapalniczkę.

Jak zwykle nie wiedział, co ma o niej myśleć. W końcu odwrócił głowę bez słowa. Pogrzebawszy w przepastnych kieszeniach płaszcz, wyjął coś i rzucił jej do stóp. Metalowy przedmiot uderzył o ziemię z cichym brzękiem.

Patrząc na blaszane pudełko, Lainie doznała zupełnie niedorzecznego uczucia ulgi. Rozpoznała egzemplarz figurujący w katalogu sprzedaży wysyłkowej Montgomery'ego Warda z roku 1895 - kieszonkowe pudełko zapalek.

- A co powiesz na to? - spytał, z trudem panując nad irytacją. - Umiesz rozpalić ogień przy użyciu zapalek?

Sięgnąwszy po pudełko, zacisnęła obolałe palce na chłodnym gładkim metalu, po czym spróbowała wstać.

Poczuła się tak, jakby ktoś z całej siły kopnął ją w krocze. Głośno wciągnęła powietrze, z bólu zgięta w pół, i przechyliła się, jakby miała upaść.

Killian natychmiast znalazł się przy niej i podtrzymał ją obejmując za ramiona.

- Wszystko w porządku? - spytał. Nie było go widać w ciemności, a jego głos, jakby oddzielony od ciała, brzmiał dziwnie donośnie.

- Czyżbym się przed chwilą urodziła? Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

- Nie.

- No to zdecydowanie coś jest ze mną nie w porządku. Czuję się okropnie.

- Nie jesteś przyzwyczajona do jazdy na koniu?

- Urwałaś się z choinki? Nie. Nie jestem przyzwyczajona do jazdy na koniu.

Pochylił się nad nią, obejmując ją mocniej.

- Z początku trochę boli - szepnął niskim, miękkim głosem, ze śladem szkockiego akcentu, który niespodziewanie wzbudził w Lainie pewne ożywienie.

Kiedy już trzymała się na nogach, odsunął się od niej, pozostawiając ją z poczuciem chłodu i osamotnienia, jeszcze bardziej dojmującego niż wcześniej.

- Rozpał ognisko. Ja znajdę coś do jedzenia.

Patrzyła, jak barczysta sylwetka bezszelestnie przemieszcza się w mroku, kiedy przygotowywał konie do nocnego popasu.

Lainie, kuśtykając, zajęła się zbieraniem patyków i zeschniętych korzeni. Następnie ułożyła je w stos, według najlepszych harcerskich wzorów, i podpaliła. Prawie natychmiast w niebo uniosły się spiralnie strużki dymu. Była z siebie dumna, jakby właśnie zdobyła nagrodę Pulitzera.

- Udało mi się!

Zerknął w jej stronę i mimo ciemności dostrzegła na jego twarzy wyraz zaskoczenia.

- Dobrze, dobrze - mruknęła zażenowana. - Wiem, że to żadna filozofia, ale jak na kobietę z miasta i tak chyba nieźle. Ostatecznie od lat używałam wyłącznie gotowej podpałki.

- Chyba nie powinniśmy rozmawiać - odezwał się Killian po dłuższej przerwie. Cisnął na ziemię przy ognisku swoje zwinięte w rulon poślanie. Tobołek wylądował z głuchym klapnięciem, wzbijając tuman kurzu, i potoczył się na bok.

Lainie poczuła coś w rodzaju tęsknoty. Wpatrywała się w śpiwór, wyobrażając sobie, że otula ciepłem jej obolałe ciało. Oczyma duszy widziała, jak się w nim wygodnie mości, zapada w sen, budzi się...

Rzeczywistość spadła na nią niczym brutalny cios. Uświadomiła sobie bowiem, na co patrzy.., i czego nie widzi.

- Jest tylko jedno posłanie - powiedziała. Wzruszył ramionami.

- Zawsze mi wystarczało.

Jeden śpiwór, dwa ciała. Świetnie. Pokręciła głową.

- Ja to mam szczęście. Sen robi się całkiem ciekawy i seksowny, akurat kiedy się czuję, jakby mnie rozjechała ciężarówka.

- Nic nie robi się ciekawe i seksowne.

Lainie zaśmiała się gorzko, słysząc jego odpowiedź. Kolejna porażka. Nawet w snach mężczyźni nie uznawali jej za pociągającą.

- Nie bój się tak, Killian. Nie zamierzam cię zgwałcić.

- Wcale się tego nie spodziewałem.

- Dżentelmen zaoferowałby swój śpiwór damie. Tym razem on wybuchnął śmiechem.

- Nie ma w tym nic śmiesznego - obruszyła się.

- Możemy się podzielić.

- Tak, jasne - mruknęła z ironią. Nie miała ochoty kłaść się razem z tym typem. Chciała się położyć i zasnąć głębokim, kamiennym snem. Snem, z którego mogłaby się obudzić.

Rozwiązał rzemienie śpiwora i rozciągnął go na zimnej, nierównej ziemi.

Lainie wytrzeszczyła oczy. Miała kłopoty z zasypianiem na swoim komfortowym, miękkim materacu. Spanie na czymś takim wydawało jej się niepodobieństwem.

- To już wszystko? - zdziwiła się, nie kryjąc rozczarowania. - Śpiwór na gołej ziemi? A gdzie masz namiot?

- Namiot rozbijam tylko wtedy, kiedy pada. A teraz... -Przejechał dłonią po posłaniu. - Wolisz górę czy spód?

Zignorowała tę niestosowną próbę żartu i jeszcze raz spojrzała na prymitywne legowisko. Nie miała wielkiego wyboru. Pozostawało jej albo go zabić, albo skorzystać z propozycji i ułożyć się razem z nim.

Zastanowiła się, jak mogłaby go zabić.

Nie mogła przecież z nim spać. Nie mogła spać z nikim, nigdy tego nie umiała. To był jeden ze skutków ubocznych życia w samotności. Owszem, uprawiała seks z mężczyznami... i to wieloma, choć dla większości z nich określenie „mężczyzna” było chybionym komplementem. Ale z nimi nie sypiała.

Myśl o dzieleniu posłania z Killianem wprawiała ją w ciężkie zakłopotanie. Zagryzła dolną wargę, popatrując raz na wąski śpiwór, raz na jego postawnego właściciela.

- Nie zabawię tu długo... - mruknęła bardziej do siebie niż do niego, próbując się pogodzić z niedogodną sytuacją. Nie pomogło.

Ustawił na ogniu poczerniały w środku garnek, po czym wrzucił do niego fasolę z puszki.

- Co masz na myśli? Ściągnęła brwi w wyrazie namysłu.

- Jak już zasnę, to się obudzę.

- Aha.

Ta myśl dodała jej ducha, wbudziła nadzieję. Jeśli uda jej się zasnąć, to wreszcie się obudzi. I cały ten koszmar się skończy.

- I znajdę się z powrotem w moim łóżku w Bainbridge. - Spojrzała na niego. - Bez urazy, ale zaczynam być już tobą zmęczona. Chcę wrócić do domu.

Przyjrzał jej się uważnie spod na wpół opuszczonych powiek.

- Nigdzie nie wrócisz, dopóki się nie rozmówimy...

- Lainie - podsunęła.

- Co?

- Nazywam się Alaina Constanza. Dla znajomych Lainie.

- Wszystko jedno. Chodzi o to, że musisz wyjaśnić pewne rzeczy, ale jestem za bardzo zmęczony i głodny, żeby się teraz z tobą użerać.

- No i dobrze - stwierdziła obojętnie. - I tak byś mi nie uwierzył.

- Lepiej dla ciebie, żebym jednak uwierzył.

Lainie poczuła dreszcz strachu wzdłuż kręgosłupa. Skrzyżowawszy ramiona na piersi, odwróciła wzrok, bo jakoś nie mogła znieść groźnego wyrazu jego ciemnych oczu. Był dokładnie taki, jakiego go wymyśliła - twardy, nieugięty, samolubny i okrutny.

Patrząc na zasnutą mrokiem, niegościnną dolinę, poczuła się jeszcze mniejsza i bardziej samotna. Miała nadzieję, że sen dobiegnie końca przed rozpoczęciem tego przesłuchania.

Boże, ależ było ciemno. Ciemno jak w grobie.

Lainie stała na skraju przygasającego ogniska. Sterta gałęzi wypaliła się, pozostawiając jedynie garść tłącego się czerwono żaru. W zimnym nocnym powietrzu unosiły się jeszcze resztki zapachu kolacji - pieczonej fasoli i kawy - dając namiastkę domowej przytulności, która wydawała się niemożliwa na tym pustynnym odludziu.

- Będziesz tam stała przez całą noc?

Lainie nawet nie drgnęła. Zadał jej to samo pytanie parę minut wcześniej. Wtedy również nie odpowiedziała. Właściwie nie potrafiła określić, co jest nie tak, ale bez wątpienia coś było nie w porządku. Była zalękniona, jakby coś się czaiło tam, w bezkresnej ciemności, czekało, żeby zamknęła oczy.

- To szaleństwo - powiedziała do siebie, starając się, żeby zabrzmiało to mocno i zdecydowanie. Niestety, nie zabrzmiało, nawet w jej własnych uszach. Przeciwnie, jej głos, bezradny i słaby, rozplynał się w wielkiej pustce.

- To ty jesteś szalona - odezwał się Killian, przyklękając obok ogniska.

Uważała, żeby nie napotkać jego wzroku. Nie chciała na niego patrzeć w tej chwili, nie chciała ujrzeć własnych lęków odbitych w jego brązowych oczach. Chciała po prostu być sama. Pragnęła udać się w jakieś odosobnione miejsce z wielkim łóżkiem i zasnąć.

Zasnąć spokojnym snem bez koszmarów, jakiego nigdy w życiu nie zaznała.

Bardzo tego potrzebowała. Ta potrzeba była tak silna, że aż ją przerażała. Obejmując się ciasno ramionami, odwróciła się od ognia.

Musiała jedynie wśliznąć się do śpiwora i zasnąć. Wydawało się to takie proste. Do licha, nie mogło być nic łatwiejszego.

Ale nie czuła się na siłach tego zrobić.

Potrząsnęła głową.

- Głupia, głupia, głupia.

- Co do tego akurat nikt by nie zaprzeczył.

Nie zwracając uwagi na swego towarzysza, Lainie dreptała tam i z powrotem. Zaczynał ją naprawdę irytować. Zamierzała, kiedy się wreszcie obudzi, dokonać solidnej przeróbki jego postaci.

Ostry, dobrze znany zapach papierosowego dymu doleciał do niej z podmuchem wiatru. Przez sekundę zdawało jej się, że znów jest w domu i czeka na Kelly...

Odwróciła się wolno. Killian siedział przy ognisku, ze skrzyżowanymi nogami, z odkrytą głową. Światło księżycy ślizgało się po jego długich włosach, nadając im połysk czystego srebra. Słabo widoczna w mroku twarz była jedynie rzeźbą wypukłości i cieni, a papieros, który trzymał w ustach, wyglądał jak zawieszony w ciemności czerwony okruch żaru.

Papieros. Dzięki Bogu. Podeszła do ogniska na tyle blisko, że poczuła ciepło płomieni na łydkach.

- Czy... mogłabym dostać jednego?

Poderwał głowę, wyraźnie zaskoczony. Jedna z kruczych brwi uniosła się kpiąco.

- Damy nie palą.

Próbowała się zdobyć na uśmiech.

- Nigdy nie miałam w sobie zadatków na damę. A palić zaczęłam w wieku jedenastu lat.

- Jedenastu? - Tym razem ona była zaskoczona miękkością w jego głosie. - To dość wcześnie.

Parsknęła gorzkim śmiechem.

- Można tak powiedzieć.

- Twoja rodzina nie miała nic przeciwko temu?

- Nic nie mówiła. - To stwierdzenie, ani prawdziwe, ani nieprawdziwe, dziwnie zabolowało. Uciekła wzrokiem, rozciągając usta w wymuszonym uśmiechu.

Killian sięgnął do kieszeni po tytoń i bibułki. Powoli, nie spuszczać z niej oczu, zwinął papierosa i podał jej, sięgając ponad ogniskiem.

Ujęła papierosa drżącymi palcami, zapaliła i zaciągnęła się głęboko. Brak filtra sprawił, że dym podrażnił jej gardło i płuca, przypominając zarazem, jak rzadko ostatnio paliła. Mimo wszystko, po pierwszym wrażeniu, papieros smakował nadzwyczajnie.

Killian przyglądał jej się uważnie. Wypuścił kłęb dymu, który rozsunął się w powietrzu, na moment przesłaniając mu twarz.

- Dziwna z ciebie kobieta.

Lainie uklękła przy ognisku, przyjmując na siebie fale ciepła bijącego od resztek żaru.

- Już mi to mówiono.

- Jutro dotrzemy do tunelu. - Podciągnął jedno kolano i wsparł na nim łokieć. - Wtedy porozmawiamy.

- Jutro już mnie tu nie będzie.

- Aha. - Zaciągnął się po raz ostatni, po czym wrzucił niedopałek do ognia. Następnie wyciągnąwszy się na posłaniu, dodał: - Kładź się spać.

Zanosząc się kaszlem, także cisnęła niedopałek do ogniska i spróbowała wstać. Nogi miała jak z waty, w uszach słyszała szaleńczo przyspieszone walenie serca. Co się z nią, u diabła, działo?

Wszystko, czego pragnęła i potrzebowała, leżało przed nią, czekało na nią. Wystarczyło, by weszła do tego śpiwora i zasnęła, żeby ten koszmarny sen wreszcie się skończył.

Wyprostowała się z trudem i na sztywnych nogach obeszła ognisko. Stała przy legowisku i spojrzała na Killiana z góry.

Leżał z rękami podłożonymi pod głowę, z włosami w nieładzie i choć zapewne nie zdawał sobie z tego sprawy, wyglądał niesamowicie pociągająco.

- Gotowa do snu? - spytał z uśmiechem.

Zamrugnęła, zdjęta nagłym strachem. To nie jego się bała. Taki strach mogłaby ostatecznie zrozumieć. Chodziło o coś innego, czego nie potrafiła wskazać ani nazwać, coś nieuchwytnego.

- Posuń się.

Przemieścił się odrobinę, prawie niezauważalnie, na prawo.

- Bardzo zabawne - zachnęła się zniecierpliwiona. Wzruszył ramionami.

- Nie ma tu więcej miejsca.

Lainie ściągnęła buty... i natychmiast do niej dotarło, że nie włoży ich ponownie na opuchnięte stopy bez pomocy odpowiedniego sprzętu. Z wymuszonym uśmiechem podeszła do Killiana i wśliznęła się do wąskiego, wyściełanego baraním kozuchem śpiwora.

Leżeli obok siebie bez ruchu. Czuli jego obecność, ciepło bijące od męskiego ciała. Jego oddech, powolny i rytmiczny, był jedynym, ledwie słyszalnym, odgłosem życia w panującej wokół ciszy.

Patrzyła w usiane gwiazdami, aksamitne niebo. Przytłaczało ją swym bezkresnym ogromem. Choć leżała niemal przyklejona do Killiana, czuła się bardzo samotna. Niebo napierało na nią z góry, mrok nocy otaczał, jakby zamykał ją w kokonie. Zacisnęła mocno powieki.

Pozwól mi wrócić, Boże. Proszę, pozwól mi wrócić...

Wiatr wyśmiewał jej rozpaczliwą modlitwę.

Prawda spadła na nią jak cios wymierzony prosto w serce. Zrozumiała, czego się tak boi, co sprawia, że strach ściska ją za gardło.

Nigdy dobrze nie sypiała, a już zupełnie nie potrafiła zasypiać na komendę. Od dziecka cierpiała na bezsenność. Pracowała i pracowała, by w końcu z wyczerpania zapaść w odrętwienie podobne do śpiączki. Bo inaczej pojawiały się koszmary, wkradały się do jej uspiętego umysłu i wciągały do straszego świata zamętu, cieni i zła.

Zrozumiała, że tej nocy także nie zaśnie. Uświadomiła to sobie z mrozącą krew w żyłach pewnością. Ta noc miała być taka sama jak wszystkie inne noce w jej życiu, kiedy leżała w łóżku z szeroko otwartymi, piekącymi oczyma, z myślami zbitymi w kłębek beznadziei i rozpacz.

Nie była w stanie zasnąć. A więc nie mogło nastąpić przebudzenie.

A potrzebowała jednego i drugiego. Potrzebowała kojącego, przywracającego siły snu i musiała się wyzwolić z koszmaru. Słodki Jezu, jakże bardzo tego potrzebowała...

Podciągnęła śpiwór pod samą brodę i ułożyła głowę na zimnej ziemi. Patrząc na roje gwiazd, pomyślała o swojej sypialni, przytulnej i ciepłej.

I po raz pierwszy, odkąd zaczął się ten koszmar, zapłakała.

Killian obudził się gwałtownie.

Z napięciem zaczął się wsłuchiwać w odgłosy pustyni. Z tyłu niewielki strumyk bulgotał cichą prościutką melodię, przeskakując przez kamienie i gałęzie stojące mu na drodze. Zimny szczypiący wiatr poświstywał w konarach topoli, szeleścił listowiem. Z oddali dobiegł płaczliwy krzyk jastrzębia; cień ptaka przesunął się po nagiej rdzawobrunatnej skale. Wszystko wokół było takie, jak powinno, ciche i spokojne.

Nagle przypomniał sobie o kobiecie. Czuł ją obok siebie, czuł ciepło promieniujące od jej nogi, dotyk szczupłego ramienia na swoim ramieniu.

Jakieś wspomnienie przedarło się do jego umysłu, słabe jak westchnienie, jak szept. Zmarszczył czoło. Płakała. Czuł to, kiedy się koło niego położyła. Drobne ramiona drżały przy każdym wciąganiu oddechu. Płakała inaczej niż wszystkie znane mu kobiety, bez histerycznych szlochów, łkania podobnego do czkawki. Jedynie bezgłośnie łzy, tym bardziej żalosne, że wylewane w całkowitej ciszy. W pewnej chwili przyłapał się na tym, że ma ochotę się do niej odwrócić i coś powiedzieć.

To wspomnienie wprawiło go w irytację.

Leżała obok niego nieruchoma jak głaz, lecz oddech miała przyśpieszony i nierówny. To nie był odgłos snu.

Spojrzał na nią niepewnie.

Właściwie nie wiedział, czego się spodziewał, ale na pewno nie tego, co zobaczył. Leżała sztywno wyprostowana, z rękami skrzyżowanymi na piersi, zimna niczym trup. Jej otwarte oczy miały martwy wyraz; w pobladłej twarzy wydawały się ciemnozielone. Wyglądała, jakby nie spała przez całe życie.

- Nie spałaś - powiedział, dziwiąc się w duchu, skąd to wie i dlaczego w ogóle się odzywa.

- Nie. - W tym krótkim słowie mieścił się niewyobrażalny ogrom bólu.

Killian nie wiedział, co powiedzieć. Sprawiała wrażenie takiej... bezbronnej i pokonanej.

Powoli odwróciła głowę i spojrzała na niego.

Cierpienie i rozpacz wyzierające z jej oczu ścisnęły go za gardło. Nagle przyszła mu do głowy myśl, zupełnie szalona, że już kiedyś tak na niego patrzyła. Poczul się... oszołomiony. Ten moment miał w sobie coś niedorzecznie znajomego.

Zagryzła dolną wargę, ale było już za późno. Zdażył dostrzec, że usta jej drżą niebezpiecznie.

- Jestem w śpiączce - powiedziała cicho. - To jedyne wytłumaczenie. Miałam wiele godzin, żeby się nad tym za stanowić, i to jedyna sensowna odpowiedź. Leżę gdzieś w szpitalnym łóżku, z igłami sterzącymi z żył na rękach. Może jestem na demerolu. - Popatrzyła na niego z boleśnie ściągniętą twarzą. - Chcę się obudzić, natychmiast.

Miał ochotę ją spytać, kto to jest Demerol, ale w ostatniej chwili zdołał się powstrzymać.

To nie miało znaczenia. Demerol mógł być jej mężem, nieważne. Całe to szaleństwo było nieważne. Liczyło się tylko jedno - żeby doprowadzić ją do tunelu i dowiedzieć się, skąd, u diabła, wiedziała tyle o nim i o jego ludziach.

- Nie słuchasz mnie. - Jej głos przybrał nieco ostrzejsze brzmienie. - Powiedziałam, że muszę się natychmiast obudzić.

- Przecież już się obudziłaś - zdziwił się.

- Jasne. Mogłam się spodziewać, że tak powiesz. Nic innego nie potrafisz.

Kolejne stwierdzenie, na które trudno znaleźć sensowną odpowiedź. Dzięki Bogu. Im więcej mówiła, tym mniej go obchodziła bezbronność widoczna w jej oczach.

Wysunął się ze śpiwora i sięgnął po buty, szybko sprawdzając, •(czy nie ma w nich węży. Następnie wsunął stopy w zniszczone, popękane cholewki i wstał.

- Zbierz trochę patyków na ognisko, a ja nastawię kawę. Uśmiechając się kwaśno, usiadła na posłaniu. - Domyślam się, że nie mamy już neski z chudym mlekiem.

- Co? Westchnęła, potrząsając głową.
- Muszę solidniej popracować nad twoimi kwestiami. Zmrużył oczy.
- Czy to jakaś obelga?

- To zależy od twojego punktu widzenia. - Znów westchnęła. - Do diabła, nie czuję się na siłach walczyć z własną wyobraźnią. Chętnie napiję się kawy. A co będzie do jedzenia?

- Fasola.

- Jeden z moich ulubionych zestawów śniadaniowych. - Wyrzebała się z legowiska i zaczęła zwijać śpiwór.

Killian obserwował ją z ukosa. Włosy wcześniej sztywno sterczące, teraz opadały jej falą na policzek. Kolczyki, których miała co najmniej po trzy w każdym uchu, błyszczały w świetle wczesnego poranka. Miała wyrazisty profil, jasnokremową cerę i usta o smutnym wyrazie, z leciutko opadającymi kącikami. Zastanawiał się, jak wyglądało jej życie. Bo była stanowczo za młoda, żeby wyglądać tak smutno.

Oderwał wzrok od kobiety, zżymając się w duchu na własną głupotę. Chyba tracił rozum. Co go, u licha, mogło obchodzić, dlaczego jest smutna? Przecież nic dla niego nie znaczyła.

Skończyła zawiązywać rzemienne troki śpiwora i przykucnięta na piętach przejechała dłonią po włosach. Krótkie czarne kędziory natychmiast opadły z powrotem na miejsce, zakrywając jej jedno oko.

- Potrzebuję trochę żelu.

Nie zwracał na nią uwagi. Przynajmniej próbował.

- Aha.

- I excedrin. Od tego demerolu boli mnie głowa. - Patrzyła na niego, najwyraźniej oczekując odzewu. Straciwszy nadzieję, że się doczeka, westchnęła dramatycznie.

Pokręcił głową zupełnie ogłupiały.

- Skąd ty, u diabła, jesteś, kobieto?

Zaśmiała się tylko, nawet na niego nie patrząc.

- Pościg wyruszył przed świtem. Chcą nadrobić drogi i cię dopaść.

Wpatrywał się w nią, czując, jak krew odpływa mu z twarzy. O czym on, na litość Boską, myślał?!

Wydał z siebie gniewne mruknięcie. W tym cały problem. W ogóle nie myślał. Patrzył w te jej cholerne oczy i zastanawiał się, dlaczego jest smutna. Zastanawiał się, kto pozwala palić dziecku w wieku jedenastu lat.

Przeklinał się za głupotę. Nie przyszło mu do głowy, żeby się zastanowić, skąd ona wie o pościgu. Dał się zbałamucić smutnym oczom tej kobiety do tego stopnia, że nawet jej nie wypytał.

Alejak tylko dojadą do kryjówki, naprawi swoje zaniedbanie. Przyprze ją do ściany, a nawet może ją związać, jeśli zajdzie potrzeba. Jakoś się dowie, kim ona, u diabła, jest i skąd się wzięła w banku.

- Wstawaj - rozkazał ostro.

- Nie obwiniaj mnie - rzuciła oburzona. - To nie moja wina, że cię gonią.

Odwrócił się do niej gwałtownie.

- Właśnie że twoja! - wybuchnął. W chwili gdy wypowiadał te słowa, już wiedział, że są prawdziwe. - W jakiś sposób to ty jesteś winna.

Wzruszyła ramionami i rzuciła mu śpiwór.

- W pewnym sensie, oczywiście, masz rację. Wszystko w tym śnie dzieje się z mojej winy. Ale ty jesteś bandytą.

Zdeptał ogień, upewniając się, że całkowicie wygasł, po czym osiodłał dwa konie. Dał jej dokładnie dwie minuty na udanie się za krzaki, a zaraz potem chwycił ją w pasie i pociągnął w stronę koni.

Naturalnie kopała i krzyczała.

- Puść mnie, do cholery! Potrzebuję szczotki do zębów. Bezceremonialnie wrzucił ją na siodło.

- Mam ci związać ręce?

- Nie. - Niemal wypluła to słowo.

- Czy pościg mnie dzisiaj złapie? - spytał.

Posłała mu uśmiech, tak złośliwy, że miał ochotę ją uderzyć.

- Teraz mi wierzysz? Ścisnął ją mocno za ramię.

- Czy ten cholerny pościg mnie dziś dogoni?

- Owszem. W Krwawym Wąwozie.

Skrzywił się, nieprzyjemnie zmrożony jej uśmiechem. Krwawy Wąwóz był głębokim kanionem -

doskonałym miejscem, żeby zapędzić zbiega w ślepy zaułek i zabić go jak wściekłego psa. Już miał się odwrócić, gdy zaskoczył go wyraz twarzy kobiety.

- Czemu szczerzysz zęby?

- Umrzesz tam. Powoli, strasznie, sikając krwią z kilku malowniczych dziur po kulach. - Cmokając, pokręciła głową. - To jedna z lepszych scen, jakie napisałam.

- Kobieto, jeśli ja zginę, ty zginiesz razem ze mną.

- Och, nie wydaje mi się. To mój sen i zostanę uratowana przez Joego Martina - powiedziała z rozmarzeniem. - Możesz mi wierzyć, że jest we mnie zakochany do szaleństwa.

Odwrócił się do niej plecami i ruszył w stronę swojego wierzchowca. Wskoczywszy na siodło, smagnął po zadach Kapitana i Zmorę. Oba nieosiodłane konie pokłusowały za karym.

- Cholera... - Wykrzywniona w grymasie przerażenia Lainie uczepliła się kurczowo końskiej grzywy.

Killian za złośliwą satysfakcją uderzył piętami w boki karego. Ogier natychmiast przeszedł w ostry galop, deresz również przyśpieszył, żeby dotrzymać mu kroku, a Kapitan i Zmora trzymały się tuż za nimi. Pędzili po wyboistym, nierównym terenie, wspinali na wzgórze, zjeżdżali z nich, przemierzali kręte kaniony.

Jednak mimo szybkiego posuwania się naprzód, Killian czuł na plecach oddech pogoni. Kilka razy obejrzał się za siebie wypatrując jakichś znaków, lecz zawsze widział tylko bezkresną złotą pustynię.

Joe Martin deptał mu po piętach, śledził każdy jego ruch, wyczekiwał i obserwował, zbliżał się nieuchronnie.

Po raz pierwszy od piętnastu lat Killian poczuł prawdziwy strach. Coś mu podpowiadało, choć nie potrafiłby tego wyjaśnić, że ta kobieta sprowadzi na niego śmierć.

znajdowali się na wąskiej ścieżce, wyłobionej w pozbawionym drzew zboczu góry. Słońce prażyło niemilosiernie, świecąc Lainie prosto w twarz. Wydała z siebie ciężkie westchnienie, które zabrzmiało dziwnie obco, jakby wcale nie wyszło z jej ust.

- Niech to szlag! - zaklął Killian, gwałtownie ściągając wodze. Kary zatrzymał się niemal w miejscu, podrzucając zadem i przebijając kopytami na samej krawędzi skalnego urwiska. Tysiące drobnych kamiaków z grzechotem osunęło się w przepaść. Biegające z tyłu luzem konie zwolniły, a na stępie także stanęły.

Lainie szarpnęła wodzami, żeby nie wpaść na wielki, na-, krapiany zad Kapitana. Deresz stanął jak wryty, niemal wyrzucając ją z siodła. Twardy skórzany łęk wbił jej się w brzuch. Otworzyła szeroko usta z bólu, z trudem chwytając powietrze.

- Będziemy musieli zawrócić. Cholera! - odezwał się Killian.

Lainie półprzymkniętym uniosła głowę i podążyła za jego ' wzrokiem. Przed nimi znajdował się wąski kanion o wysokich brzegach, który jakby cudem wylaniał się spomiędzy dwóch „ olbrzymich, spiralnie rzeźbionych masywów. Patrzyła prosto przed siebie, więc nie widziała wylotu kanionu - szczelina rozdzielająca podobne do stalagmitów skalne wieże była niewidoczna, dopóki nie stanęło się tuż przed nią.

Łatwo było się domyślić, że mają przed sobą wejście do i znakomitej kryjówki. Tylko że... wstęp do kanionu zagradzał wielki trójkątny blok kamienia.

- Rozumiem, że ten głaz jest świeżym dodatkiem - powiedział głośnie słabym z wyczerpania, sięgając do siodła po manierkę i pijąc łapczywie. Nagrzana słońcem woda o metalicznym smaku ukołysała nieco ból zatkanego kurczem gardła.

Killian także sięgnął po swoją manierkę, żeby się napić.

- Owszem - mruknął, ocierając usta rękawem. - Całkiem nowym.

- I co teraz? - Lainie rozejrzała się. Znajdowali się na gładkiej skalnej półce o szerokości jednego konia. Wąziutka ścieżka ubitej ziemi przylegała z jednej strony do chropowatej kamiennej ściany. Po prawej ziała przepaść, kończąca się doliną wypełnioną skalnym rumowiskiem. Głęboko w dole widać było nitkę brązowej wody, przeciskającej się między kępami zeschniętych zarośli.

Obróciwszy się w siodle, Killian spojrzał na wąską niegościnną ścieżkę, którą właśnie nadjechali.

- Będziemy musieli się wycofać, i to szybko.
- Wycofać się? Szybko? -To nie brzmiało dobrze. Brzmiało fatalnie. - Przecież nie jechaliśmy spacerkiem. - Zerknęła w stronę przepaści i mimowolnie zadrzała. - No i nie ma tu miejsca na żadne galopady.

Przyciągnął do siebie wodze. Kary opuścił łeb i zaczął dreptać do tyłu.

Lainie patrzyła przerażona, jak wolne konie idą jego śladem. Widziała coraz bliżej ich wielkie muskularne zady. Sztynna ze strachu, pokręciła głową.

- Nie ma mowy. Nie pojedę tyłem. Jej koń także opuścił łeb.

- Nie - szepnęła. - Błagam, nie...

Wszystkie cztery konie cofały się; powolne kłapanie kopyt odbijało się echem wśród skał. Lainie siedziała, kurczowo uczepiona lęku, mocno zaciskając oczy. Łomot jej własnego serca zdawał się zagłuszać wszelkie inne odgłosy.

- Lainie!

Krzyk Killiana jeszcze bardziej ją przeraził. Otworzyła oczy i wpatrywała się w niego, dysząc ciężko.

- Musisz skrócić.

Spojrzała na prawo. Świat urywał się tuż obok niej, spływając czerwoną skałą tysiąc stóp w dół.

- O mój Boże...

- Nie wpadaj w panikę... Głośno zaczerpnęła powietrza.

- Nie wpadaj w panikę? Jestem na krawędzi przepaści, a ty mi mówisz, że mam nie wpadać w panikę?

- Uspokój się. Słuchaj, co masz zrobić. Bardzo łagodnie przyciśnij prawą stopę do boku konia, a potem delikatnie ściągnij wodze.

Roztrzęsiona Lainie chciała zrobić to, co jej kazał, ale nie była w stanie nawet oddychać, a co dopiero się poruszyć.

- Nie mogę...

- Ależ tak, możesz. Postaraj się.

Czuła się okropnie głupio, lecz naprawdę nie była w stanie się ruszyć, by spełnić jego polecenie. Też mi bohaterka, pomyślała o sobie z odrazą.

Napotkawszy jego wzrok, znalazła w nim, ku swemu zaskoczeniu, współczucie i zrozumienie. Nie było w nim potępienia, niechęci ani złości. Była troska i coś jeszcze, od czego serce zaczęło jej bić szybciej, a w gardle dziwnie zaschło. On wiedział, co to znaczy się bać. Wiedział też, jak trudno czasami pokonać strach, jak ciężko znaleźć w sobie siłę, by pójść dalej.

- Poradzisz sobie - rzekł miękko.

Wydawało się to zdumiewające, ale uwierzyła w siebie. Powoli zaczęła odwracać głowę, by spojrzeć na prawo.

- Nie patrz.

Natychmiast znów popatrzyła przed siebie.

- To dobra rada - przyznała, zwilżając językiem spieczone usta. - Dobra rada. - Wolno, bojąc się głębiej odetchnąć, zacisnęła obolałe palce na wodzach. Napotkała spojrzenie Killiana i nagle, gdzieś w głębi niego, znalazła siłę, której potrzebowała.

- Napierw użyj stopy.

Skinęła głową, z trudem przełykając ślinę. Następnie, z najwyższą ostrożnością, napała piętą na bok konia. Deresz posłusznie odsunął się od skraju urwiska.

Lainie wydała z siebie zduszony pisk, który miał być śmiechem ulgi. Ponownie przycisnęła stopę do końskiego boku i deresz przesunął się bliżej bezpiecznej kamiennej ściany.

- Dobra robota - mruknął Killian. - Teraz ściągnij wodze.

Lainie pokiwała głową i spełniła polecenie. Koń opuścił łeb i zaczął się cofać. Lewa noga Lainie ocierała się boleśnie o chropowatą skałę, ale po wcześniejszych przeżyciach nie miało to większego znaczenia. Wreszcie wydostali się na niewielki owalny plac, gdzie szlak skręcał w innym kierunku.

- Zatrzymaj się - rzucił ostro Killian.

Lainie przytrzymała konia w miejscu, tuż pod skalną ścianą. Jej towarzysz szybko do niej dołączył. Kiedy na nią popatrzył, ujrzała w jego oczach ten sam zimny strach, jaki ścisnął jej żołądek.

- Dobrze się czujesz?

Zaskoczył ją spokojny ton jego głosu. Nie wiedzieć dlaczego, znów poczuła wzbierający niepokój. Drżącą dłonią odgarnęła z czoła wilgotne włosy.

- Jasne.

- Świetnie się spisałaś - przyznał z uśmiechem. Wpatrywała się w niego, niezdolna odwrócić oczu.

Przez

moment miała wrażenie, że zaraz wyciągnie rękę i jej dotknie. Poczula dziwne łaskotanie na skórze, krew zaczęła jej płynąć szybciej.

- Dzięki - powiedziała prawie szeptem. To krótkie słowo było wszystkim, na co potrafiła się zdobyć.

Nie dotknął jej jednak, tylko patrzył. Nagle zmarszczył czoło i wyraz jego oczu zmienił się całkowicie. Zniknęło współczucie, zrozumienie dla jej lęku, troska. Znowu patrzył na nią z niechęcią. Znowu byli sobie obcy.

Ich milczące porozumienie sprzed chwili rozwiało się bez śladu. Poczula żal, jakby utraciła coś cennego. Powtarzała sobie w duchu, że jest głupia, bo z pewnością zbyt wiele sobie wyobraziła. A jednak nie mogła uwierzyć, że tamta chwila była tylko ułudą. Przez sekundę widziała w tym człowieku coś prawdziwego i ważnego. Coś, czego przez całe życie szukała w sobie i nigdy nie znalazła. Nie miała pojęcia, co to było, i nie wiedziała, czy on także to poczuł.

W końcu oderwał od niej wzrok i zagwizdał. Dziwny, ponagający dźwięk odbił się echem od skał. Konie ruszyły, jeden za drugim, wąską, wijącą się ścieżką.

Tak jak wcześniej, Lainie jechała na końcu.

Powrót do miejsca rozwidlenia szlaków zabrał im prawie dwie godziny. Wjechali na płaski szczyt kamiennego masywu, kiedy słońce zaczęło się wolno staczać ku zachodowi. Wydłużone cienie tańczyły po miedzianej, porośniętej szalwią ziemi, zaczepiając o nieliczne wątle krzewy.

Killian zatrzymał konia i odchylił się w siodle. Odsuwając do tyłu kapelusz, rękawem otarł pot z czoła. Jezu, ależ było gorąco. Sięgnąwszy po manierkę, pociągnął sążnisty łyk.

Lainie podjechała do niego i także się zatrzymała. Zerknął na nią z ukosa i już miał coś powiedzieć, kiedy sobie uświadomił, co ona ma na sobie... a właściwie, czego nie ma. Siedziała głęboko w siodle, z opuszczonymi ramionami, przygarbiona. Ten śmieszny sweter, w który wcześniej była ubrana, miała związany rękawami na biodrach. Pozostały na niej stare, spłowiałe dżinsy i to dziwne, obcisłe wdzianko na piersiach. Skóra powyżej i poniżej miała wściekle czerwony odcień.

- Masz poważny problem, kobieto.

Prychnęła, sięgając po własną manierkę.

- Bez żartów. Powtarzam to, odkąd tylko zaczął się ten głupi sen.

- Te oparzenia będą rano bolały jak cholera.

Przyjrzała się swoim buraczkowym ramionom, po czym, marszcząc nos, powiedziała lekceważąco;

- Uwaga na raka, uwaga na raka.

Gapił się na nią, wyraźnie nie rozumiejąc. Ciągle mu to robiła - zbijając go z tropu swymi niedorzecznymi odpowiedziami.

- Powinnaś się czymś okryć.

- Spociłam się jak prosię. Pokręcił głową z oburzeniem.

- Jezu, kobieto, wyrażasz się jak parobek od krów.

Z szerokim uśmiechem przejechała dłonią po wilgotnych włosach.

- Szkoda, że nie słyszałaś mojej* mamy. Ta to potrafiła kłać jak szewc.

- Nie wątpię, że była uroczą kobietą. A teraz włóż z powrotem ten sweter.

- Najwyraźniej zaszła pomyłka.

Co, u diabła, tym razem miała na myśli?

- Jaka pomyłka?

- Właściwie dwie. Po pierwsze, najwyraźniej wierzysz, że obchodzi mnie to, co mówisz, a po drugie, tylko ci się zdaje, że moja skóra mogła ulec poparzeniu. - Posłała mu pobłażliwy uśmiešek. - Zaufaj mi, nie mogę się poparzyć... bo leżę pijana i nieprzytomna w moim domu w Bainbridge.

Mrużąc oczy, sięgnął do rewolweru i lekko ujął chłodną stal kolby. Już miał się odezwać, kiedy w jego umyśle błysnęło pewne wspomnienie. Przypomniał sobie, jak wyglądała tego popołudnia, wystraszona i bezbronna. Kiedy stali naprzeciw siebie na tamtej skalnej półce, na skraju urwiska, zajrzał jej w oczy i ujrzał w nich coś, co przeraziło go do głębi.

Nie chciał, nie mógł znów poczuć tego samego co wówczas. A najlepszym sposobem, żeby się przed tym uchronić, było zachowanie milczenia i trzymanie tej kobiety na muszce.

- Nie będę się tobą opiekował, kiedy zemdlejesz od uderu słonecznego. Więc lepiej włóż ten sweter.

Przez dłuższą chwilę nie spuszczała z niego wzroku. Jej delikatny podbródek podjechał dumnie w górę.

- Przyjmij do wiadomości, że ten stanik uchodzi za całkiem odpowiedni strój tam, skąd pochodzę. Noszę go na aerobiku.

- Hm. - Zacisnął palce na broni. - Stanik, powiadasz?

- O co ci, do diabła, chodzi?

Nic nie powiedział, tak było lepiej.

Patrzyła na niego jeszcze przez parę sekund, a potem westchnęła z wyraźną urazą.

- Dobrze, włożę ten cholerny sweter, ale będzie mi w nim niewygodnie i będę narzekać.

- Jakoś wcale mnie to nie dziwi.

Rozwiązała rękawy i wciągnęła sweter przez głowę. Miękki czerwony materiał opadł jej fałdami na biodra.

Czarny kawałek materiału, który nazwała stanikiem, nadal był widoczny w głębokim wycięciu na przodzie.

Uśmiechnęła się do swego towarzysza z fałszywą słodyczą, przywiązując manierkę z powrotem na miejsce.

- Lepiej ci, osiłku?

Otworzył usta, ale nie zdążył odpowiedzieć, bo jego uwagę przykuł jakiś dźwięk. Marszcząc czoło, odwrócił się w stronę, z której dobiegał hałas, i w skupieniu nasłuchiwał. Odgłos był niewyraźny i dochodził z daleka, ale Killian rozpoznał go nieomylnie. Aż zadrżał, kiedy zimny dreszcz przebiegł mu po rozgrzanych, spoconych plecach.

- Pościg - stwierdził ponuro.

- Nie ma żartów, Sherlocku. Są całkiem blisko. Miałam zamiar ci to powiedzieć, ale akurat dostałam kota na punkcie mojego swetra.

Gapił się na nią z na wpół otwartymi ustami. Dostał kota?

- Chciałaś coś powiedzieć? - Uśmiechnęła się kpiąco.

Oderwał o niej wzrok i zapatrzył się w dal. Dostrzegł pierwsze smugi kurzu, wznoszące się na horyzoncie. Dobrze znał ten widok, aż za dobrze.

- Konie - mruknął pod nosem. - Około dziesięciu.

- Dokładnie dwanaście. Mam ci podać ich imiona?

Nie odwrócił się do niej. Obawiał się, że jeśli spotkają się wzrokiem, będzie miał ochotę ją uderzyć.

- Nie.

- Prowadzi ich Joe Martin.

- Już to mówiłaś. - Nasunął kapelusz głęboko na czoło. - Musimy się czym prędzej wynosić do El Diabla.

- Ponieważ nie wymyśliłam miejsca o nazwie El Diabło, domyślałam się, że używasz przenośni. Ale mylisz się. Strzelanina nastąpi w Krwawym Wąwozie. - Biorąc jego krzywe spojrzenie za oznakę zainteresowania, mówiła dalej: - Wiem, że to trochę melodramatyczne. Krwawy Wąwóz. Ale nie miałam za wiele czasu na wymyślanie. Tak czy inaczej, sprawdziło się. Zginąłeś w Krwawym Wąwozie... mogę dodać, że w wyjątkowo bolesny sposób.

- Chyba będzie lepiej, jak przestanieś gadać. Skrzywiła się w cierpkim uśmiechu.

- Zabawne... mężczyźni często mi to powtarzają. Zignorował jej wyznanie.

- Mamy przed sobą parę godzin ostrej jazdy. El Diabło jest dobre piętnaście mil stąd.

- Nie jedziemy do El Diabla.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuł się szczerze rozbawiony.

- Owszem, jedziemy. A kiedy już tam będziemy, wystawię cię naprzód.

- Dlaczego? - Jej pełne, kształtne usta ściągnęły się w wyrazie zdumienia.

Przeniósł wzrok z jej twarzy na obszerny sweter.

- To czerwone ubranie będzie niezłym celem. Ściągnęła ze złością brwi.

- Czy to aluzja do mojej wagi? Bo jeśli tak...

Wydał z siebie przeciągły okrzyk, równocześnie mocno kopiąc karego. Ogier parsknął i ruszył z kopyta. Ziemia zatrzęsa się i zadudniła, ponieważ natychmiast reszta koni poszła w jego ślady.

Usłyszał za sobą pisk kobiety. Najwyraźniej przy gwałtownym ruchu konia zaparło jej dech w piersi, ponieważ na moment, na błogosławioną sekundę, zapanowała cisza.

A potem rozbrzmiały soczyste przekleństwa.

Muszę się zatrzymać. Do cholery, muszę się zatrzymać! -Lainie próbowała krzyczeć z całych sił, ale z jej zdrtwiałych spękanych od słońca ust wydobywał się jedynie słaby, gardłowy skrzek. Odchyliła się tak mocno do tyłu, że niemal leżała na końskim zadzie i bezlitośnie szarpała wodzami. Deresz parsknął i rzucał łbem, zwalniając na parę kroków, po czym znów rwał do przodu.

Lainie uderzyła pośladkami o twarde siodło tak mocno, że straciła oddech. Otworzyła usta i rozpaczliwie wciągała suche, gorące powietrze. Killian zatrzymał się gwałtownie. Pozostałe trzy konie przeszły w klus, a potem także stanęły, parskając i dysząc po długim biegu.

Lainie sięgnęła po manierkę. Próbowała rozwiązać rzemienne troki, ale palce miała tak zeszywniałe, że nie była w stanie się nimi posługiwać.

- Jest za cicho. - Killian rozejrzał się po otoczeniu.

Lainie także to zauważyła. Podążyła spojrzeniem za jego wzrokiem. Daleko przed nimi słońce zbliżało się do horyzontu. Wyglądało jak olbrzymia pomarańczowa kula, zawieszona na fioletowym niebie. Po lewej rozciągały się połacie miedzianej ziemi porośniętej zwiędłą szalwią, a po prawej wznosiło się strome zadrzewione wzgórze. Za nimi znajdował się kręty, wąski kanion prowadzący donikąd. Przed sobą mieli wysoką na jakieś sto metrów kamienną ścianę w złote, czerwone i szare prążki. Od dołu wpełzały na nią cienie nadchodzącego zmierzchu.

Rzeczywiście było bardzo cicho. Skóra cierpła...

Lainie zadrzała, obejmując się ciasno ramionami. Przez cały dzień na pustyni towarzyszyły im różne hałasy: tętent kopyt, grzechot drobnych kamyczków, kiedy zjeżdżali po stromych pochyłościach, świst końskich oddechów.

Teraz nie było słychać niczego.

Nagle jakiś dźwięk rozdarł ciszę, odbijając się echem po skałach. Kula przeleciała koło głowy Lainie tak blisko, że niemal musnęła jej włosy. W powietrzu rozniósł się cierpki zapach prochu.

- Chryste! Są bliżej, niż sądziłem. Trzymaj się.

Kary ruszył ostrym galopem.

Lainie pochyliła się do przodu i zdążyła się chwycić łąku w ostatniej chwili. Wszystkie cztery konie, gnając na złamanie karku, pokonały odkrytą przestrzeń i wpadły między drzewa.

Lainie z przerażeniem stwierdziła, że Killian prowadzi ich pod górę. Chciała krzyczeć, ale była w stanie jedynie trzymać się kurczowo, kiedy jej wierzchowiec wspinał się po śliskiej, stromej powierzchni.

Wystające gałęzie chłostały ją po całym ciele, czepiały się ubrania, próbowały wyciągnąć z siodła. Lainie zacisnęła zęby i zamknęła oczy, by chronić je przed pyłem wzbijającym się spod kopyt. Deresz dyszał i parsknął nieustępliwie, rwąc do przodu po śliskim zboczu.

Rozległy się kolejne strzały; kule wbijały się w pnie, rozłupywały konary. Jeden z pocisków zahaczył o rękaw swetra Lainie, rozrywając delikatną dzianinę.

- Killian! - dobiegł ich głośny męski głos.

Lainie poczuła, jak przepelnia ją nieopisana ulga. Nareszcie ten horror miał się skończyć. Wyobrażała sobie ten głos miliony razy. Joe. Lada chwila miała zostać uratowana...

Wydawało jej się, że wspinają się w górę od wielu godzin, gdy nagle konie stanęły. Lainie nie od razu zdała sobie sprawę, że stoją na równym terenie. Trzęsąc się na całym ciele usiadła wygodniej i powoli otworzyła oczy.

Znajdowali się na szczycie wzgórza, stłoczeni na wąskim skalnym występie.

Rozejrzała się, szukając wzrokiem kamiennych ścian i spiralnie uformowanych gładów.

- Gdzie jest wąwóz?

Killian nie odpowiedział, tylko zniemacka objął ją w pasie, ściągnął z siodła i poniósł w stronę niewielkiego skalnego załomu, gdzie zatrzymał się gwałtownie i postawił ją na ziemi. Nim zdążyła syknąć z bólu, pobiegł z powrotem do jej konia.

- Co ty wyprawiasz? - zdziwiła się, patrząc, jak ściąga z deresza siodło i odrzuca je na bok.

Słyszała dobiegające z daleka, stłumione odległością, wzburzone głosy kłócących się mężczyzn. Kupcy i farmerzy, z których składał się oddział pościgowy, nie chcieli ryzykować, bojąc się postrzału. Nie mieli

odwagi, by zaudać się zbliżyć do Killiana. W końcu postanowili się wycofać, wrócić do swoich rodzin, do bezpiecznych domów.

Wszyscy oprócz Joego. On jeden miał ich ścigać dalej. I to samotnie.

Killian wyjął z juków linę, odłamał od pobliskiej sosny wielki skrzywiony konar i owinąwszy jeden koniec liny wokół gałęzi, drugi przywiązał do końskiego ogona. Potem krzyknął, uderzając zwierzę po zadzie.

Deresz pognął przed siebie niczym strzała, zbiegając z kamienistego wzgórza w wielkim obłoku kurzu. Konar włócił się za nim, zaczepiając o drzewa i wzniesając lawiny drobnych kamyków. Brzmiało to tak, jakby tabun koni pędził w dół po zboczu. W powietrzu zagrzmiało od bezładnej strzelaniny.

Killian biegiem wrócił po siodło, przeniósł je na ramieniu i zarzucił na grzbiet Zmory, błyskawicznie, jednym szarpnięciem zaciągając popręg.

- To nam da trochę czasu. Wsiadaj. Lainie jęknęła.

- Nie... błagam... zostaw mnie tutaj.

Nie zważając na jej protesty, chwycił ją mocno i pociągnął w stronę konia. Usiłowała się wyswobodzić, drapiąc, kopiąc i okładając go pięściami.

- Puść mnie! Do cholery, puszczaj! Chcę poczekać na Joego.

Dosłownie wrzucił ją na siodło, podał jej wodze i sam wskoczył na karego. Cmokając cicho, zmusił go do zejścia z wąskiej ścieżki. Ogier na moment zatrzymał się na krawędzi, prychając i uderzając kopytem w grząską ziemię.

- No, dalej, chłopcze - powiedział cicho Killian, oglądając się przez ramię.

W dole za nimi panowała cisza. Strzelanina i męskie głosy ucichły całkowicie.

Nagle kary pochylił się do przodu i zniknął Lainie z oczu.

Aż wstrzymała oddech. Zimny pot spłynął jej po plecach. Czowała, jak zwierzę pod nią dyszy ciężko i drży.

- O, nie...

Zdażyła się jeszcze mocno zaprzeć w strzemionach, gdy Zmora ruszyła w ślad za ogierem.

Konie wpadały na siebie i ślizgały się po piaszczystym, zboczu, kopyta śmigwały w powietrzu, szukając twardego oparcia. Zewsząd otoczył ich dławiący kurz, kłuł w oczy, zatykał nos i usta. Kaszląc i plując, Lainie skupiała całą uwagę na tym, by nie wylecieć z siodła.

Nagle, tak samo gwałtownie, jak się zaczął, szaleńczy zjazd dobiegł końca. Dotarli do płaskiej ziemi po drugiej stronie wzgórza.

Killian zatrzymał się i, odwrócony w siodle, spojrzał tam, skąd przybyli. Wszędzie unosił się kurz, panowała cisza.

Lainie siedziała z opuszczonymi ramionami, czując ból niesamowitej wędrówki w każdym mięśniu.

Miała zamknięte oczy, a jej oddech przypominał serię drżących westchnień.

Przez moment czowała się całkowicie, żałośnie pokonana. Opadła z resztek sił, poddała się czarnej rozpacz. Była załamana, przerażona i samotna.

Ale przecież nie była sama.

Joe miał podążać za nią. Zawsze.

Ta myśl podziiałała na Lainie jak kojący balsam, na nowo rozpałiła w niej iskrę nadziei i odwagi. Joe ją uratuje; była tego pewna. Wystarczyło cierpliwie czekać.

I pozostać w tym miejscu.

Rozprostowała obolałe plecy. Spędziła cały dzień w siodle, natykała się kurzu za wszystkie czasy i do tego strzelano do niej. Strzelano, na miłość boską!

Tego już było za wiele. Nie miała zamiaru pozwolić, żeby ten sen dalej rządził jej losem. Nadszedł czas, żeby wzięła sprawy w swoje ręce i zdemaskowała tego osiłka. Czas, żeby Alaina Constanza pokazała, co potrafi.

Czekała na Joego. Tu i teraz. Odegrał swoją rolę, był na miejscu. Teraz nadszedł czas, by Lainie przestała odgrywać ofiarę.

Owinąwszy wodze wokół łęku, zsunęła się z konia. W momencie, gdy dotknęła stopą ziemi, straszliwy ból przeszył jej nogę aż do biodra.

- Co ty, u diabła, robisz?! - spytał Killian ze złością.

- Zostaję.

- Natychmiast wsiadaj na tego cholernego konia. Zbyła go niedbałym machnięciem ręki.

- Już po wszystkim, Killian. Wracam z mojego snu do rzeczywistości.

- Nie zaczynaj znowu. Nie teraz.

- Lepiej się pośpiesz. Joe pewnie już wjeżdża na wzgórze. Kiedy się znajdzie na szczycie...

Klnąc siarczyście, jej towarzysz zeskoczył z konia, wyjął rewolwer i celując w Lainie, zaczął się do niej zbliżać.

- Wsiadaj na konia.

Ruszyła w jego stronę. Im bliżej podchodziła, tym oczy Killiana robiły się większe ze zdumienia. Nie zwalniając kroku, szła ku niemu, dopóki zimna stal rewolweru nie dotknęła jej piersi.

Z oddali dobiegło parskanie konia wspinającego się po zboczu. Ten dźwięk przywrócił jej siły, podniósł na duchu. Joe nadchodził.

Uśmiechnęła się lodowato.

- No, śmiało, zastrzel mnie.

Widziała drżenie mięśni w zaciśniętych szczękach Killiana.

- Jesteś gotowa za niego umrzeć?

Naparła na lufę, jakby chciała go sprowokować do pociągnięcia za spust.

- Nie mógłbyś zastrzelić kobiety. To nie leży w twojej naturze. Nie po tym, co spotkało Emily.

Krew odpłynęła mu z twarzy. Rewolwer zadrżał.

- Skąd wiesz o Emily?

- Ja to wszystko napisałam.

Patrzyli na siebie w milczeniu, oboje ciężko oddychali. Czekala, żeby się odezwał. Od strony zbocza za nimi coraz głośniejszy był posapywanie zmęczonego konia.

Killian powolnym ruchem schował rewolwer.

Lainie uśmiechnęła się szeroko.

- Widzisz, mówiłam...

Wyciągnął rękę, chwycił ją za sweter i szarpnięciem przyciągnął do siebie. Potknęła się, lądując na jego torsie. Głowa odskoczyła jej do tyłu.

Czuła na ustach gorący powiew jego oddechu. Pochylił głowę, zbliżając twarz do jej twarzy. Sopol strachu spłynął Lainie po plecach. Próbowala się wyrwać Killianowi, ale trzymał ją w żelaznym uścisku.

Mózg przeszła jej straszana, obezwładniająca myśl, że ma zamiar ją pocałować. Natychmiast opadły ją okropne wspomnienia z przeszłości. O Boże, nie...

Nie pocałował jej. Przyciągnął ją do siebie tak blisko, że widziała swoje odbicie w ciemnych tęczęwkach jego oczu.

- Może cię nie zabiję. - Choć wypowiedział te słowa cichym, spokojnym głosem, niezdolnie zadzwoniły jej w uszach. - Ale to nie znaczy, że nie zrobię ci krzywdy. Nie znaczy, że nie pozwolę cię skrzywdzić komuś innemu. Więc wsiadaj na konia, bo inaczej przerzucę cię przez siodło jak < worek soli i przywiążę.

Lainie wstrzymała oddech, próbując mu się wyrwać.

- Nie zrobiłbyś tego.

- Wsiadaj na tego cholernego konia, kobieto.

Aż się zatoczyła, kiedy ją puścił. Przyciskając do piersi > rozciągnięte fałdy swetra, chwiejnie podeszła do Zmory i wspięła się na siodło. Killian także dosiadł konia, po czym odwróciwszy się do niej ostrzegł:

- Jeśli będziesz zostawać w tyle, przysięgam na Boga, że i zedre z ciebie ubranie i każę ci nago wjechać do kryjówki. »

Oczy jej się zaokrągliły.

- Ale tamci mężczyźni...

- Owszem... mężczyźni. Zwilżyła językiem zaschnięte usta.

- Będę jechać za tobą. Po raz pierwszy od wielu godzin się uśmiechnął.

- Nie wątpię.

Spiął karego piętami i wszystkie trzy konie ruszyły jednocześnie dudniącym galopem.

Lainie znów zacisnęła powieki, wczepiona w łęk siodła. Powtarzała sobie w duchu, że to, iż się poddała, nie ma żadnego znaczenia, bo przeraziła ją tylko myśl o tym, że Killian ją zwiąże. Ale Joe i tak ją znajdzie, i tak ją uratuje.

Poza tym to był tylko sen, głupi, nic nieznaczący sen.

Tylko że wcale nie wydawał się snem.

Skupiła się na rytmicznym oddychaniu, wsłuchując się w siebie, nie pozwalając sobie na żadne myśli, dopóki się nie uspokoi. Siła, której tak potrzebowała, była w jej wnętrzu, tak jak zawsze. Sięgnęła po nią, uchwyciła się jej, poczekała, aż wypełni zimne miejsca w jej sercu. To był tylko sen, więc prędzej czy później musiał się skończyć. Nie mogło jej się przydarzyć nic złego.

Przetrwa to tak, jak przetrwała wiele innych rzeczy. Kiedyś, dawno temu, straciła odwagę i nigdy więcej nie zamierzała tego powtórzyć. Nigdy.

Jechali bez spoczynku długo w noc. Mrok powoli spływał po ścianach kanionu, by w końcu, gęsty i nieprzenikniony, opaść na dno. Galopowali bez wytchnienia mimo ciemności; konie nieustrudzenie waliły kopytami o twardą, wyschniętą ziemię. Lainie trzymała się łęku obolałymi, drżącymi palcami. Oczy miała zacisnięte, serce waliło jej w piersi jak oszalałe.

Za nimi w oddali grzmiał stłumiony, lecz nieomylnie rozpoznany tętent konia. Ten dźwięk był dla Lainie jak lina ratunkowa, tylko on pozwalał jej jechać dalej. Każdy odgłos, każde potknięcie w mroku pozwalało jej wierzyć, że koszmar w końcu minie.

Joe, Joe, Joe. Powtarzała to imię jak modlitwę w rytm uderzeń serca, z każdym oddechem. On tam był, samotny, lecz nieustraszony, ścigał ją i Killiana w ciemności.

Już wkrótce, Boże, proszę, jak najszybciej, dogoni ich i ją uratuje. I ten straszny sen się skończy.

Nagle rozległ się huk wystrzału.

Joe.

Lainie poczuła przypływ nadziei. Zmusiła się do wyprostowania pleców. Zamrugła, próbując dojrzeć coś w ciemnym grobie, który stał się jej światem.

Wykręcona w siodle, spojrzała za siebie. Nic nie zobaczyła, wszędzie wokół panowała nieprzenikniona czarna pustka.

Zagrzmiał następny wystrzał.

Uświadomiła sobie, że odgłos dobiega gdzieś z góry, nie zza nich. Rozczarowanie spadło na nią jak dobrze wymierzony, bolesny cios w żołądek. Załamana, spojrzała przed siebie.

Nastąpił kolejny wystrzał; jasnożółty błysk przeszył gęstą ciemność. Ten, kto strzelał, musiał się znajdować na szczycie płaskiego wzniesienia, niewidocznego pośród nocy.

Odpowiedź w postaci strzału padła od strony, z której przybywali. Nastąpiła jakby chwila wahania, a potem z niewidocznej skalnej półki gdzieś nad nimi rozległa się istna kanonada. Wybuchy były tak liczne, że zlewały się ze sobą, a towarzyszące im rozbłyski oświetliły całe wzniesienie.

Killian zatrzymał konia i zeskoczył na ziemię.

W dolinie znów zapanowała cisza. Tym razem wydawała się jeszcze bardziej przytłaczająca.

Lainie nie od razu uzmysłowiła sobie, co zaszło. Nie było już słychać dudnienia kopyt za nimi.

Joe się zatrzymał.

Miała ochotę krzyknąć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Killian bezszelestnie pojawił się obok niej.

- Martin się tu nie zapuści - powiedział cicho. - Wie, że to by się równało samobójstwu.

Lainie podniosła wzrok, usiłując dojrzeć twarz stojącego przed nią mężczyzny.

- To są twoi ludzie. - Jej głos brzmiał obco nawet w jej uszach.

- To strażnicy. - Rozprostował ramiona. - Za parę godzin będziemy w osadzie. Więc teraz zostaliśmy tylko ty i ja... i nie musimy się przejmować twoim drogim Joem.

Lainie zacisnęła powieki, załamana, zmęczona i przeraźliwie samotna. Sen całkowicie wymykał się spod wszelkiej kontroli i prowadził ją gdzieś, gdzie zupełnie nie umiała się odnaleźć. Joe powinien był ją uratować, a Killian powinien już nie żyć.

Joe... Tylko myśl o nim pozwoliła jej wytrwać w siodle przez ostatnich kilka godzin. Świadomość, że jedzie za nią, jak pies tropi każdy jej ruch, dodawała jej sił. Bez tego, bez niego, czuła się tak osamotniona, jak można się czuć chyba tylko w koszmarnej snie.

Słyszała, że Killian idzie, bo kamyki chrobotwały pod jego butami. Zachręściła skóra, kiedy się wspinał na siodło. Potem cmoknął na konia i ruszył.

Wydała z siebie ciche, drżące westchnienie. Odwaga, zdobyta z tak wielkim trudem, opuszczała ją nieubłaganie. Resztką sił zatrzymała ją przy sobie i otuliła się nią jak płaszczem.

Musiała się obudzić, musiała się obudzić, i to natychmiast. Nie miała jednak pojęcia, jak tego dokonać. Nie

wiedziała, jak zakończyć ten sen. Miała ochotę krzyknąć, płakać i walić pięściami na oślep.

Otworzywszy zmęczone, piekące oczy, wbiła wzrok w czarną otchłań nocy i jechała dalej.

Nie miała wyboru.

Różne dźwięki napływały do uszu Lainie, zahaczając boleśnie o brzegi jej udręczonej świadomości.

Poruszyła głową i z trudem uniosła zmęczone powieki.

Świat nadal tonął w atramentowej czerni. Jechali przez niekończący się tunel, pełen zakrętów i załomów. Surowe kamienne ściany napierały na nich, zmuszały do jazdy gęsiego. Przez długie godziny żaden odgłos czy światło nie zakłóciły ciemności. Towarzyszyło im jedynie monotonne stukanie kopyt o gładką skałę.

I nagle coś usłyszała.

Z trudem oderwała rękę od łęku i przetarła piekące oczy. Nie była w stanie wytworzyć dość śliny, żeby udroźnić zaschnięte gardło.

- Holaaa! - zawołał Killian na konia. Odezwał się po raz pierwszy od bardzo długiego czasu. Usłyszała w jego chrapliwym głosie to samo obojętne zmęczenie, jakie sama odczuwała.

Lainie także zwolniła. Próbowwała coś powiedzieć, ale natychmiast zrezygnowała, bo z jej ust wydobyło się jedynie słabe, żalosne skrzeczenie.

Skądś dobiegły gardłowe śmiechy i szmer podnieconych głosów. Killian skręcił ostro w lewo, przejechał kilka stóp, a potem wykonał skręt w prawo.

Noga Lainie zahaczyła o skalną ścianę. Zdrapany jej butem piasek osypał się na ziemię z cichym, lecz wyraźnym szelestem. Dochodzące z zewnątrz głosy przybrały na sile.

Jechali dalej, w milczeniu posuwając się naprzód. Po dłuższej chwili - a Lainie już dawno straciła wszelką rachubę czasu - zauważyła dziwne szarawe światło na końcu tunelu. Killian wjechał w nie, znikając jej z pola widzenia.

Lainie czuła, jak serce zaczyna jej bić szybciej. Niepokój jakby dodał jej sił. Bojąc się zostać sama, spięła konia obcasami i pokłusowała za Killianem.

Wyjechawszy z ciemności tunelu, nagle znalazła się pośrodku gwarne tłumy.

Na jej widok głosy zamarły. Tuziny brudnych męskich twarzy skierowały się w jej stronę. W niebieskawym księżycowym świetle wszystkie bez wyjątku wydawały jej się przerażające.

Po chwili pełnej napięcia ciszy jeden z mężczyzn zachichotał. Był to gardłowy, obleśny śmiech, który zabrzmiał w uszach Lainie z siłą rewolwerowego wystrzału.

- Przywiozłeś nam kobietę.

- Ja ją biorę pierwszy! - zawołał inny mężczyzna. - Ostatnim razem Henry zaczynał.

Lainie nie była w stanie złapać tchu. Przypomniała sobie wcześniejszą groźbę Killiana. *To nie znaczy, że nie pozwolą ci skrzywdzić komuś innemu... Jeśli będziesz zostawać w tyle, zedrą z ciebie ubranie i każą ci nago wjechać do kryjówek...*

Rozpaczliwie szukała w sobie siły, a przynajmniej jej pozorów. Killian, nawet on by jej tego nie zrobił, nie rzuciłby ją na pastwę tego tłumy obwiesiów.

Czy na pewno?

Boże, dopomóż, wcale nie była tego pewna.

Mężczyźni podeszli bliżej, otaczając ją ciasnym kręgiem. Słyszała ich oddechy, szczekliwy śmiech, słowa zachęty podawane szeptem z ust do ust.

Czyjeś lepkie od wilgoci palce zacisnęły się wokół jej kostki. Próbowwała się wyrwać, ale ten, który trzymał, tylko się zaśmiał i pociągnął ją ku sobie.

Zachwiała się i wylądowała na tuzinie wyciągniętych ramion. Brudne dłonie szarpały ją za włosy, macały po twarzy, po ustach. Obrzydliwy odór niemytych ciał i kwaśnych oddechów drażnił jej powonienie, dławił.

Ogarnięta paniką, czuła, że zaraz zwymiotuje. Otworzyła usta, żeby zawołać Killiana, żeby go przekląć albo błagać o pomoc, lecz wydała z siebie jedynie przeraźliwy, histeryczny krzyk.

Śmiechy jeszcze się wzmogły.

Łzy dusiły ją w gardle; próbowała sobie powtarzać, że to tylko sen, że nie ma się czym martwić, ale dobrze znajome słowa nie uspokajały. Oszalała ze strachu, walczyła jak tygrysyca; głośno chwytając powietrze, wiała się i kopała, za wszelką cenę chcąc im się wyrwać.

Nagle zobaczyła Killiana. Siedział na koniu i z nieobecny, pozbawiony emocji wyrazem twarzy spoglądał na księżyc. Przypomniała sobie moment na szczycie urwiska, zrozumienie, które ujrzała wówczas w jego oczach.

- Killian! - Powtarzała jego imię raz po raz, aż wreszcie na nią spojrział.

Odwrócił się wolno i ich oczy się spotkały. Zacisnęła szczęki, całą siłą woli powstrzymując łzy. Chciała coś powiedzieć, zawstydzić go, zmusić, żeby powstrzymał tych ludzi.

Ale była w stanie tylko na niego patrzeć. Nie pozwól im na to, zaklinała go w duchu. Pomyśl o Emily...

Nagle się zdrygnął, jakby powiedziała to na głos. Spodziewała się, że sięgnie po broń, ale tego nie zrobił. Zmrużył oczy, jednocześnie zaciskając dłonie w pięści. Potem odwrócił wzrok, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w dal, by wreszcie powoli, jakby z ociąganiem, znów powrócić do niej spojrzeniem.

Lainie miała wrażenie, że przebiegł ją prąd. Jakby połączyło ich coś mrocznego i niebezpiecznego... i znajomego. Przez okamgnienie widziała w tym człowieku coś, co przecież nie mogło istnieć, coś, czego nie napisała.

Zsunął się z karego na ziemię i ruszył w jej stronę, bezszelestnie, nie spuszczać z niej wzroku.

Tłum się rozstąpił. Killian stanął przed nią, dotknął jej podbródka i zmusił do uniesienia głowy. Popękana skóra jego rękawicy była wilgotna w dotyku.

Był tak blisko, że czuła zapach kurzu i drzewnego dymu, bijący od ubrania, a jego oddech owiewał jej mokre od potu czoło.

Przeszył ją spojrzeniem, czujnym i sięgającym gdzieś głęboko do środka. W ciemnych tęczęwkach widziała zarys swego odbicia; miała świadomość, że dostrzegł więcej, niż chciała przed nim odsłonić.

- Poproś mnie o pomoc - powiedział cicho, przesuwając palcem po jej szyi.

Lainie przełknęła z trudem ślinę. Nienawidziła go w tym momencie tak bardzo, jak jeszcze żadnego człowieka w życiu.

- Proszę... - Wstyd skręcał jej wnętrzości. Nie mogła uwierzyć, że pozwala się tak upokorzyć. - Proszę, nie pozwól, żeby mi zrobili krzywdę.

- Kto tu rządzi?

Przeklinała go w duchu najgorszymi słowami.

- Ty.

Przeniósł wzrok z jej twarzy na otaczający ich tłum. Nastąpiła niekończąca się, wręcz niemożliwa do zniesienia cisza. Ten drań wiedział, że każdy oddech, każda sekunda ciągnie się dla niej jak wieczność.

- Dobra, chłopcy - odezwał się w końcu ostrym, dudniącym głosem. - Nikt poza mną nie będzie jej pieprzył.

- Nikt nie będzie co? - wyrwało się Lainie. Strach opuścił ją tak samo szybko, jak przyszedł, wyparty przez wściekłość, od której aż się zatrzęsała.

Killian spojrział na nią spod ściągniętych brwi.

- Nikt nie będzie pie...

Z całej siły uderzyła go w twarz.

- Nie waż się tego powtarzać.

O pół sekundy za późno uświadomiła sobie, co zrobiła. Tłum dosłownie oniemiał. Stało się cicho jak w grobie.

Killian chwycił ją za ramiona i jednym szarpnięciem przyciągnął do siebie. Trzepotrząc rzesami, próbowała wygiąć drżące wargi w uśmiechu.

- Nie chciałam...

Killian podniósł na nią rękę. Instynkt kazał jej zrobić unik, cofnąć się, lecz lata doświadczenia nie pozwoliły Lainie wykonać żadnego ruchu. Zdziwiająco, ale jego gest, dobrze znajomy, dodał jej siły, przywrócił równowagę. Bywała w takiej sytuacji setki razy w życiu, może nawet więcej niż setki.

Wyprostowała się, patrząc mu twardo w oczy.

Uniesiona dłoń zawisała w powietrzu. Na czole Killiana pojawiły się głębokie zmarszczki. Wolno opuścił rękę.

- Niech to szlag - syknął, chwytając ją za ramię.

Nie mówiąc ani słowa więcej, ruszył przez tłum, wlokąc ją za sobą. Słyszała wokół gniewne pomruki, jedne miały wyrażać rozczarowanie, inne jawną złość.

Potykała się, usiłując dotrzymać Killianowi kroku. Przez cały czas rozpaczliwie próbowała uwierzyć, że to wszystko jest jedynie snem, niczym więcej... tylko że coś się nie zgadzało. To, co się działo, nie sprawiało wrażenia snu. Chociaż było dziwne, niewytłumaczalne i takie, jak bywa właśnie we śnie, wydawało się... rzeczywiste. W końcu była w stanie myśleć wyłącznie o tym, co się nie zgadzało, nie pasowało do całości. O tym, że nie było Krwawego Wąwozu, nie było wybawienia przez pościg, szeryf nie przeszkodził w rabunku.

Drżącym na całym ciele, starała się wyprzeć z głowy te niepokojące myśli.

To był sen, u diabła! Bo jeśli nie, to co?

Na gle wszystko stało jej się dziwnie obojętne. Napięcie i strach, które ożywiały ją przez ostatnich kilka minut, wyparowały, pozostawiając po sobie jedynie obezwładniające zmęczenie. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy była tak krańcowo wyczerpana i odrętwiała. A przecież czego jak czego, ale zmęczenia jej w życiu nie brakowało.

- Ociągasz się - warknął Killian, ponaglając ją brutalnym szarpnięciem.

Przyśpieszyła, drobiąc niezdarnie, żeby dotrzymać tempa jego szybkim, zamaszystym krokom.

Światło księżyca przeciskało się przez warstwę mgły, przebijało chmury strugami niebieskawego blasku, oświetlając zbójcecką kryjówkę.

Znajdowali się w wąskiej, krętej dolinie, szerokości niespełna pół mili. Surowe skalne urwiska otaczały ich z dwóch stron, sterczały w półmroku niczym złożone skrzydła jakiegoś olbrzymiego drapieżnego ptaka. Łagodna poświata nadawała dolinie wrażenie złudnej przytulności. W powietrzu wisiał ostry zapach siarki.

Lainie próbowała się rozglądać, dostrzec jakieś szczegóły, zapamiętać wygląd kryjówki, ale to było niemożliwe. Oczy paliły ją nieznośnie ze zmęczenia, każde uniesienie powiek wywoływało łzawienie.

Wreszcie Killian zatrzymał się przy małej jednoizbowej chacie, zbudowanej z rozpołowionych pni. Pociągnął za ramię odtrzymujący zasuwę i drzwi otworzyły się z donośnym skrzypieniem.

- Zaczekaj tu. - Wszedł do środka, znikając w cuchnącym mroku wnętrza. Słyszała kroki dudniące po drewnianej podłodze, a potem trzask zapalanej zapalniczki. W ciemności błysnął słaby żółty płomyk, który zaraz nabral mocy, gdy Killian przytknął zapalniczkę do knota lampy.

Postawił lampę na stole.

- Wejdz.

- Co? Nie masz zamiaru przenieść mnie przez próg? - Po omacku weszła do środka.

Najpierw wyczuła niemiły zapach zepsutego jedzenia i stęchlizny, a potem zauważyła łóżko. Jedno.

Przez moment rozważała, czy nie urządzić awantury. Ale szczerze mówiąc, była na to zbyt zmęczona. Poszłaby spać z samym Hannibalem Lecterem, gdyby musiała. Z każdym i wszędzie. Pragnęła tylko jednego - zamknąć oczy i zapomnieć o tym strasznym koszmarze. Oparła się o szorstką nieheblowaną framugę i zamknęła oczy. Równe falowanie własnego oddechu nieco ją uspokoiło. Miała wrażenie, że płynie, czuła mrowienie w koniuszkach palców.

Była bliska, naprawdę bliska, zapadnięcia w sen. Znała te odczucia; podpowiadały jej, że koniec jest bliski. Nareszcie.

Rozległo się skrzypienie źle wyprawionej skóry i łomot krzesła, stawianego na drewnianej podłodze.

- Dobrze, więc kim ty, u diabła, jesteś?!

Resztką sił uniosła powieki, co okazało się tak bolesne, że ż syknęła. Wyczerpanie męczyło jej wzrok; mężczyzna siedzący przy stole wydawał jej się cieniem w czarnym kapeluszu.

- Nie teraz. Padam ze zmęczenia.

- Nic mnie to nie obchodzi.

Usta Lainie wygięły się w mimowolnym uśmiechu. Mrowienie z palców przenosiło się wyżej, aż sięgnęło ramion. Zakręciło jej się w głowie, w oczach stanęły gwiazdy. Zachwiała się nieznacznie.

- Jednak będzie musiało.

- Niby czemu?

Uśmiechnęła się do niego półprzytomnie i runęła jak długa. Ostatnią oznaką życia Lainie było westchnienie ulgi, które wyrwało się z jej spierzchniętych ust.

- Chryste! - Killian poderwał się z krzesła i uklęknął przy jej głowie. Lainie leżała rozciągnięta na zimnej brudnej podłodze, z twarzą przyciśniętą do sękatych desek, z ramionami opuszczonymi nieruchomo wzdłuż ciała.

Spała jak trup.

Z westchnieniem przysiadł na piętach. Odrzuciwszy kapelusz na łóżko, przeczesał palcami sztywne od brudu włosy.

Co, do cholery, miał z nią zrobić?

Wszystko w niej było dla niego zagadką. Nie przypominała żadnej innej, znanej mu kobiety: miała ostry język, własne zdanie i nie liczyła się ze słowami. Nie przejmowała się nikim i niczym... nawet samą sobą.

To nastawienie akurat rozumiał, i to dobrze. Sam od wielu lat tak właśnie żył.

Podniósł się na nogi i odszedł od kobiety leżącej na podłodze jego chaty. Nie chciał jej rozumieć. Zależało mu tylko na uzyskaniu potrzebnych odpowiedzi. Potem pozwolił jej odejść własną drogą.

Odwróciwszy się na pięcie, przeszedł przez niewielką izbę i sięgnął po butelkę whisky, która stała na odwróconej do góry dnem skrzynce. Wyciągnął zębami korek i splunął nim w ciemny kąt, a następnie pociągnął głęboki łyk. Trunek zostawił piekący ślad w gardle, ale rozszedł się przyjemnym ciepłem po całym ciele.

Killian niechętnie spojrzął na kobietę. Alaina, tak się nazywała. Alaina Constanza.

Otarł usta rękawem i sięgnął po lampę, zaciskając palce na chłodnym metalowym uchwycie. Unosząc ją, oświetlił leżącą kobietę i znów przyklęknął u jej boku.

Nawet kiedy spała, było w niej coś smutnego. Zaciśnięte rzęsy rysowały czarne półksiężyce na jasnej skórze. Miał jednak w pamięci jej niepokojące szarozielone oczy, które kryły w sobie dziesiątki tajemnic. To były oczy kogoś, kto widział ciemną stronę życia i odszedł od niej, ale nigdy nie udało mu się uciec na dobre.

Czując dziwne łaskotanie w opuszkach palców, uświadomił sobie, że ma ochotę jej dotknąć. Zaskoczony, szybko zwinął dłonie w pięści. Nie pożałował żadnej kobiety już od lat.

A jednak coś go w niej pociągało. Zapragnął pogłodzić miękką skórę jej szyi, obwieść zarys pełnych ust, które nawet we śnie miały smutno opuszczone kąciki. Zupełnie nie wiedząc czemu pomyślał, że smutek do niej nie pasuje i że kiedyś go w niej nie było.

- Kim jesteś, Alaino Constanzo? - szepnął.

Na dźwięk jego głosu poruszyła się nieznacznie i wydała z siebie westchnienie, które poruszyło jakąś ukrytą strunę w jego sercu. Było ciche, słabe jak oddech i wzbudziło w zmęczonej duszy Killiana ból samotności.

To wszystko nie miało sensu.

Potrząsając głową i odsunął się od niej. Do diabła, wcale nie chciał, żeby miało sens. Nie chciał, żeby ta kobieta w ogóle go obchodziła.

Podniósł ją z podłogi i ułożył na łóżku. Natychmiast zwinęła się w kłębek na szarym wełnianym kocu. Nierówna, ;^v prawie płaska poduszka wydawała się brudna przy jej jasnej cerze.

Kobieta leciutko wygięła wargi w uśmiechu.

- John... - szepnęła z sennym westchnieniem.

Killian stanął jak wryty, przerażony, jak jeszcze nigdy w życiu.

Uświadomił sobie nagle, niczym rewolwerowiec stojący naprzeciw lepszemu od siebie strzelca, że ta kobieta ściągnie na niego zgubę. Zabije go.

A on w żaden sposób nie może temu zapobiec.

Killn usiadł na brzegu łóżka. Rozciągnięte skórzane pasy pod materacem zaskrzypiały pod jego ciężarem. Ściągnął buty i cisnął w kąt, gdzie wylądowały z głuchym łaskotem. W to samo miejsce trafił kapelusz, a następnie koszula. Przeleciała w powietrzu niczym brudna flaga, symbolizująca poddanie się. Na końcu zdjął dzinsy.

Podniósł się wolno, z ociąganiem. Przez wełniane skarpetki czuł chłód ciągnący od desek podłogi. Zadrzał, kiedy nocne powietrze owiało mu nagą pierś.

Kobieta na łóżku wymruczała coś przez sen.

Położył się obok niej. Kiedy prostował nogi, wyciągając się wygodniej, znowu wydała z siebie cichy dźwięk i przewróciła się na brzuch.

Spojrzał na nią i od razu tego pożałował. Leżała zwrócona do niego twarzą. Lewą rękę trzymała tak blisko niego, że czuł bijące od niej ciepło. Czarne włosy miała odgarnięte z czoła, srebrne kolczyki lśniły w świetle lampy. We śnie wyglądała niewinnie, był w niej spokój, którego wcześniej nie widział, a na tle jaśniejszej plamy poduszki rysy jej twarzy wydawały się delikatniejsze. Wydatne usta, miękkie i gładkie jak różowe wnętrza muszli, przyciągnęły jego wzrok na dłużej.

Wyciągnął rękę i omal jej nie dotknął, nim zdał sobie sprawę z tego, co robi. Dłoń zawisła nieruchomo. Czuł leciutkie tchnienie ciepła promieniującego od jej uspiętego ciała. Powoli przesunął dłonią w powietrzu wzdłuż jej pleców. Kiedy dotarł do bioder, palce mu drżały, a w ustach całkiem zaschło. Zacisnął rękę w pięść i z powrotem przyciągnął do swego boku.

Wychylił się z łóżka, żeby zgasić lampę, a potem ułożył się sztywno na posłaniu, podciągając koc aż pod brodę. Cichutki szum jej oddechu wypełniał izbę, odbijał się echem w ciemności, wydawał się tak boleśnie

znajomy.

To nie ona. To nie ma z nią nic wspólnego.

Ucisk w piersi wzmagał się, utrudniał oddychanie. Killian wydał z siebie głośnie, chrapliwe od zmęczenia westchnienie. Już od tak dawna męczyła go samotność, szarpała duszę, odbierała chęć do życia. Ale dopiero teraz, kiedy ta kobieta leżała obok niego, uśpiona i bezbronna, w pełni poczuł ciężar swego wyobcowania. Tak wielki, że zginał mu płuca, ścisnął za gardło. Nie leżał w łóżku ze śpiącą kobietą od czasu Emily.

Emily...

Tamte czasy wróciły we wspomnieniach, wyłoniły się z mroku przeszłości. Przyjmował wówczas za coś oczywistego to, że może się kłaść do łóżka z żoną, brać ją w ramiona. Przytulał ją mocno do siebie, nie myśląc o tym, co robi, nie zdając sobie sprawy z nietrwałości ludzkiego życia. Nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, że może to wszystko stracić w mgnieniu oka.

Dopiero kiedy to się stało, gdy co noc znajdował puste, zimne pościelenie, zrozumiał, co to znaczy spać u boku bliskiej osoby. Po prostu spać. Dla Killiana oznaczało to wszystko, co go łączyło z Emily, najśłodsze doznania, najczystsze uczucia, jakich z nią doświadczał, a potem utracił i nie spodziewał się nigdy odzyskać. Nawet tego nie chciał.

Kobieta leżąca obok niego wydała cichy jęk.

Starał się nie słyszeć tego dźwięku, słabego i jakby smutnego.

Tłumaczył sobie, że to tylko nieświadome westchnienie przez sen.

Zacisnął powieki, odcinając się od księżycowego blasku wpadającego przez okno, pograżając się w otchłani całkowitej ciemności. Jednakże nie mógł zapomnieć o jej obecności, nie potrafił udawać przed sobą, że jest w łóżku sam. Nie był w stanie udawać nawet tego, że jego podniecenie bierze się ze wspomnień o Emily.

Bo myślał o Lainie. Było w niej coś... intrygującego.

Cichutki szum jej oddechu działał na niego odurzająco, oplatał go jak nitki pajęczyny. Czuł ciepło jej ciała, zapach słońca i kurzu we włosach, ledwie wyczuwalne pozostałości perfum na ubraniu. I po raz pierwszy od niepamiętnych czasów przypomniał sobie, jak to jest, kiedy mężczyzna pragnie kobiety.

cienie. Ciemność, falująca, ruchoma. Szczekliwy gwar młodego męskiego śmiechu.

No chodź, kici, kici, kici. Nie zmuszaj nas, żebyśmy cię gonili. Jeszcze głośniejszy śmiech, rozrywający na strzępy nocną ciszę.

Lainie miotła się na boki, próbując uciec od nienawistnych głosów, od ciemności, która kłębiła się wokół niej, krępowała jej ręce i nogi, ciągnęła w dół, w coraz głębszą otchłań. Nie mogła się poruszyć, bo ciało nie odpowiadało na polecenia mózgu. Przerazenie zatopiło ją lodowatą falą. Bezwiednie zaczęła szcekać zębami.

Przez czarną zasłonę mroku przedarł się kolejny dźwięk -odgłos zaciąganej mocno liny, cichy jak szelest konopie trących o konopie.

Czuła, jak narasta w niej krzyk, wypełnia jej płuca szamoczącym się, pulsującym życiem. Otworzyła usta, żeby krzyczeć. Wciągnęła gęste, cuchnące powietrze. Tylko że to wcale nie przypominało powietrza; było dławiące jak knebel, oślizłe i podobne do błota. Zatkaną jej gardło, oblepiło język. Kaszłała, krztusiła się, próbowała to wypluć. Czuła ostry, metaliczny smak żółci w przetyku. A z jej ust wydobyło się jedynie słabe, przerażone błaganie:

- Proszę... nie...

Czyjeś ręce ciągnęły ją za ubranie, dotykały twarzy. Czuła na wargach słonawy smak potu, wilgotny odór zatykał jej nos.

Znowu się śmiali; wysoki, przypominający gdakanie rechot rozdarł ciemność, stopniowo nabierając mocy, aż w końcu zagłuszył wszystko inne.

Łzy piekły ją pod powiekami, spływały po policzkach. Szlochając rozpaczliwie, ze wszystkich sił walczyła, żeby się oswobodzić.

- Alaina.

Głos zadudnił echem w otaczającej ją czarnej pustce. Był jak lina ratunkowa w otchłani. Poderwała się z wyciągniętymi przed siebie rękami, po omacku szukając jakiegokolwiek oparcia.

- Lainie, obudź się.

A więc ja śnię. Te słowa spływały na nią niczym balsam, przynosząc natychmiastowe ukojenie. Zamrugła, wciąż czując na języku cierpki smak strachu.

Koszmar ustępował powoli, jak zawsze, wycofywał się w odległe zakamarki pamięci. Był jednym z tych, których nie miewała od lat, ale tej nocy powinna była się go spodziewać. Po tym, co w jej śnie zaszło w zbójcekiej kryjówce, z tymi wszystkimi ciemnymi typami... Zadrżała. Oczywiście, że stare koszmary zawsze wracają.

Dzięki Bogu, że już było po wszystkim.

Pociągnawszy nosem, sięgnęła po omacku po chusteczkę, leżące na nocnym stoliku przy łóżku.

- Nic ci nie jest?

Poczuła się, jakby coś jej spadło na głowę. Zesztywniała wpatrzona w nieprzeniknioną ciemność, szukając wzrokiem odbłaskowych gwiazdek na suficie.

- No nie - mruknęła z niedowierzaniem. - Do cholery, to niemożliwe!

- Co jest niemożliwe?

Lainie odniosła wrażenie, że spada w przepaść. W każdej chwili mogło nastąpić zderzenie z ziemią. Wiedziała, o co musi spytać, jakie imię wymówić, ale na samą myśl o tym poczuła mdłości.

- Killian?

Łóżko zaskrzypiało. W ciemności rozblysnął płomyk zapalki, a potem powędrował, jakby magicznie zawieszony w powietrzu, do zakopconej lampy. Światło wypełniło szklany klosz i wydobyło z mroku postać mężczyzny, znajdującego się obok niej na łóżku. Siedział lekko pochylony do przodu; jego masywna pierś była ledwie widoczna w cieniu. Szary koc okrywał go zaledwie do bioder, ukazując pas czerwonej, zawiązywanej na troczki bielizny. Gęsto skręcone czarne włosy tworzyły ciemną smugę na gładkiej opalanej skórze.

Ukryła twarz w lodowatych dłoniach.

- O mój Boże. O mój Boże...

- Alaina, co ci jest?

Uniosła głowę, ciężką jak z ołowiu, i spojrzała na niego. Siedział przy niej, na wpół nagi, i wyglądał tak cholernie normalnie, że chciało jej się wyc.

- Jak to możliwe, że nadal tu jesteś? - Chciała mu wykrzyknąć w twarz to pytanie, ale słowa wypływały jej z ust jakiegoś ciche, stłumione, jakby złamane. Po raz pierwszy od lat czuła się całkowicie pokonana.

- Ja tu mieszkam.

- To się dzieje naprawdę - powiedziała cicho, czując na policzkach ciepłą wilgoć łez. - To wszystko się dzieje naprawdę. Ty jesteś prawdziwy.

- Naprawdę myślałaś, że to sen?

Wybuchnęła śmiechem. Nie było w nim wesołości, tylko bezmiar gorczy.

- Nie przypuszczałam, że to mogłoby być coś innego.

- Oszalałaś?

Histeria wzbierała w niej gwałtownie, dławiała w piersi i wreszcie wybuchła piskliwym chichotem. Odrzuciwszy głowę iło tyłu, Lainie zaniósł się tym dziwnym śmiechem, który niespodziewanie przeszedł w szloch. Słony smak łez wypełnił jej usta, spływał do gardła. Tak samo szybko, jak się pojawiła, histeria znikła, ustępując miejsca czystej rozpacz. Lainie zwiesiła głowę i patrzyła przez łzy na swoje dłonie, splecione ciasno na kolanach.

- Jestem szalona? - spytała i natychmiast pożałowała tych słów. Bo przywołały złe wspomnienia o tamtych chwilach w jej życiu, kiedy naprawdę była szalona, o dniach i nocach spędzonych w zimnym pomieszczeniu z kratami w oknach, gdzie opowiadała obcym ludziom historię swojego życia. Potrząsnęła głową, próbując odegnąć potworne wizje i stłumić wzbierające w żołądku mdłości. - Tak, zawsze byłam szalona. Ale to... - Spojrzała na niego niespodziewanie; ich wzrok spotkał się w półmroku wypełniającym chatę. Patrzyła na niego, choć wiedziała, że w jej oczach widać cały ból i zagubienie, których nie potrafiła ukryć. Miała świadomość, że później będzie żałowała swojej otwartości, tego, że pokazała mu swą bezbronność, ale teraz... teraz nie miała wyboru. Potrzebowała, żeby jej uwierzył, żeby w nią uwierzył. Potrzebowała, żeby ktoś jej powiedział, że wcale tak nie jest. -To... coś innego - szepnęła smutno. - Nie jestem aż tak szalona.

- Nadal sądzisz, że jestem tylko snem. - Mówił rzeczowym tonem, ale po jego wzroku poznała, że uważa ją za pomyloną. Niemal ją to załamało. Znow zaczęło ją przygniatać straszne poczucie osamotnienia.

- Powiedz mi coś o sobie - poprosiła. - Coś, czego nie wiem. - Cokolwiek, żeby udowodnić, że cię nie wymyśliłam, dodała w duchu.

- Kobieto - zaczął z ciężkim westchnieniem - ty nic o mnie nie wiesz.

Zamknęła oczy, chciała się uśmiechnąć. Nie udało jej się.

- Wiedziała, że to powiesz.

Wyciągnął rękę i złapał ją mocno za nadgarstek.

- Kim jesteś?

Próbowała się wyswobodzić, ale nie puszczał. Dotyk jego palców palił jej skórę.

- To jest sen - szepnęła, starając się wierzyć własnym słowom.

Chwycił ją za podbródek, zmuszając do uniesienia głowy i spojrzenia mu w oczy.

- Jeśli chcesz koszmarnych snów, mogę ci je zapewnić.

Lainie szarpnęła się tak mocno, że aż spadła z łóżka.

Z hukiem uderzyła o zimną podłogę, ale zaraz pozbierała się na nogi. Wpatrywała się w Killiana, oddychając ciężko. Pozwoliła, żeby strach nią zawładnął, odebrał jej siłę, a przecież w tej chwili potrzebowała jej bardziej niż kiedykolwiek. Odetchnęła głęboko i wyprostowała plecy. Dłonie, opuszczone wzdłuż boków, same zwinęły jej się w pięści.

- Nie uwierzę w to. Nie istniejesz naprawdę. Nie możesz...

- Istnieję naprawdę - oświadczył spokojnie, z pewnością siebie, za którą miała ochotę go zabić.

- Ja jestem autorką, do cholery! - zawołała, nie panując nad złością. - Ja cię wymyśliłam!

- Lainie...

- Nie odzywaj się do mnie! - wykrzyknęła z rozpaczą. - Ty mnie nie znasz... to ja ciebie znam.

Cofnęła się, usiłując odzyskać resztki samokontroli. Uspokój się, nie ulegaj emocjom, powtarzała sobie w myślach. Nie mogła sobie pozwolić na histerię, potrzebowała chwili skupienia w samotności, żeby się zastanowić nad tym, co się z nią dzieje. Bo przecież musiało istnieć jakieś rozsądne wytłumaczenie tego wszystkiego.

Podbiegła do drzwi i otworzyła je na oścież. Nim zdążył się podnieść z łóżka, wybiegła na zewnątrz i zniknęła mu z oczu.

To się nie może dziać naprawdę, powtarzała sobie w kółko niczym mantrę, przebierając szybko bosymi stopami po lodowatej ziemi.

Nie mogło się dziać naprawdę.

Lainie pędziła przed siebie na oślep wąską drogą, która rozdzielała na dwie części zbójcecką osadę. Minawszy ostatnie zabudowania, skręciła w dół, w stronę potoku, i biegła dalej nierówną ścieżką, wydeptaną przez bydło tuż nad wodą. Po lewej ujrzała łagodne zbocze, gdzie mogła się schronić.

Przebiegła potok i wspięła się na śliski brzeg po drugiej stronie. Obluzowane kamyczki osypały się ze zbocza, cicho spadając na trawę. Oddychała z głośnym świstem; wciągane powietrze paliło ją w płucach, ale uparcie pięła się w górę, nie zważając na bolesne zadrapania i kurz wpadający do oczu.

Znalazszy się na szczycie wzgórza, upadła na ziemię, drżąc z wyczerpania. Dopiero po dłuższym czasie była w stanie normalnie oddychać. Na kilka cudownych chwil zamknęła oczy i niemal zapomniała o swoim położeniu.

Nagle odezwał się jakiś ptak, przywołując ją do rzeczywistości. Wszystko wróciło z przytłaczającą intensywnością. Uniosła głowę i z góry spoglądała na uszpioną osadę. Chaty, a było ich około dziesięciu, stały wzdłuż drogi. Z oddali wyglądały jak czarne pnie na tle stalowoszarych skalnych ścian. Choć prymitywne, wydawały się względnie solidne w porównaniu z rozstawionymi pośród nich namiotami, których także było dziesięć, może dwanaście, a ich płócienne dachy miały jaśniejszy odcień szarości.

Z oddali dobiegło wycie wilków. Samotny, wibrujący dźwięk niósł się w chłodnym powietrzu przedświt jak ostatnie tony zamierającej smutnej pieśni.

Lainie podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ciasno ramionami. Czowała przejmujący chłód, jakby już nigdy w życiu nie miała się rozgrzać.

- To nie może być naprawdę - powiedziała cicho, żałując, że nie potrafi wykrzesać z siebie więcej stanowczości.

Odetchnęła głęboko, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Nie było sensu miotać się na oślep.

Musiała spokojnie rozważyć wszystkie fakty, chociaż spokojne rozumowanie akurat nie było jej najmocniejszą stroną. Należała raczej do tych, którzy najpierw używają pięści, a dopiero potem zadają pytania. Tym razem jednak sprawa była najwyższej wagi. Musiała spojrzeć z dystansu na swoją sytuację, bez strachu i paniki, i próbować ją zrozumieć. Zatem to się nie mogło dziać naprawdę. Dlaczego?

- Nie może się dziać naprawdę - powiedziała wolno - ponieważ jest fikcją. - Właśnie. Stwierdzenie tego faktu nieco ją podniosło na duchu, dało punkt oparcia w całym tym szaleństwie. Fortune Flats, kryjówka o nazwie Tunel i Killian były wytworami jej wyobraźni. I nie mogły istnieć w prawdziwym świecie.

Nie zwariowała. Ostatecznie to była Arizona, rok 1896. Mogła wziąć pod uwagę wędrówkę w czasie. Ale nawet wędrując w czasie, człowiek nie może się przenosić do nieistniejących miejsc.

- Więc gdzie ja, u diabła, jestem?! - Rozejrzała się. Wysokie pionowe skały otaczały pełnym kręgiem wielką owalną nieckę. Na gładkiej powierzchni jednej z kamiennych ścian widniała rysa, która była wejściem do tunelu. To miejsce stanowiło doskonałą kryjówkę. Wystarczyło odpowiednio ustawić dwóch ludzi, by powstrzymali stuosobowy pościg. Jeśli jeździec nie mógł wjechać do tunelu, nie mógł też się dostać do kryjówki.

Było dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała, jak to wymyśliła. Przeprowadziła wcześniej dokładne rozeznanie w historii Dzikiego Zachodu i wiedziała, że istniały trzy główne zbójckie kryjówki: Dziupla Browna, Grzęda Rabusiów i Dziura w Ścianie. Ta, którą ona wymyśliła i nazwała Tunelem, stanowiła kombinację wszystkich trzech. Lainie japo prostu stworzyła.

Pozostawało więc pytanie, gdzie ona, Lainie się znajduje, skoro nie mogła być tutaj?

Narkotyki. Jest w domu, podtrzymywana przy życiu zbyt mocnymi dawkami morfiny.

Natychmiast odrzuciła tę możliwość. Owszem, kiedyś miała do czynienia z morfiną. Czuła się po niej... ospała, lżejsza od powietrza. Ale nie miała omamów.

Śmierć. Umarła i leży w trumnie w jakimś pustym kościele, czekając na nowe wcielenie.

Na tę myśl zadrzała i jeszcze ciaśniej objęła się ramionami. Jakoś nie miała ochoty na dalsze rozważanie tej możliwości.

- No dobrze, więc śpię w domu. To zwykły sen - powiedziała na głos. Zabrzmiało to smutno i żałośnie. Nim jeszcze te słowa wyszły z jej ust, wiedziała, że w nie nie wierzy. Zbyt wiele rzeczy się nie zgadzało.

Na przykład proporcje. Prosta rzecz, nic wielkiego. Ale jak często miewa się sny, w których proporcje są idealne? W których drzwi nie zmieniają się nagle w haczyki do łowienia ryb, a chmury nigdy nie przypominają wielkiej porcji lodów w waflowym rożku?

Wszystko tu było doskonałe, ustalone, niezmienne. Wycie wilka brzmiało naturalnie, wiatr muskał jej twarz prawdziwym delikatnym powiewem. Wszystko wydawało się normalne i rzeczywiste. Konie nigdy nie zmieniały się w kozy ani nie przefruwały nad urwiskami.

I ból. Jak często śni się człowiekowi, że coś go boli?

Zsunęła z ramienia sweter, odsłaniając wściekłą czerwień opalenizny.

Komu się, u diabła, śni, że został poparzony przez słońce?

Że go postrzelono - możliwe. Zasztyletowano, uduszono, przejechano - jak najbardziej. Ale udar?

Ostrożnie dotknęła poparzonej skóry i natychmiast poczuła dobrze znany ból, podobny do ukłucia. Szybko cofnęła rękę; poparzenie było całkowicie rzeczywiste. Podobnie jak odciski od kamieni na bosych stopach i zadrapania na rękach. Nie wspominając już o paskudnych otarciach na pośladkach.

Wzdychając, zamknęła oczy. Nie chciała już o tym myśleć, ale też nie potrafiła myśleć o niczym innym.

Poczuła ciepło na twarzy, przyjemne jak piaseczka.

Uniosła powieki i patrzyła urzeczona, jak pierwsze promienie świtu wypełzają na szczyt kanionu, owijają delikatną różową mgiełką gładkie skalne ciany. Światło spłynęło po nagim stromym zboczku, zmieniając surowy kamień w bryłę lśniącego złota. Topole nad potokiem powitały wschód słońca radosnym trzepotem liści.

I w tym momencie, wciągając zapach suchego pustynnego powietrza, czując znajomy dotyk słońca na twarzy, już wiedziała. Po prostu wiedziała. To nie był sen.

To się działo naprawdę.

Miała w głowie zamęt, próbowała znaleźć coś, jakąś filozofię albo punkt odniesienia, którego by się mogła ucześcić. Cokolwiek, byle w jakiś sposób wyjaśniało jej sytuację. Podróż w czasie, magia, śmierć -

odrzucała wszystkie te możliwości, bo wydawały jej się nie do przyjęcia. Zgłębiła sporo źródeł na temat metafizyki, kiedy pisała książkę o duchach. Żadne jakoś do niej nie przemówiło, nie znalazła w nich sensu. W końcu uznała, że większość z tego, co przeczytała, jest czystą bzdurą. Nigdzie jednak nie słyszała o tym, by możliwe było przeniesienie się w czasie do nieistniejącego miejsca.

Ogarnęła ją czarna rozpacz, z której nie widziała wyjścia. Nagle poczuła się strasznie, niewypowiedzianie zmęczona. Po raz pierwszy od wielu lat miała ochotę zaszyć się w jakąś ciemną norę i po prostu przestać istnieć. Może wówczas mogłaby się wreszcie obudzić, a to wszystko okazałoby się tylko koszmarnym snem. Wtedy razem z Kelly mogłyby...

Gwałtownie poderwała głowę. Serce zaczęło jej walić jak oszalałe, tak głośno, że nie była w stanie usłyszeć niczego innego. Lodowaty dreszcz paniki spłynął jej po plecach, aż zadygotała.

Kelly.

Kelly wkrótce miała wrócić do domu, roześmiana, podniecona, kipiąca od opowieści na temat wyprawy. Zastuka do drzwi albo zadzwoni... zrobi cokolwiek, żeby się skontaktować z matką. Ale nikt nie podniesie słuchawki, drzwi się nie otworzą, żadnych powitalnych okrzyków, zapewnień o tęsknocie. Dom będzie zimny i pusty.

Lainie już widywała taki pusty dom; wracała do niego, kiedy miała jedenaście lat. Na to wspomnienie zrobiło jej się niedobrze.

Zacisnęła powieki, powstrzymując falę okropnych wizji zalewających jej umysł, drażniących, przypominających to, czego nie chciała pamiętać. A pamiętała wszystko: oślepiający blask jarzeniówek, szum starych grzejników w budynku opieki społecznej, zapach łóżek zasłanych spraną pościelą. *Nie wiemy, gdzie są twoi rodzice, skarbie. Będziesz musiała pójść z nami... Państwo George są takimi miłymi ludźmi... Yannicksowie są tacy mili... Holdenowie wezmą cię na trochę, ale nie zachowuj się już tak... Państwo Gray wezmą cię do siebie, ale... River-sowie... Smithowie... Kentowie...*

O, tak. Wiedziała, co się dzieje z dziećmi, które wracają do pustych domów.

Ale z Kelly tak nie będzie.

Lainie na to nie pozwoli.

Pozbierała się na nogi, gotowa biec, krzyczeć, gotowa na wszystko. Czyli na co? Przez moment nie była w stanie się poruszyć, potrafiła myśleć tylko o swoim dziecku. O swojej cudownej, ślicznej małej dziewczynce.

Krzyk rósł jej w gardle. Zatkąła usta dłonią, żeby go powstrzymać.

- O Boże. - Krótka, błagalna modlitwa precyzyjnie się przez skostniałe palce.

Fortune Flats. Ta nazwa spadła jej z nieba, jak dar od Boga, dając otuchę, punkt oparcia.

Jakkolwiek się tu znalazła, przejeżdżała przez Fortune Flats. Musiała tam dotrzeć. Bo jeśli istniała droga do domu, prowadziła przez Fortune Flats.

Musiała wrócić.

Lainie niemal bez tchu dopadła chaty Killiana. Przy każdym wciągnięciu powietrza klucie w boku wzmagało się do nieznośnego bólu. Zatrzymała się przed drzwiami i sięgnęła do rzemiennego uchwytu.

Jednak w ostatniej chwili opadły ją wątpliwości.

On ci nie pomoże. Nikt ci nie pomoże.

Ze strachu dostała czkawki. | Nabrała głęboko powietrza, zatrzymując je w płucach, i dopóki nie zaczęło jej się kręcić w głowie, po czym wolno

wypuściła. I - Uspokój się, Lainie - nakazała sobie stanowczo. - Uspokój się.

Niespodziewanie przypomniała sobie zdarzenie na skalnej półce. Killian był wtedy inny, nie przypominał twardego bandyty z rewolwerem ani bezwzględного typu, którego sama wymyśliła. Pomógł jej pokonać lęk, a w jego oczach widziała zrozumienie, które ją zaskoczyło. Może gdyby znów potrafiła je w nim odnaleźć, zgodziłby się jej pomóc.

Nie miała zbyt wielkich nadziei, ale to już było coś, a zdarzało jej się wykorzystywać mniejsze szanse.

Zebrawszy w sobie resztki odwagi, pchnęła drzwi. Otworzyły

się ze skrzypieniem zawiasów, uderzając o ścianę. Z surowycli belek pod sufitem osypał się kurz. W niewielkim pomieszczeniu unosił się zapach kawy, gęsty i kuszący.

Killian siedział na łóżku, całkowicie ubrany, z blaszanym kubkiem w dłoni. Odrzucona niedbale pościel tworzyła szara stertę.

Lainie przełknęła z trudem ślinę; starała się robić wrażenie spokojnej, choć serce tłukło jej o żebra, a

kolana się trzęsły.

- Muszę natychmiast wyjechać - powiedziała drżącymi wargami, patrząc mu prosto w twarz.

Unosząc pytająco brew, spokojnie pociągnął łyk kawy.

- Naprawdę?

Słyszała ironię w jego głosie, widziała jąw głębi brązowych oczu mężczyzny. I zrobiło jej się przykro. Powiedziała sobie zaraz w duchu, że to przecież nie ma znaczenia. Był dla niej nikim, mniej niż nikim. Tak czy inaczej, z nim lub bez niego, zamierzała wrócić do Fortune Flats.

- Naprawdę.

- Chcesz kawy?

- Nie, nie chcę kawy. Chcę się stąd wydostać, i to zaraz.

Odstawił kubek na skrzynkę przy łóżku. Wstał i zbliżył się powoli do Lainie.

- Nigdzie nie pojedziesz, dopóki nie porozmawiamy.

- Nic nam nie przyjdzie z rozmowy. Nie zaprowadzi mnie z powrotem do... - Na myśl o Kelly jakby coś w niej pękło. Mizerna nadzieja, którą zdołała w sobie rozniecić, zgasła, pozostawiając po sobie pustkę. Nagle, po raz pierwszy w życiu, nie zależało jej na dumie, na tym, żeby dobrze wyglądać, sprawiać wrażenie silnej. Czuła jedynie rozpacz i strach i nie miało znaczenia, czy on to widzi.

Zauważył jej bezbronność i wykorzystał z bezwzględnością drapieżnika.

- Z powrotem do czego... do kogo? Do twojego wspaniałego Joego?

Nic znalazła w sobie siły, żeby wytrzymać jego przenikliwe {to]izienie.

Do domu - szepnęła. - Chcę tylko wrócić do domu. Nigdzie nie pojedziesz, kobieto. Przynajmniej dopóki mi u' udzielisz paru odpowiedzi.

Odpowiedzi? - powtórzyła, słysząc we własnym głosie zbierającą histerię. -Nie mam dla ciebie żadnych odpowiedzi, illian. /robił kolejny krok w jej stronę.

Radziłbym ci, żebyś miała. ()dskoczyła gwałtownie, starając się znaleźć jak najdalej od niego. Z coraz większym trudem powściągała emocje. Ręce jej się trzęsły, serce dławilo w gardle. Była w stanie myśleć jedynie o Kelly i o powrocie do domu.

Chodź tu, Lainie - odezwał się groźnie ściszoneg głosem. Rozejrzała się, szukając drogi ucieczki. Nie miała dla niego żadnych odpowiedzi, a poza tym i tak by jej nie uwierzył. Strach w niej narastał, oddychała coraz szybciej.

Nagle kątem oka dostrzegła błysk metalu. Natychmiast rozpoznała, skąd pochodzi. Rewolwer. Władza. Nie zastanawiając się, co robi, jednym skokiem dopadła broni i odwróciwszy się na pięcie wycelowała w Killiana. Stał jak wryty.

- Jezus, kobieto...

Co dalej? Musiała w jakiś sposób go unieszkodliwić... przynajmniej na tak długo, by mogła się wydostać z tego przekłętęgo miejsca. Tylko jedna możliwość przychodziła jej do głowy... i wcale jej się nie podobała.

- Zdejmij... z siebie ubranie.

Nie wiedziała, czego się po niej spodziewał, ale z pewnością nie tego. Wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem.

- Co?

- Zdejmij ubranie i rzuć mi je.

Umiechnął się półgębkiem.

- Nie potrzebujesz rewolweru, żeby mnie zobaczyć nagiego, Lainie.

- Nie chcę cię oglądać nagiego.

- Cóż, trochę trudno w to uwierzyć, zważywszy na okoliczności.

- Zamknij się i ściągnij łachy.

Zaczął rozpinać koszulę.

Widząc, jak odsłania coraz większą połać szerokiej piersi, szybko umknęła wzrokiem.

- Nie zrobię tego, jeśli nie będziesz patrzeć.

Zesztywniała. Przez sekundę nie była zdolna do żadnej innej reakcji, ale po chwili znów na niego spojrzała. Powrócił do przerwanej czynności - bez pośpiechu rozpinał jeden guzik po drugim. Zsunął koszulę z ramion i trzymając zawieszoną na jednym palcu, spytał:

- Tam położyć?

Potwierdziła sztywnym skinięciem. Spodziewał się, że coś powie, ale milczała. Zacisnęła tylko usta w surową linię, kiedy zaczął rozpinać rozporek.

Na twarz i szyję wypłynął jej rumieniec. Po leciutkim drganiu w kącikach oczu poznał, że Lainie ma wielką ochotę odwrócić wzrok.

Odpiąwszy ostatni guzik, zsunął spodnie z długich nóg i kopnął je w stronę spoczywającej na podłodze koszuli.

Stojąc jedynie w znoszonych płóciennych kalesonach, podrapał się po nagiej piersi.

- Wystarczy... czy chcesz zobaczyć więcej?

Prychnęła niecierpliwie.

- Nie rozumiesz, że mierzę do ciebie z rewolweru? Mogę cię zabić, na litość boską, a ty się zachowujesz, jakbym cię uwodziła.

- Słyszałem o kobietach, które lubią władzę, jaką daje broń. Cóż, skoro...

Zamknij się! - Wzięła głęboki wdech. Widział, z jakim ludem przychodzi jej zachowanie spokoju. - Zdejmij bieliznę.

Bez pośpiechu, celebrując każdy ruch, pochylił się i zaczął łdilać pomięte kalesony. Odrzucił je na resztę ubrania i wyprostował się, całkiem nagi.

Na widok miny Lainie omal nie wybuchnął śmiechem.

Sztywna, jakby połknęła kij, zaciskała palce na rewolwerze tak mocno, że aż jej zbieleły kostki. Miała pobladłą twarz, wytrzeszczone oczy. Widział ruch mięśni na jej szyi, kiedy nerwowo przełykała ślinę. Przesuń się tam. Do kąta.

- Łóżko jest wygodniejsze...

- Ruszaj się.

Pogwizdując cicho, przeszedł tam, gdzie mu kazała.

- Przestań. To nie zabawa.

Stał w kącie, zwrócony plecami do ściany, skrzyżował ramiona na piersi.

- Ale nie wygląda to zbyt poważnie - zauważył z szerokim uśmiechem.

- Zacznie tak wyglądać, kiedy do ciebie strzelę. - Wciąż w niego celując, zebrała stertę ubrań i wyrzuciła za okno.

Natychmiast pojał, co się dzieje, i wezbrał w nim dziki gniew.

- Jesteś szpiegiem Joego Martina. Zaśmiała się z goryczą, wciągając buty.

- Akurat.

- Wiesz, że Joego już tam nie ma. Odjechał, jak tylko schowaliśmy się w tunelu. Spytaj wartownika, jeśli mi nie wierzysz.

- Sama znajdę drogę powrotną. - Nie spuszczać z niego wylotu lufy, chwyciła na wpół opróżnioną manierkę i śpiwór.

- Widziałaś, jak tam jest, Lainie - ostrzegł, marszcząc czoło. - Zginiesz.

- Być może. - Cofnęła się do drzwi, otworzyła je, wsuwając wolną rękę za plecy, po czym wymknęła się na zewnątrz.

I tak samo szybko, jak pojawiła się w jego życiu, teraz z niego zniknęła.

Lainie pędziła drogą przez osadę, bezskutecznie próbując nie rzucać się w oczy. Wszędzie kręcili się ludzie. Wychodzili ze swoich namiotów i chat, płatali się po całym terenie, patrzyli.

Zbliżywszy się do wlotu tunelu, przystanęła gwałtownie. Wstrząsnął ją dreszcz strachu pomieszanego z obrzydzeniem; trudno jej było wykonać następny krok. Wpatrywała się w ciemność, wdychała wilgotny smród, myśląc o labiryncie, który się przed nią rozpościerał. Serce waliło jej tak głośno, że nie była w stanie usłyszeć nic innego. Wstrzymując oddech, zrobiła pierwszy krok w ciemność.

Tuż za nią rozległo się metaliczne kliknięcie odbezpieczanej broni. Lainie zastygła w bezruchu. Przeklinając w duchu, odwróciła się powoli.

W odległości jakichś dziesięciu stóp stał potężny brodac z rewolwerem w dłoni. A za nim, otaczając go podkową, jeszcze spora gromada innych obdartusów.

- Halo, panienko - odezwał się chrapliwie. Przełknęła z wysiłkiem ślinę.

- Domyślam się, że jesteś wartownikiem. Końcem lufy odsunął z czoła rondo kapelusza.

- Ja tak. Ale ty nie...

Przerwał mu gwar podnieconych głosów. Wszyscy mężczyźni zaczęli mówić jednocześnie. Donośny, rubaszny śmiech wstrząsnął powietrzem, odbił się echem o skały.

Nagle z tłumu wyłonił się Killian. Zupełnie nagi, zmierzał szybko w jej stronę.

Lainie poczuła, jak miękną jej kolana.

- O, nie...

Uśmiechnął się do niej zimno, drapieżnie.

- Nie należy się spodziewać wstydlivosti po bandycie.

Nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, przerzucił ją sobie przez ramię. Uderzyła twarzą o twardą wypukłość jego pośladka. Półkula bladego ciała zasłoniła jej wszelkie widoki.

Ponad ogólny rechot wybijały się pojedyncze męskie głosy.

- Hej, szefie, za mnie też ją wychędoż!

- Pamiętaj, żeby ją dobrze przywiązać do łóżka!

Lainie zamknęła oczy, zaciskając przy tym zęby aż do bólu.

Killian przedarł się przez tłum i pomaszzerował z powrotem do swojej chaty. Przy każdym zamaszystym kroku Lainie obijała się o jego plecy. Nie zatrzymał się przed drzwiami; po prostu otworzył je kopnięciem i wszedł do środka.

Nim się zorientowała, że są już w chacie, postawił ją gwałtownie. Zachwiała się i zatoczyła pod ścianę, sycząc z bólu, który przeszył jej łopatki. Zamknęła oczy, żeby nie patrzeć na swego prześladowcę.

Mimo to czuła jego obecność, słyszała złowrogie skrzypienie podłogi, kiedy się do niej zbliżał.

- Otwórz oczy, Lainie - szepnął, stając tak blisko, że wyczuwała ruch powietrza wywołany jego oddechem.

Uchyliła jedną powiekę i natychmiast tego pożałowała.

Znajdował się dosłownie o włos od niej, czuła przez ubranie żar bijący od jego nagiego ciała. Zaciśniętymi pięściami opierał się o ścianę po obu stronach jej głowy. Pochylił głowę, tak że wypełnił całkowicie pole widzenia Lainie; wnętrze chaty rozpląnęło się w nicość.

- Nie uczysz się zbyt szybko. Dokąd się wybierasz?

Z najwyższym trudem zmusiła się do spojrzenia mu w oczy.

- Prosiłam cię o pomoc - przypomniawszy. - Odmówiłeś, więc wybrałam się sama.

Odsunął się nieco, na tyle tylko, by się jej przyjrzeć.

- Sama. - To krótkie słowo zabrzmiało w jego ustach jak przekleństwo. - Nic nie rozumiesz, prawda? Nie istniejesz sama, Lainie. Należysz do mnie.

-x Jeszcze czego.

Nachylił się bliżej i zaczął mówić ciszej:

- Należysz do mnie, Lainie. Mogę tu zrobić z tobą wszystko i nikt mnie nie powstrzyma. - Jego wargi niemal dotykały jej ust. - Wszystko...

- Nikt i nic mnie nie zmusi, żebym do ciebie należała, Killian. Możesz mi wierzyć. Potrafię przetrwać wszystko. Niezależnie od tego, co zrobisz, ja i tak ucieknę. Nie możesz mnie pilnować bez przerwy.

- O, czyżby? Mogę cię przywiązać do łóżka.

Lodowaty dreszcz strachu przebiegł Lainie po plecach.

Wyprostowała się, próbując udawać, że ta groźba nic dla niej nie znaczy, ale w jego zmrużonych oczach wyczytała swoją porażkę - widział jej lęk.

- Nie możesz stąd odejść - rzekł poważnie.

Te spokojnie wypowiedziane słowa przeraziły ją bardziej, niż mogła się spodziewać. Pomyślała o Kelly wracającej do pustego domu i zaczęła się trząść na całym ciele.

- Chcę do domu - wykrztusiła, patrząc na niego oczyma szklistymi od łez. - Tak trudno ci w to uwierzyć?

Przyglądał jej się w milczeniu. Przez moment miała wrażenie, że chce jej dotknąć. Nie zrobił tego jednak. Przez chwilę stał nieruchomo, a potem złapał ją za ramię, poprowadził do łóżka i pchnął na wygnieciony materac.

- Proszę - wyszeptała przez ściśnięte gardło.

Schylił się po swoje spodnie, wciągnął je na nogi i zapiął rozporek.

- Kim ty jesteś? - spytał, siadając na drugim końcu łóżka.

Wpatrywała się w swoje dłonie, nie mając odwagi zmierzyć się z jego spojrzeniem.

- Nie jestem zagrożeniem dla ciebie ani dla tych ludzi. Jeśli mnie odwiesz do Fortune Flats, nigdy nikomu nie powiem ani słowa o tym miejscu.

Oparł się plecami o belkę służącą za wezglowie łóżka i przyglądał się Lainie w milczeniu. Kiedy się wreszcie odezwał, głos miał cichy i spokojny.

- Wszyscy wiedzą, gdzie leży ta osada. Nasze bezpieczeństwo nie opiera się na tajemnicy, lecz na łatwości obrony.

- Aha. - Tylko na tyle była w stanie się zdobyć.

- Spójrz na mnie.

Z ociąganiem spełniła polecenie. Wpatrywał się w nią zmrużonymi, pociemniałymi oczyma tak intensywnie, że poczuła dziwny niepokój.

Odsunął się nieco, wciąż nie spuszczał z niej wzroku.

- Jeśli masz mi coś do powiedzenia, kobieto, lepiej zrób to teraz.

~ I tak byś mi nie uwierzył - rzekła cicho, przygnębiona bolesną prawdą, zawartą w tych słowach.

- Jesteś pewna?

Parsknęła gorzkim śmiechem, całkowicie pozbawionym wesołości.

- O tak, jestem pewna. Bo sama sobie nie wierzę.

Wstał, podszedł do stołu i odsunawszy krzesło, usiadł na nim, krzyżując ręce na piersi. Tym razem w jego oczach nie było współczucia, zrozumienia ani troski. Była jedynie chłodna uwaga, która jeszcze zwiększała dzielący ich dystans. Lainie miała przed sobą człowieka wyjętego spod prawa, bandytę, który przywykł brać to, czego pragnął, posługując się naładowaną bronią.

- Powiedz - zachęcił.

I już wiedziała, że przegra. Przegra każdą walkę, jaką z nim podejmie. Mogła jedynie wyznać prawdę w nadziei, że mężczyzna, którego widziała w nim na tamtej skalnej półce, rzeczywiście istnieje. Że głęboko w środku pozostały resztki prawego człowieka, którym przecież musiał być kiedyś.

Ukradkiem otarła łzy, choć on i tak to zauważył. Bo zauważał wszystko.

- To się zaczęło dwa dni temu. W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim.

Co takiego?

Posłała mu zmęczone spojrzenie.

- Trzymaj się, bo dalej będzie jeszcze gorzej.

Killian wpatrywał się w nią z osłupieniem. Siedziała na łóżku skulona, z rękami zaciśniętymi na kolanach. Ten śmieszny sweter zwisał jej z jednego ramienia, odsłaniając kawałek spieczonej skóry. W jej spojrzeniu nie było śladu rozbawienia; nic nie wskazywało na to, że sobie z niego żartuje. Miała w oczach jedynie bezradność i udrękę.

Powoli odchylił się na oparcie krzesła.

- Mów dalej.

- Nazywam się Alaina Constanza. - Podniosła dłoń, zanim zdążył jej przerwać. - Wiem, że to już słyszałeś, ale chciałam zacząć od samego początku. Zatem jestem Alaina i urodziłam się... w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku.

Patrzył na nią przez chwilę z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Kiedy wreszcie do niego dotarło, co powiedziała, zaczął się śmiać, lecz zaraz ucichł, widząc jej boleśnie ściągniętą twarz.

- Jezu Chryste, oczekujesz ode mnie, że w to uwierzę?

Westchnęła tak smutno, że aż zrobiło mu się jej żal.

- Niczego nie oczekuję. Po prostu opowiadam ci moją historię. - Bez powodzenia starała się umiechnąć. - Będzie coraz bardziej niezwykła.

- Mów, słucham.

- Próbowałam się jakoś w tym rozeznać, dostrzec jakiś sens. Ale mi się nie udawało. Wiem tylko tyle, że dwa dni temu siedziałam przy moim komputerze i pisałam tę książkę, a teraz jestem tutaj, w tysiąc osiemset

dziewięćdziesiątym szóstym roku. - Zwilżyła językiem dolną wargę, a potem przygryzła ją mocno.

Potrząsnął głową, zupełnie ogłupiały. Miał ochotę wyśmiać ją i wyrzucić ze swego życia, ale bezbronność i cierpienie bijące z jej oczu sprawiły, że się zawahał. Zapaliła się w nim iskra współczucia dla tej kobiety, choć wcale tego nie chciał, wręcz był o to na siebie wściekły.

- Jezu, Lainie...

Poderwała się błyskawicznie i uklękła przed nim.

- Spójrz na mnie, Killian. Mam na sobie obszarpane stare; lewisy, sweter, jakich z pewnością się tu nie nosi, stanik}; którego nie wynajdą jeszcze przez wiele lat, i każde ucho przekłute w trzech miejscach. Jak często spotykasz podobne, do mnie kobiety?

Nigdy. Nie musiał się zastanawiać nad odpowiedzią - była jednoznaczna, natychmiastowa i mocno go zaskoczyła. Zachnął się mimowolnie. Jej błagalne spojrzenie wzbudziło ciąg wspomnień. Zacisnął szczęki, zmuszając się do odwrócenia wzroku.

- Spójrz na mnie, Killian. Proszę...

Nie miał w sobie dość siły, żeby jej odmówić, chociaż czuł, że tak byłoby dla niego najlepiej. Jej prośba, wypowiedziana cichym, drżącym głosem, jakby on rzeczywiście mógł jej pomóc, wciągnęła go w zimną, przerażającą ciemność.

- Killian...

Wydał z siebie stłumiony dźwięk, ni to jęk rozpacz, ni gniewne warknięcie, i znów na nią popatrzył. Po raz pierwszy w duchu przyznał, że w jej dziwnym stroju jest coś zastanawiającego.

Wzniósł oczy ku niebu. Jezu, przez tę kobietę tracił skąpe resztki rozsądku, jakie mu jeszcze pozostały. Musiał zachować choć trochę ostrożności.

- Viloula nosi spodnie, a gdybyś ją nazwała mężczyzną, wydrapałaby ci oczy.

- A moje włosy?

- Twój fryzjer nie powinien dostawać do ręki nożyczek, a już na pewno nie należy mu pozwalać na obcinanie włosów, ale to wcale nie znaczy, że jesteś z przyszłości. Do diabła, włosy Arizony wyglądają, tak jakby się w nich pasły króliki... a on nie pochodzi z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego.

- A moje ubranie? - Zniżyła głos do szeptu.

Wzruszył ramionami.

- Na Zachodzie kobiety czasem przebierają się za mężczyzn. Czasami tak jest bezpieczniej.

Z ciężkim westchnieniem uniosła dłonie w geście poddania.

- No dobrze, rozumiem twój punkt widzenia. Więc jak inaczej mogę ci to udowodnić?

Zaśmiał się, ale jego śmiech był jakiś pusty, bez wesołości.

- Przepowiedz mi przyszłość.

Odpowiedziała rozbijając szczerym spojrzeniem.

- Jak mogłabym to zrobić? Mogę ci powiedzieć, kto będzie następnym prezydentem, w którym roku wyślemy pierwszego człowieka na Księżyc, cokolwiek... ale jak miałbyś to sprawdzić? Dlaczego miałbyś mi wierzyć?

- Nie uwierzyłbym.

- Jeśli nie jestem z przyszłości, to skąd się tu wzięłam? Skąd wiem tak dużo o tobie i twoich ludziach?

- Szpiegujesz dla Joego Martina. Przysłał cię tu, żebyś zdobyła dowody przeciwko mnie. On od lat szuka świadka, żeby mnie wsadzić do więzienia. Tylko nie przewidział, że cię uprowadzę.

- A kto mu powiedział, kiedy zamierzasz napaść na bank?

- Ktoś z mojego otoczenia musiał się wygadać. - Pokręcił głową. Przyznaję, wcale mi się to nie podoba. Ale o wiele łatwiej uwierzyć w donos niż w podróż w czasie.

- Nie jestem szpiegiem Joego Martina, Killian. Przysięgam. - Spojrzała mu w oczy. - Wiem, że to brzmi, jakbym była szalona, ale muszę wrócić do Fortune Flats. Nic innego się nie liczy. Gdybyś mógł mnie tam zawieźć... proszę...

Nagle, po raz pierwszy, zaczął się jej bać. Był śmiertelnie przerażony. Miał ochotę ją odepchnąć i uciekać jak najszybciej, jak najdalej od jej żałośnie patrzących oczu.

Zacisnął zęby, starając się nie słyszeć rozpaczliwej z jej głosu, ponieważ rzucała go w przeszłość, przez nią przypomniał sobie to, o czym nie pamiętał od lat. Może kiedyś był człowiekiem skłonny pomagać innym ludziom, ale to dawno minęło. I nie było powrotu do tamtych czasów.

Dokonał wyboru - chciał być sam, nie ponosić odpowiedzialności za nikogo oprócz siebie. Dlatego właśnie był

tu, w Tunelu, pośród życiowych wyrzutek i nieudaczników. Niczego od niego nie oczekiwali, więc też w niczym nie mógł ich zawieść; Nie chciał już nigdy odpowiadać za życie innej osoby, ponieważ się nie sprawdził, zawiódł. Ludzi... kobiety, które powierzyły mu swe życie, spotykała śmierć.

- A co takiego jest w Fortune Flats? - spytał, z trudem przybierając obojętny ton.

Zwleką z odpowiedzią tak długo, że w końcu na nią spojrział. I natychmiast wiedział, że popełnił błąd.

Ledwie zauważalnie potrząsnęła głową. Pod wpływem tego ruchu łza spłynęła jej po policzku, a on ledwie powstrzymał nedorzecznym odruch, żeby ją zetrzeć.

- Nie wiem, ale tam właśnie wylądowałam. Pomyślałam więc, że może stamtąd prowadzi droga powrotna.

Wydał z siebie gniewne sapnięcie.

- Po co opowiadasz mi te bzdury?

- Potrzebuję twojej pomocy.

Złość poderwała go na równe nogi. Cofając się o krok Lainie potknęła się i usiadła na ziemi. Killian chwycił ją za ramiona, wbijając boleśnie palce w poparzoną skórę, i podniósł do pozycji stojącej.

Głowa odskoczyła jej do tyłu. Za szklistą powłoką łez jej oczy wydały mu się prawie czarne, a ich wyraz, niewypowiedziane smutny, podzielał na niego jak cios w podbrzusze.

- Na rany Chrystusa, czego ty ode mnie chcesz?

- Potrzebuję przewodnika, żeby wrócić do Fortune Flats. Chyba nie proszę o tak wiele.

Potrząsnął nią mocno. Słowa „Fortune Flats” dotarły do jego mózgu, ale ledwie je słyszał. Bo słyszał przede wszystkim „potrzebuję”. Poczul, jak strach i złość wypełniają go po brzegi, dławią w gardle.

- Jak na mnie, to stanowczo zbyt wiele - warknął, od pychając ją od siebie. - I przestań tak na mnie patrzeć.

Cofnęła się, ale nie odwróciła wzroku. Kolejna łza spłynęła jej po policzku, skapnęła na szyję.

- Nikt inny nie może mi pomóc.

- Wielka szkoda.

Na widok jej miny coś ścisnęło go za gardło.

- Jezu Chryste - syknął przez zaciśnięte zęby, próbując się od niej odsunąć jak najdalej. - Czy ty nie rozumiesz? Nie mogę ci pomóc.

- To znaczy nie pomożesz - powiedziała takim tonem, że poczul się jak ostatni drań.

Nagle gniew zniknął, tak samo szybko, jak się pojawił. Jego miejsce zajął zimny, dojmujący żal. Zewsząd opadły go natrętne wspomnienia; był bliski uniesienia rąk, żeby się przed nimi osłonić.

- Nie - wydusił z siebie chrapliwie. - Nie mogę.

Zbliżyła się do niego. Słyszał każde stąpnięcie, odczuwał je jak cios wymierzony prosto w serce. Stała tuż przed nim. Zesztywniał, wpatrzony przed siebie ponad jej ramieniem. Widział tylko swoje mroczne wspomnienia na tle pustej ściany.

- Kiedyś byłeś bohaterem.

Cofnął się, głośno wciągając powietrze.

- Co masz na myśli?

- Wtedy, kiedy byłeś strażnikiem. - Patrzyła na niego szczerym, nieugiętym wzrokiem. - Coś z tamtych czasów musiało w tobie pozostać.

Czas jakby zwolnił. Kontury chaty rozmyły się w ciemności; wszystko inne przestało istnieć, pozostali jedynie oni dwoje, stojący naprzeciw siebie twarzą w twarz. W przytłaczającej ciszy słyszał równomierny szmer jej oddechu i łomotanie własnego serca. Jej słowa usiadły mu na piersi, zimne i ciężkie, miał wrażenie, że go uduszą.

- Skąd wiesz o mnie to wszystko?

- Ja to napisałam.

Znowu chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Nie żartuj sobie ze mnie, do diabła! Co jeszcze o mnie wiesz?

- Wszystko.

Puścił ją i ze zdumieniem odkrył, że drżą mu dłonie. Od tak dawna nikt nie przypominał mu o przeszłości. Nagle zziębłymi: palcami skrzył papierosa i zapalił. Kłęb dymu przesłonił mu ją na moment Lainie, odgrodził go od smutku bijącego z jej oczu. Odwrócił się i przeszedł przez izbę, żeby się znaleźć jak najdalej

od tej kobiety. Kiedy siadał na krzesło, żalodne skrzypienie rozeschłego drewna zabrzmiało jak wystrzał w martwej ciszy.

Odetchnął, zmuszając się do zachowania spokoju. Nie mogła o nim wiedzieć wszystkiego. Bo przecież gdyby tak było, nie prosiłaby go o pomoc. Żadna kobieta znająca jego przeszłość nie popełniłaby tego błędu.

- Więc co o mnie wiesz?

Lainie wzdrygnęła się, słysząc pytanie. Czowała się tak, jakby odbezpieczony granat wylądował jej na kolanach. Przesunęła językiem po spękanych, wysuszonych ustach, zerkając na niego, nagle przestraszona. Sekundy płynęły wolno, lecz nieubłagane.

- Mów! - ponaglił ostro.

Przysiadła na piętach obok łóżka; twarde deski podłogi wrzynały jej się w kolana, ale prawie tego nie zauważała. Killian siedział w drugim końcu pomieszczenia, wychylony z krzesła, z papierosem w ustach. Wyraz jego oczu budził w niej lęk, a przyczajona, napięta sylwetka przywodziła na myśl polującego drapieżnika.

- Jesteś John McArthur Killian - zaczęła cicho. - Urodzony w tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym roku w Szkocji. Przyjechałeś do Ameryki w osiemdziesiątym z dziesięcioma dolarami w kieszeni. Zostałeś strażnikiem Teksasu i dobrze spełniałeś tę rolę, dopóki...

Zastygł w całkowitym bezruchu, jakby przestał oddychać. Smuga dymu zawisła na wysokości jego oczu.

- Mów dalej.

Lainie z najwyższym trudem wydusiła z siebie następne słowa.

- Dopóki... Emily... nie umarła.

- Jak umarła? - spytał cicho.

- Był pewien bandyta... Chyba nie nadałam mu imienia...

- Rem Clide - powiedział spokojnie. Uniosła brwi.

- Naprawdę? Ja go chyba tak nie nazwałam...

- Mów dalej.

- Tak czy inaczej, ten bandyta i jego kompani... - Zamrugnęła, przypomniawszy sobie wyjątkową brutalność tej sceny. Spuściła głowę, nie mając odwagi na niego patrzeć. To był dla niej rodzaj terapii, coś, co musiała w końcu napisać, choć na samą myśl o tym robiło jej się niedobrze. - Zgwałcili ją i zabili...

Krzesło zaskrzypiało. Usłyszała ból w jego ciężkim westchnieniu i ścisnęło jej się serce. Oderwała wzrok od swych splecionych dłoni i spojrzała niepewnie na Killiana.

Smutek i żal wyostrzyły mu rysy twarzy, wydawał się starszy.

- Jesteś blisko - odezwał się po dłuższej chwili dziwnie zduszonym głosem.

- Blisko? Przecież dokładnie tak było.

Ujrzała w jego oczach bezdenną rozpacz, tak dobrze jej znaną. Doświadczyła jej w życiu miliony razy.

- Nie.

Uniosła brwi, zaskoczona. Jak mogła się mylić? To niemożliwe. Przecież sama go wymyśliła. Znow ogarnęło ją przytłaczające poczucie zagubienia. Miała wrażenie, że grunt usuwa jej się spod nóg.

- W czym się mylę?

Wzruszył ramionami, jakby to nie miało żadnego znaczenia.

- Urodziłem się w tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim.

Potrząsnęła głową, obliczając szybko w myślach jego wiek.

Zatem wkrótce miałby skończyć czterdzieści trzy lata. Wyglądał na tyle... do licha, wyglądał nawet na więcej. Ale przecież to było niemożliwe. To ona go stworzyła, wymyśliła wszystkie fakty z jego życia. Miał dwadzieścia osiem lat.

- Nie...

- Owszem, a Emily... - Urwał, odwracając wzrok. Kiedy się w końcu odezwał, słowa z trudem przechodziły mu przez ściśnięte gardło. - Emily nie została zamordowana.

- Co?

- Słyszałaś.
- Ale... ja napisałam tę scenę. To nie była tylko część twojego życiorysu albo jakaś mało istotna wzmianka. Napisałam tę scenę, słowo po słowie. Wiem, co się stało.
- Mylisz się.
- Lainie była tak zaskoczona, że na chwilę odebrało jej mowę.
- Ale... - wydukała wreszcie - ...w takim razie jak...

Wykonał szybki, prawie niezauważalny ruch głową.

Zapanowała cisza. Lainie wiedziała, że nie powinna jej przerywać, a on także pierwszy się nie odezwie. Będą tak siedzieć już zawsze, oboje pokonani i samotni, patrząc na siebie nawzajem, ale widząc coś zupełnie innego.

Przypomniała sobie wszystkie swoje notatki na temat Killiana, rozłożone na biurku. Zaplanowała, zbadała i opisała każdą chwilę jego życia, każdą cechę charakteru. Znała go na wylot... przynajmniej tak jej się zdawało. A jednak się myliła.

Przyjrzała mu się ukradkiem. Siedział sztywno wyprostowany, z twarzą ukrytą za zasłoną szarego dymu. Patrzył na nią, lecz chyba jej nie widział. Swoimi słowami otworzyła dawno zamknięte wrota do przeszłości i sprawiła, że w nią wpadł.

Uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, o czym on myśli, co wspomina. Miała przed sobą człowieka, którego sama stworzyła, wymyśliła od początku do końca, i choć to się wydawało niemożliwe, nie miała pojęcia, o czym on myśli. Albo kim jest.

Co tu się działo?

Znienacka poderwał się na równe nogi i kopnął krzesło, które przeleciało przez całą izbę i z hukiem wylądowało na ścianie.

- Dosyć - syknął, mocnym szarpnięciem otwierając drzwi, żeby wyrzucić na wół wypalonego papierosa.

Szybko pozbierała się na nogi.

- Killian, proszę, potrzebuję tylko...

- Nie obchodzi mnie, czego potrzebujesz - przerwał jej ze złością. - Nic już nie mów. Rozumiesz?

Gniew bijący z jego głosu stłumił w niej ostatnią iskierkę nadziei. Nie miał zamiaru jej pomóc. W człowieku, którego stworzyła, nie pozostało już nic z bohatera. Był tak samo twardy, zły i zgorzkniały jak przeszłość, którą mu przypisała. A ona była głupia, sądząc, że jest inaczej. Myśląc, choćby przez sekundę, że zgodzi się jej pomóc.

Miała ochotę znów osunąć się na kolana, ale zdołała się powstrzymać. Wystarczyło jej nawet odwagi, by dumnie zadrzeć głowę.

- Prosiłam cię o pomoc, ale jej nie potrzebuję. Mogę wyjechać sama.

- Chyba nie słuchałaś mnie uważnie, Lainie. Ja tu jestem Bogiem.

Zaśmiała się gorzko.

- To jedna z korzyści otaczania się głupcami i strażakami.

- Ciebie też tu sprowadziłem, prawda?

Wyminęła go, zmierzając do wyjścia.

- Strzelę ci w plecy, jeśli tylko wydam rozkaz - powiedział cicho.

Skamieniała w pół kroku, ręka sięgająca do drzwi opadła. Lainie powoli odwróciła się do niego twarzą.

- Nie wydałbyś takiego rozkazu.

- Już wydałem. Pobladła.

- Nie... nie rób mi tego. Muszę wrócić do...

- Do kogo? - spytał, mrużąc oczy.

Łzy, ciepłe i kłujące, znów nabiegły jej do oczu.

- Do Kelly - szepnęła.

- Kto to jest Kelly? - spytał zaskoczony.

- Moja córka.

- Jesteś matką? Przytaknęła, nie patrząc na niego.

- Tak. I... nie chcę, żeby moje dziecko wróciło do pustego domu. - Podniosła głowę i odważyła się po raz ostatni zajrzeć mu w oczy. - Wiesz, jak to jest, kiedy wraca się do pustego domu... prawda, Killian?

Wyraźnie pobladły, głośno wciągnął powietrze.

- Dosyć - wycedził przez zaciśnięte zęby. -Chcesz pomocy, to ci ją zapewnię. Chodź ze mną.
- Naprawdę?

I już go nie było. Przystąpiwszy próg, zniknął na zewnątrz. Lainie rzuciła się za nim, usiłując nadażyć za jego szybkim marszem.

On szedł, a ona biegła wyboistą drogą rozdzielającą osadę. Przy ostatniej, niewielkiej chacie zatrzymał się i zastukał do drzwi. Ze środka dobiegł stłumiony, szorstki głos:

- Wejść.

Killian pchnął drzwi, po czym odwrócił się, chwycił Lainie za ramię i wciągnął ją do mrocznego wnętrza.

- Viloulo, mam tu dla ciebie szaloną kobietę. Trzymaj ją ode mnie z daleka.

Mała, zagracona chata miała ściany oklejone gazetami ; • i brudną drewnianą podłogę. Żadnych zapalonych świec ani j lampy. W powietrzu unosił się zapach dymu i stęchlizny oraz ledwie wyczuwalne opary czegoś słodkiego i duszącego.

Kadzidła.

Błade promienie słońca przeciskały się przez zniszczone jutowe zasłony, wydobywając z półmroku stalową płytę pieca i giętą żelazną ramę łóżka. Nic więcej. W cieniu pod ścianą majaczyły bezładne sterty oprawionych w skórę ksiązek, sąsiadujące z puszkowaną żywnością oraz torbami cukru i mąki. Z linki rozwieszanej pomiędzy ramą łóżka i gwoździem wbitym obok okna zwisały uprane pończochy, spodnie i koszule.

Stara zasuszonej Murzynka siedziała bez ruchu przy kulawym drewnianym stole. Jej ciemne usta wykrzywił cierpki uśmiezek, a ściągnięte na tył głowy siwe włosy nadawały twarzy lisi wyraz. Hebanowa skóra na policzkach tworzyła fałdy, zbiegające się promieniście na drobnym, zadartym podbródku. Przez pogięte okulary, spoczywające na samym czubku mięsistego nosa patrzyły powiększone, żywe czarne oczy. Kobieta odruchowo dotknęła przepięknego wisiora zdobiącego jej szyję. Był to olbrzymi kamień o barwie lawendy, w oprawie z kutego zota. Kamień skupiał światło i mienił się tysiącem błysków.

Killian przyciągnął Lainie do swego boku.

Murzynka wepchnęła okulary głębiej na nos i przyjrzała się Lainie z zaciekawieniem. W spojrzeniu staruszki było coś... nienaturalnego, jakby widziała rzeczy niewidzialne dla innych.

- Ona mi nie wygląda na szaloną, Killian - odezwała się wreszcie śpiewnym głosem, który wydawał się zadziwiająco młody. - Wygląda na przestraszoną.

- Wygląda na taką, co sprowadza kłopoty.

- To czego chcesz od Vilouli?

- Dowiedz się, kim ona jest i skąd się tu wzięła. Opowiada jakieś nedorzeczne historie o podróży w czasie.

Viloula popatrzyła na Lainie z jeszcze większym zainteresowaniem.

- To prawda, dziecko?

Lainie nerwowo zagryzła wargę.

- Prawda.

Viloula sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę się uśmiechnąć. Pozostała jednak nieporuszona, tylko palające czarne oczy patrzyły badawczo.

- Zapowiada się ciekawy dzień. Siadać.

Lainie odstąpiła od Killiana, przysiadając sztywno naprzeciw Vilouli. Zaciśnęła palce na szorstkiej krawędzi drewnianego krzesła.

Killian wydał z siebie gniewne parsknięcie i ruszył do drzwi.

- Powodzenia, Vi - rzucił od progu.

Murzynka przeszła go spojrzeniem, od którego mleko niechybnie by się zwarzyło.

- Oboje siadać.

Killian obejrzał się przez ramię.

- Nie będę słuchał tych jej bzdur, Viloulo.

Krzyżując na piersi kościste ramiona, staruszka *zadana*. podbródek.

- No to ja też nie będę.

Wywróciwszy oczyma, Killian podszedł do stołu. Odsunął krzesło, usiadł, także skrzyżował ramiona i spojrzał twardo na Viloulę.

- Zadowolona?

Nie odpowiedziała. Sięgnęła do pięknego ametystowego naszyjnika, zaciskając chude palce na ciężkim kamieniu.

- No więc, młoda Alaino, co masz do powiedzenia? Lainie pobladła.

- Nie mówiłam ci, jak mam na imię.

- Nie? - Viloula zbyła uwagę niedbałym machnięciem dłoni. -

Wszystko jedno. Ważna jest tylko ta podróż w czasie. To prawda?

Lainie odetchnęła głęboko.

- Albo tak, albo całkiem oszalałam. Albo tak wygląda piekło dla autorek romansów: wplątujesz się w zły wątek i nie możesz się wyplątać.

- To nie jest piekło, dziecinko. To Arizona. Od jak dawna tu jesteś?

- Od dwóch dni. - Rzuciła Killianowi znaczące spojrzenie. - On mi nie wierzy.

- Dlaczego? - To pytanie Viloula skierowała do Killiana.

Odpowiedzią było pogardliwe prychnięcie.

Lainie potrząsnęła głową, jednocześnie przeczesując palcami potargane włosy.

- Nie mam mu tego za złe. To nie ma sensu...

- W czyich oczach? - przerwała jej szybko Viloula.

- Świat opiera się na pewnych zasadach, naukowych faktach. Ludzie tak po prostu nie...

- Co, Alaino? Czego ludzie nie robią tak po prostu?

- Im dłużej Lainie patrzyła w świdrujące czarne oczy Vilouli, tym bardziej nieswojo się czuła. Udało jej się jednak stłumić lęk, na chwilę odsunąć od siebie podejrzenia i obawy.

- Ja to wymyśliłam - wyznała szeptem. - Stworzyłam to wszystko.

Murzynka roześmiała się miękkim, cichym śmiechem, bez cienia drwiny.

- Więc jesteś Bogiem.

- Nie, oczywiście, że nie. Jestem pisarką.

- Aha. - Viloula wyraźnie powstrzymywała uśmiech. - Pisarką.

- Cieszę się, że tak cię to bawi - zachnęła się Lainie, splatając ramiona na piersi. - Mówię prawdę. Stworzyłam to miejsce. Tu się rozgrywa akcja mojej nowej książki.

- Przysuń się bliżej, dziecko. Połóż ręce na stole.

Lainie nerwowo przełknęła ślinę. Pochyliwszy się nad stołem, ułożyła dłonie na blacie. Viloula ujęła je szczupłymi, pergaminowymi palcami.

Stara kobieta zamknęła oczy, nucąc coś pod nosem. Po chwili zaczęła się wolno kołysać z boku na bok. Nucenie stopniowo przybierało na sile, aż w końcu przypominało recytację w obcym języku. W Lainie na moment rozbłysła szczerza iskierka nadziei.

Nagle, tak szybko, jak się zaczął, dziwny śpiew umilkł. Zapadła dławiąca cisza.

Viloula mocniej zacisnęła kościste palce na dłoniach Lainie. Przeszywała ją przy tym wzrokiem, jakby chciała zajrzeć w najgłębsze dno duszy.

- Myślisz, że stworzyłaś to miejsce. I Killiana.

Lainie przytaknęła bez słowa.

- I wierzysz, że to... stworzenie nastąpiło za sprawą czystej wyobraźni.

- Było oparte na pewnych badaniach, ma się rozumieć - wyjaśniła Lainie, wzruszając lekko ramionami. - Na temat tamtych czasów, ludzi wyjętych spod prawa, Południowego Zachodu. Ale postacie sama wymyśliłam.

- Albo tak ci się przynajmniej wydaje.

Lainie westchnęła ze zniecierpliwieniem.

- Daj spokój z tymi uszczypliwymi uwagami. Jeśli masz coś do powiedzenia, proszę, mów. Czas ucieka.

- Będę musiała coś zrobić, rzucić karty, zanim się upewnię o wszystkim, ale...

- Ale co?
Spojrzenie Murzynki było bardzo szczere.

- Znalazłaś się tu nieprzypadkowo. Istnieje powód.
Lainie wstrzymała oddech. Ożywiona nadzieją, wychyliła się z krzesła.

- Jaki powód?
- Killian - wyjaśniła Viloula z westchnieniem. Gdy uniosła brwi, bruzdy na jej czole pogłębiły się.
- Co takiego? - wtrącił cierpko Killian.
Murzynka dotknęła naszyjnika i czule pogładziła cenny klejnot. Na moment jej oczy jakby się zaszklily, ale zaraz skierowała na Lainie zaskakująco trzeźwe spojrzenie.

- Mam pytania.
- W porządku. Strzelaj.
- Nie kuś mnie - mruknął Killian.

- Co robiłaś tuż przed tym, jak... Lainie prychnęła z irytacją.
- Zanim spadłam tu z innej planety? Pisałam.
- Co pisałaś?
- Tę książkę. Historyczny romans o kobiecie, która zostaje porwana przez bandytę i uratowana przez bohatera.
- Oryginalny wątek - mruknął kpiąco Killian. Viloula nie zwracała na niego uwagi.
- I..
Lainie odwróciła głowę i utkwiała wzrok w ścianę. Opadły ją wspomnienia, przynosząc ze sobą poczucie winy i wstydu.

- Sporo wypiałam... i połknęłam kilka pigułek nasennych. Niezbyt często mi się to zdarza, ale byłam... - Zaśmiała się gorzko. - Byłam... zmartwiona. Ciągle o tym myślałam. Z początku sądziłam, że zapadłam w śpiączkę, tam w domu, i to wszystko jest snem. Ale to nie wygląda na sen. Chociaż bardzo bym chciała, żeby tak było.
- To nie z powodu trunku się tu znalazłaś, Alaino. Ani pigułek - zapewniła ją spokojnie Viloula. - Co cię zmartwiło?
- Kelly. - Tylko tyle powiedziała, wymieniła imię. Wpatrywała się w stół, śledząc linie zadrapań na zniszczonym drewnianym blacie. - Wyjechała... i bardzo za nią tęskniłam.
- Aha - powiedziała Viloula, bardziej do siebie niż do Lainie. - Kto jeszcze cię opuścił, Alaino?
Lainie wstrzymała oddech. Zadarłszy głowę, rozpaczliwie próbowała się zmusić do beztróskiego uśmiechu.

- Co... masz na myśli?
- Ktoś cię porzucił..
Lainie chciała odpowiedzieć coś dowcipnego, ale zupełnie jej się nie udało. Słowa nie chciały wyjść ze ściśniętego gardła.

- Rodzice - wyznała w końcu. Nawet teraz, po latach, powiedzenie tego na głos bolało dotkliwie.
Wpatrując się w nią z napięciem, Viloula wolno pokręciła głową.
- To nie był pierwszy raz. Lainie zmarszczyła czoło.
- Nie rozumiem.

- Historia się powtarza, dziecko, ale gdzieś musi się zaczynać. Dla ciebie zaczęła się tutaj, w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym roku... z Killianem.
- Z Killianem? - zdumiała się Lainie szczerze. - Co on może mieć z tym wspólnego? Jest postacią z książki, na litość boską! Muszę wrócić do domu.
Murzynka dotknęła ametystowego medalionu, zamknęła oczy. Kamień lśnił magicznym, lawendowym blaskiem.

- Ty i Killian jesteście połączeni. Wasze dusze łączy szczególna więź. Widzę to wyraźnie.
- To lepiej otwórz oczy, Vi - poradził cierpko Killian.

Lainie przejechała dłonią po włosach.
- Czy moglibyśmy się skupić na istocie sprawy? - Pochyliwszy się do przodu, wsparła łokcie na stole i wbiła w Viloulę twarde spojrzenie. - Ja stworzyłam Killiana. Wymyśliłam go.

- Nie.

Lainie zeszywniała, ze strachu poczuła gęsią skórę na całym ciele.

- Co masz na myśli?

- Stworzyłaś Killiana, ale dopiero po tym, jak go poznałaś. Ty go odtworzyłaś.

Lainie zakotyła się na krześle.

- Co?

Ona i Killian wykrzyknęli to słowo równocześnie. Odbiło się echem o ściany chaty i jeszcze przez moment wisiało w powietrzu.

- Lepiej szybko mów, co masz do powiedzenia, Vi - ostrzegł Killian głosem, w którym słychać było wyraźną groźbę.

Murzynka zmarszczyła czoło, jakby szukała w myślach odpowiednich słów.

- Dusza to życie i pamięć... wszystko, czym jesteśmy.

Przechowuje wspomnienia ze wszystkiego, co przeżyliśmy.

Killian wzniosł oczy ku niebu.

- Och, na miłość boską...

- Jest wiele sposobów, żeby się spotkać z minionym życiem, wiele sposobów na przywołanie wspomnień.

- Z powagą zwróciła się do Lainie: - Ty to zrobiłaś przez swoje pisanie, nie rozumiesz?

Lainie pokręciła głową. Zimny dreszcz strachu przeszedł jej po plecach. Nagle nie chciała wiedzieć, co staruszka ma do powiedzenia. Pragnęła jedynie poznać drogę powrotną do domu.

- Nie, nie rozumiem.

Viloula nachyliła się ku niej.

- Kiedy piszesz, wydaje ci się, że wyobrazasz sobie różne rzeczy. Ale może to nie jest takie proste. Może wtedy sobie przypominasz.

- Viloulo.., - zaczęła błagalnie.

- Nietrudno to zrozumieć. W innym czasie kochałaś Killiana, ale coś poszło nie tak, jak powinno. Skończyło się źle, może cię porzucił, ale w duszy, gdzie wspomnienia o miłości nie umierają, pamiętasz tego mężczyznę. I piszesz o nim.

- Daj spokój, Vi - zirytował się Killian. - Może już wystarczy tych bzdur. Nie znam i nigdy nie znałem tej kobiety.

Viloula nawet na niego nie spojrzała, nie odrywała od Lainie nieprzeniknionych czarnych oczu.

- Pomyśl o tym. To tłumaczy, skąd znasz to miejsce i Killiana. Byłaś tu, mieszkałaś tu już kiedyś.

Lainie zacisnęła powieki.

- Nie mogę w to uwierzyć.

Viloula, pochylona ku niej, szepnęła:

- Ale widzisz, że to prawda? Widzisz, że pewne rzeczy są inne, niż ci się zdawało. Może różnią się nieznacznie od twoich wyobrażeń, ale to nie jest ten świat, który ty stworzyłaś. Niezupełnie. Opisałaś Killiana takiego, jakiego go zapamiętałaś, może takiego, jakiego chciałaś go widzieć. Część tego będzie prawdziwa, część błędna, a reszta rzeczywiście pochodzi z wyobraźni.

Zapadła długa cisza.

- Do diabła, to się nie mieści w głowie - mruknął ze złością Killian. - Przyprowadziłem ją tu, żeby udowodnić, że kłamie, a ty potwierdzasz jej zwariowaną historię.

- Jesteś jej drugą połówką, Killianie - oznajmiła stanowczo Murzynka. - Tego właśnie chciałeś się ode mnie dowiedzieć.

Poderwał się na nogi.

- A cóż to, u diabła, jest ta druga połówka?! Nie! Nie odpowiadaj. Nie chcę wiedzieć.

- Popatrz na nią, stary głupcze - syknęła Viloula. Jej głos nagle przybrał na sile, nabrał mocy. - Popatrz.

A potem mi powiedz, że nie widzisz w niej nic znajomego, że nie masz poczucia, że znałeś ją wcześniej.

Odwrócił się gwałtownie i spojrzał Lainie w oczy. Zadrzała na całym ciele. Próbowwała uciec wzrokiem, ale nie potrafiła. Znienacka przypomniała sobie scenę na skalnej półce i parę innych sytuacji, kiedy ujrzała w nim coś więcej niż tylko postać, którą sama wymyśliła. Przyszło jej do głowy, żęto, co uważała za niemożliwe, może się jednak okazać możliwe... i ogarnął ją lęk.

- Widzisz?

Ściszony głos Vilouli uwodził, wciągał Lainie w świat fantazji. Chociaż myśl o drugiej połowce ją przerażała, było w niej również coś pociągającego. Co to miałyby oznaczać, pomyślała z przelotnym zaciekawieniem. Jak by się czuła, będąc kochaną, otoczoną troską?

- Znam cię tak samo dobrze jak inni, Killianie - mówiła śpiewnie stara kobieta. - Rozumiem ten świat, twój świat. To świat rewolwerów i śmierci. A teraz, po raz pierwszy, musisz patrzeć sercem.

Stał jak skamieniały, można było odnieść wrażenie, że przestał oddychać. Jego oczy wydawały się prawie czarne.

- Dlaczego uważasz, że po raz pierwszy?

Odwróciwszy się na pięcie, ruszył do drzwi.

- Killian! - zawołała za nim Viloula, kiedy już sięgał do klamki.

Przystanął, ale się nie obejrzał.

- Tak?

- Przykro mi.

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

- Niepotrzebnie. Nie mogłaś wiedzieć. - Zniknął na zewnątrz.

Lainie długo wpatrywała się w zamknięte drzwi, próbując zebrać myśli, które kłębiły jej się w głowie, wzbudzały coraz większą panikę. Dwie połowki... utracone miłości... drugie szanse. Co to wszystko miało znaczyć?

Poczuła się przytłoczona i zagubiona. Nagle nie miała w co wierzyć, nie miała się czego trzymać. Od czasu utraconego dzieciństwa posiadała tak niewiele -- jedynie własną odwagę i dobroć córki. Tylko tyle. Dotąd jej wystarczało, ale teraz okazało się, że to żałośnie mało. Potrzebowała czegoś więcej. Potrzebowała... wiary, a tej akurat nigdy w sobie nie miała.

Westchnęła. Czuła się stara i niewypowiedzianie zmęczona. Miała świadomość, że jak zawsze będzie musiała sama sobie radzić, będzie musiała znaleźć drogę powrotu do Kelly. I nie miało żadnego znaczenia, czy w coś wierzy, czy nie.

Kelly... Jak zawsze, samo imię podziało ją uspokajająco. Odetchnęła głęboko, na chwilę skupiając myśli na córce, miłości swego życia.

Kelly była najważniejsza. Liczyła się tylko ona.

Nadszedł czas, żeby się wydostać z tego bagna. Kogo mogły obchodzić drugie połowki, wybory życiowe czy okazje do rozwiązywania dawnych problemów? W tej chwili Lainie miała do załatwienia coś znacznie ważniejszego.

Wewnętrznie wzmocniona, obrzuciła Viloulę surowym spojrzeniem.

- Więc twierdzisz, że Killian jest moją drugą połówką, ale ja go nie rozpoznaję ani nic do niego nie czuję.

- Myślę, że powinnaś coś do niego czuć...

Lainie skinęła niecierpliwie głową.

- W porządku. Tylko że wcale mi na tym nie zależy. Chcę po prostu wrócić do domu.

Murzynka zmarszczyła czoło; ciężkie fałdy zmarszczek zawisły jej tuż nad brwiami.

- Ale ty musisz być tutaj. W przeszłości zdarzyło się coś, co zepsuło całą twoją przyszłość. Musisz tu zostać i rozwiązać...

- Rozwiązać? - Lainie cofnęła się na oparcie krzesła, splatając ręce na piersi. - Posłuchaj, Viloulo, nie potrzebuję nauk o tym, jak mam prostować swoją karmę czy zmieniać przeszłość, żeby sobie naprawić przeszłość. Muszę wrócić.

- Wrócić? Przecież jesteś tutaj. Nie ma żadnego innego powrotu.

Te słowa przeszły Lainie jak nóż. Poderwała się z krzesła i zatoczyła, wpadając na ścianę.

- Nie mów tak.

Viloula podniosła się ciężko ze swego miejsca za stołem i podeszła do Lainie. Miała na sobie grubą flanelową koszulę i znoszone wełniane spodnie, ściągnięte w talii męskim pasem o szerokości dłoni.

- O co ci chodzi? - spytała, podchodząc bliżej.

- Muszę wrócić - odpowiedziała Lainie szeptem. - Chodzi o Kelly.

- Jaką Kelly?

- O moją córkę. Viloula stanęła jak wryta.

- Dziecko?

Lzy znów napłynęły Lainie do oczu. To było już ponad jej siły.

- Moje dziecko - wykrztusiła, z trudem powstrzymując łkanie. - Muszę wrócić do mojego dziecka.

Murzynka ukryła twarz w dłoniach. Z jej ust wydostał się cichy jęk.

- Słodki Jezu, słodki Jezu, dziecko. Dziecko. Żadna z książek nie mówi nic o powrocie do dziecka.

Tkwiał w kłopotach po uszy.

Stojąc w progu swego pozał się Boże domu, Killian patrzył na rozciągającą się przed nim osadę. Słońce ślizgało się po nagich chropowatych skałach, nadając powierzchni kamienia różne odcienie od szarości do złota. Całe otoczenie wydawało się ciche i spokojne. Uparty szron trzymał się szczytu dachów i namiotów, mieniając się srebrzyście w słonecznych promieniach.

Tego ranka powietrze było jakieś gęste i nieruchome. Nie słyhać było jeszcze żadnych ptaków, wiatr nie szeleścił w liściach topoli. Wszędzie panował wręcz niesamowity spokój.

Killian westchnął głęboko, pochylił się i, oparty o framugę, obserwował chatę Vilouli. Niespodziewanie wzbudzone uczucia wprawiły go w dziwny niepokój. Wprawdzie ani przez moment nie wierzył w te bzdury, jakie Vi opowiadała o nim i o Lainie, o tym, że są dwiema połówkami jednej całości, ale musiał przyznać... przynajmniej teraz, w zaciszu własnej chaty, że jakaś więź jednak między nimi istnieje. Coś dziwnego, nieoczekiwanego i zarazem przerażającego.

Wiesz, jak to jest, kiedy wraca się do pustego domu... Prawda, Killian?

Przypomniane słowa wstrząsnęły nim do głębi.

Ponury, gorzki uśmiech wygiął mu wargi, ale oczy pozostały zimne. Właśnie dlatego zabrał ją do Vilouli, wcale nie chodziło o użycie magii, jaką dysponowała ta stara kobieta. Chciał się po prostu pozbyć Lainie, uciec od smutku w jej oczach i rozpaczy w głosie. I od tego dziwnego uczucia, które go ogarniało, kiedy na nią patrzył.

Lainie go znała, znała brzydkie, mroczne sekrety pustego domu na prerii. Znała tajemnice, które go prześladowały, i wydarzenia, z powodu których przed piętnastu laty porzucił normalne życie i stał się człowiekiem wyjętym spod prawa. Wiedziała...

- Cholera! - zaklął. Cofnął się do izby, zabrał roboczą flanelową koszulę z kąta, gdzie cisnął ją kilka tygodni wcześniej. Cuchnęła dymem, kurzem i stęchlizną. Sięgnął do kieszeni na piersi po stary woreczek tytoniu, skręcił papierosa, zapalił i zaciągnął się głęboko. Dym owiał mu twarz, na moment przesłonił widok, zakłuł w oczy. Poczul dobrze znany, ostry zapach.

Znów oparł się o drzwi i palił w zamyśleniu. Widział zarys jej sylwetki przez brudne okno. Stała sztywno wyprostowana.

Zastanawiał się, czy nadal jest taka smutna, czy wciąż wygląda tak, jakby nigdy w życiu nie miała przyjaciół.

Poprosiła go jedynie o drobną pomoc.

Pomoc. Potrzeba. Te słowa zadźwięczały mu w głowie, przedarły się przez ochronną skorupę, którą otaczał się od lat. Nie spodziewał się, że będą aż tak ranić, ale jeszcze gorsza, jeszcze bardziej bolesna była świadomość, że nie może jej pomóc. Wiedział, oczywiście, od dawna, że jest nic niewartym ludzkim wrakiem, ale gdzieś w głębi duszy zachował nadzieję, że może pewnego dnia uda mu się wrócić, od nowa stać się tym młodym mężczyzną z głową pełną marzeń, człowiekiem honoru.

Uśmiechnął się gorzko. Teraz znał prawdę, poznał ją w chwili, gdy poprosiła go o pomoc. Nie pozostało w nim ani krzty honoru, jeśli w ogóle kiedykolwiek go miał. Bo honor był jednym z tych skarbów, które roztrwonił dawno temu. Został pogrzebany w małym domku na smaganej wiatrem prerii. Nie mógł jej pomóc. Do diabła, nie był w stanie pomóc nikomu.

Ludzie, którzy liczyli na Johna Killiana, umierali samotnie.

Wzdrygnął się na myśl o Emily. Wciąż nie mógł uwierzyć, że rozmawiał o niej z Lainie.

Dlaczego? Dlaczego wspomniał o żonie?

To pytanie na moment odebrało mu siły. Nie wymieniał imienia żony od dziesięciu lat, może nawet dłużej. A mimo to z Lainie stało się to jakoś naturalnie.

Dlaczego? Pytanie brzmiało chłodno i rzeczowo. Ugodziło go, przebijając mur, który wokół siebie budował przez całe życie.

Wmawiał sobie, że chciał jej tylko udowodnić, że się myli, i bardzo pragnął w to uwierzyć. Pragnął tego bardziej niż cegokolwiek innego od wielu lat.

Ale mu się nie udawało. Mógł o sobie powiedzieć, że jest oszustem, nieudacznikiem, wyrzutkiem, ale nie był kłamcą, a już na pewno nie okłamywał siebie. Zawsze patrzył życiu prosto w oczy i bez wahania stawiał mu czoło.

Zaklął siarczyście, odrzucając niedopałek za próg. Czerwony ogarek jeszcze długo tlił się na zimnej, twardej ziemi, a żałośnie cienka smużka dymu wędrowała uparcie w górę, by w końcu roztopić się w powietrzu.

Ponownie spojrzął w stronę chaty Vilouli, jakby coś go tam przyciągało. Lainie nadal stała przed oknem. Instynktownie wyczuł, że jest przestraszona. Czuł smak jej lęku na języku, czuł jego zapach w świeżości poranka. Jakby to był jego własny strach.

- Chryste - jęknął, przecierając zmęczone oczy. Chyba tracił zmysły. Niewiele brakowało, żeby uwierzył w te wszystkie bzdury o podróży w czasie, o dwóch połówkach i miłości, która trwa wiecznie.

Wycofał się w głąb chaty, zatrzasnął za sobą drzwi. Otoczył go cień, odcinając słabe ciepło porannego słońca. Z belek pod sufitem osypał się kurz.

Powinien się trzymać od niej z daleka, tak mu podpowiadały resztki rozsądku. Gdyby był mądry, wrzuciłby ją na konia i zawiózł do Fortune Flats, a tam wsadził do pociągu jadącego, dokądkolwiek.

Vaya con Dios, szalona kobieto.

Mogłaby powiedzieć Joemu Martinowi, co tylko by chciała, na temat kryjówki Killiana. I tak wszystko było wiadomo. Nie była w stanie w żaden sposób zaszkodzić mu swoimi informacjami.

Ale mogła go zabić swoim spojrzeniem. Bo był w niej jakiś mrok, cierpienie podobne do jego bólu.

Najbardziej ze wszystkiego przerażało go to, że ją rozumiał i znał jej uczucia. Taka więź nie łączyła go nigdy z żadną istotą ludzką poza Emilią, a i wówczas pojawiła się dopiero po latach wspólnego życia. Tym razem było inaczej, poczuł tę więź w chwili, gdy zobaczył Lainie leżącą na pustyni, związaną, zakneblowaną, całkowicie bezbronną.

Żadnych wątpliwości. Powinien się od niej trzymać jak najdalej.

Wiedział jednak, że nie potrafi. Ponieważ kiedy dziś spojrzała na niego tymi zalęknionymi, pełnymi łez oczyma i poprosiła o pomoc, poczuł coś niezwykłego. Coś, czego nie czuł od lat. Przez moment chciał nawet powiedzieć tak.

I ta myśl, ta świadomość zepchnęła go w zimną ciemność piekła, które, jak mu się zdawało, już dawno opuścił.

Chodź, Alaino, zrobię ci herbaty.

Lainie ledwie usłyszała te słowa. Stała przy oknie, ciasno objęta ramionami, z powiekami obolałymi od łez, które nie chciały spłynąć. Słońce już dawno wspięło się na skały, zalewając światłem osadę. Ciepło przedzierało się przez brudną szybę i osiadało łagodnymi muśnięciami na policzkach Lainie, ale w środku nadal było jej zimno. Tak strasznie zimno.

Viloula chwyciła ją za łokieć i pociągnęła w stronę stołu. Lainie pozwoliła się prowadzić, zbyt zmęczona na jakiegokolwiek sprzeciw. Para unosząca się znad wrzącej wody wypełniała niewielkie pomieszczenie chaty, nadając mu nieco domowej przytulności.

Murzynka podeszła do pieca, by zaraz wrócić z kubkiem gorącej herbaty i kawałkiem chleba posmarowanego masłem.

- Zjedz to - zachęciła, siadając naprzeciwko Lainie po drugiej stronie stołu. - Wyglądasz na taką nieszczęśliwą, moje dziecko - dodała ze współczuciem.

- Ty byś nie była?

Zamknawszy oczy, Viloula wolno przytaknęła.

- Musisz ją bardzo kochać.

Lainie zacisnęła powieki, z całych sił powstrzymując łzy.

- Może o to w tym wszystkim chodzi - powiedziała staruszka z zadumą. - O najprostsze sprawy. Takie jak miłość.

Lainie otworzyła oczy.

- Chyba nie mam już siły rozmawiać o tych wariactwach, Vi. Daj mi odetchnąć, dobrze?

Vi loulą pociągnęła łyk herbaty, po czym z brzękiem odstawiła kubek. Zsunęła okulary na czubek nosa i popatrzyła na Lainie znad pogiętych metalowych oprawek. Jej wąskie usta wygięły się w łagodnym uśmiechu.

Lainie poczuła, jak oblewa ją fala gorąca. Jeszcze nikt tak na nią nie patrzył, choć czekała na to przez całe życie i już dawno porzuciła nadzieję. Tak spoglądają kochające matki na córki, z troską i ciepłem. To spojrzenie ogrzało pewne miejsce w sercu Lainie, dotąd zimne, ciemne i puste.

- Widziałam, że przyglądałaś się mojemu naszyjnikowi - powiedziała cicho Viloula. - Podoba ci się?

Rozdygotana od nagłych, niespodziewanych emocji Lainie opuściła wzrok na niezwykle klejnot, wiszący na szyi staruszki. Lawendowy kamień promieniował ukrytym blaskiem.

- Jest piękny.

- Nie tylko piękny. - Viloula pochyliła się ku niej nad stołem. - To magiczny naszyjnik.

- Aha - bąknęła Lainie w odpowiedzi, jako że nic innego nie przyszło jej do głowy.

- Odkąd przybyłaś do osady, kamień parzył mnie w skórę. I już wiedziałam.

- Niby o czym?

- Na przykład o tym... że przyjechałaś. Lainie westchnęła.

- Ale nie wyjadę.

- Kto wie, co się wydarzy, Alaino? Zamiary Boga pozostają tajemnicą.

- Bez wątpienia. Kopnął mnie w tyłek tak, że przeleciałam w czasie o sto lat do tyłu, i po co? Ponieważ mam drogą połówkę, która za mną usycha? Której nieśmiertelna miłość wezwała mnie w przeszłość? - Parsknęła z irytacją. - Tak, na pewno. Murzynka jakby nie zauważyła drwiny w jej głosie.

- Pomyśl o tym, Alaino. Wyobraź to sobie. Miłość, której nic, nawet śmierć ani czas, nie może zabić.

Lainie potrzęsnęła głową.

- Jestem za stara, żeby wierzyć w bajki, Viloulo. Chcę tylko wrócić do Kelly.

- Nigdy nie jest się za starym, żeby wierzyć w miłość, Alaino. Spójrz na mnie. Byłam zakochana tylko raz w całym moim życiu, w wielkim chłopie, który stracił ramię i myślał, że nie będę mogła go już kochać. Nigdy nie istniał dla mnie nikt inny. Ale wierzę, że jeszcze będzie.

- To mi wygląda na Alzheimera - mruknęła Lainie pod nosem, ale musiała w duchu przyznać, że wyznanie staruszki mocno ją poruszyło. Jakby słowa, które za wszelką cenę próbowała zlekceważyć, osiadły i zapuściły korzenie w zimnym, zapomnianym zakamarku jej serca.

A jeśli...

Dla Lainie, pisarki, to były zawsze magiczne słowa. Początek każdej nowej historii. A jeśli...

- A jeśli to prawda - podsunęła szeptem Viloula. - A jeśli Killian kochał cię kiedyś tak bardzo, że pamiętałaś to sto lat później, sercem innej kobiety? A jeśli ty kochałaś go tak mocno, że wróciłaś w czasie, żeby go odnaleźć?

Lainie zamknęła oczy, nie chciała dać się wciągnąć w kolejną bezsensowną fantazję. Uprawiała tego rodzaju myślenie życzeniowe miliony razy w życiu. Bez efektów.

- A sądziłam, że to ja wymyślam romanse.

- Tylko o tym pomyśl. Nic więcej nie powiem.

- Nie chcę o tym myśleć. - Mimo usilnych starań głos Lainie zabrzmiał jakoś słabo, niepewnie i przywodził na myśl zaleknione, samotne dziecko, którym kiedyś była.

- Ależ tak, myślisz. Dlatego tu jesteś. Twoje serce pamięta... gdzieś tam w środku, twoje serce pamięta.

Lainie westchnęła ciężko, nie dając się uwieść słowom staruszki. To była jedynie teoria, życzenie i prośba kobiety, która wierzyła w jedno i drugie, do kobiety, która nie wierzyła w żadną z tych możliwości.

Nie miało bowiem znaczenia, że kiedyś, dawno temu, Lainie święcie wierzyła w rycerskich mężczyzn, teorię dwóch połówek jabłka i wieczną miłość, że całymi nocami czekała, aż zostanie uratowana przez kogoś, kto ją kocha, komu na niej zależy. Od tamtych czasów odbyła długą drogę. Nie była już małą dziewczynką z zakratowanego okna, czekającą na kogoś, kto odmieni jej życie. Teraz była dorosłą kobietą, samodzielnie decydującą o swoim losie.

- Nie pamiętam Killiana, Viloulo. Nie znam go, nie kocham, nie jesteśmy dwiema połówkami jednej całości, a jeśli nawet, nic mnie to nie obchodzi.

Murzynka odpowiedziała dopiero po długiej chwili milczenia. W pełnej napięcia ciszy Lainie czuła, jak narasta w niej lęk, rozchodzący się od kręgosłupa po całym ciele. Nic już nie mów, zaklinała starszkę w duchu. Nie każ mi znów uwierzyć...

- Kelly - odezwała się wreszcie Viloula - jest twoją córką, tak? Jediną osobą, którą kochasz?

Lainie zmarszczyła brwi, zaskoczona nagłą zmianą tematu. Następnie odetchnęła z ulgą, bo wszystko wydało jej się lepsze od rozprawiania o dwóch połówkach.

- Tak.

- To imię brzmi bardzo podobnie do Killiana - zauważyła Viloula, zerkając na nią wymownie.

Uwaga, niespodziewana i wyjątkowo trafna, wywarła na Lainie tak wielkie wrażenie, że aż brakło jej tchu. Siedziała nieruchomo, z na wpół otwartymi ustami.

- O mój Boże...

Viloula wolno pokiwała głową.

- Serce pamięta to, czego umysł nie zdoła.

- N...nawet jeśli to prawda, nie można pokochać kogoś ponownie tylko dlatego, że się go kochało w poprzednim wcieleniu - wydukała Lainie. - Jesteśmy innymi ludźmi, z innymi doświadczeniami. To nie może...

- Bóg może sprawić wszystko.

- Ale to nie ma sensu.

Murzynka ze smutkiem pokiwała głową.

- Nie sądzę, by należało szukać w tym sensu.

Lainie zgarbiła się i zapadła głębiej w krzesło. Znów miała ochotę się poddać, zniknąć. Ogarnęła ją złość na siebie, nie mogła sobie przecież pozwolić na luksus depresji. Poderwała się z miejsca.

- Wystarczy. Chcę wiedzieć tylko jedno: czy możesz mnie wydobyć z tego czasu, Viloulo? Możesz mi powiedzieć, dokąd mam się udać i czego spróbować?

Twarz starszki zmarszczyła się w wyrazie troski.

- Killian stanowi odpowiedź.

- Co masz na myśli?

- Skoro on jest powodem, dla którego się tu znalazłaś, to masz jakiś problem do rozwiązania albo lekcję do wyuczenia.

- Aha.

- Nauka jest kluczem. Nie możesz uciec z tego czasu, możesz go jedynie opuścić. - Kiwając głową dodała: - Przeznaczenie.

- Więc wyjeżdżam jutro. Muszę myśleć o swoim dziecku. Dostyc kazań na temat utraconych miłości i zaburzonej karmy. Jutro, jeżeli nie podsuniesz mi lepszego pomysłu, wybieram się sama do Fortune Flats.

- Killian cię nie puści.

- Więc go zabiję - oznajmiła Lainie bez mrugnięcia okiem.

Viloula zaczęła coś mówić, ale Lainie nie miała ochoty więcej jej słuchać. Skierowała się ku drzwiom.

- Zaczekaj.

Lainie obejrzała się przez ramię. Murzynka stała pod ścianą, z rękami wspartymi na biodrach.

- Nie twierdziłam, że nie mogę ci pomóc. Powiedziałam tylko, że Killian stanowi odpowiedź. Mogę wiele zrobić, żeby ci pomóc. Są karty, czytanie z dłoni... inne rzeczy, które pomogą mi zrozumieć twoje przeznaczenie.

Lainie wstrzymała oddech. Tak naprawdę wcale nie oczekiwała, że ktoś jej pomoże w tej podróży.

Spodziewała się, że, tak jak ze wszystkim innym w życiu, będzie musiała radzić sobie sama.

Szybko wróciła do stołu i usiadła w obawie, że Viloula może nagle zmienić zdanie, roześmiać się, obrócić wszystko w żart. Ze tak naprawdę nie ma drogi powrotu uo domu.

Staruszka sięgnęła po małą drewnianą skrzyneczkę, stojącą obok łóżka. Białe światło sączące się przez okno układało się wokół jej głowy w aureolę, fałdy ciemnej skóry miały aksamitny połysk, oczy lśniły tajemniczo.

- Czy powinnam się bać tego, co będziemy robić? - spytała Lainie z wahaniem.

- Bać? - Murzynka zmarszczyła czoło, w wyrazie namysłu. A potem wolno pokiwała głową. - Owszem - przyznała spokojnie. - Myślę, że jest sporo powodów do obaw.

Viloula bez pośpiechu tasowała karty; sekaty palce poruszały się sztywno, trochę nieskładnie. Pergaminowy szelest kart był jedynym odgłosem zakłócającym ciszę panującą w chacie.

Lainie siedziała nieruchomo przy stole, mocno zaciskając nogi w kolanach i kostkach. Z niepokojem wpatrywała się w wachlarz różnobarwnych kartoników.

Próbowała zlekceważyć strach, ale mimo usilnych starań zdradziło ją drżące brzmienie głosu.

- J...jesteś pewna, że ten tarot (o nie jakiś diabelski wynalazek? Wystarczy mi kłopotów i bez egzorcyzmów.

Viloula z powagą odliczyła siedem kart, układając je w kształt ludzkiej dłoni.

- Ta karta... - wskazała na tę, która leżała najniżej - ...po-
kazuje to, co wiesz o przeszłości. Dotknij jej i odwróć.

Lainie posłusznie spełniła polecenie.

- Kochankowie - powiedziała Viloula cicho, uśmiechając się pod nosem. - A teraz odwróć tę pod serdecznym palcem.

To jest lekcja, której musisz się nauczyć.

Lainie dotknęła karty serdecznym palcem i odwróciła. Viloula zmarszczyła czoło.

- Wieża. Oznacza wielkie zniszczenie... walkę z ciemną stroną twojej natury. Musisz dokonać wielkiej zmiany. Hmmm...

- Urocze.

- A teraz mały palec.

Lainie poczuła niezwykle mrowienie w całym ciele. Poirytowana, dotknęła wskazanej karty i szybko ją odwróciła. Lodowaty dreszcz przeleciał jej po plecach. Karta przedstawiała śmierć.

Viloula syknęła przez zęby.

Lainie poderwała się od stołu, jednym ruchem odsuwając od siebie karty. Utworzyły bezładny stos, kilka spadło na podłogę.

- Nie chcę tego więcej robić. Już wolę poczytać. - Wskazała machnięciem na sterty książek pod ścianą.

Murzynka przyjrzała jej się znad okularów.

- A ja się czegoś dowiedziałam.

- Tak? Niby czego?

Staruszka posłała Lainie znaczące spojrzenie.

- Jest w tobie wielki mrok. Musisz się z nim zmierzyć, żeby przyswoić sobie potrzebną naukę.

- Niestety, przy okazji umrę. Serdeczne dzięki.

- Usiądź, Alaino. - Viloula poczekała, aż Lainie usłucha, i dopiero wtedy mówiła dalej: - Ta karta może oznaczać wiele innych rzeczy poza śmiercią: zmianę, stratę, pożeganie.

Lainie zmusiła się do uśmiechu, choć nie czuła nawet śladu wesołości.

- No, to już pewna ulga. Więc co dalej?

Viloula jakby się zawahała. Przeniosła wzrok na niewielką szklaną buteleczkę, stojącą na parapecie okna.

- Możemy spróbować innych rzeczy. Runów, czytania z ręki...

- No to zaczynajmy. Kelly wkrótce wróci do dmu.

Murzynka oderwała wzrok od buteleczki i spojrzała na Lainie z ukosa.

- Uważasz, że czas biegnie tutaj tak samo jak wprzyszłości?

Lainie znów zadrżała pod zimnym powiewem strachu.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że może być inaczej, ani przez moment nie dopuszczała myśli, że Kelly jest już w domu, że jest już po wszystkim.

- O Boże, Vi... Zakładałam...

- Kiedy opuściłaś dom?

- Dwudziestego sierpnia.

Viloula zerknęła na poślódkę kalendarz, przybity do ściany za piecem.

- Teraz mamy czternastego sierpnia. Lainie odetchnęła z ulgą.

- Dzięki Bogu.

- Czas działa na twoją korzyść.

Lainie wybuchnęła śmiechem, który zabrzmiał jakoś gorzko, nieszczerze.

- Akurat.

Na dłuższą chwilę zapanowała cisza, gęsta i pełna napięcia.

- No, dalej, Vi - zachęciła w końcu Lainie z wymuszonym uśmiechem na ustach. - Bierzmy się do roboty. Moja druga połówka może mnie chcieć zastrzelić w każdej chwili.

Ki

Kilian, rozparty na krześle, próbował się skupić na trzymany w ręku kartach. Widział przed sobą smugę czerwieni: : dama, dziesiątka, siódemka, czwórka i trójka kier.

- Wchodzisz, Kill? - spytał Hambone Davis grubym, nieco rozwlekłym od alkoholu głosem.

To było dla Kiliana najlepsze rozdanie tego wieczoru, ale i jakoś nie potrafił się wciągnąć w grę. Był w stanie myśleć i jedynie o tej kobiecie, o Lainie, i tym, jak na niego działała.

- Killian, do cholery...

- Wchodzę - powiedział spokojnie, rzucając na stół dwie złote monety. - Sprawdzam.

Arizona Ted zakaszłał, sięgnął po butelkę whisky i pociągnął długi, gulgoczący łyk, po czym, beknąwszy głośno, otarł usta rękawem.

Hambone dołożył do puli swoje monety.

- Para waletów.

Kilian cisnął karty na stół, nieświadomy, że wygrał, dopóki Hambone nie zaczął coś bełkotać przy wtórze rechotu Arizony.

- Chyba coś ci dziś wlało do łba, Kill. Nie widziałem cię takiego nieprzytomnego przy kartach od czasu, jak cię postrzelili.

- On wtedy wcale nie był nieprzytomny, Zona. Był wściekły jak wszyscy diabli. Robiłem w portki ze strachu za każdym razem, jak z nim wygrywałem.

Arizona zaśmiał się, ponownie sięgając po butelkę.

- Chcesz powiedzieć, że narobiłeś w portki ten jeden raz, jak z nim wygrałeś.

- To było tylko raz? - Hambone chwycił własną butelkę i pociągnął z niej głośno. - Zdawało mi się, że więcej. - Wyszczrzył zęby. - Jasne, powtarzam, bałem się jak cholera.

Obaj najwyraźniej uznali to za zabawne, bo zgodnie ryknęli śmiechem. Dudniący hałas ich głosów wypełnił małą wilgotną izbę; w powietrzu rozniósł się ostry odór whisky.

Pijacy, pomyślał Killian z odrazą. Wszystko ich bawiło. Już miał zgarnąć ze stołu wygraną, kiedy drzwi za jego plecami otworzyły się z hukiem.

- No no, czy to aby nie nasz najwyższy przywódca ze swoimi pokojowymi pieskami - rozległ się z ciemności przeciągły głos Purty'ego, zaprawiony mocnym teksaskim akcentem.

Czerwony na twarzy Hambone poderwał się na równe nogi.

- Kogo nazywasz pokojowym pieskiem, bezzębny sukinsynu?

Purty z szerokim uśmiechem wkroczył do chaty; ostrogi zadzwięczały o drewnianą podłogę.

- Spokojnie, chłopcze. Mamy forszę do podziału.

Wszelkie ślady wrogości natychmiast wyparowały z oblicza

Hambone'a, a na ich miejsce wkradła się chytrność. Wolno opadł z powrotem na krzesło.

- Ile?

- Nie liczyłem, ale tak na oko razem będzie jakieś jedenaście tysięcy.

Arizona zagwizdał z uznaniem.

- Cholera, to kupa forsy. Nie dzieliliśmy takiej puli od czasu napadu na tamten transport. Wtedy było... ile? Dziesięć tysięcy... - Skrzywił się w wyrazie namysłu.

- Tak, Zona, teraz jest jeszcze więcej - przyznał Purty.

Mose stanął w drzwiach za nim, zasłaniając sobą słabe promienie zmierzchu.

- Skeeter już wrócił?

Killian przytaknął niedbałym skinieniem, po czym zgarnął monety i banknoty do kieszeni płaszcza. Potem wolno wstał od stołu.

- Gdzie ona jest, szefie? - odezwał się Mose z mroku za jego plecami.

Killian odwrócił się; mimo ciemności widział złe błyski w oczach Mose'a, jego gniewnie zadarty podbródek. Natychmiast się domyślił, o co chodzi. Mose od samego początku chciał zabić Lainie, a przez ostatnie trzy dni to pragnienie zmieniło się u niego w obsesję.

- O kim mówisz, Mose? - zapytał spokojnie. Mose zmarszczył groźnie czoło.

- Wiesz dobrze o kim, szefie.

Nikt inny się nie odezwał. W izbie zaległa głucha, napięta cisza. Purty i Mose wymienili ponure spojrzenia.

- Mówisz o tej wariatce, którą przywiózł do kryjówki? - wtrącił się Arizona, nadstawiając uszu z zaciekawieniem.

Purty pokiwał głową twierdząco i splunął.

- O tej samej, Zona. Dowiedziałeś się, co ona za jedna? - zwrócił się do Killiana.

Ten wzruszył ramionami. Historia, którą usłyszał od Lainie, raczej nie nadawała się do powtórzenia Mose'owi.

- Właciwie nie.

- No to ja się dowiem - oświadczył twardo Mose.

Killian natychmiast zauważył zmianę tonu w jego głosie.

Teraz stał się zaczepny, nieufny. I po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Mose nie nazwał Killiana szefem. To było jednoznaczne podważenie jego władzy.

Podszedł do Mose'a niespiesznie, kocim krokiem i stanął przed nim tak blisko, że mężczyzna odruchowo się cofnął. Wtedy Killian wyprostował się, demonstrując znaczną przewagę postury. Cień jego potężnej sylwetki przesłonił pobladłą twarz Mose'a.

- Naprawdę?

Mose rzucił mu wściekłe spojrzenie, ale zagryzł zęby i nic nie powiedział. Jediną oznaką miotającego nim gniewu były jaskrawoczerwone plamy na niechlujnie ogolonej szyi.

- Jezu Chryste, szefie - stęknął Purty. - Można by pomyśleć, że mówi o twojej narzeczonej. Chcemy tylko wiedzieć, kim, u diabła, jest ta dziwka i skąd o nas wie tak cholernie dużo.

- On ją chędoży - stwierdził rzeczowo Arizona.

- Aha. - Chuda twarz Purty'ego rozciągnęła się w żółtożębnym uśmiechu. - A nie powiedziała przypadkiem, skąd znała nasze imiona? No wiesz, pomiędzy okrzykami rozkoszy?

Zagrzmiał śmiech.

Killian bez słowa odsunął się od Mose'a. Irytowało go, że mówią o niej w ten sposób, a jeszcze bardziej złościła go świadomość, że mu to przeszkadza.

Śmiechy stopniowo umilkły.

- A tak serio, szefie - nie ustępował Purty - powiedziała, skąd nas zna?

- Nie.

- No to sami zadamy jej kilka pytań, szefie - odezwał się znów Mose.

Killian wiedział, że mają do tego pełne prawo. Jako ich przywódca powinien znać odpowiedź, a skoro nie znał, nie mógł im się sprzeciwić. Jego ludzie zasługiwali na to, by wiedzieć, czy ta kobieta stanowi dla nich jakieś zagrożenie.

- Tak, jasne - rzekł spokojnie. - Wypytajcie ją sami. Ale decyzja, co z nią zrobić, należy do mnie.

Purty sprawiał wrażenie zaskoczonego. Uniósł brwi, jednocześnie strosząc wąsy pod haczykowatym nosem.

- Ma się rozumieć, szefie.

Killian natychmiast pożałował tego, co powiedział. Ale nic nie mógł zrobić, więc wyprostował się i ruszył

do drzwi.

- Załatwmy to od razu.

Viloula westchnęła ze znużeniem i zdjęła z nosa okulary, odkładając je na otwartą książkę przed sobą.

Lainie głośno zamknęła swoją książkę i przetarła nabiegłe krwią oczy. Głowa jej ciążyła, wypełniona tępym bólem promieniującym od karku. Pomasaowała skronie palcami. Była bliska paniki, broniła się przed nią całą siłą woli, ale z każdą mijającą sekundą przychodziło jej to coraz trudniej. Im głębiej się zapadała w rozpacz i lęk, tym większy wzbierał w niej gniew.

- Myślałam, że znajdziemy więcej... wskazówek - przyznała Viloula, ukrywając w dłoniach poraną zmarszczkami twarz.

Lainie parsknęła krótkim, ostrym śmiechem.

- Czy nie za wiele wymagasz od tekstów religijnych? - zakpiła.

Murzynka podniosła na nią wzrok.

- Już drugi raz bluźnisz.
- Bluźnię? - zdumiała się Lainie. - Chyba żartujesz?
- Oczywiście, że nie. To Bóg rządzi światem, nadaje kształt naszemu życiu. Z pewnością w niego wierzysz?

- Nie.

Viloula przyjrzała jej się uważnie.

- Och, myślę, że tak... chociaż tego żałujesz.

- Ta teologiczna dyskusja jest wprawdzie fascynująca, ale wolałabym wrócić do sedna sprawy. Znalazłaś coś, co by mi pomogło wrócić do domu?

Staruszka wzruszyła ramionami, sięgając po kubek z wystygłą herbatą.

- Wciąż to samo.

Lainie przejechała ręką po zmierzwionych włosach.

- Naczytałam się religijnych i pseudoreligijnych wywodów, o wudu, katolicyzmie, islamie... nawet o paru nowych kultach, o których nikt nigdy nie słyszał. W żadnym z nich nie było najmniejszej wzmianki o sytuacji podobnej do tej, w jakiej się znalazłam. Jedyne religie Wschodu dostarczają pewnych odpowiedzi. I wszystkie one mówią to samo, proponując same banały o karmie, wędrówce dusz, drugich szansach i życiowych naukach.

- Przynajmniej wiemy, że ty i Killian jesteście kochankami z przeszłości i że nastąpi wielka zmiana.

Lainie oparła się łokciami na stole i znów przetarła oczy.

- No tak. Przynajmniej to wiemy. Istnieje jakaś ogromna, kosmiczna klasa, w której mam przyswoić sobie lekcję wyznaczoną przez Boga: mężczyznę.

- Nie jestem pewna, czy Bóg jest płci męskiej, czy żeńskiej. Sądzę...

- Mniejsza z tym. Chodzi o to, że dowiedziałyśmy się już wszystkiego, co się dało dowiedzieć.

Lainie jednym haustem dopiła resztę herbaty i otarła usta wierzchem dłoni. "Była zdana sama na siebie, jak zawsze.

Murzynka wydała cichy odgłos, podobny do cmoknięcia.

- Nie jesteś sama, Alaino.

Lainie zbladła. Przez chwilę wpatrywała się w staruszkę z napięciem, a potem głośno odstawiła kubek.

- Nie czytaj mi w myślach, Vi. To irytujące.

- Doprowadzimy cię do domu, dziecinko.

Lainie zaśmiała się szyderczo.

- Tak? W jaki sposób? Masz tu gdzieś ściągę z opisem moich oblanych lekcji w tym życiu?

- Prawdę mówiąc, mam jeszcze jeden pomysł. Pomyślałam...

- Wyjdź tu, kobieto! - dobiegło z zewnątrz męskie wołanie. Viloula skrzywiła się, spoglądając na zamknięte drzwi.

- To głos Mose'a.

Lainie poderwała się z miejsca tak gwałtownie, że przewrócone krzesło z hukiem upadło na podłogę.

- Mose'a?

- Znasz go? - zdziwiła się staruszka.

- Chciał mnie zabić... żeby nie tracić czasu podczas ucieczki.

- To do niego podobne.

Cienkie drzwi zatrzęsły się od donośnego pukania. Cała chata zdawała się drzeć, a z nieheblowanych belek pod sufitem opadały kłęby kurzu.

Viloula podniosła się zza stołu i stanęła obok Lainie, jakby chciała jej bronić.

Drzwi się otworzyły i do środka wkroczył Mose we własnej osobie. Zatrzymał się w rogu izby i patrzył na Lainie zmrużonymi, podejrzliwymi oczyma spod nisko opuszczonego kapelusza. Wielkie obwisłe wąsy prawie całkowicie zakrywały złośliwie wykrzywione usta.

Purty wśliznął się do chaty w ślad za swoim kompanem. Trzymał ręce swobodnie opuszczone wzdłuż boków.

- Dobry wieczór, panno Viloulo - powiedział z dobrodusznym uśmiechem w wodnistych oczach. - I pani - dodał, zwracając się do Lainie.

Killian pojawił się na końcu, bezszelestnie wchodząc do izby za Purty. Lainie natychmiast dostrzegła napięcie w jego oczach i prawą dłoń niedbale dotykającą broni u pasa. Stał plecami do ściany. Zrozumiała, że zanoszą się na kłopoty.

Pozostawało pytanie, czy Killian chce im zapobiec, czy też będzie ich powodem. Mose odchrząknął.

- Chcemy usłyszeć kilka odpowiedzi.

Lainie wyprostowała się, kierując na niego twarde spojrzenie. Za żadną cenę nie chciała okazać strachu.

Purty wsunął kciuk za pasek dżinsów i wysunął się naprzód.

- Dziewczyna musi odpowiedzieć na parę pytań.

- Na przykład, skąd znasz nasze imiona? - wypalił bez zbędnych wstępów Mose.

Viloula zerknęła na Lainie z nieukrywaną obawą. Ta odpowiedziała jej porozumiewawczym uśmiechem, który miał mówić: „Jestem pisarką, zaufaj mi”.

Staruszka wolno pokiwała głową, jakby usłyszała jej myśli.

- Mów, Alaino... Powiedz mu prawdę.

- Niechby tylko spróbowała kłamać - warknął Mose, wyrывая się z kąta.

Purty zatrzymał go szybkim, zdecydowanym ruchem ręki. Lainie doznała olśnienia.

- Chcecie prawdy? - zaczęła z uśmiechem. - Zatem dobrze.

Prawda jest taka... że jestem wnuczką Vilouli.

Zapadła cisza. Murzynka skamieniała z otwartymi ustami, porażona bezczelnością kłamstwa.

- Ona ma nas za głupich - syknął Mose ze złością. Lainie starała się zachować powagę.

- Ależ skąd, Mose. Nigdy was za takich nie uważałam.

- Jesteś biała - zauważył, robiąc krok w jej stronę.

- Naprawdę? - Uniosła pytająco brew. Mose przystanął.

Purty obserwował ją, już bez uśmiechu.

- Znałem jedną dziwkę w Abilene. Jej ojciec był czarny jak smoła, a ona była blada jak ty i ja, Mose.

Jego kompan odwrócił się wolno do staruszki.

- Jesteś jedną z nas, Viloulo. Potwierdzasz to, co ona mówi?

Owszem – stwierdziła krótko Murzynka. I to wystarczyło. Lainie wiedziała, że nie mogą podawać w wątpliwość słów Vilouli, ponieważ, jak powiedział Mose, była jedną z nich.

- Mówiłaś jej o nas? – dociekał Purty.

Viloula przytaknęła ruchem głowy.

- Wyjechała z Seattle dwa tygodnie temu. Miałam się z nią spotkać w Fortune Flats, ale przypadkiem wpadła na was, chłopcy.

Lainie wsunęła palce w szlufki spodni i z uśmiechem przyglądała się swoim rozmówcom.

- Miałam szczęście.

Staruszka posłała jej karcące spojrzenie.

Bruzdy na zmarszczonym czole Mose'a były tak głębokie i ciemne, że wyglądał, jakby stał w cieniu. Obserwował czujnie każdy ruch Lainie; dosłownie wwiercał się w nią wzrokiem, ale nie powiedział ani słowa.

- Może poczęstuję was kawą chłopcy? - zachęciła Viloula, robiąc nieokreślony gest w stronę pieca.

- Nie - odpowiedział za wszystkich Purty. - Mamy do podzielenia łup z ostatniego napadu.

- Bandyta zawsze ma coś do roboty - zauważyła Lainie z udawanym współczuciem.

Purty pokręcił głową.

- Ty to masz niewyparzoną gębę, kobieto. Viloula wymierzyła Lainie mocnego kuksańca.

- Ma to po swoim ojcu. Był sprzedawcą butów w Detroit. Purty chwycił swojego kompana za ramię i wyprowadził

z chaty. Killian odczekał, aż wyjdą, po czym zwrócił się do kobiet:

- Cholernie zabawne przedstawienie. - Oparł się o drzwi, zakładając nogę na nogę. Sprawiał wrażenie całkiem spokojnego, ale Lainie nie dała się nabrać pozorom. Wyczuła napięcie w całym jego ciele, dostrzegła groźbę w oczach. Przypominał jej zwiniętego węża, czujnego, sprężystego, gotowego w każdej chwili zaatakować.

- Może to wcale nie było przedstawienie - parsknęła kpiąco Lainie. - Genetycznie to całkiem możliwe. Przecież...

Chwyił ją za ramiona i przyciągnął ku sobie tak gwałtownie i niespodziewanie, że straciła grunt pod nogami.

- Nie popełniaj tego błędu, Lainie.
- Jakiego błędu? - Wciąż starała się utrzymać lekki ton.
- Nie jestem głupi.

Ich spojrzenia się spotkały. Lainie poczuła dziwny niepokój. Nie był to strach, choć miał wiele wspólnego ze strachem. Cokolwiek to było, nie zdarzyło jej się nigdy wcześniej. Serce zabiło jej mocniej, oddech przyspieszał. Wreszcie, po dłuższej chwili, nie spuszczać z niej palącego wzroku, Killian zwolnił uścisk. Spoglądając z niechęcią na karty tarota rozrzucone na stole, odwrócił się do wyjścia.

- Oczekuję cię za kwadrans w mojej chacie na kolacji - rzucił od progu.

- Tak jest, proszę pana.

Wyszedł, nie mówiąc nic więcej.

Lainie stała nieruchomo w miejscu, wpatrzona w zamknięte drzwi, zastanawiając się, dlaczego poczuła się tak dziwnie. Dopiero po jakimś czasie dotarło do niej, że Viloula przygląda jej się natarczywie. Spojrzała na starszkę pytająco i natychmiast tego pożałowała, widząc domyślny uśmiezek na jej zwiędłych ustach.

Usłyszała dwa dobrze znane słowa:

- Dwie połówki.

Druga połówka zgnitego jabłuszka - powtórzyła Lainie co najmniej po raz trzeci od opuszczenia chaty Vilouli. Rzeczywiście, było w nim coś... znajomego. I co z tego?

Druga połówka była ostatnią rzeczą, jakiej mogła potrzebować. Stała przed drzwiami domu Killiana, gapiąc się na splowiałe deski. Kawalek rzemienia zastępującego klamkę był splekany i wytarty na brzegach od wieloletniego używania.

Skądś dobiegło ptasie ćwierkanie, absurdalnie normalny dźwięk w tych nienormalnych okolicznościach. Wciągnęła głęboko powietrze, wdychając ostry miedziany zapach kurzu i resztek drzewnego dymu.

- On jest twoją drugą połówką - powtórzyła po raz chyba setny.

Jasne, a ja jestem Julią Roberts.

Wiedziała, że powinna wierzyć w to, co usłyszała od Vilouli. Jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B. Skoro uwierzyła, że za sprawą komputera przeniosła się o sto lat do tyłu, z pewnością zdoła przełknąć pomysł, że wezwał ją ktoś z przeszłości, ktoś, kto może nawet ją kochał.

Nie.

Pokręciła głową, uśmiechając się smutno nad ironią losu. Autorka romansów, która nie wierzy w miłość. Judith byłaby przerażona.

Może kiedyś, dawno temu, wierzyła w tego rodzaju uczucia. Może wierzyła nawet w to, że jeśli miłość istnieje, przyjdzie także do niej. Ale tamta wiara, jakże naiwna, dawno ją opuściła i nic nie mogło jej przywrócić. Teraz wierzyła jedynie w miłość macierzyńską - rzeczywistą, niezmienną, niezachwianą i całkowicie bezwarunkową. Kochała Kelly, a Kelly kochała ją.

I Lainie to wystarczało od chwili, gdy poczęła Kelly. Nie potrzebowała drugiej połówki. Nawet nie chciała. Poza tym, przy jej pechu, z pewnością któregoś dnia ta połówka wyszłaby po paczkę papierosów, a następny raz widziałaby ją w programie *Najbardziej poszukiwani w Ameryce*.

Uśmiechnęła się do siebie niewesoło. Kimkolwiek był dla niej Killian - drugą połówką, wytworem wyobraźni czy kimś pośrodku - nie miało to dla niej żadnego znaczenia. W swoim prawdziwym życiu miała akurat tyle uczuć, ile jej było trzeba. Nie potrzebowała żadnej drugiej połówki.

Podniesiona nieco na duchu tymi rozważaniami, pociągnęła za ramię i otworzyła drzwi. Natychmiast uderzył ją apetyczny zapach duszonego mięsa, a jej pusty żołądek odezwał się głośniejszym burczeniem.

Na kulawym stole stała lampa, rzucająca jedyny krąg światła w mrocznym wnętrzu. Łóżko, ledwie widoczne w kącie, majaczyło w cieniu bledszą plamą pościeli.

- Wróciłaś.

Lainie obróciła się gwałtownie, zaskoczona. Killian stał przy ścianie po lewej, na wpół ukryty za łukiem drzwi. Przed sobą miał wysoką, wąską półkę z książkami i sprawiał wrażenie, jakby właśnie miał zamiar sięgnąć po któryś z równo ustawionych tomów.

- Zamierzałeś przeczytać *Zbrodnię i karę*?
- A co? Chcesz ją może pożyczyć?

Lainie nie mogła powstrzymać uśmiechu. I, o dziwo, poczuła się z tym dobrze. W tych ponurych okolicznościach miło było znaleźć coś zabawnego.

- Czemu to robisz? - spytała, pochodząc do niego. - Czyżby nie było już żadnych banków do obrabowania?

Kiedy się przed nią cofnął, wyczuła w nim strach. Nie chciał, żeby się do niego zanadto zbliżała.

Teraz była już pewna, że stanowią połówki tej samej całości.

Przyjrzała mu się uważnie, tak jak jeszcze nigdy wcześniej. Bo dotychczas widziała w nim jedynie postać ze swojej książki. A teraz, po raz pierwszy, próbowała zobaczyć żywego człowieka.

Stał oparty jedną nogą o najniższą półkę, z ręką zwisającą luźno wzdłuż biodra. Bawełniana koszula, niegdyś biała, teraz sprana do bladej szarości, opinała mu szerokie ramiona, odsłaniając pod szyją trójkąt czarnych włosów na opalonej skórze. Wytarte nogawki czarnych wełnianych spodni opadały fałdami na cholewki wysokich butów.

Zdawał się wypełniać cały kąt izby, i to nie tylko swą pokaźną posturą; było w nim coś, co sprawiało, że rzucał się w oczy w każdym otoczeniu. Długie, trochę niesforne włosy o barwie polerowanej stali sięgały ramion, zawijając się lekko na końcach. Wyraziste rysy twarzy, ogorzalej od częstego przebywania na słońcu, świadczyły o mocnym charakterze. Ale najbardziej poruszające były jego oczy. Mogła od biedy uwierzyć, że całą resztę wymyśliła sama. Ale nie te oczy, ponieważ było w nich coś, czego nie potrafiłaby sobie wyobrazić, czego nie umiała rozpoznać.

Patrząc na niego teraz, musiała w duchu przyznać, że budzi w niej pewne uczucia, choć nie była pewna, czy może je uznać za szczątki jakiejś kosmicznej miłości. Ale coś niewątpliwie czuła.

Zbliżyła się do niego skupiona, poważna. Stała tuż przed nim i zajrzała mu głęboko w oczy, ciekawa, czy będzie tak jak w scenie z filmu *Niebiosa mogą zaczekać*, kiedy Julie Christie ujrzała duszę w oczach Warrena Beatty'ego.

Lainie zobaczyła w brązowych oczach Killiana własne odbicie, a pod nim błysk lęku. Na sekundę, może dwie, bezwiednie wstrzymała oddech. Patrząc na jego zmęczoną życiem twarz, poczuła się tak... choć to przecież było niedorzeczne... jakby wreszcie wróciła do domu.

- Na co patrzysz? - spytał.

Na ciebie. Chciała wymówić to słowo obojętnym tonem, rzucić je lekko, jakby nic nie znaczyło. Ale nie potrafiła. Coś ścisnęło ją w gardle; oddychała zbyt szybko.

Nagle wszystko, co mówiła Viloula, nabrało strasznego, przerażającego sensu. Rzeczywiście, wydawał jej się znajomy, a co więcej - ważny. Przypomniała sobie szereg momentów, kiedy zdawało jej się, że istnieje między nimi jakaś dziwna więź. To były drobiazgi, ledwie zauważone i szybko zapomniane, ale coś dla niej znaczyły - to, jak na nią patrzył, rozwiązując jej ręce, siła, którą jej dał na skalnej półce, smutek w jego oczach, kiedy mówił o Emily.

Otworzyła usta, ale nie padło żadne słowo. Nie wiedziała, co powiedzieć ani jak to wyrazić.

- Nie patrz na mnie w taki sposób.

Słyszac ostre, chrapliwe nuty w jego głosie, domyśliła się, że on także poczuł to coś, tę niewiarygodną iskrę możliwości.

Ogarnął ją lęk. Objawszy się mocno ramionami, cofnęła się o krok. Nagle nie chciała być tak blisko niego, nie chciała nic do niego czuć.

Te wszystkie bzdury o dwóch połówkach mogły jej tylko namącić w głowie. Musiała pamiętać zawsze, że liczy się wyłącznie Kelly. Mogła kochać Killiana od czasów, gdy Kleopatra pływała po Nilu, ale to nie miało żadnego znaczenia. Ważny był jedynie powrót do domu. A Killian albo był z nią, albo przeciwko niej. Kropka. Nadszedł czas, by się przekonać, jak jest.

- Viloula powiedziała ci, że mówię prawdę - zaczęła.

- I co z tego? Ta kobieta wierzy w gnomy, elfy i trolle. Lainie nie podjęła żartobliwego tonu.

- Musisz mi pomóc dostać się do Fortune Flats.

Wzdrygnął się wyraźnie. Opuścił powieki, ale zdążyła do strzec w jego oczach błysk cierpienia.

- Do diabła, ja nic nie muszę.

Sprawił wrażenie... przestraszonego. Pomyślała, że to śmieszne. Czegóż mógł się obawiać? Powoli, nie spuszczając z niego wzroku, podeszła bliżej.

- Zabierzesz mnie do Fortune Flats?

- Nie! -Niespodziewany okrzyk zadudnił głośno w ciasnej, ciemnej izbie. Nie przypuszczała, że jej spokojna prośba wywoła tak gwałtowną reakcję.

Miała świadomość, że powinna ustąpić, ale rozpacz nie pozwalała jej się poddać. Killian był jedyną nadzieją na wydostanie się z tego piekła, bez niego mogła już nigdy nie ujrzeć Kelly.

Spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich bezmiar bólu. Coś ścisnęło ją w środku; zdawało jej się, że zaczyna go trochę rozumieć. Niepokojące wrażenie deja vu powróciło, jeszcze silniejsze, bardziej wyraziste, jakby już kiedyś stali tak naprzeciw siebie, oboje cierpiący, nie umiejąc sobie nawzajem pomóc. Chwyił ją za ramiona, przyciągnął do siebie i mocno potrząsnął.

- Przestań na mnie tak patrzeć - wydusił przez ściśnięte gardło. - Nie mogę ci pomóc.
- Killian...

Odepchnął ją, odwrócił się i zaczął nerwowo krążyć po chacie. Drewniana podłoga trzęsła się przy każdym jego kroku.

Lainie przyglądała mu się bez słowa. Chciała wyciągnąć rękę, powiedzieć coś, co by go skłoniło do zmiany powziętego zamiaru, ale w wypełniającej ją pustce nie mogła znaleźć właściwych słów. W głowie miała tylko jedno pytanie: Dlaczego? Dlaczego nie chcesz mi pomóc?

- Siadaj - odezwał się szorstko. - Kolacja gotowa.

Dopiero teraz zauważyła nakrycia na stole. Posłusznie zajęła miejsce na krześle i siedziała z opuszczoną głową, wpatrzona w niebieski blaszany talerz i pocięty widelec.

Na widok nakrytego stołu wezbrała w niej jakaś bolesna tęsknota. To było takie normalne, a przy tym... inne. Pomyślała, że to może głupie odczucie, bo przecież w żaden sposób nie zmienia jej beznadziejnej sytuacji, ale jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie ugotował dla niej posiłku.

Przysunęła się bliżej do stołu, zaciskając dłonie na kolanach. Nie wiedziała, jak się zachować - czy powinna zaproponować pomoc, czy po prostu siedzieć i czekać?

Stał obok niej, bezszelestnie wynurzywszy się z cienia. Wrzucił jej na talerz cztery parujące ziemniaki i gruby kawałek mięsa. Zmieszane zapachy jedzenia przypomniały jej o tych zwykłych codziennych chwilach, które spędzały z Kelly w ich cichej, przytulnej kuchni.

Killian odstawił garnek na brzeg stołu i usiadł przy drugim nakryciu. Nie patrzyli na siebie, nie odzywali się. Gęsta cisza, podkreślana metalicznym stukaniem widelców o talerze, zarazem jednoczyła ich i rozdzielała.

Lainie wolno kroić stek, skupiając całą uwagę na tej prostej czynności. Nie odrywając wzroku od talerza, wzięła do ust pierwszy kawałek mięsa.

- Naprawdę masz córkę?

Pytanie było tak niespodziewane, że widelec wypadł jej z ręki.

- Tak.

Uśmiechnął się z przymusem.

- Trudno w to uwierzyć. Jakoś nie wyglądasz na matkę.

Uraził ją tym stwierdzeniem. Odwzajemniła się sztywnym uśmiechem.

- Nie potrzeba żadnych specjalnych cech, żeby być matką, możesz mi wierzyć, Killian.

Przyjrzał jej się z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Pewnie nie... skoro są tacy, co pozwalają dzieciom palić w wieku jedenastu lat.

Zesztywniała, zbита z tropu dosadnością uwagi. Ręce jej drżały, więc zacisnęła je, żeby to ukryć. Killian patrzył na nią ze smutkiem, ze zrozumieniem, którego nie powinna się spodziewać. Jego spojrzenie zdradzało, że dostrzegł w niej więcej, niż była gotowa przed nim odkryć.

- No cóż - wydukała. - Ja nie należę do takich matek.

Czekała, by powiedział coś więcej, ale już się nie odezwał.

Opuścił głowę i zabrał się za jedzenie. Zrobiła to samo. Po jakimś czasie panujące między nimi napięcie trochę ustąpiło, choć nadal siedzieli w milczeniu. Lainie odniosła nawet wrażenie, że już kiedyś tak z nim siedziała...

Skończywszy jeść, podniosła się z krzesła. Nie patrząc na siebie, równocześnie zaczęli sprzątać talerze.

W tym samym momencie oboje sięgnęli po garnek. Ich palce się zetknęły. Lainie poczuła ciepło bijące od jego skóry.

Wciągnęła głęboko powietrze, odruchowo podnosząc głowę. Ich spojrzenia się spotkały.

Przez ułamek sekundy, zaglądając mu w oczy, czuła, że zna go całe życie. Wiedziała, że powinna czym prędzej puścić nieszczęsny garnek, cofnąć się i uciekać. Ale nie była w stanie się poruszyć.

- Pomóż mi - wyszeptala drżącym, słabym głosem. - Za bierz mnie do domu...

To on się od niej oderwał. Garnek z hukiem upadł na stół, resztki jedzenia wyleciały na drewniany blat. Wpatrując się w nią oczyma pociemniałymi z bólu, którego nie potrafiła zrozumieć, Killian zaczął się przed nią cofać.

- Zaczekaj - poprosiła szeptem.

Znienacka, gdzieś w głębi osady, rozległ się huk wystrzału. Killian zacisnął powieki.

- Dzięki Bogu - powiedział z ciężkim westchnieniem.

Lainie wyjrzała przez okno, za którym kłębiły się jakieś

i cienie.

- Co się dzieje?

- Zaczyna się zabawa. - Sięgnął do stojącej nieopodal skrzynki po butelkę whisky. - Po udanej robocie zawsze się upijamy.

Czuła, jak więź, która ich na moment połączyła, znika bez śladu, jakby odchodził od niej coraz dalej i dalej, choć nie zrobił nawet jednego kroku. Odczuła utratę tej chwili, tego porozumienia, dotkliwiej, bardziej boleśniej, niż mogła przypuszczać.

Weź się w garść, Lainie, powiedziała sobie w duchu. Wyprostowała ramiona, zadarła podbródek i z łatwością wypracowaną przez lata ćwiczeń ukryła smutek. I tak pozwoliła mu odkryć zbyt wiele, sama dała mu za dużo władzy.

Ale już było po wszystkim. Odrzuciwszy dumę, poprosiła go o pomoc, błagała go... i nic nie wskórała. Otrzymała odpowiedź - jednoznaczny odmowę.

Żal ścisnął ją za serce, osiadł bolesnym ciężarem na piersi. Dlaczego spodziewała się, że będzie inaczej? Z rozmachem postawił butelkę na stole.

- Idziemy.

- Nie wybieram się na zabawę, na której pijani mężczyźni noszą załadowaną broń - oświadczyła stanowczo.

Odwrócił się do niej, zasłonił ją swym cieniem, odcinając od słabego światła lampy.

- Nie zostawię cię tu samej.

- Więc zostań ze mną - powiedziała cicho. Żachnął się wyraźnie.

- Mógłbym cię przywiązać do łóżka. Odpowiedziała mu nieugiętym spojrzeniem.

- Owszem, mógłbyś.

. Pochylił się nad nią, tak blisko, że niemal się stykali. Czuła zapach dymu z jego koszuli, czuła muśnięcie włosów na skroni.

- Jeśli cię zostawię samą, będziesz próbowała uciec?

- A jeśli tak, to co?

Głośno zaczerpnął powietrza, zmrużył oczy.

- Nigdzie nie pójdziesz. - Odwrócił się na pięcie, podszedł do drzwi, otworzył je i zawołał Skeetera.

Chudy kowboj zjawił się dosłownie po sekundzie z pustą butelką po whisky w dłoni.

- Tak jest, szefie. - Zasalutował niezadarnie.

- Ta pani jest moim... gościem. Stań przed drzwiami i pilnuj jej.

Skeeter wyraźnie się zasepił.

- Ale zabawa, szefie. Mose, Purty i reszta chłopaków poszli już pić z tamtymi dziwkami, cośmy je przywieźli z Carson City.

- Cudownie - powiedziała na głos Lainie, wychylając się z cienia, żeby lepiej widzieć Skeetera, który łypnął na nią łakomie.

- W porządku, szefie. Zostanę - oświadczył po krótkim namyśle.

Killian ruszył do drzwi, ale w ostatniej chwili przystanął i wolno, jakby wbrew sobie, obejrzał się na Lainie. A potem, mamrocząc pod nosem jakieś przekleństwo, chwycił kapelusz, wypadł z chaty i zatrzasnął za sobą drzwi, znów zostawiając ją samą.

Z westchnieniem opadła na łóżko i ukryła twarz w dłoniach. Od nadmiaru wrażeń kręciło jej się w głowie. Próbowwała myśleć o Kelly, o czasie i jego przemijaniu, o dwóch połówkach! i drugich szansach. Niewiarygodne fakty walczyły z niezaprzeczalnymi emocjami, przyprawiając ją w końcu o nieźnośny ból głowy. Z zamętu wyłaniało się jedno pytanie, palące i natarczywe. Pytanie, które domagało się odpowiedzi, niezależnie od tego, jak bardzo się przed nią uchylała.

Czy Killian rzeczywiście jest jej drugą połówką?

Nie wiedziała tego. Tylko co do jednego miała pewność, która napawała ją smutkiem.

Jeśli stanowił jej drugą połówkę... to było za późno.

Viloua stała na środku chaty, wsłuchana w odgłos nocy. W namiocie zaczynała się zabawa. Gdzieś z oddali, znad spowitego mrokiem kanionu, dochodziło pohukiwanie sowy. Staruszkę przeniknął zimny dreszcz.

Nie po raz pierwszy pożałowała, że nie żyje jej matka. Genvieve z pewnością potrafiłaby właściwie odczytać dziwne, dręczące wizje, zrozumiałaby jej przeczucia.

Była pewna, że stanie się coś strasznego. Gdy tylko popatrzyła w oczy Alainy, dostrzegła w nich przerażającą prawdę, usłyszała wypowiedziane szeptem słowa.

Będzie śmierć...

Nie odwoływała się do swego rozumu, chociaż inni z pewnością by tak postąpili. Od dzieciństwa była nauczona ufać swoim przeczuciom, wiedzy ukrytej w najgłębszych zakamarkach duszy, zdolnościom, z których korzystała tylko w chwilach prawdziwej potrzeby.

Już od wielu pokoleń ludzie, którym niedostępna była ta wiedza, odnosili się do niej z pogardą; lekceważąco określali ją jako kobiecą intuicję i uważali za bezwartościową.

Jednak Viloula wiedziała równie dobrze jak Genvieve i niezliczone rzesze kobiet, że intuicja to wiedza równie niezawodna, jak nauka zawarta w księgach, za to zdecydowanie potężniejsza.

Znali się już wcześniej, ona, Alaina i Killian, a teraz razem, wszyscy troje, zmierzali ku niebezpieczeństwu.

Śmierć...

Ciało Vilouli pokryło się gęsią skórą. Nadszedł czas, by zajrzała w miejsce, którego unikała przez całe życie, które przerażało ją niepewnością, mrokiem tajemnic, w którym współistniały przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, płatanina minionych i przyszłych istnień.

Popatrzyła na szklaną fiolkę, leżącą na parapecie. Sięgnie po nią, gdy w osadzie zapadnie cisza. A kiedy dotknie szkła, nie będzie już odwrotu.

- Boże... - powiedziała cichym, zduszonym głosem. - Proszę, daj mi siłę, żebym mogła jej pomóc. Żebym mogła pomóc nam wszystkim...

Wszystko było gotowe. Nadszedł czas.

Lainie z westchnieniem popatrzyła na leżący na podłodze brudny, postrzępiony plecak wypełniony zapasami żywności, które wzięła z chaty, ciasno związany kawałkiem poprzecieranego sznurka. Na prawym biodrze miała manierkę, której szeroki, mocno naciągnięty skórzany pas wpijał się w delikatną skórę szyi i piersi.

Podeszła do okna i odsunęła jutową zasłonę. W obozie było pusto i cicho. Tylko z oświetlonego namiotu, w którym trwała zabawa, dobiegały podniesione głosy i śmiech. Dostrzegła sylwetki wchodzących do środka i usłyszała cienkie zawodzenie skrzypiec.

Killian tam był.

Wychyliła się w przód tak, że czubkiem nosa dotknęła zimnego szkła. Para jej oddechu osiadła na szybie, okrywając i świat mgiełką, czyniąc go nierzeczywistym. Zastanawiała się, co Killian teraz robi, o czym myśli.

Prawdę mówiąc, dobrze to wiedziała. Stał na uboczu, jakby odgradzony od kłębiącego się wokół ludzkiego tłumu. Podobnie jak ona, zawsze czuł się samotny, nawet gdy otaczało go wiele osób. Tak

dogłębna znajomość człowieka, którego nie rozumiała, powinna ją zaskoczyć, tymczasem nie była ani trochę zdziwiona. Przypomniała sobie słowa Vilouli i ogarnęła ją nagła tęsknota. A jeśli naprawdę są połówkami jednego jabłka, jednej całości, i łączy ich wielka miłość?

Na chwilę zaparło jej dech. Stojąc samotnie w ciemności, mogła przyznać się przed sobą, iż marzyła o tym, żeby stara Murzynka miała rację. Zawsze chciała móc uwierzyć w to, że na jawie może istnieć miłość jak z bajki. Dawno temu, kiedy jeszcze nie załamały jej życiowe trudności, wierzyła, że przeżyje wiele pięknych chwil.

O dziwo, znów zaczynała mieć na to nadzieję. Niestety, na wszystko było już za późno. Posmutniała; żal ścisnął jej gardło.

Żałowała, że nie będzie już miała możliwości popatrzenia na Killiana, zajrzenia mu w oczy. Być może zobaczyłaby w nich przeszłość lub przyszłość, a może ujrzałaby tylko mroczne odbicie własnych pragnień i namiętności.

Już nigdy się tego nie dowie.

Zasłona opadła i przesłoniła widok. Spochmurniawszy, Lainie odeszła od okna.

Niestety, musiała już iść, nie miała wyboru. Viloula nie powiedziała, jak można się stąd wydostać, a Killian najwyraźniej nie miał zamiaru jej pomóc.

Jak zwykle, wszystko spoczywało na głowie Lainie. Nie miała zamiaru czekać, nie mogła zawieść Kelly. Podeszła do wyjścia.

- Pssst, Skeeter - syknęła przez uchylone drzwi. - Pst.

Uchyliła je trochę szerzej, tak by ją zobaczył, i obdarzyła go słodkim uśmiechem. Jeśli jej plan miał się powieść, musiała odgrywać rolę, w jakiej rzadko występowała w codziennym życiu - bezradnej, kruchej istotki.

- O! - zdziwił się. - To ty!

- Skeeter, gdzie zapodziałam mój kompas. - Powiedziała to lekkim tonem damy, która właśnie upuściła chusteczkę. - Czy mógłbyś mi przynieść jakiś inny?

- A do czego ci potrzebny kompas?

- Trenuję do olimpiady.

Zmarszczył czoło i zaczął się głęboko nad czymś zastanawiać. Uśmiechnęła się promiennie.

- Chyba wiesz, co to olimpiada... Wypiął chudą pierś.

- Oczywiście, że wiem. Pokiwała głową.

- W takim razie przyniesiesz mi kompas? Wsunął rękę do kieszeni workowatych spodni.

- Mam przy sobie. Mogę ci go pożyczyć. Wzięła od niego potrzebny jej przyrząd.

- Dziękuję. Jesteś prawdziwym dżentelmenem. - Zaczęła zamykać drzwi, lecz się zawahała. - Wiesz, Skeeter... - Za trzepotała rzęsami i wymownym gestem uderzyła się dłonią w szyję. - Strasznie chce mi się pić.

Wyraźnie się ożywił.

- Tobie też? Do diabła, ja też zdycham z pragnienia.

- Tylko że Killian zabrał jedyną butelkę whisky. Pomyślałam, że może mógłbyś coś nam przynieść...

Szybko rozejrzał się na boki.

- Nie mogę. Szef powiedział, że mam się stąd nie ruszać.

- Przecież zaraz wrócisz. Nie powiem mu, że wychodziłeś. Obiecuję, że nic mu nie powiem.

Popatrzył na pustą drogę.

- To niedaleko. Zająłoby mi to tylko chwilę.

- Nikt się nie zorientuje w tak krótkim czasie.

Spojrzał na namiot, w którym trwała zabawa, a potem na swój, ustawiony znacznie bliżej.

- Dobrze - rzekł cicho, niemal prosto do jej ucha. - Zaraz wrócę z butelką.

Oblizła wargi.

- Już czuję ten boski smak.

Skeeter nasunął kapelusz głębiej na czoło i ostrożnie ruszył w stronę swego namiotu, co chwila nerwowo podskakując na widok jakiegoś cienia.

Lainie natychmiast się ożywiła, zarzuciła plecak na ramię i wyjrzała zza drzwi. Nie dostrzegła

nikogo.

Głęboko zaczerpnęła tchu i puściła się pędem w stronę tunelu. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe, puszki w plecaku brzęczały przy każdym kroku.

Wbiegłszy do tunelu, gwałtownie przystanąła. Otaczała ją ciemność.

Sięgnęła do plecaka i zapaliła świecę, która rzuciła złociste światło na mury z piaskowca, jednak nawet teraz Lainie widziała bardzo niewiele. Płomyk świecy, trzymanej drżącą dłonią, migotał, światło tworzyło faliste wzory na wilgotnych kamieniach.

Powoli posuwała się przed siebie. Zapach stęchlizny, charakterystyczny dla miejsc, do których nigdy nie zaglądało słońce, drażnił ją niemile. Szła naprzód, wodząc dłonią po szorstkim murze.

Nie zastanawiała się nad tym, czy bardzo się boi, ani nad tym, jak jest samotna. Liczyło się tylko to, że tędy prowadzi droga do wyjścia, że jest to jedyna możliwość powrotu do Kelly.

Musiała znaleźć sposób, by stąd się wydostać. Prędzej umrze, niż spocznie.

Żegnaj, Viloulo, pomyślała. Skoncentrowała się i skupiła myśli na tych słowach, starając się wysłać je do starej kobiety przez czas i przestrzeń. Mogła zrobić tylko tyle.

Zegnaj.

JVillian stał w tylnej części namiotu, w kapeluszu nasuniętym na oczy. Obok, na podłodze, w zasięgu ręki znajdowała się butelka whisky. W jego wzroku i postawie musiało się kryć jakieś ostrzeżenie, gdyż nikt do niego nie podchodził.

Namiot wypełniony był śmiechem, gwarem zachrypniętych głosów oraz ostrym zapachem niemytych ciał. Ludzie kręcili się i przepychali w stronę prowizorycznego parkietu do tańca. Siedzący w kącie Purty nieudolnie grał na skrzypcach - smyczek wydobywał nieznośnie przenikliwe dźwięki ze słabo naciągniętych strun.

Killian przyglądał się obecnym, niczego nie widząc. Stał sztywno, nieruchomo, z dłońmi zaciśniętymi w pięści, jakby gotowy do walki.

Miał ochotę uderzyć... kogoś, coś, cokolwiek, byle rozładować kipiący w nim gniew, niepokój, dziwne napięcie.

Nie wiedział, co ma robić, by uspokoić myśli kłębiące się pod czaszką jak gorąca czerwona mgła. Już od dawna niczego tak silnie nie przeżywał. Przez wiele lat zawsze pozostawał chłodny i opanowany.

Teraz czuł się zupełnie inaczej. Miał wrażenie, że nosi w sobie kulę, która nieznośnie ugniata mu wnętrzności i grozi wybuchem. Jego mięśnie były napięte aż do bólu.

Oparł się o brezentową ściankę i odetchnął, próbując zmusić się do opanowania. Jednak niezależnie od tego, jak bardzo się starał i jak dużo pił, nie był w stanie zapomnieć prześladowających go słów.

Pomóż mi, proszę...

Wspomnienie tej cicho wypowiedzianej prośby uderzyło go z siłą młota. Wzdrygnął się, ostry ból przeszył mu pierś. Uniósł butelkę whisky i pociągnął kolejny tęgi łyk. Chciał, musiał się upić, by zapomnieć o tej prośbie i o tym, co wtedy poczuł. Nie potrafił jednak wymazać jej z pamięci i to właśnie dlatego przeżywał prawdziwe piekło, stojąc wśród tłumu ludzi. Kręciło mu się w głowie z emocji. Przez chwilę, kiedy spojrzałw mokre, przerażone oczy Lainie, miał ochotę jej pomóc, tak jakby był w stanie to zrobić.

Wmawiał sobie, że ta dziwna chęć przyjścia jej z pomocą niczego nie oznacza. Do diabła, miał wtedy ochotę powiedzieć cokolwiek, byleby tylko przestała patrzeć na niego tak, jakby był jakimś bohaterem.

Lecz w głębi duszy znał prawdę i to właśnie najbardziej go przerażało. Chciał wtedy przytulić tę kobietę, okazać uczucia, których, jak sądził, wyzbył się już dawno temu. Wskrzesała w nim pozostałości mężczyzny, którym niegdyś był, człowieka, który wierzył w miłość, honor i oddanie, strażnika idealistę, który zamierzał ocalić świat i uczynić go bezpiecznym miejscem dla bezbronnych.

To właśnie ten idealizm przyczynił się do jego upadku. Kiedy go utracił, pogrzebał w samotnym grobie w małym miasteczku, zostało mu poczucie pustki, bezdenne żalu. Przez wiele lat żył ucieczką od wszystkich i od wszystkiego, przede wszystkim od nienawiści, która zżerała mu serce jak rak. Lecz nie sposób było uciec od siebie.

Z czasem tamte dni stały się dla niego odległym wspomnieniem. Już nie pamiętał, jak się czuł wtedy, gdy na czymś mu zależało, gdy czegoś pragnął.

Trwało to do chwili, w której spojrzał na Lainie. Wtedy przypomniał sobie wszystko z oślepiającą, bolesną wyrazistością. Przypomniał sobie, z jaką dumą nosił kiedyś odznakę teksaskiego strażnika, jakie miał marzenia.

Na tę myśl ogarnęła go nowa fala gniewu. Chwycił butelkę i długo z niej pił. W końcu skrzywił się i otarł wargi rękawem. Alkohol palił gardło i żołądek.

Jak to możliwe, że się tego nie domyśliła? Miała przecież mnóstwo wiadomości na jego temat, znała jego życie i przeszłość. Musiała wiedzieć, że jest życiowym rozbitkiem.

Dlaczego więc prosiła go o pomoc?

I dlaczego niby miałyby próbować jej udzielić? Przecież był rozsądny, za mądry na to, żeby wdawać się w jakąś kabałę. Nie wiedział, co przeraża go bardziej - chęć udzielenia jej pomocy czy świadomość, że nie jest w stanie tego zrobić.

Ilekczo próbował komuś pomóc, kończyło się to fiaskiem. Zawodził kompletnie, na całej linii. Okazywał się nieudacznikiem. Ludzie, którzy na niego liczyli, ginęli. Tak wyglądała przerażająca prawda.

Pomóż mi, proszę...

Wymamrotawszy jakieś przekleństwo, oderwał się od ścianki i wmieszał w tłum. Musiał coś zrobić, żeby przestać myśleć o Lainie, w przeciwnym razie groziło mu to, że przestanie się kontrolować.

- Killian! - Donośny kobiecy głos przerwał jego rozmyślenia.

Popatrzył w lewo. Przez tłum przedzierała się w jego stronę kobieta; jej mamucie piersi torowały drogę jak bukszpryty, przy każdym kroku podskakując nad głębokim dekoltem. Stanąwszy tuż przed Killianem, przechyliła głowę i uśmiechnęła się zalotnie.

- Jesteś dzisiaj strasznie nietowarzyski, Killian. Jak zwykle.

Wykrzywił wargi w gorzkim uśmiechu. Pomyślał, że szybki, gwałtowny seks bez zobowiązań dobrze mu zrobi. Kiedy zajmie ciało, natychmiast przestanie zadrećcać się myślami.

Chwycił prostytutkę i przyciągnął do siebie. Zaśmiała się gardłowo i nadstawiła czoło do pocałunku.

- Ooo! Dziewczyny mi nie uwierzą - mruknęła, ocierając się o niego.

Popęłnił fatalny błąd i na nią spojrział. Niebieskie oczy okolone mocnym makijażem zamrugały zalotnie, lecz nawet ich nie zobaczył.

Wydawało mu się, że ma przed sobą smutne zielone oczy Lainie, przerażone i napęchione łzami. To wyobrażenie było jak cios prosto w serce. Ogarnął go dławiący strach, gdyż doznał wrażenia, że Lainie utkwiała w jego wnętrzu. Nie potrafił wymazać z pamięci widoku jej smutnych oczu i słów cichej, pokornej prośby.

Odszedł od prostytutki, nie odezwawszy się ani słowem. Sięgnął po butelkę whisky, wypił potężny łyk i zaczął przeciskać się przez tłum.

Brezentowa kłapa u wyjścia z namiotu kusiała go, przyciągała. Pochylił głowę i rzucił się w jej stronę. Był już w połowie namiotu, kiedy zdał sobie sprawę, co robi, dokąd zmierza.

Szedł do Lainie.

Uświadomiwszy to sobie, gwałtownie się zatrzymał. Stał 'j wśród tłumu jak głupiec, oszołomiony i pijany. Nie potrafił, już nawet skupić myśli na Lainie i jej smutnych oczach.

Jęknął cicho, pochylił głowę. Chyba na całym świecie nie było takiej ilości alkoholu, która mogłaby oddalić jego problemy. Nie tym razem. Mógłby nieprzerwanie pić aż do niedzieli a i tak nie przestałby myśleć o Lainie.

Wiesz, jak to jest, kiedy wraca się do pustego domu, Killian...

Wzdrygnął się na wspomnienie jej słów, tej tak bardzo osobistej uwagi. Kiedy patrzył na Lainie, odnosił wrażenie, że zanurza się w szmaragdowej toni jej oczu, znajduje ciepło i zrozumienie. Pomyślał, że ta kobieta musi mieć za sobą ciężkie chwile i na pewno dobrze wie, ile siły woli wymaga walka o przetrwanie po życiowym ciosie.

Powoli podszedł do drzwi, wyszedł na zewnątrz i skierował się do stodoły. Oparł się o ścianę, potem osunął się po murze i usiadł, podciągając nogi. Otaczała go ciemna noc, na czarnym niebie migotały gwiazdy. W powietrzu unosiły się stłumione dźwięki muzyki, hałas i śmiech. Jakies pięćdziesiąt stóp od niego trwała zabawa, tymczasem on, po raz pierwszy od wielu lat, czuł dojmującą samotność.

Odchylił głowę, stuknął nią w drewnianą ścianę i głęboko westchnął. Musi trzymać się z dala od

Lainie, gdyż w przeciwnym razie...

Zadrzał na myśl o tym, co się może zdarzyć.

Jeśli się od niej nie odsunie, wciąż będzie prosić go o pomoc, nie przestanie skrobać skorupy, którą z takim trudem się opancerzył. Gdzieś, w głębi duszy, wciąż tkwił w nim przedstawiciel prawa.

Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że gdyby nawet chciał i spróbował jej pomóc, to i tak nie byłoby go przy niej w decydującej chwili. Nie przeżyłby tego, że znów sprawia komuś zawód. Nie byłby w stanie tego znieść. N o nieee... - Skeeter uchylił drzwi i wsunął głowę do chaty Killiana. Butelka whisky wypadła mu z rąk i uderzyła o klepisko; powietrze wypełnił ostry zapach alkoholu. - Ja już nie żyję. i Lainie zniknęła.

Poczuł, że trzęsą mu się kolana. Przełknął z trudem ślinę i oblizał spierzchnięte wargi. Killian (nie będzie z tego zadowolony. Wprost przeciwnie.

Pochylił się i podniósł butelkę. Była w niej jeszcze połowa zawartości. Popatrzył na przezroczysty bursztynowy płyn, wciągnął jego znajomy zapach i nagle poczuł wielkie pragnienie. Otarł szyjkę i pociągnął tęgi łyk, potem następny i kilka kolejnych. W końcu oderwał butelkę od ust. Miał do wyboru pójście po Killiana albo upicie się. Każde z tych rozwiązań groziło poważnymi konsekwencjami.

Nie wahał się długo. Oparł się o drzwi chaty i osunął się na siedzenie. Podkulił drżące kolana, tak że sterczały jak bliźniacze szczyty gór.

Postanowił się upić.

Duszką opróżnił zawartość butelki, z trudem wstał i zachichotał, po czym natychmiast zakrył usta dłonią i odrzucił butelkę. Oderwał się od ściany i chwiejnym krokiem ruszył ścieżką.

W połowie drogi do namiotu, w którym trwała zabawa, zaczął śpiewać. Wymachując rękami, wszedł do środka.

- Hej, Skeet - zagadnęła go baryłko wata kobieta, wyglądem przypominająca mu ojca. - Gdzie byłeś?

Czknął i skręcił w bok, mamrocząc pod nosem coś na temat Killiana.

Killian... Nagle przypomniał sobie, co się stało, i ogarnął go blady strach. Nie bez trudu przecisnął się przez tłum, rozpychając się wśród ludzi jeszcze bardziej pijanych niż on.

- Skeeter. - Ktoś wypowiedział jego imię spokojnym, lecz lodowatym tonem. Natychmiast przystanął i poczuł, że znów trzęsą mu się kolana.

- Sz...szefie? - wybełkotał, zerkając w lewo.

Killian stał przy poźółkłej brezentowej ścianie, w kapeluszu głęboko nasuniętym na czoło, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Twarz miał skrytą w cieniu, lecz mimo to Skeeter gotów byłby przysiąc, że szef się nie uśmiecha.

Miał wielką ochotę się napić. Wsunął drżące ręce do kieszeni i ruszył w stronę Killiana.

- P...pewnie się zastanawiasz, co t...tu robię.

- Gdzie jest Lainie?

Skeeter popatrzył na szefa nieprzytomnym wzrokiem.

- Kto?

Killian zacisnął szczęki.

- Ta kobieta.

- Aaa... ona. - Skeeter zwiesił głowę. Nagle poczuł niezwykle silne parcie na pęczek. - Ona... sobie poszła.

Killian znieruchomiał, a po chwili oderwał się od ściany.

- Dokąd?

Skeeter znów przełknął z trudnością

- Nie wiem, ale poprosiła mnie o kompas. Killian zagrzytał zębami.

- Mam nadzieję, że jej go nie dałeś.

- Nooo... n...nie.

Killian odchylił kapelusz i popatrzył mu prosto w oczy.

- Dałeś jej kompas?

Skeeter przytaknął, nie mogąc wydobyć słowa ze ściśniętego gardła.

Killian westchnął głęboko.

- W takim razie uciekła.

Skeeter pokiwał głową, spodziewając się, że lada chwila szef go zabije. Dygocząc ze strachu, czekał na strzał i dopiero, gdy zyskał pewność, że nie zostanie ukarany śmiercią, nieco się rozluźnił.

- Mose nigdy jej nie lubił.

- To prawda. - Killian wypowiedział te słowa cicho, ale w jego głosie pobrzmiwały tak niepokojące nuty, że Skeeter poczuł gniewienie w żołądku. - Ale to niczego nie zmienia. - Zaczął przeciskać się przez tłum, a w końcu zniknął za brezentowymi drzwiami.

Skeeter odetchnął z ulgą. Dzięki Bogu, udało mu się przeżyć.

- Hej! - krzyknął. - Jeszcze nie umarłem!

Prostytutka jiy biegła w jego stronę.

Killian szedł w stronę chaty. Z najwyższym trudem zmuszał się do tego, by nie puścić się pędem.

Otworzywszy drzwi, wpadł do niewielkiego ciemnego pomieszczenia. Światło księżyca sączyło się do środka przez brudne okna. Łóżko z pomietą pościelą skąpane było w niebieskawym blasku.

Zauważył jakąś kartkę na stole, przygwożdżoną do blatu ostrzem myśliwskiego noża. Chwył chłodną skórzaną rękojeść i wyciągnął nóż, po czym uniósł skrawek papieru i podszedł do lampy, by przeczytać wiadomość.

Powinieneś był mi pomóc.

Ogarnął go strach, a serce zaczęło bić tak mocno, że nie był w stanie myśleć. Poczuł, że zimny pot perli mu czoło.

W połowie drogi do namiotu, w którym trwała zabawa, zaczął śpiewać. Wymachując rękami, wszedł do środka.

- Hej, Skeet - zagadnęła go baryłko wata kobieta, wyglądem przypominająca mu ojca. - Gdzie byłeś?

Czknął i skręcił w bok, mamrocząc pod nosem coś na temat Killiana.

Killian... Nagle przypomniał sobie, co się stało, i ogarnął go blady strach. Nie bez trudu przecisnął się przez tłum, rozpychając się wśród ludzi jeszcze bardziej pijanych niż on.

- Skeeter. - Ktoś wypowiedział jego imię spokojnym, lecz lodowatym tonem. Natychmiast przystanął i poczuł, że znów trzęsą mu się kolana.

- Sz...szefie? - wybełkotał, zerkając w lewo.

Killian stał przy poźółklej brezentowej ścianie, w kapeluszu głęboko nasuniętym na czoło, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Twarz miał skrytą w cieniu, lecz mimo to Skeeter gotów byłby przysiąc, że szef się nie uśmiecha.

Miał wielką ochotę się napić. Wsunął drżące ręce do kieszeni i ruszył w stronę Killiana.

- P...pewnie się zastanawiasz, co t...tu robię.

- Gdzie jest Lainie?

Skeeter popatrzył na szefa nieprzytomnym wzrokiem.

- Kto?

Killian zacisnął szczękę.

- Ta kobieta.

- Aaa... ona. - Skeeter zwiesił głowę. Nagle poczuł niezwykle silne parcie na pęcherz. - Ona... sobie poszła.

Killian znieruchomiał, a po chwili oderwał się od ściany.

- Dokąd?

Skeeter znów przełknął z trudnością

- Nie wiem, ale poprosiła mnie o kompas. Killian zagrzytał zębami.

- Mam nadzieję, że jej go nie dałeś.

- Nooo... n...nie.

Killian odchylił kapelusz i popatrzył mu prosto w oczy.

- Dałeś jej kompas?

Skeeter przytaknął, nie mogąc wydobyć słowa ze ściśniętego gardła.

Killian westchnął głęboko.

- W takim razie uciekła.

Skeeter pokiwał głową, spodziewając się, że lada chwila szef go zabije. Dygocząc ze strachu, czekał na strzał i dopiero, gdy zyskał pewność, że nie zostanie ukarany śmiercią, nieco się rozluźnił.

- Mose nigdy jej nie lubił.

- To prawda. - Killian wypowiedział te słowa cicho, ale w jego głosie pobrzmiwały tak niepokojące nuty, że Skeeter poczuł gniewienie w żołądku. - Ale to niczego nie zmienia. - Zaczął przeciskać się przez tłum, a w końcu zniknął za brezentowymi drzwiami.

Skeeter odetchnął z ulgą. Dzięki Bogu, udało mu się przeżyć.

- Hej! - krzyknął. - Jeszcze nie umarłem!

Prostytutka jiy biegła w jego stronę.

Killian szedł w stronę chaty. Z najwyższym trudem zmuszał się do tego, by nie puścić się pędem.

Otworzywszy drzwi, wpadł do niewielkiego ciemnego pomieszczenia. Światło księżyca sączyło się do środka przez brudne okna. Łóżko z pomietą pościelą skąpane było w niebieskawym blasku.

Zauważył jakąś kartkę na stole, przygwożdżoną do blatu ostrzem myśliwskiego noża. Chwył chłodną skórzaną rękojeść i wyciągnął nóż, po czym uniósł skrawek papieru i podszedł do lampy, by przeczytać wiadomość.

Powinieneś był mi pomóc.

Ogarnął go strach, a serce zaczęło bić tak mocno, że nie był w stanie myśleć. Poczuł, że zimny pot perli mu czoło.

Lainie może umrzeć.

Ta myśl go przeraziła; poczuł ściskanie w żołądku.

Próbował sobie wmówić, że nic się nie stało. Przecież jej los w ogóle nie powinien go obchodzić. W końcu... kim dla niego była? Co dla niego znaczyła?

Zadygotał. Wolał nie zastanawiać się nad tym drugim pytaniem. Nie miał odwagi na nie odpowiedzieć.

Zmiał kartkę i rzucił nią o ścianę. Kulka papieru z cichym szelestem spadła na podłogę.

Zacisnął dłonie w pięści i popatrzył na zamknięte drzwi.

Pozwól jej odejść, głupcze.

A jednak nie mógł dopuścić do tego, by sama przemierzała pustynię. Bez broni i przewodnika nie przeżyłaby nawet dwóch dni.

- Co ja robię - mruknął, idąc już w stronę drzwi. Postępował nierozsądnie, ale nic nie mógł na to poradzić. Musiał ją odszukać.

Sam był zdziwiony tym, że jednak pozostała w nim jakaś część bohatera.

Wziął lampę ze stołu i wybiegł z chaty, kierując się w stronę tunelu. Zanurzywszy się w ciemnej czeluści, przystanął, zdyszany.

- Lainie?! - zawołał. Jej imię odbiło się echem od kamiennej ściany.

Nikt nie odpowiedział.

Serce zamarło mu z przerażenia. Biegiem ruszył w głąb tunelu. Płomień lampy powodował dziwną grę światłocieni na ścianach. Killian przemierzał kręte korytarze, wołając Lainie tak długo, że aż ochrypl.

W końcu musiał przystanąć ze zmęczenia. Przeszukał wszystkie przejścia i załomy, lecz jej nie znalazł. Oparł się o wilgotną ścianę, ciężko dysząc.

- Lainie... - wyszeptał i pochylił głowę, walcząc z nagłym bólem. Zamknął oczy i potarł skronie, skupiając całą swoją uwagę na tej prostej czynności. Byłby gotów na wszystko, co

pomógłoby mu wymazać z pamięci obraz tej kobiety, lecz, oczywiście, nie miało to szans powodzenia. Gdziekolwiek patrzył, wydawało mu się, że ją widzi, miał wrażenie, że dostrzega ją w cieniach na ścianie, w blasku światła na ziemi. W uszach nieustannie dzwoniły mu jej słowa, wypowiedane jakby w rytm kroków. *Potrzebuję twojej pomocy... twojej pomocy... twojej pomocy...*

Dlaczego jej odmówił, z jakiego powodu odwrócił się do niej plecami?

Jego lęki wydały mu się nagle nieistotne w porównaniu z jej rozpaczą. Cóż by się stało, gdyby nawet nie udało mu się jej pomóc? Mógł ją wysłać do Fortune Flats...

Odeśle ją tam, pomyślał. Każę Skeeterowi jej towarzyszyć... Tylko niech będzie cała i zdrowa.

Pomału uniósł głowę. Piekły go oczy; przed sobą widział jedynie rozmazane światłocienie. Ból głowy przybierał na sile. Zamrugał, chcąc odzyskać ostrość widzenia.

- Ech, Lainie... - Zachrypnięty głos załamał się, gdy Killian wymawiał jej imię.

- Killian?

Na początku myślał, że ten szept to tylko ruch powietrza. Mimo wszystko wstrzymał oddech; zaświtała nadzieja.

- Lainie?

- Jestem tutaj.

Obrócił się w prawo. W słabym świetle dostrzegł niewielki ciemny pagórek pod ścianą. Z niedowierzaniem postąpił o krok, lecz zaraz potem pobiegł w tamtą stronę.

Leżała zwinięta w kłębek, z podkulonymi kolanami, z twarzą przyciśniętą do lodowatych skał.

Przykłęknął, wciąż jeszcze nie mogąc uwierzyć, że ją znalazł. Odstawił lampę i dotknął policzka Lainie. Był szorstki i lodowato zimny.

Poruszyła się nieznacznie i spojrzała na Killiana. Światło lampy rozjaśniło jej twarz, opromieniło ją złotym blaskiem.

- Lainie - powiedział cicho, delikatnie muskając jej policzek. - Przepraszam... - dodał, wzruszony.

- Przemarzałam do szpiku kości - wyszeptała i zatrzęsła się jakby dla zobrazowania swoich słów.

Wziął ją na ramiona, pędem wrócił do chaty i położył w ciepłym łóżku.

Potem usiadł obok niej, najdelikatniej, jak tylko mógł. Leżała na plecach, włosy tworzyły ciemną aureolę wokół jej bladej twarzy. W porównaniu z mocno wypchaną, zszarzałą poduszką, wydawała się drobna i krucha.

Krucha. Nieznacznie się skrzywił. Nigdy dotąd nie użyłby tego słowa na określenie tej kobiety. Owszem, była bezbronna, lecz przede wszystkim zapamiętał jej upór, determinację i hart ducha. Nie spotkał jeszcze nikogo o tak silnej woli.

Jednak teraz, widząc ją w łóżku, sprawiającą wrażenie zagubionego dziecka, zauważył, że jest krucha i delikatna, może nawet bardziej wrażliwa niż znane mu osoby. Pod maską zuchwałości i buty kryła się istota przerażona i samotna tak jak on.

W dodatku potrzebowała jego pomocy.

Te słowa spowodowały ukłucie bólu. Prosiła go o tak niewiele. Normalny mężczyzna z chęcią by jej pomógł... ale nie on. Killian dobrze już wiedział, na co go stać. Żałośnie zawodził wszędzie tam, gdzie w grę wchodziło jakiegokolwiek, nawet niewielkie, zobowiązanie. Nie mogła na niego liczyć. Nie potrafił jej pomóc, choć, jak się okazało, nie był także w stanie jej opuścić.

Otworzyła oczy i popatrzyła na niego. Oddychała płytko, z widocznym wysiłkiem.

- Dziękuję - powiedziała chrapliwie i zaniósła się kaszlem.

Przyglądał się jej, starając się ustalić, co go tak w niej wzrusza i jednocześnie przeraża. Nie różniła się aż tak bardzo od setek znanych mu kobiet; nie była od nich ładniejsza, zgrabniejsza, delikatniejsza. Miała jednak w sobie coś...

Przypomniał sobie, jak wyglądała, kiedy znalazł ją, skuloną i płaczącą w ciemności. I nagle ogarnął go gniew, że tak lekkomyślnie narażała życie.

- Nie powinnaś była iść tam sama. Uniosła ciemne brwi.

- Tak? Niestety, nie miałam wyboru. Znieruchomiał. Czuł, jak jego mięśnie sztywnieją z napięcia. Zaciął szczęki, zwinął dłonie w pięści. Złość przyspieszyła bieg jego krwi.

- Zawsze istnieje wybór.

Usiłowała się podnieść. Bez namysłu podał jej rękę, lecz zetknięcie ich ciał podziałało na niego jak uderzenie pioruna, więc szybko cofnął dłoń.

Musiała poczuć to samo, gdyż gwałtownie zacerpnęła tchu i odchyliła głowę, przyglądając mu się

rozszerzonymi oczami, nieznacznie się też odsunęła, jakby przerażała ją ich bliskość.

- Następnym razem wezmę konia.

- Następnym razem? - Zerwał się z łóżka, odszedł parę kroków i zaczął przechadzać się po izbie tam i z powrotem. Wrzał w nim gniew, uniemożliwiający regularne oddychanie. Z najwyższym wysiłkiem zmusił się do opanowania. Miał ochotę potrząsnąć nią tak, żeby rozdzwoniły się jej zęby.

- Tak, Killian, następnym razem - powiedziała spokojnie. - Muszę wrócić do mojego dziecka.

W paru susach znalazł się przy łóżku i chwycił ją za ramiona.

- Ty idiotko! Nie rozumiesz, że mogłaś tam umrzeć? Gdy bym nie zaczął cię szukać... - Nagle poczuł ściskanie w gardle i nie był w stanie wydobyć z siebie dalszych słów.

Puścił ją i cofnął się o l^ok. Opadła na łóżko, ale nie odwróciła wzroku. Zielone oczy patrzyły na niego, zmuszały do dokonania trudnego wyboru.

Odwrócił się, podszedł do pieca i sięgnął po czajnik. Halaśliwie przesuwając naczynia trzęsącymi się rękami.

A więc ona zrobi to znowu, a następnym razem może go nie być w pobliżu, żeby ją uratować. Być może przy kolejnej próbie oddali się na taką odległość, że już nigdy jej nie znajdzie. Ta myśl przerażała go nie na żarty.

Lainie patrzyła, jak Killian stara się zaparzyć kawę. Ciskał garnkami i kubkami jak szalenciem. Potem przykucnął na podłodze. Długie srebrzystosiwe włosy opadały mu na kołnierz.

Był wściekły... i przerażony.

Zmarszczyła czoło i wyprostowała się.

- Killian? Chodź tutaj.

Znieruchomiał, a potem, jakby po namyśle, powoli wstał i się odwrócił.

Wyszła z łóżka i podeszła do niego. Stali teraz blisko siebie przy ciepłym piecu. Dostrzegła gniew i lęk w ciemnych oczach.

- Czego się tak boisz, Killianie?

Dopiero po dłuższej chwili odpowiedział niemal niedostępalnie:

- Ciebie.

To proste słowo sprawiło, że poczuła, jak ogarnia ją ciepła fala radości. Lekko zadrżała i nawet nieznacznie się uśmiechnęła. Na chwilę odwrócił wzrok. Jego zaciśnięta szczęka i napięta skóra wokół oczu dowodziły, że z trudem zmusza się do opanowania. W końcu znów na nią popatrzył.

Ich spojrzenia się spotkały. Tym razem żadne z nich nie odwróciło wzroku. Przez chwilę Lainie czuła zawroty głowy, nie była w stanie złapać tchu. W pewien sposób byli do siebie bardzo podobni. Samotni i zagubieni, bali się bliskości.

Nagle wszystko ułożyło jej się w logiczną całość. John MacArthur Killian, legendarny teksaski strażnik, zawiódł swoją żonę. Nie było go przy niej w chwili, w której go potrzebowała. Emily umarła, a on obwinał się o jej śmierć.

Lainie dobrze знаła takie wyrzuty sumienia. Wiele lat, właściwie przez całe życie, czuła się winna z powodu nieodpowiedzialności rodziców. Wzięła wszystko na swoje wątłe barki, uważała, iż odeszli, ponieważ była nieczułą egoistką i ponosiła winę za to, że jej nie kochali.

Killian reagował tak samo. Słabość Emily uznawał za swój błąd. To właśnie dlatego był tutaj, żył wśród wyrzutków społeczeństwa.

Poprosiła go akurat o to, czego nie był w stanie jej dać, gdyż nie ufał własnym siłom. Żeby jej pomóc, musiałby uwierzyć, że jest dobrym człowiekiem.

Miała ochotę go pocieszyć, pogłaskać po szczeniastym zaroście na policzku, jednak tego nie zrobiła. Paraliżował ją strach. Zdała sobie sprawę, że pragnęła rzeczy niemożliwej do spełnienia.

- Nie jestem taka jak Emily - powiedziała cicho. Gwałtownie zbladł.

- Co masz na myśli? - zapytał prawie szeptem. Przełknęła z trudem ślinę.

- Ja już... przeszłam przez to co Emily. W chacie zapanowała cisza.

- Teraz już rozumiem... - powiedział cicho, prawie szeptem.
tem. - To dlatego masz koszarne sny... dlatego nie możesz spać...

Pokręciła głową.

- To tylko część problemu. - Popatrzyła na niego, starając się wyrazić oczami to, czego wołała nie ubierać w słowa. - To było naprawdę... straszne i minęło dużo czasu, zanim doszłam do siebie, ale w końcu mi się to udało. Przeżyłam.

- Alaina...

Wypowiedział jej imię w taki sposób, że poczuła miłe ciepło wokół serca. Nie zdając sobie nawet z tego sprawy, postąpiła krok w jego stronę, z uniesioną głową, wpatrzona w jego oczy. Zauważyła, że jego twarz jest ściągnięta współczuciem i bólem.

Z początku tylko lekko jej dotknął. Dopiero gdy wtuliła policzek w zagłębienie jego ramienia i zamknęła oczy, przyciągnął ją tak mocno, że nie mogła złapać tchu. Czowała wolny, równy rytm jego serca i ciepło oddechu owiewającego jej czoło.

Przez całe życie czekała na tę chwilę, na to, by ktoś zrozumiał jej ból. Mrugając, by powstrzymać łzy, wtuliła twarz w jego koszulę, wdychając znajomy męski zapach. Nagle to, że są połówkami jednej całości, wydało jej się całkiem prawdopodobne.

Dotknęła jego policzka.

- Killian...

Pochylił się.

- Ech, Lainie, co ty ze mną robisz? - Niespodziewani lekko ją odepchnął i odwrócił się, unosząc ręce. - Już dość - jęknął. - Dość.

Znów zamrugwała, zaskoczona nagłą zmianą jego nastroju.

- Czego masz dość?

Odwrócił się i popatrzył na nią tak ponuro, że poczuła się tak, jakby otrzymała mocny policzek.

- Nie mogę tego zrobić. Jutro odeślę cię do Fortune Flats ze Skeeterem. Tylko w taki sposób mogę ci pomóc.

Podeszła do niego, lekko rozczarowana. Powinna teraz triumfować, cieszyć się ze zwycięstwa. Powiedział przecież, że ją odeśle. Tymczasem poczuła się opuszczona.

- Ale...

- Nie ma żadnego ale. - Cofnął się, zachowując bezpieczny dystans między nimi. - Trzymaj się ode mnie z daleka, Lainie. - Jego głos brzmiał ostro, cierpko.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ktoś zapukał do drzwi.

- Wejść - rzucił Killian.

W drzwiach stanęła Viloula. Miała błyszczący wzrok; w drżących dłoniach trzymała jakiś mały szklany pojemnik. Popatrzyła na Lainie.

- Mogę jeszcze spróbować jednego sposobu. Lainie postąpiła krok w stronę staruszki.

- Co masz na myśli, Viloulo? Sprawiasz wrażenie przerażonej.

Murzynka posłała jej blady uśmiech.

- Całą noc czytałam... i rozmyślałam. A potem przyszło mi coś do głowy. - Uniosła buteleczkę, której zawartość rozbłysła jak złoto. - To może mi powiedzieć, co zrobić, żebyś wróciła do domu.

Lainie gwałtownie zaczerpnęła tchu. Jej serce wezbrało nadzieją, lecz szybko zmusiła się do opanowania, by nie doznać

bolesnego zawodu. - W jaki sposób? Viloula przeniosła wzrok z Lainie na Killiana. - Chodźcie za mną. - Teraz? - zapytał, zdumiony. Viloula zgromiła go wzrokiem. - Jeśli nie zrobię tego teraz, mogę już nigdy nie znaleźć na i to siły.

- Ale Viloulo...

- Teraz - ucięła Murzynka zdecydowanym tonem, po czym odwróciła się i wyszła z chaty.

Byli w pełnej napięcia ciszy, nie znajdując odpowiednich słów na określenie niezwyklej sytuacji. W końcu, po wędrówce, która dłużyła się w nieskończoność, dotarli do miejsca wybranego przez Viloulę. Była to niewielka równina nad osadą, otoczona czarnymi skałami. Ciemne niebo nad ich głowami usiane było miriadami gwiazd. Jedna z nich przemknęła po aksamitnym tle, zostawiając za sobą błyszczącą smugę białego pyłu.

To znak, pomyślała z ulgą Viloula, zyskując pewność, że wybrała odpowiednie miejsce.

- Killian, rozpal ognisko - poleciła, rozkładając na ziemi swoją pelerynę. - Lainie, usiądź tutaj.

Lainie posłusznie przekroczyła stertę kamieni i usiadła na pelerynie, cały czas uważnie przyglądając się staruszce. Killian wprawdzie rozpałił ognisko i po chwili usiadł obok Lainie.

Murzynka tymczasem postawiła fiolkę na płaskiej skale, cofnęła się o krok i zaczęła wpatrywać się w szkło. Blask ognia wydobyl z niego całą gamę odcieni. Drobin w buteleczce przypominały teraz wyglądem opiłki

miedzi.

Całe swoje życie Viloula przygotowywała się na taką chwilę, czekała na nią. Wierzyła - i nigdy nie zwątpiła - w magiczną siłę wszechświata. Jej matka, słynna uzdrowicielka, Genvieve, często opowiadała małej Vilouli o rzeczach pozornie niemożliwych i nieprawdopodobnych. Dziewczynka dorastała w przekonaniu, że pewnego dnia zetknie się z nimi, znajdzie się w fascynującym, cudownym świecie magii.

Nareszcie ta chwila nadeszła. Czują to całym swoim ciałem. Jej serce biło w przyspieszonym rytmie... Była podniecona, choć jednocześnie bardzo się bała.

Skupiła uwagę na fiolce. Wiele lat temu dostała ją od starego Indianina, niewidomego Pa-lo-wah-ti, który powiedział jej, że w przyszłości będzie jej potrzebować i że znajdzie w niej wizjonerską odpowiedź na niezwykle istotne pytanie.

Sięgnęła po buteleczkę. Nie była zaskoczona tym, że drżą jej ręce. Zaciśnięwszy palce na zimnym szkle, wyjęła korek i połknęła lekarstwo, po czym szybko popiła je wodą z manierki.

- Viloulo! - krzyknęła Alaina. - Co ty robisz?

Tajemniczy proszek podziałał natychmiast. Pod Viloula ugięły się kolana, przygarbiła się. Przykłęka powoli, z widocznym wysiłkiem.

- Vi?

Usłyszała wysoki głos przerażonej Alainy, dochodzący jakby z odległości tysięcy mil. Chciała się uśmiechnąć, ale nie była w stanie zapanować nad ciężkimi wargami, czuła potworną suchość w ustach. Nie mogła wykrztusić ani słowa, miała wrażenie, że ktoś przygwoździł jej ramiona do boków. Dotknęła palcami ziemi.

Jak dawno zażyła lekarstwo? Nie wiedziała, straciła poczucie czasu. Popatrzyła w dół. Ziemia wydawała się to zbliżać, to oddalać. Nieopodal leżała porzucona buteleczka, błyszcząca w świetle ognia. Teraz, bez tajemniczego proszku, wyglądała bardzo niepozornie.

Kawałki skał boleśnie wbijały się w kolana Vilouli. Każde ułknięcie kamyka czy gałązki odbierała tak, jakby ktoś dźgał ją ognistą włócznią. Obok niej płomienie ognia wzbijały się migotliwymi wstęgami w ciemne niebo. Uniosła głowę, by przyjrzeć się wspaniałemu widowisku. Feeria barw otoczyła ją, wchłonęła. Spadająca gwiazda przemknęła przez niebiosa, ciągnąc za sobą snop iskier. Była blisko, tak blisko, że Viloula mogła jej dotknąć, dotrzeć...

Coraz mocniej odchyliła się do tyłu, aż w końcu położyła się na ziemi, z rozpostartymi ramionami.

Zobaczyła nad sobą czyjąś twarz, białoplamę na tle ciemnego nieba.

- Vi? - To słowo... - czyżby to było jej imię? - zostało wypowiedziane głębokim, dźwięcznym głosem. Alaina.

Viloula zamrugała. Usiłowała zwilżyć wargi, by móc coś powiedzieć. Chciała dotknąć twarzy Alainy, ale zanim zdołała się poruszyć, ziemia zniknęła i Viloula zaczęła spadać, osuwać się w próżni, doświadczając przy tym upojnych doznań, przyprawiających ją o zachwyt i radosny śmiech. Gwiazdy przelatywały obok niej jak świetliki, mile owiewając ciepłem jej twarz.

Potem poczuła, że szybuje w przestrzeni, unoszona na fali powietrza, w tę i we w tę. Zamknęła oczy, odetchnęła i poczuła, że się roztopia, robi się lekka jak piórko, staje się powietrzem...

Przeraziła się. Gwałtownie zaczerpnęła tchu, starając się rozprostować ramiona, lecz nie miała już rąk ani dłoni. Usłyszała jakiś dźwięk, echo wystrzału z broni palnej.

Killian. To imię eksplodowało w jej mózgu, przyprawiając ją o paniczny strach. Nagle zrobiło się jej duszno, gorąco; poczuła, że ma spocone czoło. Serce biło jej tak szybko, że nie była w stanie złapać tchu. Uciekaj! Uciekaj! Starła się wykrzyknąć słowa ostrzeżenia, ale tak zaschło jej w ustach, że nie była w stanie wydobyć głosu, a może nie miała gardła lub nie pamiętała, jak się mówi. Niczego nie wiedziała, niczego nie mogła być pewna. Wszystko się zmieniało, znajdowała się w ciągłym ruchu. Świat był kalejdoskopem ognistych barw i ogłuszających dźwięków.

Toczyła głową na boki, nie chcąc już niczego widzieć. Z jej gardła dobywały się słabe jęki.

Nagle pojawiła się krew. Zalała jej oczy, zaczęła spływać po policzkach. Czują, jak gęsta struga powoli pełźnie po jej ciele, poznała ją po metalicznym smaku.

Zaczęła drapać się po twarzy, krzyczała; starała się zetrzeć krew, lecz im bardziej zawzięcie dotykała policzków, tym więcej czerwieni pojawiało się na jej dłoniach. Dzikiem wzrokiem popatrzyła na swe ciało, chcąc znaleźć ranę, lecz zobaczyła tylko jakiś niebieski materiał z ciemną plamą.

Obok niej stał Killian. Po raz pierwszy ujrzała go tak jasno i wyraźnie. Bała się go, chociaż nie wiedziała dlaczego.

Killian...

Rozmył się w ciemnościach nocy, krew zniknęła.

Usiadła, ciężko dysząc, walcząc o złapanie tchu. W oddali, za srebrzystą mgiełką, dostrzegła dwa splecione ciała. Tym razem usłyszała płacz kobiety, ogłuszający grzmot, wściekły werbel kropel deszczu, strzał. Po chwili wszystkie odgłosy zlały się w ogłuszający, pulsujący hałas.

Zakryła uszy dłońmi. Nagle zapadła absolutna cisza. Ujrzała przed sobą pustynię i ludzi w oddali. Wielka błyskawica przecięła niebo, oświetliła ich twarze i poszarpaną skałę za nimi. Ogromna kula słońca zawisła tuż nad czarną płaszczyzną ziemi. Na niebie pojawił się srebrny krzyż, rzucając cień na ogromną skałę. Po chwili krzyż zamigotał, poruszył się, obrócił na niebie i zniknął w kłębach purpurowego dymu.

Alaina. Killian. Krew. Łzy. Zachód słońca.

Znów pojawiła się błyskawica. Alaina zniknęła.

Drżąc na całym ciele, Viloula mocno zacisnęła powieki.

- Jeszcze... - wychrypiała. To jeszcze nie powinno się skończyć. Czyją krew widziała? Czyją śmierć? - Jeszcze...

Lecz wszystkie wizje zaczęły się zacierać. Viloula poczuła paniczny strach, oddychała z trudem, gorączkowo poszukując wyjaśnień. To jeszcze nie może się skończyć, jeszcze nie uzyskała wszystkich odpowiedzi. Czyją krew widziała, czyje łyzy? Co się działo?

Oszołomiona, słaba, osunęła się w głęboką, gęstą ciemność, z której nie było żadnej ucieczki. Czerń zamknęła się nad nią, zatkała usta i nos, i uszy, tak że Viloula nie mogła oddychać i nie docierały do niej żadne dźwięki, unieruchomiła ręce i nogi.

Biorąc ostatni, drżący oddech, staruszka rozpląnęła się w nicości.

JL/ainie przechadzała się po chacie Murzynki, nerwowo gryząc kciuk.

- Mogłabyś przestać? Nie mogę już na to patrzeć. - Killian ukrył twarz w dłoniach i głęboko westchnął. - Boże, jak ona już długo śpi.

Lainie powróciła do ssania kciuka. Czowała paniczny strach. Starła się opanować, ale to jej się nie udawało. Już od wielu godzin siedzieli z Killianem w tej izbie, czekając, aż staruszka się obudzi. Ich wcześniejsze porozumienie zniknęło, zostało zawieszona w ciszy.

Popatrzył na nią. W przyćmionym świetle lampy dostrzegła siatkę zmarszczek wokół jego ust i oczu. Sprawiał wrażenie wyczerpanego i przerażonego.

Splotła zgrabiące dłonie.

- Nie powinna była się tego podejmować, nawet jeśli miałoby to naprawdę pomóc mi w powrocie do domu.

Dom... Przypomniało jej się wszystko, co wiąże się z tym słowem. Ile miała dni na powrót? Ile czasu dzieliło ją od chwili, gdy Kelly wróci do pustego domu, a władze wkroczą do akcji?

Nie myśl o tym, napomniała się natychmiast. Jeszcze nie, nie teraz.

Powoli wypuściła powietrze, starając się uspokoić.

- Muszę wrócić do domu.

Killian posłał jej oskarżycielskie spojrzenie. Usiadła obok niego. Pochyliwszy się w jego stronę, starała się mu wytłumaczyć swoje zachowanie.

- Wiem, że niewiele cię to obchodzi, ale uwierz mi, to sprawa życia i śmierci. Viloula dobrze zdawała sobie z tego sprawę.

- Aha. Tyle że chodziło o twoje życie i jej śmierć. Czy o tym też wiedziała?

Lainie poczuła się tak, jakby jąuderzył. Gwałtownie zaczerpnęła tchu i opadła na krzesło. Pochyliwszy głowę, wpatrywała się w swoje dłonie na kolanach, dopóki łyzy nie zmieniły ich w rozmazane białe smugi na czerwonym swetrze.

- Ej - odezwał się Killian łagodnym tonem. - Nie powinienem był tego mówić. To nie twoja wina. Viloula wiedziała, na jakie ryzyko się naraża. To nie twoja wina.

Lainie nie była w stanie na niego spojrzeć, pokiwała tylko głową.

Wyciągnął ku niej rękę, lecz po chwili ją cofnął. Uniosła głowę, twarz miała zapłakaną.

- Po prostu bardzo się o nią martwię - powiedział cicho.

- Rozumiem. Ja też.

Popatrzyli na siebie. Lainie dostrzegła bezradność we wzroku Killiana. Pomyślała, że powinna coś do niego powiedzieć, ale żadne odpowiednie słowa nie przychodziły jej do głowy. Wciąż doskonale pamiętała jego

uścisk, niemal czuła dotyk ramion obejmujących ją w geście pocieszenia.

- Czy... - Urwała. Nie zamierzała kończyć zdania, ale ciekawość przeważała. - Naprawdę chcesz, żeby Skeeter od wiózł mnie do Fortune Flats?

Pokiwał głową.

- Dlaczego Skeeter, a nie ty?

Nie spojrział na nią.

- Darowanemu koniowi w zęby się nie zagłąda. Po prostu musisz przyjąć to do wiadomości i pogodzić się z tym, Lainie.

Zaśmiała się głucho.

- Nigdy nie przychodziło mi to łatwo.

Powoli, jakby niechętnie, popatrzył jej w oczy. Bezbrzeżny smutek w jego wzroku sprawił, że zabrakło jej tchu. Znow poczuła się tak, jakby dobrze go znała i dzieliła jego ból.

- Nie potrafię ci pomóc, Lainie.

- To znaczy, że nie chcesz. Bez słowa odwrócił się w stronę nieprzytomnej staruszki.

- Hej, Viloulo - mruknął. Sięgnął po ręcznik, zwinął go i zanurzył w cebrzyku z wodą, po czym delikatnie położył kompres na rozpalonym czole Murzynki.

Ten prosty gest przywiódł Lainie na myśl dawne czasy. Przypomniała sobie, że jako młoda matka opiekowała się córeczką w czasie ospy wietrznej. Dobrze pamiętała, jak samotnie się czuła, jak była bezradna, kiedy gorączka Kelly wciąż rosła.

Oddałaby wtedy wszystko za to, żeby ktoś przy niej był, by jej pomógł.

Rzuciła ukradkowe spojrzenie na Killiana. Siedział przygarbiony przy łóżku Vilouli, nakrywając dłoń staruszki dużą, opaloną ręką. Włosy opadały mu na kołnierz. Jednodniowy zarost na policzkach sprawiał, że w świetle lampy jego twarz wyglądała jak pokryta sińcami.

Nigdy jednak nie wydawał się jej tak urodziwy. Przypomniała sobie, co czuła, kiedy uratował ją w tunelu. W tej chwili wszystko, co mówiła Viloula, wydawało się bardzo prawdopodobne. Killian nie był jedynie bohaterem jej książki, i¹ wytworem literackiej wyobraźni.

Patrzeć na niego sprawiało jej niemal fizyczny ból. Zamknęła oczy, lecz w ciemności emocje były jeszcze silniejsze. Miała wrażenie, że czuje jego dotyk na swoim czole, słyszała cicho wypowiedane słowa:

- Wszystko będzie dobrze, Viloulo, zaraz dojdiesz do siebie. Poczula ciarki biegnące wzdłuż kręgosłupa. Popatrzyła na niego z otwartymi ustami, czując dziwne oszołomienie.

Tak często zastanawiała się, jak czuje się kobieta kochana, otoczona troską. Szukała opiekuńczości i czułości u wielu mężczyzn, aż w końcu przestała, zniechęcona. Miała nawet wrażenie, że już jej na tym nie zależy.

Jednak teraz, obserwując troskliwe gesty Killiana, odkryła naga, bolesną prawdę. Nigdy nie przestała pragnąć męskiej opiekuńczości; jej potrzeby leżały uśpione, przygniecione lawiną wymuszonego chłodu. Czuła bolesną potrzebę oparcia się na silnym męskim ramieniu, doświadczenia życzliwości, czułości i pomocy.

Jakby przyciągnięty siłą jej myśli, popatrzył na nią.

- Dobrze się czujesz? Przełknęła z trudem ślinę.

- Tak.

Patrzył na nią przez dłuższy czas, jakby szukając czegoś w jej wzroku.

- Połóż się spać - powiedział w końcu. - Będę przy niej czuwał.

Spać. To słowo przyprawiło ją niemal o rozpacz. W jego ustach zabrzmiało tak prosto: połóż się spać. Równie dobrze mógł jej zaproponować rzucenie się w przepaść.

- Nie jestem zmęczona. Zmarszczył czoło.

- Masz zmęczone oczy.

Widział więcej, niż była skłonna ujawnić. Cisza, jaka zapadła między nimi, wydawała się gęstnieć, obciążona niedomówieniami.

Lainie nie była w stanie wytrzymać napięcia. Odwróciła się i podeszła do pieca.

- Napijesz się kawy?

- Tak - odpowiedział, więc sięgnęła po blaszany kubek. -
Kawa dobrze mi robi.

Zdjęła niebieski kubek w kropki z półki za piecem, nalała mocnej czarnej kawy i podeszła do łóżka.

Nie patrząc Killianowi w oczy, podała mu kubek. Odstawił go na stolik przy łóżku.

- Dziękuję.

- Nie ma sprawy.

I znów zapanowała między nimi cisza, gęsta, ciężka i pełna napięcia.

Killian położył wilgotny ręcznik na stoliku i z ciężkim westchnieniem opadł na oparcie krzesła. Był potwornie zmęczony. Przeczesał palcami skołtunione włosy, po czym oparł łokcie o kolana i ukrył twarz w dłoniach.

Słuchał wolnych, równych oddechów Vilouli. Wyraźnie czuła się lepiej po tym, jak pół godziny temu opuściła ją gorączka.

Znużony, uniósł głowę i rozejrzał się na boki.

Lainie siedziała na krześle w rogu izby, z rozprostowanymi nogami skrzyżowanymi w kostkach. Miała lekko przechyloną głowę i rozchyłone usta. Ramiona bezwładnie zwisały jej wzdłuż tułowia.

Jakby czując, że się jej przygląda, nieznacznie zmarszczyła czoło i wydała cichy szept, który mógł oznaczać słowo „nie”. Potem poruszyła się niespokojnie, jej głowa nagle przechyliła się w lewo, a po chwili znieruchomiała.

Wyglądała teraz tak cudownie bezbronne, że miał ochotę do niej podejść, obudzić ją z niespokojnego snu.

Zmusił się do oderwania od niej wzroku. Podjął już decyzję. Zapewni jej to, na czym jej zależy, umożliwi wydostanie się z tej osady. Kiedy tylko Viloula się obudzi, natychmiast wyśle Skeetera i Lainie do Fortune Flats i da im swoje błogosławieństwo na drogę.

Tak, powinienem tak postąpić, pomyślał. Zachowywał się jak prawdziwy bohater, robił to, czego od niego oczekiwała. Dlaczego więc czuł tak straszliwą wewnętrzną pustkę, zagubienie, tak jakby postępował niewłaściwie?

Dlaczego Skeeter, a nie ty

- Zbyt wiele ode mnie oczekuje - powiedział pod nosem
i natychmiast wzdrygnął się na dźwięk swego głosu, zastana
wiając się z goryczą, kogo tak usilnie stara się przekonać.

- Alaina? - Schrypnięty głos staruszki przerwał jego myśli.

Poczuł tak ogromną ulgę, że na chwilę zapomniał o wszystkich wątpliwościach i obawach.

- Dzięki ci, Boże. Viloula. - Popatrzył na Lainie i głośno
oznajmił: - Ona chce nam coś powiedzieć.

Głos Killiana natychmiast wyrwał ją z sennego odrętwienia. Gwałtownie zamrugnęła i wyprostowała się.

- Co?

- Próbuje nam coś powiedzieć.

Lainie usiadła na krześle obok Murzynki, mocno chwytając się krawędzi mebla, i pochyliła się nad staruszką. Viloula leżała bez ruchu w białej pościeli, blada i wyczerpana. Pod oczami miała purpurowe sińce, jej usta były blade i spękane.

Lainie przełknęła ślinę.

- Jestem przy tobie, Vi. Siedzę tuż obok ciebie.

- Lainie? Killian? - zwróciła się do nich chrapliwie Viloula. Oddychała płytko, z trudem.

Lainie pokręciła głową, lzy nabiegły jej do oczu.

- Nic nie mów, Vi. Nie...

Viloula uśmiechnęła się. Ten słaby, drżący uśmiech wydał się Lainie najpiękniejszy, jaki widziała w życiu.

- Jestem bardzo głodna - wystękała stara Murzynka.

Lainie roześmiała się z ulgą, lecz zaraz zagryzła dolną wargę i nakryła usta dłonią.

- Viloulo? - zapytała. - Dobrze się czujesz? Staruszka pokiwała głową.

- Miałam widzenie.

Lainie gwałtownie zaczerpnęła tchu. Jej serce wezbrało nadzieją i biło tak mocno, że krew szumiała jej w

uszech.

- Czy wrócę do domu?

Viloula popatrzyła na nią uważnie.

- Wyruszysz stąd, z pewnego miejsca...

Lainie poczuła się tak, jakby ktoś zdjął ciężki głaz z jej piersi, i

~ Którego?

Viloula zaniósła się suchym kaszlem.

- Wyraźnie widziałam to miejsce. To skała... Nawahowie
nazywają ją skałą, w którą uderzyła błyskawica. - Popatrzyła
na Killiana. - Znasz to miejsce?

Kiwnął głową.

- Tak. To jest jakieś sześćdziesiąt mil stąd na wschód.
- Kiedy muszę tam dotrzeć? - zapytała zaniepokojona j Lainie.

Viloula zmarszczyła czoło i głęboko się zamyśliła.

- Widziałam krzyż... Myślę, że to oznacza niedzielę.
- A więc niedzielę. O jakiej porze?
- Była bardzo gwałtowna burza. A słońce zachodziło. - } Bruzdy na czole Murzynki pogłębiły się. -
Burza ma tu najistotniejsze znaczenie. Musisz być przy skale, kiedy uderzy błyskawica. Jeśli przegapisz ten moment... nie będzie już •} więcej szans.

Lainie poczuła, że ogarnia ją strach, zmusiła się jednak do opanowania.

- Będę tam.

Viloula nieznacznie przechyliła głowę i popatrzyła na Killiana.

- Byłeś tam z nią. Roześmiał się głucho.
- To tylko działanie narkotyku, Viloulo. Staruszka dotknęła ciężkiego ametystowego wisiora, po czym zdjęła go i podała Lainie.
- Będzie ci potrzebny, dziecinko. Dzięki niemu łatwiej odnajdziesz swoje przeznaczenie.
- Aleja nie mogę...
- Ten wisior ma specjalną moc. Dzięki niemu spełni się twój los... - W jej czarnych oczach pojawiły się wesołe iskierki. - On wróci do mnie.

Lainie wzięła wisior z rąk Vilouli, ostrożnie zważyła go w dłoni, a potem powoli włożyła i zapięła zamek. Ciężki chłodny kamień znalazł się w zagłębieniu szyi. Lainie miała wrażenie, że ametyst rytmicznie pulsuje.

Murzynka popatrzyła na nią badawczym wzrokiem.

- Korzystaj z niego mądrze.
- To znaczy jak?
- Nie wiem.
- Nic nie rozumiem... Przecież nie potrzebowałam tego wisiora, żeby się tu dostać.
- Ale będzie ci potrzebny w drodze powrotnej.

Lainie była tak wzruszona, że z trudem wydobywała słowa ze ściśniętego gardła.

- Dziękuję ci, Viloulo. Mam wielką nadzieję, że go odzyskasz.
- Jestem tego pewna. - Staruszka znów zwróciła się w stronę Killiana. - To niebezpieczna podróż - wyszeptała, nagle pochmurniejąc.

Lainie od razu domyśliła się, że Viloula nie powiedziała im wszystkiego.

- Co przed nami ukrywasz, Vi?

Viloula wzdrygnęła się i szybko zaczerpnęła tchu, po czym zapatrzyła się przed siebie szklanym wzrokiem. Lainie była przekonana, że stara Murzynka przywołuje na pamięć swe widzenie.

- Będzie śmierć - powiedziała w końcu Viloula zmienionym, cichym głosem.

Lainie zadrżała. Śmierć.

- Kto umrze?
- Nie wiem.
- Genialne widzenie - odezwał się ironicznie Killian i opadł na oparcie krzesła.

Viloula nie zwróciła na niego uwagi; popatrzyła na Lainie.

- Wszystko zależy od ciebie, Alaino. Musisz uwierzyć...

- W co?

- Viloula zamknęła oczy i opadła na poduszkę. ;

- Sama tego nie wiem. Może w swoje przeznaczenie... może i w miłość... a może po prostu w siebie.

Przez dłuższy czas nikt się nie odzywał. W końcu Killian ; wstał.

- Jestem zmęczony, Lainie. Wracam do chaty trochę się przespać. Idziesz ze mną?

- Zostanę tu jeszcze chwilę.

Po jego wyjściu Viloula otworzyła oczy.

- Już poszedł? Lainie pokiwała głową.

- Tak.

Murzynka ciężko westchnęła.

- Musicie wyjechać jutro rano. Lainie pokręciła głową.

- Killian nigdzie nie pojedzie. Wysła ze mną Skeetera. Viloula zasepiła się, ściągnęła zwiędłe wargi.

- Bez niego nie ma przeznaczenia, nie ma drogi wyjścia. -Pokiwała sękatym palcem. - Nigdzie nie pojedziesz ze Skee-terem, dziecinko. To Killian musi cię stąd zabrać. - Zaciśnęła swe kościste palce na dłoni Lainie. - Ten chłopak chce z tobą jechać, Alaino. Możesz mi wierzyć. My, starzy, widzimy to, czego młodzi nie dostrzegają. On chce cię stąd zabrać, tylko się boi. Wiesz, jak to jest.

- Tak - odpowiedziała cicho Lainie. - Dobrze wiem, co znaczy strach.

Viloula znów ścisnęła jej dłoń i przyciągnęła do siebie.

- Pamiętaj, co ci powiedziałam. Twoim kluczem do przy
szłości jest to, czego się nauczyłaś, a nie jakaś skała.

Lainie próbowała się uśmiechnąć, ale to się jej nie udawało.

- Myślę, że uda mi się poznać swoje słabości, zanim tam się znajdę.

- Ty już dobrze je znasz. W głębi serca dobrze wiesz, o co chodzi.

Lainie wychyliła się w krzesło.

- Pojedź ze mną, Vi. Murzynka pokręciła głową.

- To nie jest podróż dla starej kobiety.

Lainie przelknęła z trudem ślinę, czując piekące łzy pod powiekami.

- Będzie mi ciebie brakowało, Vi.

Viloula uśmiechnęła się. Ona również miała wilgotne oczy.

- Czyżby to, co przeżyłaś, niczego cię nie nauczyło, dzie
cinko? Wspomnij moje lekcje. W tym życiu nie ma pożegnań.
Ty, Killian i ja... zawsze w pewien sposób będziemy razem. -
Przyłożyła chudą, zimną dłoń do policzka Lainie. - Jesteś
silniejsza, niż ci się to wydaje, Alaino. Uda ci się wrócić
do domu.

Lainie cofnęła się z wahaniem, oddalając się od pierwszej od lat osoby, z którą udało jej się zaprzyjaźnić. Znała tę chwilę, bezbłędnie rozpoznawała jej klimat. Viloula mogła głosić różne opinie, ale Lainie nie dała się zwieść. Jeśli naprawdę w coś w tym życiu wierzyła, to właśnie w takie chwile, w takie słowa. Wypowiedziała je już tak wiele razy... zbyt wiele.

- Do widzenia, Viloulo. - Walcząc ze łzami, odwróciła się i ruszyła do drzwi.

- Musisz wierzyć, Alaino - wyszeptała staruszka.

Zamknawszy drzwi, Lainie oparła się o nie, zaciśnęła powieki i bezwiednie dotknęła medalionu przy szyi. Gdy poczuła jego kojący chłód i ciężar, ogarnął ją dziwny spokój.

- A więc to tak - wysyczał męski głos do jej ucha. - Ukradłaś wisior staruszce.

Lainie otworzyła oczy.

Obok niej stał Mose ze strzelbą niedbale przewieszoną przez ramię. Wydawał się przewiercać ją swoimi czarnymi, paciorkowatymi oczkami.

Zachowaj spokój, nakazała sobie w myślach. Dobrze знаła mężczyznę pokroju Mose'a; sycili się

cudzym strachem, poczucie dominacji cieszyło ich, pobudzało do życia. Przybrała pogodny wyraz twarzy.

- O, cześć, Mose. Właśnie mówiłam dobranoc mojej babci.
- Jeśli jesteś wnuczką Vilouli, to ja jestem Grover Cleveland.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Witam, panie prezydencie.

Wykrzywił sniadą twarz.

- Nie bądź taka dowcipna, paniusiu, bo aż mnie świerzbi, żeby cię uciszyć tą strzelbą.

Miała ochotę uciec jak najdalej od niego, ale zmusiła się do stawienia mu czoła. Czowała cuchnący oddech Mose'a, pomieszany z odorem whisky.

- W takim razie będziesz musiał również zabić Killiana. Wygiął kąciki warg w nieprzyjemnym uśmiechku.

- Myślisz, że bym tego nie zrobił?

Przełknęła z trudem ślinę.

- Wiem, że byłbyś do tego zdolny, Mose.
- Masz dwadzieścia cztery godziny.
- Na co?

Przysunął się bliżej, otarł się o jej udo i dotknął twarzą szyi. Zesztywniała, czując jego wilgotny oddech na swojej skórze. Polizał ją koniuszkiem języka.

Nie posiadając się z oburzenia i wstrętu, gwałtownie zaczerpnęła tchu i zamknęła oczy.

Odchylił się, by na nią popatrzeć. Miał zimne, cyniczne spojrzenie mordercy.

- Już niedługo ja będę tutaj rządził, a kiedy będę szefem... -
Oblizwał mięsiste wargi, zostawiając na nich ślad śliny. - Będziesz moja.

- Tak... - powiedziała przez zaciśnięte gardło.

Przysunął się bliżej, wsunął rękę pomiędzy jej nogi i ścisnął.

- Musisz być niezła... Killian nie miał tu żadnej baby od wielu lat.

Lainie udało się wyrwać z jego rąk. Natychmiast puściła się pędem w stronę chaty. Goniący ją gardłowy śmiech Mose'a zmobilizował ją do przyspieszenia. Dobiegając do chaty Killiana, z trudem łapała powietrze i miała żołądek skurczony ze strachu.

W drzwiach odwróciła się i popatrzyła na Mose'a.

Lufą strzelby przechylił kapelusz do tyłu, po czym, nie przestając się śmiać, poszedł do namiotu.

Lainie odetchnęła z ulgą. Dłuższą chwilę stała w drzwiach, starając się uspokoić oddech, a potem, powoli, weszła do środka.

Killian spał, jego kruczoczarne rzęsy wyraźnie rysowały się na tle opalonej skóry. Usta miał rozchylone tak, że dostrzegła mocne białe zęby. Niebieska koszula ciasno opinała szerokie plecy. Zszarzałe pogniecione prześcieradło zakrywało pośladki i długie nogi.

Lainie przez dłuższą chwilę przyglądała się śpiącemu. Oczami wyobraźni ujrzała go w pościeli, z czarnymi włosami ostro kontrastującymi ze śnieżnobiałą poduszką. Wyglądał młodo, chłopięco i zniewalająco urodziwie.

Cofnęła się i zmarszczyła czoło. Śpiący mężczyzna w niczym nie przypominał Killiana z jej wyobrażeń. Miała wrażenie, że już gdzieś wcześniej się z nim spotkała...

Czyżby byli połówkami jednej całości? Jej serce wezbrało tęsknotą, szybko wypartą przez żal. Odeszła od łóżka, przerażona niemal tak jak przed chwilą, gdy dotykał jej Mose.

Nie mogła jednak pozwolić sobie na to, by owładnął ją strach, tak z powodu Mose'a, jak i teraz Killiana.

Jeśli Viloula się nie myliła, Lainie będzie musiała przekonać Killiana, żeby to on zawiózł ją pod skałę. Modliła się o to, by okazało się, że staruszka miała rację.

Ogarnął ją żal. Oddałaby wiele, żeby tak po prostu móc

podejść teraz do Killiana, uśmiechnąć się do niego i powiedzieć: „Zawieź mnie pod skałę”. Gdyby mogła mu zaufać, może nie czułaby bolesnego ściskania w piersiach.

Musiła jednak zachować czujność, gdyż wszystko zależało od tego, czy w porę dotrze pod skałę. Może w idealnym świecie spędziłaby z Killianem więcej czasu i odkryłaby, co ich łączy, dlaczego tak bardzo męczy go gniew i strach i z jakiego powodu boi się jej pomóc.

Lecz ten świat, oczywiście, nie był doskonały, nie miała też czasu na poznanie Killiana. Musiała dotrzeć do skały w niedzielę przed zachodem słońca.

Podeszła do łóżka. Na drewnianej gałce oparcia wisiał pas na broń. Wyjęła rewolwer, zdjęła pas i położyła go na podłodze, po czym przyniosła swój plecak. Dołożywszy do niego dodatkowe zapasy żywności i ubrania dla Killiana, postawiła plecak przy drzwiach. Był ciężki, głucho uderzył w ziemię.

Podeszła do łóżka i popatrzyła na leżącego mężczyznę.

Przeżyła chwilę wahania; ręka, w której trzymała rewolwer, zadrżała. Mocniej ścisnęła kolbę.

Chcąc osiągnąć sukces, musiała być twarda jak stal, zdecydowana jak nigdy dotąd. Musiała być naprawdę gotowa zastrzelić Killiana, inaczej broń w jej ręku pełniła jedynie rolę zabawki.

Czy mogłaby to zrobić? Serce zamarło jej w piersi. Gdyby tak potrafiła mu zaufać... To byłoby naprawdę cudowne...

Zmusiła się do pomyślenia o Kelly i pustym domu. Zorientowawszy się, co się może zdarzyć, jeśli nie wróci w porę, zrobiło jej się niedobrze.

Doszła do wniosku, że jest w stanie zabić kogokolwiek, byleby Kelly była bezpieczna.

Killianie, obudź się. Słowa dotarły do niego jak przez mgłę.

- Lainie - powiedział z uśmiechem, czując miłe ciepło wokół serca. Już dawno nie budził go kobiecy głos.

- Wstawaj.

Zmarszczył czoło. Głos stał się ostry, lodowaty. Miłe ciepło ustąpiło miejsca dreszczowi chłodu. Starał się uzmysłwić sobie, że przecież nic nie czuje do tej kobiety.

Mrużąc oczy, przewrócił się na plecy i usiadł. W izbie panował mrok i dopiero po chwili zobaczył Lainie z rewolwerem, stojącą na środku pokoju w pozie Wyatta Earpa. Groteskowość sceny sprawiła, że strach natychmiast ustąpił miejsca rozbawieniu.

- Chcesz mnie zastrzelić?

- Nie zrobię tego, jeśli mnie odwieziesz.

Mówiła serio. Uniósł brwi i przecesał palcami włosy, cały czas uważnie się jej przyglądając.

- Zleciłem to zadanie Skeeterowi. To jego zastrzel.

- Nie chcę Skeetera - oświadczyła cicho. - Chcę ciebie. Te słowa uderzyły go z taką mocą, że aż odchylił się do tyłu.

- Wyjdź stąd, Lainie - rzucił chrapliwie. Nieznacznie uniosła broń.

- To ty wyjdź... z łóżka. Jesteśmy już spakowani, koń jest gotowy do drogi. Jedziemy.

Patrzył na nią, zastanawiając się, co robić. Stała nieruchomo, z dłonią na wysokości piersi, z uniesionym podbródkiem. Jej skóra była tak biała, że wydawała się przeroczysta, szczególnie w zestawieniu z ciemnymi, pałającymi oczami. Ściągnięte wargi wyglądały jak białe kreski.

- Chyba mnie nie zabijesz, Lainie?

- Nie chcę tego robić. - W jej głosie drgał ból.

To było jakieś szaleństwo. Czuł się zmieszany, dezorientowany. Był tylko pewien tego, że nie zamierza wywieźć Lainie z tej osady. Już dawno podjął decyzję w tej sprawie. Nie miał zamiaru odgrywać przed nią bohatera, nie chciał też zatracić się w jej bezbronnym spojrzeniu.

Co to, to nie. Powoli wyszedł z łóżka i podeszedł do Lainie. Cofnęła się.

- Stój. Ja nie żartuję. Stój.

Wykrzywił wargi w gorzkim uśmiechu. Teraz występował w roli, którą znał aż nazbyt dobrze. Był wyrzutkiem społeczeństwa, przestępcą, bandytą. Od lat używał swego wcielenia jak tarczy dla zamaskowania własnej słabości i egoizmu.

- Mówi się, że broń jest tak skuteczna jak mężczyzna... albo kobieta, która ją trzyma. Jesteś skuteczna? - Szedł w jej stronę, z rękami luźno zwisającymi po bokach, z oczami utkwionymi w jej twarzy.

Zrobiła szybki ruch ręką w lewo i nacisnęła spust. Lufa błysnęła ogniem, rozległ się huk

wystrzału, a powietrze wypełnił ostry zapach siarki. Killian poczuł, jak kula przelatuje tuż obok jego ucha. Po chwili rozległ się brzęk szkła. To rozbił się stojący za nim słój z gwoździami, które wysypały się i zagrzechały o podłogę.

Killian znieruchomiał, z niedowierzaniem wpatrując się w dziurę w ścianie i gwoździe na podłodze. Powoli odwrócił się do Lainie.

Wycelowała rewolwer prosto w jego serce.

- Muszę być przy skale w niedzielę o zachodzie słońca. Potem będziesz mógł odejść.

Przez chwilę nie miał nawet ochoty się z nią spierać. Chciał się poddać, chętnie, a nawet z wdzięcznością, z nadzieją, której nie doświadczał od lat. Tak, przez chwilę miał ochotę się zmienić, lecz natychmiast przeraził się tej myśli. Miał czterdzieści trzy lata. Był już zbyt stary i pozbawiony złudzeń, by wcielić się w rolę rycerza na białym koniu.

Podszedł do niej z uniesionymi rękami.

- Prosisz o pomoc niewłaściwego człowieka, Lainie. Nie ma we mnie nic z bohatera.

Nawet nie drgnęła jej powieka.

- Chodźmy.

Zatrzymał się, opuścił dłoń. Doświadczył poczucia nieuchronności przeznaczenia. Przygarbił się, rozumiawszy, że od chwili spotkania zmierzali do tej sytuacji i nie mogli zmienić jej żadne słowa ani działania.

Chciała spotkać bohatera, tymczasem trafił jej się przestępca o złamanym sercu, dręczony wyrzutami sumienia. Byli jednak ze sobą dziwnie złączeni.

Poczuł się jak wciągnięty w czarną przepaść, z której nie ma ucieczki.

- Nie będzie mnie przy tobie, kiedy będziesz mnie potrzebować - powiedział tak cicho, że nie był pewien, czy go usłyszała. Jednak dobrze wiedział, co oznaczają te słowa. Podszedł do niej, zrezygnowany. - Chodźmy.

Razem wyszli z chaty i skierowali się na drogę. Lainie trzymała rewolwer tuż przy jego żebrach. Mijali kolejne nieoświetlone domostwa po obu stronach drogi, prowadzącej przez pogrążony w mroku skalisty płaskowyż. Jedynymi dźwiękami rozchodzącymi się w nocnej ciemności były rytmiczne odgłosy ich kroków i brzęk puszek w plecaku. Kapitan szedł powoli za nimi ze zwieszonym łbem.

- Czy Skeeter tam jest? - zapytała szeptem, gdy zbliżyli się do strażnicy.

- Tak.

- Otocz mnie ramieniem.

Zesztywniał, ogarnięty strachem. Tego właśnie bał się najbardziej. Zmusił się do uśmiechu.

- Nie potrzebujesz broni, żeby mnie uwieść, Lainie. W zupełności wystarczy twój czar. - Starał się przybrać nonszalancki ton.

- Otocz mnie ramieniem.

- Jak sobie życzysz. To ty masz broń. - Położył rękę na jej ramionach. Chciał, by ten dotyk był zupełnie obojętny, lecz jej ciało było tak miękkie i cudownie ciepłe, że nie wytrzymał i przyciągnął ją bliżej, wręcz niebezpiecznie blisko. Przesunął dłoń po łagodnej krzywiznie jej ramienia i poczuł woń jej ubrania - zapach słońca i kurzu.

- Hej, szefie, to ty?! - zawołał Skeeter, unosząc strzelbę.

- Tak, to ja, Skeet. Ja i ta kobieta. Skeeter opuścił broń i zmarszczył czoło.

- Gdzie ją znalazłeś?

- Poszła... za potrzebą.

Lainie tak mocno dźgnęła go rewolwerem w żebra, że uskokzył w lewo, pociągając ją za sobą.

- Gdzieś jedziecie? Killian przytaknął.

- Purty mnie zastępuje do czasu mojego powrotu.

- Dokąd jedziecie?

- Zabieram tę kobietę do skały, w którą uderzyła błyskawica.

Wrócę za kilka dni.

Skeeter cofnął się.

- No to do zobaczenia, szefie.

Minęli strażnicę i doszli do końca drogi.

- Wsiadaj - powiedziała cicho Lainie. Nie poruszył się, więc jeszcze raz dźgnęła go lufą w żebra. - Już.

Wsunął but w strzemień i wskoczył na siodło, starając się odegnać od siebie przecucie nieuchronnie zbliżającego się nieszczęścia.

- Dlaczego mamy tylko jednego konia? Na dwóch byłoby...

- Ja tu rządę. - Z wycelowaną w niego bronią wspięła się na siodło i usadowiła się za Killianem, po czym przystawiła broń do jego boku. - To dlatego pojedziemy na jednym koniu, dobrze o tym wiesz. Ruszamy.

Killian dał sygnał Kapitanowi.

- Ty tu rządzisz.

Ale niedługo, dodał w myślach. Zacisnął szczęki i ruszył przed siebie. Mogła go teraz straszyć broń, ale wkrótce nie będzie w stanie jej utrzymać. Niedługo, oby jak najprędzej, da mu chwilę czasu. I właśnie ta chwila wystarczy, by poradził sobie z Lainie. Szybko zabierze jej rewolwer i przejmie kontrolę nad sytuacją.

A przede wszystkim ucieknie od bezbronności w jej oczach... i swojego pożądania.

Lainie czuła ból ramienia. Byli w drodze już od wielu godzin, ale żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Początkowo, w czasie jazdy pod osłoną nocy, zeszywniała, oddalona od Killiana tak, by nie być narażoną na przypadkowy kontakt. Lecz w ciągu długich męczących godzin stopniowo traciła czujność i teraz od czasu do czasu nieznacznie wychylała się do przodu, opierając się ręką o udo Killiana.

Ilekoć zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, natychmiast gwałtownie się cofała, nabierała powietrza do płuc i odchrząkiwała, mocniej przyciskając rewolwer do boku mężczyzny.

Wszystkiemu winien był upał i mocny blask słońca. Przyłożyła spocną dłoń do czoła i odgarnęła wilgotne, lepkie włosy z oczu. Była bardzo zmęczona, głodna i słaba.

Patrzyła na szerokie plecy przed nią i mimowolnie zaczęła podziwiać ich silną budowę. Pomyślała, że gdyby mogła oprzeć się o nie policzkiem, z pewnością by zasnęła...

Cichutko wzięła oddech. Delikatne kołysanie przyprawiało ją o senność. Zamknęła oczy. Ogarnęła ją cudowna ciemność. Lainie miała wrażenie, że przenosi się w inne miejsce, w którym rosną strzeliste jodły, szepce wiatr, gdzie nieustannie pada deszcz, a niebo zasnuwane jest gęstymi szarymi chmurami. Przez chwilę wydawało jej się, że czuje chłodną wilgoć powietrza w Seattle, z delikatnym zapachem cedru.

Dom. Znajdowała się na drodze do domu. Ta myśl towarzyszyła jej ciągle od chwili opuszczenia kryjówki. Kiedy ciężar broni wydawał się nie do zniesienia, gdy palce drętwiały

i bolały po wielu godzinach zaciskania ich na kolbie, czerpała siłę ze stukotu końskich kopyt, z powolnego przemieszczania się na wschód. Każdy krok przybliżał ich do skały, a zarazem do córki, którą opuściła wbrew swej woli.

- Kelly. - To słowo wyrwało jej się z ust, zawisło w ciszy, po czym rozplynęło się w powietrzu.

Na myśl o córce Lainie poczuła nagły przypływ nadziei. Dokonała tego, co postanowiła, uporała się ze swoim problemem i znalazła sposób wyjścia z sytuacji, a teraz znajdowała się w drodze do domu.

Oczami wyobraźni ujrzała Kelly otwierającą drzwi i biegnącą do kuchni, ze złocistymi loczkami podskakującymi na plecach. Będzie miała opaloną buzię po spędzeniu kilku tygodni w Mon-tanie i zaróżowione policzki, z których będzie schodziła skóra. Będzie się uśmiechała, ukazując krzywe zęby z nowym srebrnym aparacikiem ortodontycznym.

Mamusiu, wróciłam!

Killian zatrzymał Kapitana.

- To dobre miejsce na obozowisko.

Lainie odchyliła się w tył i zamrugęła.

- Na obóz? Właśnie zaszło słońce. Chcę dojechać nocą tak daleko, jak to tylko możliwe.

- Już dojechałaś. A teraz zsiadaj. Przycisnęła broń do jego żeber.

- Chyba zapomniałaś, że mam rewolwer.

- No tak, bandyci słyną z tego, że zawsze zapominają o takich sprawach.

- W takim razie...

- Nic z tego. Mamy tutaj ostatnie źródło wody na następne dwanaście mil. To już koniec drogi na

dzisiaj.

- Nie jestem spragniona.

- Ale koniowi chce się pić. A teraz zsiadaj, zanim cię zrzucę.

Lainie znów popatrzyła na jego plecy. Tym razem nie miała ochoty oprzeć o nie głowy. Dziwiła się swoim rozważaniom prowadzonym w ciągu dnia. Przez cały czas najbardziej bała się właśnie takiej chwili. Czowała się względnie bezpiecznie, siedząc na koniu za Killianem, z bronią przystawioną do jego boku, gdyż dawało jej to władzę. Lecz kiedy oboje znajdą się na ziemi...

- Załóż ręce za szyję - rozkazała.

- Po co?

- Zrób to.

Zaczeplił wodze o łęk siodła i spełnił jej polecenie. Sięgnęła po sznur zwisający przy siodle i związała nim nadgarstki Killiana tak silnie, jak tylko mogła.

Szybko odwróciła wzrok, lecz widok jego skrępowanych rąk zdążył już dobrze zapaść jej w pamięć. Przeniknął ją dreszcz, poczuła ucisk w piersiach. Nie mogła nic poradzić na to, że czuje się winna z powodu swego postępków. Starła się o tym nie myśleć, ale było to tak niepokojące...

- Nie za mocno związałam?

- Będzie mi ciężko tańczyć.

Lainie przesunęła się w stronę końskiego zadu.

- Zsiadaj.

Killian przełożył nogę przez łęk siodła, obrócił się i ześliznął na ziemię. Stał teraz tuż obok Lainie. Uniósł głowę. Czarny kapelusz osłaniał mu twarz, tak że dostrzegła tylko biel jego zębów.

- Cofnij się. Chcę zsiąść.

Nie poruszył się.

- Nie chcę, żebyś spadła - powiedział cichym, lekko ko kieteryjnym tonem.

Poczuła ściskanie w gardle.

- Nie spadnę. Cofnij się.

- Nie.

Popatrzyła na jego ocienioną twarz, równie dobrze jak on zdając sobie sprawę, że jeśli zeskoczy na ziemię z drugiej strony, koń znajdzie się pomiędzy nimi. Nie będzie mogła strzelać do Killiana, a tym samym przestanie panować nad sytuacją.

Zadrżała na myśl o tym, co mogłoby się zdarzyć, gdyby straciła władzę.

- Masz zamiar stać tu tak całą noc?

Powoli przeniosła lewą nogę nad siodłem. Siedziała teraz ze zwieszonymi nogami, nie spuszczać wzroku z jego uścisk i wyobraziła sobie, że zsuwa się w silne męskie ramiona, pozwala się pocieszyć.

Wykazywała zatrwającą brak rozsądku. Natychmiast ode-gnała od siebie niebezpieczne myśli. Spoconymi, zm i zsunęła się z konia. Zanim stanęła na ziemi, dotknęła jednak czubkami butów nóg Killiana opiętych dzinsami.

Czuła się jak uwięziona pomiędzy roslym ciałem Killiana a spoconym bokiem zwierzęcia. W powietrzu unosił Killian stał nieruchomo jak posąg, na lekko rozstawionych nogach, z rękami za plecami. Czowała ciepło jego ciała, w

Nerwowo zwilżyła wargi i wymierzyła broń w jego pierś, zadowolona, że związała mu ręce. To była dobra dec

- Cofnij się.

Dopiero po dłuższej chwili spełnił jej polecenie. Oddaliwszy się na odległość dziesięciu stóp, uśmiechnął się.

- Ze związanymi rękami nie będę mógł ci pomóc.

- To prawda. - Nieznacznie poruszyła rewolwerem. -Usiądź. Rozpalę ognisko.

Patrzył na nią w milczeniu. Lainie wyprostowała się i zmusiła do popatrzenia mu w oczy. To ty masz tu władzę, ty.

Powoli cofnął się i usiadł na zwałonym drzewie.

- Mam nadzieję, że wolno będzie mi się przyglądać, jak kobieta pracuje?

- Oczywiście. W końcu tak zdobyto Dziki Zachód.

Lainie zebrała trochę gałązek i ułożyła je w niewielki stos na brzegu strumienia. Potem wyjęła z juków zapalki i rozpałała ogień. Wkrótce ze stosu zaczęły się unosić kręte smugi dymu, którym towarzyszył trzask płomieni.

- Muszę się wysikać.

Ze znużeniem machnęła ręką.

- Dziękuję ci za szczerą. Pozwalam ci się oddalić.

Zapadła cisza. Po chwili Killian wybuchnął gromkim śmiechem. Zauważyła, że przygląda się jej,

wyraźnie rozbawiony. Podejrzliwie uniosła brwi.

- O co ci chodzi?

Wstał i do niej podszedł. Miała ochotę odwrócić się i uciec, zdecydowała się jednak zachować niewzruszoną postawę i udawać całkowity brak zainteresowania. Zatrzymawszy się tuż przed nią, pochylił się do jej ucha.

- Mam związane ręce.

Lainie nie od razu zrozumiała, o co mu chodzi. Po chwili . gwałtownie zaczerpnęła tchu, jej oczy rozszerzyły się z przerażenia.

- Nie mam zamiaru rozwiązać ci rąk. i

- W takim razie będziesz musiała rozpiąć mi spodnie i wyjąć...

- Przestań!

Znow się roześmiał. Miała ochotę uderzyć go w twarz.

- Dobrze - warknęła, odpychając go od siebie. - Odwróć się.

Nie przestając się śmiać, cofnął się, odwrócił i poruszył palcami rąk.

Podeszła do niego ostrożnie, trzymając przed sobą broń. Jedną ręką rozwiązała węzeł i ściągnęła sznur.

- Masz dwie minuty.

Nie obejrzawszy się za siebie, odszedł i zniknął w ciemnościach.

Lainie powoli się cofnęła, położyła rewolwer na ziemi i rozprostowała zdrętwiałe palce, a potem sama załatwiła

potrzebę fizjologiczną. Z ciężkim westchnieniem odgarnęła wilgotne kosmyki włosów z oczu. Miała przed sobą bezkresną pustynię, wyglądającą teraz jak migotliwa paleta szarych i czarnych cieni na tle bezgwiezdnego nocnego nieba.

- Lainie?!

Wydawało jej się, że w głosie Killiana, dobiegającym z ciemności, słyszy szczerą niepokój. Wzruszyło ją to, ale postanowiła wziąć się w garść i nie dać się ponieść emocjom. Powoli odwróciła się w jego stronę.

Stał, wysoki i dobrze zbudowany, w kręgu światła rzucanym przez ogień; czarny płaszcz łopotał na wietrze. Tym razem na twarzy Killiana nie było złośliwego uśmiechu, gęste brwi nie były uniesione w kpiącym zdziwieniu. Wydawał się szczerze czymś zatroskany; wokół jego ust i oczu pojawiły się głębokie zmarszczki.

- Lainie? - Postąpił krok w jej stronę, starając się przeniknąć wzrokiem ciemność.

Zauważyła szczerą troskę w jego spojrzeniu. Miała wrażenie, że pogrążyła się w ciepłe promieniującym z jego brązowych oczu. Serce zaczęło szybciej bić w jej piersi, pot wystąpił na czoło.

Co by było, gdyby się okazało, że Viloula miała rację? -zastanawiała się. Jak by się czuła, mając przy sobie mężczyznę takiego jak Killian, który by się o nią troszczył, opiekował, przy którym czułaby się bezpiecznie?

Bezpiecznie.

Opanowała ją tęsknota i poczucie utraty. Starła się oddalić od siebie niewygodne myśli, ale tym razem jej się to nie udało. Nie zaznała w życiu poczucia bezpieczeństwa, a jeśli nawet mogłaby poczuć się przy kimś bezpiecznie, to na pewno nie przy mężczyźnie takim jak Killian. Mimo wszystko to słowo kusilo ją, wabiło.

Bezpieczeństwo.

Zaśmiała się gorzko, karcąc się w duchu za naiwność.

A jednak trudno było jej uwierzyć w to, że po wszystkich terapiach, po tylu latach cierpienia i wyętej pracy nad sobą, wciąż pozostawała marzycielką.

Nie, nie marzycielką, pomyślała z goryczą. Tchorzem. Musiała przyznać, przynajmniej przed sobą, że w głębi duszy bardzo się bała. Wszystko związane z tą podróżą przepelniało ją lękiem, poczawszy od bezkresnej pustyni po klucz do przyszłości na samym końcu drogi.

Wprawdzie dobrze знаła to uczucie, gdyż ponad połowa życia upłynęła jej w ciągłym strachu, lecz tym razem sytuacja była zupełnie inna, a na domiar złego czuła się przeraźliwie samotna. Nic więc dziwnego, że naiwnie marzyła, iż Killian się nią zaopiekuje.

Nie powinna jednak zapominać, że są to tylko jej pobożne życzenia. On nie zamierzał się o nią

troszczyć i nie miał ochoty pomóc jej wrócić do Kelly.

Westchnąwszy z rezygnacją, uniosła rewolwer. Chłodna ciężka broń dodała jej odwagi. Lainie wyprostowała się i weszła w krąg światła.

- Jestem tu, Killianie. - Zbliżyła się do ogniska.

Westchnął.

- Myślałem, że postanowiłaś odbyć dalszą część podróży sama.

Wyczuła zaniepokojenie w jego głosie. Ogarnął ją smutek. W innych czasach, w innym miejscu być może zbliżyliby się do siebie, ale przecież nie tutaj, nie teraz. Mocniej ścisnęła rewolwer.

- Nie znasz mnie, Killianie.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, po czym odwrócił się i zaczął się oddalać. Wymierzyła broń w jego plecy.

- Stój!

Odwrócił się.

- Na litość boską, Lainie, jest środek nocy. Gdzie mógłbym się oddalić? Chcę tylko zrobić dla nas coś do jedzenia.

W Z wymierzoną w niego bronią, ostrożnie postąpiła krok I W jego stronę.

Dobrze. Przynieś jedzenie z juków, [odszedł do Kapitana, który spokojnie, ze zwieszonym łbem, stał przy zwałonym drzewie. Hałaśliwie przeszukawszy juki, Killian wyciągnął płaty suszonej wołowiny i puszki fasoli, I po czym rozwiązał worek z naczyniami i przyniósł go do ogniska.

Błazany kubek wypadł z worka, brzęknął o kamienie i potoczył się pod nogi Lainie. Popatrzyła na naczynie.

Ten ułamek sekundy wystarczył Killianowi. Usłyszała jakiś świst.

Pętla sznura przecięła powietrze, spadła na ramiona Lainie i mocno zacisnęła się wokół jej ciała, przyciskając ręce do boków. Konopny sznur wbił się w jej sweter i boleśnie otarł skórę.

Broń wypadła z bezwładnych rąk i uderzyła o ziemię. Lainie postąpiła o krok, lecz omal nie upadła, odzyskując równowagę w ostatniej chwili.

Przyciągnął ją do siebie. Zaryła obcasami w ziemię, potknęła I się i boleśnie uderzyła kolanami o skalisty grunt. I Podeszedł do niej wolnym krokiem.

» Zawrzała gniewem. Poderwała się z ziemi i rzuciła na Killiana, starając się uwolnić ramiona, by móc wydrapać mu oczy.

Chwytał ją i mocno potrząsnął.

- Lainie! Przestań!

Rzuciła się w tył.

- Do diabła, Lainie! - zawołał, chwytając ją tak mocno, że nie była w stanie się poruszyć ani zaczerpnąć tchu.

Trzymał ją w bezlitosnym kleszczowym uścisku, w niczym nie przypominającym objęć, które tak ciepło wspominała. A więc tamta chwila, w której miała wrażenie, że on się o nią troszczy, była tylko złudzeniem...

Nagle pomyślała o Kelly - o swojej wspaniałej córeczce - i się załamała.

Było już po wszystkim. Zawiodła, a przecież nie miała już drugiej szansy, w każdym razie nie w niedzielę o zachodzie słońca.

Powinna być wściekła, czuć się zdradzona. Tymczasem odczuwała tylko przygnębienie i wielką pustkę. Miała wrażenie, że uchodzi z niej życie. Ogarnął ją lęk, z którym tak dzielnie walczyła do tej pory; poczuła oszołomienie i osłabienie.

Killian musiał wyczuć w niej tę zmianę, gdyż zwolnił uścisk.

Z pochyloną głową osunęła się na ziemię. Nie znajdowała już w sobie siły, by trzymać się prosto. Nie było w niej ani siły, ani odwagi.

Była za bardzo zmęczona, by zdobyć się na jakiegokolwiek działanie, czuła się zbyt dotkliwie pokonana i wyczerpana, by prosić czy błagać. Łzy ścisnęły ją za gardło, poczuła ból w klatce piersiowej. Była jednak za bardzo załamana i zrozpaczona, by płacz mógł przynieść jej ulgę.

Zawiodła.

siedziała skulona, zrezygnowana, z ramionami skrepowanymi sznurem, który boleśnie wbijał się w szorstki sweter i ręce. Miała pochyloną głowę, wilgotne i zakurzone włosy, trzymała dłonie na udach.

Leżący za nią rewolwer lśnił srebrzyście na tle szarych kamieni.

Była przerażona, bezbronna i pokonana.

Killian zdążył już ochłonąć, opuścił go gniew. Stał jak posąg, sztywny i nieruchomy, przyglądając się Lainie. Nagle przypomniał sobie, co mówiła mu na temat swojej przeszłości, co przeszła w życiu, i poczuł się podle, jak niegodziwiec.

Czy tak właśnie wyglądała Emily tamtej nocy, w czasie której została napadnięta? Przerażona, bezbronna, być może nawet błagała napastników o litość?

Wzdrygnął się; poczuł wstyd i żal. Przecież tak naprawdę nie I musiał wiązać Lainie... Kiedy to stał się człowiekiem godnym pogardy? Czyżby naprawdę upadł już tak nisko, że z taką I łatwością przychodziło mu ranienie ludzkich uczuć?

- Boże - wyszeptał, znając odpowiedź i nienawidząc się za to, co zrobił. Wolałby, żeby to wszystko nie było prawdą.

Opadł na kolana.

- Lainie - powiedział miękko, gdyż żadne inne słowa nie przychodziły mu do głowy. Nie spodziewał się usłyszeć od powiedzi.

Uniosła głowę i popatrzyła na niego oczami błyszczącymi od łez. Wyglądała na zdruzgotaną, najwyraźniej miała poczucie klęski.

- Proszę... - wykrztusiła, lecz zaraz zamilkła, jakby nie wiedząc, o co chce prosić, albo nie chcąc kierować prośby do Killiana.

Cierpiał, gdy na nią patrzył.

Rozluźnił sznur i zdjął go z jej ramion. Szorstkie włókna przez chwilę trzymały się swetra, po czym opadły jej na uda. Jednak to, że uwolnił ją z więzów, nie wystarczyło. Żałował, że w ogóle rzucił lassem. Czuł coraz większy wstyd, miał niemiłe uczucie gniewienia w żołądku.

Nagle nie był już w stanie walczyć z nią dłużej. Zupełnie odechciało mu się stawiania oporu. Był już potwornie zmęczony ciągłym trzymaniem jej na dystans.

Postanowił, że zawiezie ją pod skałę.

Podjąwszy tę decyzję, poczuł się tak, jakby zdjęto mu z ramion wielki ciężar i znów mógł odetchnąć pełną piersią.

Może teraz będzie mógł zajrzeć w jej smutne oczy, nie mając sobie tego za złe.

- Zabiorę cię tam, gdzie chcesz, Lainie.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu, ale się nie poruszyła ani nie uniosła wzroku.

- Dlaczego?

Wolał nie zastanawiać się nad tym pytaniem.

- Czy to ma znaczenie?

Tym razem popatrzyła na niego wilgotnymi oczami.

- Pomożesz mi wrócić do domu?

Wymówiła słowo dom w taki sposób, jak on niegdyś wymawiał imię Emily. To słowo drgało emocjami, tęsknotą, dotyczącą nie konkretnego budynku, ale przede wszystkim zakątka w sercu, miejsca wytchnienia dla zranionej duszy. Po raz pierwszy od wielu lat poczuł żal, że sam nie ma miejsca, które mógłby nazwać domem.

- Tak, zawiozę cię tam. Ale... - Popatrzył na nią. - Ale musisz wiedzieć, że kiedy nadejdzie najważniejsza chwila, prawdopodobnie nie będzie mnie przy tobie. Nie można na mnie polegać.

- Zaryzykuję - odpowiedziała łagodnym tonem.

- Ho, ho. - Właściwie był pewien, że usłyszy taką odpowiedź. - A gdzie jest twój dom?

- W Bainbridge Island, w stanie Waszyngton... w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym. - Znieruchomiała. Wpatrywała się w niego mokrymi oczami, jakby czekając na to, że Killian wybuchnie śmiechem.

Jednak wcale nie miał ochoty się śmiać.

- Wierzysz, że to prawda?

Zacisnęła powieki i pokiwała głową.

- Postaram się, żebyś wróciła do domu, Lainie, niezależnie od tego, gdzie on jest.

Skuliła ramiona i zapatrzyła się w przestrzeń.

- Chciałabym ci zaufać...

Te cicho wypowiedziane słowa tak go wzruszyły, że aż się zdziwił. Dobrze wiedział, jak czuje się człowiek, który nie może nikomu zaufać, jak bardzo jest samotny. Zmusił się do śmiechu, mając

nadzieję, że Lainie nie usłyszy w nim fałszywej nuty.

- Jesteś do mnie podobna, Lainie. Oboje nie mamy zbyt wielu ludzi, którym moglibyśmy zaufać.

Pokiwała głową.

- To prawda.

- W takim razie to, że chcesz obdarzyć mnie zaufaniem, ma naprawdę wielkie znaczenie. - Natychmiast się wzdrygnął, zastanawiając się, co skłoniło go do wypowiedzenia tych słów. Był jedną z ostatnich osób, którym można zaufać. Zaufanie mu mogło dla niej oznaczać śmierć.

Nie uśmiechnęła się, tylko popatrzyła na niego swoimi smutnymi oczami.

- To może oznaczać wszystko.

Lainie siedziała na kamieniu przy ognisku, z wyciągniętymi przed siebie nogami skrzyżowanymi w kostkach. Obok niej stała do połowy opróżniona butelka whisky. Migotliwe czerwonożółte płomienie oświetlały stopy miłym ciepłem, ale pierwszy raz w życiu Lainie czuła ciepło przepełniające jej wnętrze.

Prawdę mówiąc, była tym przerażona. Pociągnęła kolejny łyk z butelki, zadowolona, że Killian zostawił zapasy żywności przy ognisku, kiedy poszedł myć naczynia. Bardzo potrzebowała teraz odrobiny animuszu, którą daje alkohol. Chciała się upić, by nie móc myśleć, czuć i mieć nadziei. j

Jakby wbrew własnej woli rozejrzała się po obozowisku. i Killian był tylko ciemnym zarysem na tle innych cieni; jego \ skulona sylwetka była ledwo widoczna nad wodą. Lainie słyszała rytmiczne dźwięki szorowania blaszanych naczyń | piaskiem, chlupotanie wody przy płukaniu talerzy. Zmywanie i absorbowało go już od tak dawna, że była pewna, iż jej unika.

Dlaczego zgodził się zabrać ją pod skałę? Wciąż zadawała sobie to pytanie. Znowu uniosła butelkę do warg, pociągając łyk. Miała wrażenie, że mocny trunek pali jej wnętrze.

Przypominała sobie ten niewiarygodny moment, w którym Killian powiedział, że pojedzie z nią pod skałę. Przez chwilę. ała się wtedy, że wybuchnie płaczem, wprawiając się w niemałe zakłopotanie.

Chciała mu wierzyć, och, jak bardzo tego pragnęła. Kiedy popatrzyła na niego, a on dotknął palcem jej podbródka, przełamała ją radość. Iedziła jednak, że jeśli mu zaufa, może wszystko stracić, laczego chciał jej pomóc? To było kluczowe pytanie, punkt

wyjścia. Długo nad tym rozmyślała, ale nie znalazła żadnego sensownego wyjaśnienia. Przecież nie mógł odnieść z tego żadnych korzyści.

Doszła do wniosku, że po prostu stara się wkraść w jej łaski, czeka, aż Lainie się przełamie, obdarzy go całkowitym zaufaniem, a wtedy pozbawi ją złudzeń i porzuci na rozstaju dróg.

Wydawało jej się, że słyszy jego śmiech w szumie wody. Nie wierzysz, że zabiorę cię pod skałę, prawda? Przecież tak naprawdę w to nie wierzysz...

Nie była w stanie mu uwierzyć. Musiała zyskać na czasie i podjąć wyzwanie, zorientować się, o co mu chodzi. Będzie prowadziła z nim tę grę, dopóki będą posuwać się na wschód. Nie zaufa mu.

Cuła się jak ślepiec. Albo straciła wzrok, albo dookoła panowały potworne ciemności.

Zaśmiała się gardłowo. Jej śmiech zabrzmiał nieco histerycznie, ale wcale jej to nie zaskoczyło. Była bardzo pijana i zmęczona. Zabójcza mieszanka, pomyślała, zanosząc się chichotem.

Spróbowała stanąć na własnych nogach.

- Małe problemy z zachowaniem równowagi? - zapytał nagle Killian.

Rozejrzała się, mrużąc oczy i mrugając. Nagle poczuła miękkość w kolanach i upadła.

Killian popatrzył na nią, a potem na pustą butelkę whisky. Rozbawiony, uniósł brwi.

Splonęła ognistym rumieńcem. Czowała wielkie zakłopotanie, było jej wstyd. Uniosła ciężką głowę i starała się skupić wzrok na Killianie, który wydawał się jej rozmazaną plamą.

- Lainie, co ty robisz?

- Zginam kolana. Myślałam, że tak trzeba.

Niespodziewanie roześmiał się głośno, serdecznie, co trąciło czułą strunę w jej sercu.

- Tylko w niedzielę. Możesz wstać.

Łatwo powiedzieć - pomyślała. Z trudem się podniosła, starając się sprawiać wrażenie rozluźnionej, chociaż czuła się tak, jakby wspinała się na K2.

- A więc - powiedział z westchnieniem - jesteś pijana.

- Nieee. - Zachichotała i natychmiast zakryła usta dłonią. Śmiech wydał jej się wymuszony. Przypomniał jej, że uciekała od czegoś, szybko i donikąd, jak określiła to Viloula.

- Wcale nie jestem tym zaskoczony.

Zmarszczyła czoło. Chcąc lepiej go zobaczyć, podeszła bliżej, aż jego twarz nabrała dla niej ostrości.

- C.co chcesz p...przez t...to p...powiedzieć?

- Boisz się uwierzyć, że zawiozę cię pod skałę - powiedział cicho. - Wiem coś na temat strachu.

- Ha! - Chciała się roześmiać, ale nie zabrzmiało to jak wybuch wesołości.

- Naprawdę? W takim razie dlaczego się upiłaś, ledwie zdążyłem na chwilę odejść?

Wykrzywiła wargi w uśmiechu.

- Widać, jak niewiele o mnie wiesz. Ja zawsze upijam się do nieprzytomności. To nie ma nic wspólnego z tobą.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Poruszyła się niespokojnie, dobrze wiedząc, że nigdy nie będzie wystarczająco pijana, by móc bez kłopotu przebywać w jego towarzystwie. Miała wrażenie, że oczy tego mężczyzny bez trudu zaglądną pod zbroję, którą się opancerzyła, i dostrzegają tam przerażoną, bezbronną dziewczynkę.

- Chodźmy do łóżka, Lainie.

- A więc to tak! - syknęła. - To dlatego tak ci zależy na tym zaufaniu! Chcesz po prostu zaciągnąć mnie do łóżka!

Westchnął, unosząc oczy ku niebu.

- Chodziło mi tylko o sen. Rano poczujesz się lepiej.

- Czuję się doskonale. A spanie to... - chciała powiedzieć: „ostatnia rzecz, jaka mi jest potrzebna”, tymczasem, jakby wbrew własnej woli, dokończyła: - dla mnie kłopot.

Nie mogła uwierzyć, że przyznała mu się do własnej słabości. Nerwowo rozejrzała się w poszukiwaniu alkoholu. Nie była jeszcze wystarczająco pijana.

- Wiem, jak to jest.

Znieruchomiała. Miała wrażenie, że upłynęły całe wieki, zanim zdecydowała się na niego spojrzeć, a kiedy w końcu to zrobiła, natychmiast tego pożałowała. Przyglądał się jej ze zrozumieniem, które omal nie doprowadziło jej do płaczu ze wzruszenia. Prychnęła i uniosła brwi, starając się wyglądać jak osoba trzeźwa i obojętna.

- Chcę się jeszcze napić.

- Masz już dosyć.

Stuknęła obcasami i wyrzuciła przed siebie prawe ramię.

- *Heil Hitler!*

Nie zwrócił na to uwagi. Usiadł na pniu drzewa przy ognisku. Obok niego leżały dwa posłania. Zdjął buty, odstawił je i wślizgnął się do śpiwora, po czym poklepał dłonią drugi.

- Chodź do łóżka. Musisz się wyspać.

Musisz się wyspać. Te słowa wywarły na niej duże wrażenie. Zaniepokoiła się.

- Mam... kłopoty ze snem. Ale ty idź spać.

- Chodź tu, Alaino - zwrócił się do niej łagodnie.

Miała wrażenie, że przez całe życie czekała na ten głos, na taką cichą prośbę. Zanim zdążyła się opanować, postąpiła krok w jego stronę, lecz natychmiast się zatrzymała.

- Nie bój się - powiedział cicho. Zesztywniała.

- Wcale się nie boję.

- Udowodnij to i połóż się obok mnie.

Nie powinna była mówić, że się nie boi. Wpadła w pułapkę i teraz nie pozostawało jej nic innego, jak tylko poprzeć swoją wypowiedź czynem. Powoli przeszła przez obozowisko, potykając się zaledwie dwukrotnie, i opadła na posłanie.

Chwycił jej but w swoje dłonie. Przerażona, popatrzyła na Killiana, zauważając w jego oczach

łagodność, która zaparła jej dech.

Pochylił się i zdjął jej but, po czym go odstawił, a po chwili sięgnął po drugi.

- Potrafię zdjąć go sama - oznajmiła poirytowanym tonem.

Był pochylony, więc musiał unieść głowę, by popatrzeć na Lainie, a kiedy to zrobił, jego usta znalazły się niepokojąco blisko jej warg.

- Wiem, że potrafisz, ale pozwól, że ja to zrobię.

Przeniknęła ją dreszcz. Uśmiechnęła się niepewnie, żałując, że nie ma pod ręką drugiej butelki whisky. Nie była wystarczająco pijana, by położyć się w śpiworze obok tego mężczyzny.

- No dobrze.

Ściągnął but i postawił go obok drugiego, po czym cofnął się i oparł głowę o pień drzewa. Znowu poklepał drugi śpiwór.

- No, Lainie, wskakuj do środka.

Ostrożnie wsunęła się do śpiwora i podciągnęła podbite owczą skórą płótno aż po piersi.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, przyglądając się i sobie. Lainie była niepokojąco świadoma bliskiej obecności i mocnego, ciepłego męskiego ciała. Czuła, że Killian na coś czeka, nie miała jednak pojęcia, czego się po niej spodziewa. I

Serce biło jej coraz mocniej. Przelknęła z trudem ślinę. / Zawsze bała się utraty panowania nad sobą, a teraz czuła się tak, jakby kręciła się na karuzeli, a wszystko, co wiedziała, powoli, nieuchronnie umykało jej i rozplątywało się w nieprzeniknionej ciemności. Miała ochotę to zatrzymać, powiedzieć coś zwyczajnego, coś, co chciał usłyszeć. Z całej siły pragnęła doświadczać czegoś więcej niż tylko zbyt dobrze znanego poczucia samotności.

- Przez wiele lat w ogóle nie mogłem spać - odezwał się w końcu Killian.

Zaskoczył ją tym tak bardzo, że na chwilę zapomniała o swoim strachu. Miała ochotę coś powiedzieć, ale nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. Wpatrywała się więc tylko w niego i czekała.

- Był też taki rok, który spędziłem w palarniach opium w San Francisco. - Uśmiechnął się gorzko. - Oczywiście, równie dobrze mogły to być dwa tygodnie, czas nie miał wtedy dla mnie znaczenia.

Omal się nie uśmiechnęła. Doznała dziwnego uczucia ulgi; jej napięte mięśnie rozluźniły się. Ostrożnie się cofnęła i, podobnie jak Killian, oparła się o skrzypiące drzewo. Whisky rozgrzała ją, pobudziła krążenie.

- Znam to uczucie - powiedziała, wydając dziwne parsknięcie.

- Ale to nie ma znaczenia. Są rzeczy, których nie można zapomnieć - wyznał cicho, a w jego głosie pobrzmiwał żal i ból, który trącił czułą strunę w jej duszy, zapomnianą od wielu lat.

Popatrzyła na KAIRana. Nie była w stanie mu pomóc. Siedział przygarbiony, z pochyloną głową i wpatrywał się w swoje dłonie, zaciśnięte na zielonym materiale śpiwora. Instynktownie czuła, że jej towarzysz ma przed oczami zupełnie inne obrazy, powodujące ból.

Miała ochotę go przytulić, odgarnąć siwe pasma włosów z jego twarzy. Natychmiast jednak przeraziła się swojej reakcji i przesunęła się w bok.

Popatrzył na nią. Ujęła ją szczerłość jego spojrzenia.

- Cz...czego ode mnie chcesz? - zapytała szeptem, nie będąc w stanie wydobyć głosu ze ściśniętego gardła,

- Niczego - odpowiedział pośpiesznie, zbyt szybko, po czym uśmiechnął się kwaśno. - Jednego jestem pewien... teraz chcę się trochę przespać.

Miotwały nią sprzeczne emocje. Starła się na nich skupić, zastanowić, co jej odpowiada, a czego się boi, jednak im bardziej ustłowała zrozumieć własne reakcje, tym większa ogarniała ją senność.

Pochylił się nad nią; był tak blisko, że czuła miękką fianełę rękawa jego koszuli na swoim policzku. Przez chwilę bała się, że zamierza jej dotknąć. Drgnęła. Chciała się odwrócić, ale nie była w stanie się poruszyć, a może po prostu wolała tego nie robić. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe.

- Dobranoc, Lainie - powiedział cicho i obrócił się na plecy.

Leżała nieruchomo, w napięciu wpatrywała się w nocne iebro, starając się zwalczyć dziwne uczucie rozczarowania.

- Dobranoc, Killianie.

Leżeli tak obok siebie, nie dotykając się nawzajem. Upłynęło wiele czasu, zanim zasnęli.

Ktos krzyczał.

Killian obudził się gwałtownie, instynktownie sięgając po broń. Przesunął dłonią po ziemi, znalazł rewolwer i zacisnął palce na kolbie.

Zdezorientowany, zamrugał i się rozejrzał, starając się wypatrzyć źródło niebezpieczeństwa. Otaczała go ciemność, chociaż na niebie migotały niezliczone gwiazdy. Panowała idealna cisza; w chłodnym bezwietrznym powietrzu nie było żadnego echa krzyku.

Zmarszczył czoło. Czyżby miał jakieś omamy słuchowe? Powoli wypuścił powietrze, które utworzyło obłoczek pary, i wychylił się w przód. Odłożył broń, zamknął oczy i zaczął masować skronie. Uczucie pulsowania w okolicach oczu zapowiadało ból głowy.

Usłyszał kolejne dźwięki, *tym* razem ciche, jak kwilenie maleńkiego kociątka.

Lainie. No tak...

Popatrzył na nią. Leżała na plecach, pogrążona we śnie. Miała twarz wykrzywioną w grymasie i mocno zaciśnięte powieki, zbieleńcami palcami ścisnęła zielony materiał śpiwora.

Wijąc się na boki, z każdym ruchem wydawała niski, gardłowy pomruk.

- Nie... nie... Pochylił się nad nią.

- Lainie, coś ci się śni...

- Idź stąd! - wysyczała, usiłując jeszcze coś dodać, ale wydała z siebie tylko ochrypy krzyk.

- Lainie... masz zły sen. Obudź się.

Nagle krzyknęła przeraźliwie i usiadła tak szybko, że go przestraszyła. Rozejrzała się nieprzytomnym wzrokiem, co chwila mrugając. Nie wiedział, czy już się obudziła, czy był to dalszy ciąg koszmarnego snu.

- Lainie?

Odwróciła się w jego stronę. Była potwornie blada i prze- j
rażona. Znów głośno krzyknęła i wygramoliła się ze śpiwora. \
Ciężko oddychając, wstała i podbiegła do dogasającego ogniska, ;
przy którym gwałtownie się zatrzymała.

Słyszał jej urywany oddech. Przygarbiła się, skrzyżowała j ręce na piersiach, a potem się wyprostowała.

Nie wiedział, co zrobić, co powiedzieć. Wydawała mu się i bardzo samotna, przerażona, odgradzona od świata.

Opuścił posłanie i wstał, po czym podszedł do niej w samych skarpetach. Rozniecił ogień i zawiesił nad nim imbryk z zimną kawą, a potem sięgnął do stosu umytych | naczyń po dwa małe kubki i czekał, aż Lainie się odezwie.

Chwile zmieniały się w minuty i mijały w ciszy. Ogień strzelał i migotał, kawa zaczęła bulgotać w metalowym naczyniu, a oni wciąż milczeli.

Zauważył, że Lainie wciąż ma napięte mięśnie, co oznaczało, że jeszcze nie pozbyła się strachu, że lęk otacza ją jak gęsta mgła, powodując bladość policzków i warg.

Była w niej dziwna mieszanina siły i bezbronności. Bardzo często przywodziła mu na myśl Emily, chociaż łączyły je tylko bardzo niewielkie podobieństwa. Emily była ucieleśnieniem kobiecej miękkości i delikatności. Nie umiała poradzić sobie z okrucieństwem życia. Była pod każdym względem zależna od Killiana, co zrujnowało życie ich obojga.

Lainie była zupełnie inna, twarda i gniewna, lecz jej siła w większym stopniu wynikała ze strachu niż zdecydowania. Miał wrażenie, że całe jej dotychczasowe życie upłynęło na walce i nie znała innego sposobu radzenia sobie z rzeczywistością. A jednak gdzieś w głębi duszy była chyba jeszcze bardziej krucha niż Emily, bardziej podatna na zranienie.

Być może Lainie była kobietą, jaką stałaby się Emily, gdyby starczyło jej sił na utrzymanie się przy życiu. To dziwne, ale podczas gdy pociągała go właśnie ta bezbronność Lainie, podziwiał głównie jej siłę i hart ducha. Mogła prosić go o pomoc, ale nigdy nie chciałaby być od niego tak całkowicie zależna jak Emily.

Cicho podszedł do ogniska. Nalał kawę i podał kubek Lainie.

Zacisnęła palce na uchu naczynia i przysunęła kubek do twarzy, tak że para owiewała jej podbródek.

- Dzięki. - Wciąż miała zachrypnięty głos, który jednak brzmiał już łagodniej.

- Usiądź- zaproponował, wskazując pobliską skałę, po czym usiadł na pniu drzewa.

Starannie unikała jego wzroku. Nieznacznie pokiwała głową, usiadła na skale i uniosła kubek do warg.

- Dziękuję za kawę.

Czuł, że nie powinien się teraz odzywać, więc siedział w milczeniu. Jednak bardzo chciał jej powiedzieć, że dobrze ją rozumie.

- Przez wiele lat dręczyły mnie koszmary senne - wyznał w końcu.

Niespiesznie, jakby wbrew woli, uniosła wzrok. Wciąż miała bladą, ściągniętą twarz, zamglone spojrzenie, oczy przepelnione bólem.

- Jak ty to robisz?

- Co?

Nie udzielała mu odpowiedzi tak długo, że myślał, iż się jej nie doczeka.

- To, że wiesz, co chcę usłyszeć? - odezwała się w końcu cichym głosem.

Nie wiedział, co powiedzieć. Bał się zmać nastrój chwili niewłaściwym słowem. Poczuł jednak, że po raz pierwszy uchyliła przed nim drzwi, po raz pierwszy pozwoliła mu zajrzeć w głąb swej duszy, która była ciemna i pusta, tak jak jego i wnętrze.

- Czego tak się boisz? Wzruszyła ramionami.

- Boję się, że nie zdążę dojechać na czas do skały. Wiedział, że to tylko częściowa prawda. Jej oczy mówiły mu o wiele więcej.

- Nie. Boisz się czegoś już od dłuższego czasu, Lainie.

Zapatrzyła się w przestrzeń. Siedziała tak nieruchomo, jakby przestała oddychać. Po pewnym czasie odwróciła się w jego stronę. Widział, że rozpaczliwie stara się zachować obojętność.

- Całe życie - powiedziała cicho.

- Dlatego że... - Zamilkł, zakłopotany.

- Możesz powiedzieć to głośno. Dlatego że zostałam zgwałcona. Ale nie tylko z tego powodu. Musiało upłynąć wiele czasu, zanim doszłam do siebie po tych przeżyciach, ale dopiero potem naprawdę zaczęły się problemy. Ciało goi się dużo szybciej niż dusza.

Czuł, że nie powinien jej o nic pytać, ale nie potrafił się powstrzymać.

- Więc jak to się zaczęło?

Wzruszyła ramionami.

- Bardzo wiele osób próbowało już odpowiedzieć na to pytanie. Wszyscy mieli swoje własne zdanie na temat mojego umysłu i sposobu jego działania. - Roześmiała się szorstko, nieprzyjemnie. - Albo na temat tego, dlaczego nie działał. Lekarze, psycholodzy, pracownicy socjalni, opiekunowie. Wszyscy chcieli przejrzeć mnie na wylot.

Spochmurniał, starając się wydobyć sens z tej dziwnej mieszanki słów. Wiedział jednak, że nie słowa, a sam fakt udzielenia odpowiedzi ma tu znaczenie.

- I to im się udało?

- Może jednej osobie. Doktor Gray... - Wypowiedziała to nazwisko w taki sposób, jakby wiele dla niej znaczyło. - Uważała, że potrzebuję poczucia bezpieczeństwa.

Możesz być bezpieczna ze mną, pomyślał. Zaskoczony, natychmiast starał się zagłuszyć tę myśl, uznać ją za pozbawioną sensu, było już jednak za późno.

- Nic ci teraz nie grozi - powiedział cicho.

Popatrzyła na niego, zdumiona. Ich spojrzenia się spotkały; zauważył błysk nadziei w oczach Lainie, lecz po chwili znów zagościł w nich smutek. Zaśmiała się gorzko.

- Tak. Już kiedyś to słyszałam. Nie można mieć poczucia bezpieczeństwa w tym życiu.

Przyglądał się jej długo, zastanawiając się, co powiedzieć. W jakiś przedziwny sposób jego myśli przybrały kształt słów i wymknęły mu się z ust.

- Boję się ciebie, Lainie. Uniosła brwi.

- Dlaczego?

Pokręcił głową. Powiedział to bez żadnego zastanowienia i teraz poczuł zmieszanie. Zawsze miał trudności w mówieniu o swoich uczuciach, wiedział jednak, że tym razem musi spróbować. Nie chciał,

żeby ta chwila rozplynęła się w nicości, pozostawiając mu rozważania, co by było, gdyby...

- Dawno temu zakochałem się w kobiecie podobnej do ciebie. Ale nie miała twojej siły.
- A co to ma wspólnego ze mną?

- Co?

Nie udzielała mu odpowiedzi tak długo, że myślał, iż się jej nie doczeka.

- To, że wiesz, co chcę usłyszeć? - odezwała się w końcu cichym głosem.

Nie wiedział, co powiedzieć. Bał się zmącić nastrój chwili niewłaściwym słowem. Poczł jednak, że po raz pierwszy uchyliła przed nim drzwi, po raz pierwszy pozwoliła mu zajrzeć w głąb swej duszy, która była ciemna i pusta, tak jak jego wnętrze.

- Czego tak się boisz?

Wzruszyła ramionami.

- Boję się, że nie zdążę dojechać na czas do skały.

Wiedział, że to tylko częściowa prawda. Jej oczy mówiły mu o wiele więcej.

- Nie. Boisz się czegoś już od dłuższego czasu, Lainie.

Zapatrzyła się w przestrzeń. Siedziała tak nieruchomo, jakby przestała oddychać. Po pewnym czasie odwróciła się w jego stronę. Widział, że rozpaczliwie stara się zachować obojętność.

- Całe życie - powiedziała cicho.

- Dlatego że... - Zamilkł, zakłopotany.

- Możesz powiedzieć to głośno. Dlatego że zostałam zgwałcona. Ale nie tylko z tego powodu. Musiało upłynąć wiele czasu, zanim doszłam do siebie po tych przeżyciach, ale dopiero potem naprawdę zaczęły się problemy. Ciało goi się dużo szybciej niż dusza.

Czuł, że nie powinien jej o nic pytać, ale nie potrafił się powstrzymać.

- Więc jak to się zaczęło?

Wzruszyła ramionami.

- Bardzo wiele osób próbowało już odpowiedzieć na to pytanie. Wszyscy mieli swoje własne zdanie na temat mojego umysłu i sposobu jego działania. - Roześmiała się szorstko,

nieprzyjemnie. - Albo na temat tego, dlaczego nie działał. Lekarze, psycholodzy, pracownicy socjalni, opiekunowie. Wszyscy chcieli przejrzeć mnie na wylot.

Spochmurniał, starając się wydobyć sens z tej dziwnej mieszanki słów. Wiedział jednak, że nie słowa, a sam fakt udzielenia odpowiedzi ma tu znaczenie.

- I to im się udało?

- Może jednej osobie. Doktor Gray... - Wypowiedziała to nazwisko w taki sposób, jakby wiele dla niej znaczyło. - Uważała, że potrzebuję poczucia bezpieczeństwa.

Możesz być bezpieczna ze mną, pomyślał. Zaskoczony, natychmiast starał się zagłuszyć tę myśl, uznać ją za pozbawioną sensu, było już jednak za późno.

- Nic ci teraz nie grozi - powiedział cicho.

Popatrzyła na niego, zdumiona. Ich spojrzenia się spotkały; zauważył błysk nadziei w oczach Lainie, lecz po chwili znów zagościł w nich smutek. Zaśmiała się gorzko.

- Tak. Już kiedyś to słyszałam. Nie można mieć poczucia bezpieczeństwa w tym życiu.

Przyglądał się jej długo, zastanawiając się, co powiedzieć. W jakiś przedziwny sposób jego myśli przybrały kształt słów i wymknęły mu się z ust.

- Boję się ciebie, Lainie. Uniosła brwi.

- Dlaczego?

Pokręcił głową. Powiedział to bez żadnego zastanowienia i teraz poczuł zmieszanie. Zawsze miał trudności w mówieniu o swoich uczuciach, wiedział jednak, że tym razem musi spróbować. Nie chciał, żeby ta chwila rozplynęła się w nicości, pozostawiając mu rozważania, co by było, gdyby...

- Dawno temu zakochałem się w kobiecie podobnej do ciebie. Ale nie miała twojej siły.

- A co to ma wspólnego ze mną?

- Sam chciałbym to wiedzieć.

Przez chwilę siedziała nieruchomo, wpatrując się w niego uważnie. Nagle wstała.

- Prowadzimy bardzo dziwną rozmowę, a powinniśmy zbierać się do drogi, Killian. Już świta.

Cienka nić porozumienia została zerwana. Killian patrzył, jak Lainie odchodzi od ogniska, sztywno wyprostowana, z wysoko uniesionym podbródkiem. Podeszła do juków i zaczęła nerwowo szukać bekonu i fasoli. Patrząc na nią, odkrył nagle, co ich łączy.

Rozpaczliwie chciał jej przekazać, że jego złamane serce jest zdolne do uczuć.

- Co ja robię - mruknął pod nosem. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że zaopiekowanie się Lainie będzie największym błędem jego życia.

A przecież, właściwie nie wiadomo kiedy, zdążył już podjąć tę decyzję.

JVillian przykucnął przy niewielkim strumieniu, w zamyśleniu wpatrując się w swoje odbicie. W rękę trzymał brudny talerz, o którym zupełnie zapomniał. Z westchnieniem usiadł i odstawił go na skałę.

Zebrał pogięte blaszane naczynia i zaniósł je do ogniska, spakował, i dopiero potem popatrzył na Lainie.

Siedziała skulona przy ognisku, wpatrzona w swoje stopy, mocno obejmując nogi ramionami. Była przerażona, lecz starała się zachować dzielność, jak zwierzę schwyte w pułapkę, zastygłe w oczekiwaniu i zastanawiające się, czy zdoła się uwolnić.

Nie spodobało mu się to porównanie, poczuł się niepewnie, wiedząc, że w dużym stopniu to on za wszystko ponosi winę. Związał ją i zakneblował, upokorzył i zbił. Nic więc dziwnego, że się go bała.

Dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że ją zranił. Ale zraniło ją też mnóstwo innych osób. Czasami widział w jej oczach przerażenie osaczonego zwierzęcia i to mówiło mu więcej, niż chciał wiedzieć.

To, co dostrzegał w jej oczach, rozdzierało mu serce.

Nagle jego życie w ciągu minionych piętnastu lat zaczęło się rozpadać, jakby znikać w piachu pod stopami. Nie był już w stanie chować się za murem, którym otoczył swe serce. Ta zasłona już go przed niczym nie chroniła. Wyobcowanie, próby nieangażowania się zawiodły, nie obroniły go przed tą kobietą.

Poszedł do niej, przyklęknął w piachu.

- Lainie?

Powoli odwróciła się w jego stronę.

- Zmieniłeś zdanie - powiedziała ze smutkiem. - Wracamy do osady.

Żałował, że w tej chwili nie może nawet jej winić za to, że mu nie ufa.

- Nie - odparł łagodnym tonem. - Nie zmieniłem zdania. Lainie, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś wróciła do domu.

Uniosła brwi, wciąż zaniepokojona.

- Dlaczego?

Już drugi raz zadała mu to pytanie. Tym razem krył się w nim wielki ból, który powiedział mu tak wiele o jej życiu, zatrwając pustym, zupełnie jak to, które sam wiódł.

- Bo tego potrzebuję. - To powiedziawszy, poczuł się jak człowiek, którym był przed laty. Ucieszył się, że zdobył się na szczerość.

Patrzyła na niego w milczeniu.

Wiedział, że powinien teraz wycofać się i odejść. W tej chwili była mu jednak tak bliska, że nie chciał tracić okazji nawiązania porozumienia. Po raz pierwszy od piętnastu lat miał ochotę z kimś być, kogoś poznać, nie chciał znów powracać do samotności.

Poza tym pragnął jej dotknąć, pogłaskać po włosach i zapewnić ją, że wszystko jest w porządku, obawiał się jednak jej reakcji. Wpatrywał się więc w nią tylko w milczeniu, czekając, aż to ona określi, jak bliska ma być ich znajomość.

Tysiące słów przelatywało mu przez głowę, jednak żadne z nich nie przeszło przez zaschnięte gardło. Ich spojrzenia się spotkały.

Miał wrażenie, że coś zbliża się nieuchronnie. Wyobrażnia podpowiadała mu różne rozwiązania. Patrzył na Lainie, zastanawiając się, czy i ona czuje to samo, czy też ma wrażenie, że zaczyna się coś nowego, ważnego.

- No tak - powiedziała w końcu. - W takim razie myślę, że powinniśmy ruszać.

- Dobrze - odpowiedział z uśmiechem. Nagle poczuł się tak, jakby otrzymał drugą życiową szansę, zyskał sposobność uratowania swojej zgubionej duszy przez uratowanie Lainie. -Ruszamy.

-Lainie sztywno siedziała na koniu, trzymając się jak najdalej od Killiana. Bała się przypadkowego zetknięcia ich ciał. Nie wiedziała, dlaczego aż tak bardzo się tego obawia. Rozsądek mówił jej, że nie ma podstaw do obaw, mimo to czuła strach. Choć nie miało to sensu, czuła się tak, jakby od Killiana oddzielała ją bariera, przezroczysta i krucha niczym szkło, i że gdyby przeszła przez tę niewidzialną ścianę, nie byłoby już drogi powrotu.

W ciągu minionych godzin jechali w milczeniu. Rzeński poranek przeszedł w upalny letni dzień. Mimo iż nie odzywali się do siebie, powietrze wydawało się jej ciężkie od niewypowiedzianych słów i skrywanych uczuć, jak ołowiana chmura, z której lada chwila spadnie deszcz.

Nie chciała rozmawiać z Killianem, a co ważniejsze, nie chciała go słuchać. Kiedy została przeniesiona w czasie, Killian był dokładnie taki, jakiego go wymyśliła, patrząc w ekran komputera i stukając w klawiaturę. Jednak teraz był kimś innym... zupełnie innym.

Nic ci teraz nie grozi.

Te słowa powracały do niej niepokojąco uporczywie, wywierając na niej stanowczo zbyt wielkie wrażenie. Brzmiały jak obietnica, której nikt wcześniej jej nie złożył, a chociaż Lainie bardzo starała się ująć jej znaczenia, słowa nie chciały zabrzmieć trywialnie i fałszywie. Killian

powiedział to tak łagodnie, tak szczerze. Całe życie czekała na takie zapewnienie i wydawało się okrutną igraszka losu, że usłyszała je właśnie teraz, od człowieka istniejącego tylko w literackiej wyobraźni, mężczyzny, który zmarł sto lat przed jej narodzinami, którego za kilka dni miała opuścić już na zawsze.

Bardzo starała się mu nie ufać, nie wierzyć jego obietnicom, jednak nie udawało jej się to. Jego proste słowa wywierały na niej wielkie wrażenie, były najpiękniejszymi, jakie mogła usłyszeć od mężczyzny.

Popatrzyła na mocne, szerokie plecy Killiana. Niebieska koszula, ciasno opinająca mu ramiona, w paru miejscach była postrzępiona i rozpruta. Słońce lśniło w jego długich włosach, zmieniając poskręcane kosmyki w stalową zasłonę, ocierającą się o kołnierz.

Jak by się poczuła, gdyby tak po prostu pochyliła się i oparła o jego plecy, by ukryta w nich siła na chwilę stała się dla niej tarczą? Gdyby choć raz, tylko przed sobą samą przyznała się, że się boi i nie chce być sama? Gdyby pozwoliła sobie na chwilę słabości?

Bezwiednie wychyliła się w przód, dotykając przy tym grubej skórzanej kurtki i nóg Killiana. Znieruchomiła i wstrzymała oddech, czekając na jakiś upokarzający komentarz z jego strony.

Siedziała tak przez dłuższy czas, bojąc się poruszyć. Ze wszystkich stron otaczała ich pustynia, rozległa, rozpalona równina, usiana prądkowanymi skałami o barwie ochry. Gdzieś w oddali pojawił się jastrząb, rzucający ruchomy cień na ścianę skalną. Cienka chmurka przesłoniła słońce, na chwilę okrywając rozprażoną ziemię chłodnym kocem.

Killian nie odezwał się, nie roześmiał, nie próbował się z nią droczyć. Ciepło jego nóg dawało Lainie dziwne poczucie bliskości. Ich obute nogi znajdowały się tuż obok siebie, jak stopy kochanków nad brzegiem ciepłego jeziora. Próbowwała nie zwracać na to uwagi, nie zastanawiać się, jak dobrze się czuje, mając go tak blisko.

Ogarnęła ją nagła tęsknota. Doświadczała bliskości, którą większość ludzi przyjmuje jako oczywistą i nieodłączną część życia. Niestety, dla Lainie taka bliskość nigdy nie była łatwa do osiągnięcia, nie oczekiwała jej ani nie doświadczała. Bliskość była dla niej jak marchewka zawieszona przed końskim nosem. Duża część życia upłynęła jej na poszukiwaniu kogoś, kim mogłaby się zaopiekować i kto w zamian zaopiekowałby się nią. Szukała takiej osoby coraz bardziej rozpaczliwie aż do narodzin Kelly. Wtedy, szczęśliwie, odnalazła miłość, o jakiej nigdy jej się nie śniło, i przestała doznawać uczucia pustki, a przynajmniej tak jej się wydawało. Teraz, czując dotyk ciała Killiana, marząc o tym, żeby oprzeć się policzkiem o jego plecy i otoczyć go ramionami w pasie, dostrzegła gorzką, przerażającą prawdę. Jej dziewczęce marzenia nie zostały całkowicie pogrzebane, tylko przez lata leżały uspięne i czekały, czekały...

- Możesz się o mnie oprzeć, Lainie. - Głęboki głos Killiana przerwał jej rozmyślenia.

Natychmiast się wyprostowała.

- C.co?

- Na pewno jesteś zmęczona. Oprzyj się o mnie i zaśnij.

Znów powróciła tęsknota, ogarnęła ją z taką siłą, że Lainie musiała zamknąć oczy. Chciała, marzyła o tym, żeby się o niego oprzeć.

- Oprzyj się o mnie - powtórzył, tym razem łagodniej. - Śmiało.

Jej opór skruszał. Powoli, zagryzając wargę, wychyliła się w przód i przytuliła się policzkiem do pleców Killiana. Miękki materiał koszuli pachniał słońcem, kurzem i potem.

Po chwili poczuła pewne odprężenie. Rytmiczne kołysanie podziało na nią kojąco i usypiająco. Plecy Killiana zasłaniały jej twarz przed promieniami słońca, rzucały cień, przynoszący wytchnienie zmęczonemu ciału.

Siedziała oparta o niego przez wiele mil drogi, dopóki nie przestało jej to wystarczać. Nagle zapragnęła czegoś więcej. Ostrożnie, jakby w nadziei, że Killian tego nie zauważy, otoczyła go ramionami w pasie.

Znieruchomiła na chwilę, czekając na jego reakcję.

Poczuła jego dużą dłoń w rękawicy na swoich dłoniach. Rozgrzana słońcem ręka zacisnęła się wokół jej palców, przekazując pocieszycielski uścisk.

Nikt jeszcze nie dotykał jej tak czule.

Nad pustynią powoli zapadała noc, zmieniając ich niewielki obóz w ciepłą i przytulną enklawę migoczącego światła. W powietrzu zawisła gęsta mgła, zapowiadająca nadchodzący deszcz.

Topole rosnące wokół obozowiska stanowiły osłonę dla wilgotnego wiatru. Za drzewami płynął wąski strumyk, wpadający do błyszczącego, oświetlonego gwiazdami stawu. Cienki rożek księżycy na czarnym niebie mżył srebrzystym światłem.

Lainie siedziała skulona przy ognisku, z nogami podciągniętymi pod brodę. W nocnym powietrzu unosiły się zapachy kawy, bekonu i biszkoptów. Po drugiej stronie ogniska, obok namiotu, który niedawno rozstawił, siedział Killian. Ogień rzucał migotliwe cienie na jego twarz i ściankę namiotu.

Od ponad godziny nie zamienili ani słowa. Siedzieli z dala od siebie, zamknięci w swoich własnych światach, i wpatrywali się w ogień. Ciche, powtarzające się stukanie blaszanych widelców o talerze wystawiało nerwy Lainie na ciężką próbę. I Miała nadzieję, że Killian uniesie wzrok, coś powie. On jednak j milczał.

Niepokoilo ją, a nawet przerażało. Miała dziwne wrażenie, i że Killian czeka, aż to ona się odezwie, uczyni pierwszy gest.

Wydawało jej się to śmieszne, a jednak w gruncie rzeczy / wcale się temu nie dziwiła.

Przez cały dzień, przytulona do jego pleców, przeżyła przedziwną mieszaninę emocji. Najpierw była napięta i ostrożna, j' czekała, aż zacznie się z niej śmiać albo będzie ją upokarzał. Skoro milczał, a potem delikatnie ścisnął jej dłonie, poczuła odprężenie. Odetchnęła z ulgą, zamknęła oczy i niespodziewanie spłynął na nią cudowny spokój, przez kilka godzin czuła się całkowicie bezpieczna.

W chwili, gdy zdała sobie z tego sprawę, pojawił się strach. Gwałtownie zaczerpnęła tchu, cofnęła dłonie i zeszywniała.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

Jego głos pobrzmiwał szczerym zatroskaniem, co przeraziło ją jeszcze bardziej. Miała wrażenie, że zrozumiał, dlaczego cofnęła ręce, i że zraniło to jego uczucia.

- Dobrze - odpowiedziała na pozór spokojnie, jednak głos zdradzał jej stan emocjonalny. Siedziała wtedy za Killianem, całkowicie ukryta przed jego wzrokiem, a jednak czuła się obnażona i rozszyfrowana. Przeraziło ją to nie na żarty.

Nie wiedziała, czego on od niej chce. Starła się sobie ' wmówić, że jego łagodność jest tylko grą, próbą uspokojenia jej, tak by potem mógł ją wykorzystać.

Jednak nie była w stanie już dłużej w to wierzyć. Im usilniej próbowała przypisać mu nieczne zamiary, tym bardziej jej się to nie udawało.

Czuła się przy nim bezpiecznie.

Zacisnęła powieki aż do bólu. Kolejna myśl podziałała na nią jak lodowaty prysznic, zaczęła się trząść i pokryła się gęsią skórką. Przecież to wszystko było fikcją.

A może nie?

Pamiętaj o Kelly, napomniała się po raz tysięczny któryś, lecz nawet na myśl o córce nie zrobiło jej się cieplej, nie uzyskała w ten sposób zbroi, w której chroniłaby się przed Killianem i delikatnością jego dotyku.

Popatrzyła na niego przez ogień. Siedział na ziemi z ramieniem opartym o kolano i wpatrywał się w nią. Doznała dziwnego wrażenia, że widzi wszystko, co ona z takim wysiłkiem stara się ukryć: strach, niepewność i burzę uczuć | w sercu. Z pewnością widział, jak zadrzała, choć trwało [to tylko chwilę...

Nic ci nie grozi.

Te słowa znów miały na nią magiczny wpływ, odebrały jej odwagę, pozostawiając ją słabą i bezbronną. Popatrzyła na jego oczy i starała* się sobie wmówić, że kłamał, że powiedział je tylko pod wpływem chwili, nie była jednak w stanie dostrzec przewrotności w jego spojrzeniu. Zauważyła tylko troskę i szczerze zaniepokojenie... i znów przypomniała sobie jego słowa.

Pamiętała także ten dotyk, gest pocieszenia. Usiłowała sobie wmówić, że było to nic nieznaczące przyciśnięcie jednej dłoni do drugiej, lecz ten gest rozbudził w niej nieoczekiwane silne emocje, sprawił, że delikatnie przytuliła się do Killiana, by poczuć jego ciepło na swoich piersiach.

Na to wspomnienie spłonęła rumieńcem, a jej serce wyraźnie przyspieszyło. Nagle odkryła prawdę, z upokarzającą wyrazistością zdała sobie sprawę, dlaczego tak bardzo boi się tego mężczyzny. Tak, przez chwilę, wtedy gdy go obejmowała, poczuła silne pożądanie. Nie była to zwykła chęć na seks, jaką wielokrotnie odczuwała w przeszłości, ale... coś więcej.

Szybko odwróciła wzrok. Popatrzyła na błyszczącą tafłę stawu, w której odbijały się niezliczone gwiazdy. Światło księżyca nadawało okolicy nieziemski wygląd. Staw. Woda.

Nagle zdała sobie sprawę, że potrzebuje kąpieli, dziewiętnastowiecznego odpowiednika zimnego prysznica. Musiała odejść od Killiana, zanurzyć się w chłodnej wodzie i zapanować nad swymi słabościami. Wstała.

- Idę popływać.

Zanim zdążył się odezwać, przebiegła przez obozowisko i gęstwinę drzew. Przystanąła dopiero na brzegu stawu i obejrzała się za siebie.

Killian był cieniem, przy jasnej plamie ognia w ciemności żarzył się koniuszek papierosa.

Nie poszedł za nią.

Odetchnęła z ulgą i popatrzyła na powierzchnię wody, wyglądającą jak usiana gwiazdami tafła szkła, obwiedziona światłem księżyca, przeciskającym się przez cienistą zasłonę drzew.

Szybko rozebrała się, zostając w majteczkach i staniku, i wsunęła stopę do wody. Była chłodna i kusząca orzeźwieniem po upalnym dniu. Lainie z rozkoszą zanurzyła się w stawie.

Był płytki, miał nie więcej niż metr osiemdziesiąt głębokości. Zanurzyła się i przepłynęła na drugi brzeg, okolony zwałowiskiem kamieni, a potem położyła się na powierzchni wody z wyciągniętymi rękami i zamknęła oczy.

Chłodny wiaterek muskał jej wilgotną twarz i brodawki piersi. Woda łagodnie masowała uda, palce stóp. Nad stawem szeleściły liście topoli.

Poddała się nastrojowi chwili, zapominając o lęku.

Pięć dni, pomyślała leniwie. Jeszcze tylko pięć dni, a znajdzie się pod skałą... i w domu.

Nie powinna była pozwolić, żeby Killian tak się do niej zbliżył. To było nierozsądne z jej strony. Będzie musiała okazać siłę woli przez kolejne pięć dni, a potem ten koszmar wreszcie się skończy.

- Skończy. - Cicho wypowiedziała to słowo, czerpiąc z niego siłę. Z pewnością uda jej się jakoś przeżyć te pięć dni z Killianem. Nie powinna obawiać się tego, że wzbudził w niej jakieś dziwne emocje; w końcu z pewnością sobie z nimi poradzi, jeśli tylko zachowa czujność i będzie trzymała się z dala od tego mężczyzny.

Nie może tylko dopuścić do fizycznego kontaktu.

Zaczęła się zastanawiać, czy nie będzie to dla niej zbyt wielkie wyrzeczenie, ale pomyślała, że skoro przez całe życie starannie unikała zbyt bliskiego kontaktu z ludźmi, z pewnością uda jej się zachować dystans wobec Killiana przez niecały tydzień.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Oczywiście, że jej się to uda. Musi tylko trzymać się od niego z daleka.

- Pomyślałem, że możesz potrzebować mydła.

Ciszę przerwał głos Killiana. Drgnęła, natychmiast skryła się pod wodą i popatrzyła na niego.

- Idź sobie.

Ruszył w jej stronę. Jego wysoka sylwetka o szerokich ramionach skąpana była w księżycowej poświacie. Słyszała chrzęst jego powolnych, pewnych kroków. Przykucnął na brzegu; usłyszała, jak strzeliły mu kolana.

- Chcesz mydło?

- Tak- odpowiedziała, na próżno starając się zachować spokój. - Zostaw je tam.

- Podaj mi rękę. - Miły ton jego głosu sprawił, że zrobiło jej się ciepło, mimo że stała w chłodnej wodzie.

Niechętnie wyciągnęła rękę. Chwytał jej mokrą, zimną dłoń w ciepłe, mocne palce. Zadrżała pod wpływem tego dotyku, zaczęła się cofać, ale trzymał ją mocno. Kiedy przestała z nim walczyć, polecił:

- Rozprostuj palce.

Spełniła prośbę. Jej wilgotna dłoń spoczęła na jego dłoni.

Poczuła jego rozplamiony wzrok na swoim ciele, starający się przeniknąć błyszczącą tafelę wody. Zadrżała, ogarnęła ją fala gorąca.

Wsunął niewielki kawałek mydła w jej rękę. Poczuła zapach drzewa sandałowego.

Natychmiast zacisnęła palce na mydle i wyszarpnęła ramię.

- D...dzięki - wyszeptała, zła na siebie za zdyszany głos.

Znów trzasnęło mu w kolanach. Wstał i odszedł bez słowa.

Z każdym jego krokiem jej serce biło wolniej.

Nagle zatrzymał się, a serce natychmiast podskoczyło jej do gardła. Spojrzała tam, skąd chwilę wcześniej dobiegało skrzypienie jego butów, starając się przewiercić wzrokiem ciemność. Zauważyła, że Killian się uśmiecha.

- Co robisz? - zapytała. Zdjął but, potem drugi.

- Chcę się wykąpać.

- Nie, nie! - wykrzyknęła przerażona.

Wybuchnął gromkim śmiechem i zaczął rozpinać spodnie.

Lainie zamknęła oczy.

A więc...

Wszedł do wody, która lekko się poruszyła i zaczęła delikatnie chłostać jej ciało. Coś powiedział, ale serce Lainie biło tak mocno, że nie słyszała słów.

- Co mówisz?

Usłyszała plusk, a potem zapadła cisza.

- Killian?

Nagle zobaczyła go tuż obok siebie, wystawił głowę i odrzucił ją do tyłu. Kropelki wody spryskały twarz Lainie. Jej uwagę przyciągnął nagi tors Killiana. Znieruchomiała z otwartymi ! ustami.

Cofnęła się i złożyła ręce na piersiach.

- C.co ty robisz?

Chwycił ją za ramiona, delikatnie przyciągnął do siebie i obrócił.

- Mam zamiar umyć ci włosy.

- N...nie, dziękuję. Wyjął mydło z jej dłoni i zanurzył je w wodzie, potem potarł, aż pojawiła się piana, i zaczął nacierać jej włosy.

Poczuwszy jego dotyk, znieruchomiała. Chciała się cofnąć, była pewna, że tak właśnie powinna postąpić, lecz nagle nie była w stanie się poruszyć, sparaliżowana przez emocje wyzwolone jego dotykiem.

Stała nieruchomo, ciężko oddychając, bojąc się tego, co miało nastąpić, ale nie mając sił na ucieczkę. Piana spływała / jej po policzkach i unosiła się na powierzchni wody. Killian delikatnie przesuwał palcami po jej czaszce. Masował też jej zeszywniały kark.

- Chciałbym teraz widzieć twoją twarz - powiedział szep tem.

Lainie poczuła ciarki biegnące wzdłuż kręgosłupa. Jeszcze od nikogo nie usłyszała takich słów, a oznaczały one to, że Killian traktuje ją jak kobietę, z którą chciałby być, że nie jest dla niego tylko ciałem w ciemności.

Zanim zdążyła zwalczyć uczucia wzbudzone przez te słowa, przedarły się już przez jej pancierz i przedostały w okolice niebezpiecznie bliskie serca. Woda delikatnie pieściła jej piersi, powodując sztywnienie brodawek. Poczuła też mrowienie między udami.

Miała ochotę odwrócić się i go pocałować. Chciała zarzucić mu ramiona na szyję, przyciągnąć go do siebie, wspiąć się na palce i otrzeć o niego ciałem, poczuć jego sprężyste owłosienie na piersiach.

To tylko pożądanie, wmawiała sobie. Tylko pożądanie.

Wyplukał jej włosy i delikatnie obrócił tak, że stanęła przodem do niego. Popatrzyła na Killiana, myśląc o tym, jaki smak miałyby ich pocałunek.

To tylko pożądanie - napomniała się w myślach. Zwykle pożądanie, które nic nie oznacza. Po prostu hormony dały o sobie znać.

Odchrząknęła.

- D...dziękuję. Może zrobię teraz kawę? - zaproponowała, starając się przybrać obojętny ton.

- Mam ochotę na coś innego. - Jego chrapliwy głos sprawił, że zaczęła myśleć o tysiącu zakazanych rzeczy, o namiętnych dotykach i intymnych szeptach.

Chciała odwrócić wzrok, ale nie była w stanie tego zrobić.

- Na co? - zapytała dziwnie zmienionym głosem.
- Myślę, że dobrze wiesz.

Popatrzył na nią tak rozplómiętym wzrokiem, że zaczerwieniła się po czubki uszu. No cóż, można się tego spodziewać po swojej drugiej połówce.

Starła się oddalić tę absurdalną myśl, która jednak głęboko zapadła jej w pamięć.

Oprzyj się o mnie, Lainie. Śmiało.

Jesteś teraz bezpieczna.

Przypomniała sobie wszystkie związane z nim miłe chwile. Dowody jego dobroci nabrały dla niej nowego, niezmiernie istotnego znaczenia. Przeniknął ją dreszcz.

Czy to możliwe? - zastanawiała się. Czy to możliwe, że kochali się już w przeszłości, w czasie i miejscu, których żadne z nich sobie nie przypominało? Czy to możliwe, że zmieniły się twarze i imiona, lecz pozostały te same dusze? Czy serca mogą pamiętać to, czego nie pamięta umysł?

Te pytania trawiły ją jak ogień. Starła się sobie wmówić, że to tylko nic nieznaczące teorie, ale musiała przyznać, że są pociągające i przypadły jej do gustu.

To tylko pożądanie, powtórzyła w myślach po raz kolejny, rozpaczliwie starając się w to uwierzyć. Nie chciała, żeby okazali się połówkami, wołała nie wierzyć w wielką miłość z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego szóstego roku.

Killian zbliżył się do niej, uważnie wpatrując się w jej twarz.

- To tylko pożądanie - wyszeptala, unosząc podbródek. Wiedziała, że istnieje tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Zamierzała go pocałować.

Nie miała na to ochoty; Killian widział wahanie i chłodny błysk zdecydowania w jej oczach. Postanowiła go pocałować, żeby coś sobie udowodnić.

Nie mógł się doczekać, żeby się przekonać, o co jej chodzi i jak daleko zamierza się posunąć. Cofnął się nieznacznie, usiadł na brzegu stawu i zanurzył nogi w wodzie. Pomyślał, że wolałby być nagi, zamiast w mokrych kalesonach przylegających do ciała. Zatrzymała się na chwilę, zmarszczyła czoło, po czym znów uniosła podbródek i wymamrotała coś na temat pożądanego.

- Wstań - powiedziała chrapliwie.

- To ty usiądź.

Zawahała się, lecz po chwili zbliżyła się do niego. Czuł ciepło jej nogi w zimnej wodzie. Szybkim ruchem chwycił ją w pasie i posadził sobie na kolanach.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu i zaczęła się szamotać.

- Spokojnie - poprosił szeptem.

Znieruchomiała.

Wyprostował się; czekał z uśmiechem na ustach.

Nie poruszyła się. Siedziała na nim okrakiem, z kolanami w piachu. Miała mokrą twarz, szybko oddychała. Nagle popatrzyła na niego.

Jej spojrzenie sprawiło, że zamarło mu serce. Siedziała lekko wychylona w przód, czarny lok opadł jej na oko. Drugie wpatrywało się w niego. Miał wrażenie, że zatracą się w oszałamiającym złocie, zieleni i szarości jej tęczywek. W tej chwili zauważył więcej szczegółów niż przez cały czas do tej pory; jego uwagę przyciągnęły czarne gęste rzęsy i cieniutka siateczka zmarszczek, zaskakująca u tak młodej kobiety, a zdradzająca długie lata spędzone w samotności. Dostrzegł w oczach Lainie ból i coś, czego wcześniej w nich nie widział i nie spodziewał się zobaczyć.

Było to prawie pożądanie. Aż do tej chwili nie potrafiłby rozpoznać częściowego pożądanego, wydawałoby mu się to niemożliwe. Lecz teraz, patrząc w jej oczy, zauważył właśnie coś takiego. Nie widział już takiego spojrzenia od lat, od nocy, w której po raz pierwszy posiadał Emily. Było to spojrzenie kobiety, która niezupełnie wie, czego chce, niemniej jednak bardzo tego pragnie.

Był to wyraz twarzy dziewczyny.

Nie mógł od niej oderwać oczu.

Powoli zbliżyła usta do jego twarzy, a kiedy była już tak blisko, że owiewała go swoim oddechem, pożądanie w jej oczach ustąpiło miejsca strachowi. Oddychała coraz szybciej, mocno ścisnęła jego dłonie. Przesunęła się nieznacznie. Ten ruch jej prawie nagiego ciała przyprawił go o mrowienie w łędźwiach. Poczul, jak nabrzmiewa pod mokrym materiałem.

Kiedy była już bardzo blisko, zamknęła oczy.

Pocałunek trwał krótko i skończył się właściwie, jeszcze zanim się zaczął.

Szybko się cofnęła i zaśmiała się niepewnie.

- No i nic się nie stało - powiedziała. - Nie było żadnych fajerwerków ani spadających gwiazd, nic. Nic nie czułam. \ Myślę, że to jednak nie było pożądanie. Phi!

Roześmiała się głośno, lecz zaraz potem przygryzła dolną wargę, jakby wstydziła się swego śmiechu, ale nie była w stanie go kontrolować. Wyglądała jak młoda dziewczyna. Jej uroda zaparła Killianowi dech w piersiach.

Znow się przesunęła i usiadła wygodniej. Dotyk jej jędrnych pośladków niesłuchanie go podniecał.

Jęknął. Wydawała się nie zdawać sobie sprawy z tego, jak i na niego działa.

Uśmiechnęła się do niego, z błyszczącymi oczami, przygryzając wargę jak dziewczynka, a potem zaczęła coś mówić.

Patrzył na nią, oczarowany. Woda nadała miękkości jej włosom. Wilgotne błyszczące kędziory spadały jej na czoło i okalały kształtną twarz. Krople wody spływały po policzkach. Zielone oczy pały, nieprzyćmione wyrazem gniewu, który tak często się w nich pojawiał. Kąciki jej warg uniosły się w uśmiechu. Nagle cała wydała mu się miłsza, delikatniejsza.

Zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy zobaczył jej uśmiech. Był zdziwiony przemianą Lainie. Sprawiała wrażenie niewinnej, uroczej dziewczyny, która nie ma pojęcia, jak mało namiętny był ich pocałunek.

Pochylił się w jej stronę.

Natychmiast zamilkła, ściągnęła brwi i się odchyliła.

- Na co tak patrzysz?

- Na ciebie. - Chwycił ją za ramiona, delikatnie je ścisnął i zaczął gładzić.

- C.co ty robisz?

- Dotykam cię.

Jej uśmiech zgasł. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, nerwowo przygryzając dolną wargę.

- Nie chcę, żebyś mnie dotykał.

Umiechnął się zawadiacko.

- Powinnaś była o tym pomyśleć, zanim to wszystko zaczęłaś.

- Może rzeczywiście dobrze wszystkiego nie przemyślałam. - Cofnęła się, starając się odejść.

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego.

- Czego?

Powoli przewędrował wzrokiem od twarzy przez łagodne wzniesienia ledwie zakrytych piersi, do miejsca złączenia nóg.

- Nie kręciłbym się. Znieruchomiła.

- Puść mnie - poprosiła szeptem.

- Nie ma mowy. - Uniósł wzrok. - Pocałowałaś mnie.

Myślę, że należy mi się rewanz.

Przesunął dłońmi po jej wilgotnych ramionach. Ametyst płonął lawendowym blaskiem na tle skóry Lainie, podkreślając jej błądź. Dotknął kamienia, zastanawiając się nad jego mocą, po czym przesunął palcem wzdłuż zagłębienia jej szyi.

Nerwowość Lainie była wręcz namacalną przeszkodą, równie rzeczywistą jak woda, zapach drewna sandałowego na skórze czy ciepło nóg.

Nie odrywał wzroku od jej twarzy, oczu. Palcami, stwardniałymi po wielu latach spędzonych w siodle, przesuwał po jedwabistej skórze, wzdłuż wypukłych żył.

Zadrzała i szybko zaczerpnęła tchu, ale się nie cofnął.

W końcu popatrzył w dół, uniósł jej lewą dłoń, odwrócił i położył na swojej, uważnie się jej przyglądając. Blade miękkie palce leżały rozchylone jak płatki róży. Przesunął palcem wzdłuż linii pośrodku dłoni. Bezwiednie zacisnął palce, poczuł ich aksamitny dotyk.

- Skończyłaś już oględziny mojej ręki?

Uniósł wzrok i zauważył gniewne błyski w jej oczach." Uśmiechnął się.

- Dłoni? Tak, myślę, że już się napatrzyłem. i

Wyrwała rękę z jego dłoni i schowała ją za plecami, po

czym ponowiła próbę odejścia.

Chwycił ją mocniej i zatrzymał.

- Ty to zaczęłaś - powiedział cicho. - A ja zamierzam \ skończyć.

- Wcale tego nie zaczęłam.

Ich spojrzenia się spotkały. Uniósł brwi.

- Jesteś aż tak niewinna? Westchnęła.

- Nigdy nie byłam niewinna. Czego ode mnie chcesz, Killian?

- Pocałunku.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Tylko tyle? Jednego pocałunku?

- Jednego prawdziwego pocałunku. A nie cmoknięcia.

- Nie chcę cię pocałować.

Uśmiechnął się i pogładził ją po ramionach. Zamrugła, przełknęła ślinę.

- Tylko jeden pocałunek - obiecał.

- No dobrze. - Zesztywniała i zacisnęła wargi w wąską kreskę.

Delikatnie przyciągnął ją do siebie. Ich wargi spotkały się na chwilę. Gwałtownie zaczerpnęła tchu, zadrzała.

- Lainie... - szeptem wypowiedział jej imię, a potem przywarł do jej ust, wsunął język pomiędzy jej zacisnięte wargi, zmuszając ją do ich rozchylenia, przyjęcia go.

Cicho zakwiliła i spróbowała się cofnąć. Zmusił się do opanowania; starał się postępować z nią jak najłagodniej. Zacisnął powieki i zmniejszył siłę pocałunku, wyraźnie zaskakując tym Lainie.

Nieznacznie rozchyliła wargi, rozluźniła się i odetchnęła z ulgą.

Tym razem pocałował ją delikatnie, niemal czule, tak jak od lat, a może nawet nigdy, nie całował żadnej kobiety. Obwodził jej wargi koniuszkiem języka, po czym wsunął go w głąb ust, rozkoszując się ich słodką wilgocią.

Dotknęła go językiem. Nie wiedział, czy zrobiła to przypadkiem, czy celowo, ale nie miało to teraz dla niego żadnego znaczenia. Owładnęło nim silne pożądanie, czuł bolesne obrzmienie. Był zdziwiony siłą swoich doznań. Przez wiele lat nie przeżywał takich emocji, nie odczuwał prawdziwego pożądania; zapomniał, jak może być intensywne. Poruszył się niespokojnie, czując nacisk jędrnych, krągłych pośladków na swoją twardość pomiędzy nogami.

Drżąc na całym ciele, cofnął się.

Siedziała nieruchomo, z głową przechyloną do pocałunku, z zamkniętymi oczami, jakby chciała odgrodzić się od tego, co się dzieje. Na rzęsach wciąż miała małe kropelki wody.

- Otwórz oczy, Lainie.

Po chwili powoli uniosła powieki. Ich spojrzenia się spotkały. Przez moment Killian doznawał dziwnego wrażenia, że cały jego świat zmienił się, zawirował. Czuł się tak, jakby pogrążył się w jej zielonych oczach. Do głowy przychodziły mu różne rzeczy, na które od wielu lat nie miał ochoty.

Po chwili zauważył smutek w jej oczach i poczuł się jak po silnym ciosie. Natychmiast opuścił go optymizm; miał wrażenie, że okazja do zmiany życia przelatuje mu przez zrogowaciałe palce starszawego mężczyzny. Rozpaczliwie starał się zachować nadzieję, zatrzymać ulotną, przemijającą chwilę, szczęście, uczucie, którego wolał nie nazywać.

- Jeszcze jeden - poprosił cicho, z nutką obawy w głosie. Po raz pierwszy od tak wielu lat czuł prawdziwe emocje, przepełniały go uczucia nie mające nic wspólnego ze złością ani goryczą. Czuł pożądanie, potrzebę złączenia się z tą kobietą, uczynienia jej szczęśliwą w chwili, gdy i on będzie doznawał szczęścia. Jednocześnie potwornie się bał, że ją zawiedzie.

- Popatrz na mnie - zwrócił się do niej, odgarniając kosmyk włosów z jej czoła. - Jeszcze jeden pocałunek...

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Jej rozchylone usta wciąż były wilgotne; oddychała płytko, szybko.

Jej twarz stała się dla niego całym światem. Miękką, jedwabista skóra pod jego palcami pobudzała go do myślenia o innych, równie miękkich i jedwabistych częściach kobiecego ciała.

- Jeszcze jeden... - Wypowiedziała te słowa miękko, jakby się nad nimi zastanawiała. Wpatrywała się w niego błyszczącymi

oczami; jej policzki przybrały szkarłatną barwę.

Pragnął jej tak mocno, że nie był w stanie wymówić słowa. Czuł jeszcze smak jej pocałunku na swych wargach. Zastygł w bolesnym oczekiwaniu, wiedział jednak, że tym razem musi poczekać na jej decyzję, gdyż inaczej pryśnie czar chwili.

Wolno, jakby wbrew woli, pochyliła się ku niemu. Ich spojrzenia się spotkały, a po chwili twarz Lainie rozmazała się przed jego oczami, stając się plamą jasnej skóry, ciemnych włosów i zielonych oczu.

Muśnięcie jej warg było jak dotknięcie skrzydła motyla. Zaraz potem cofnęła głowę. Jęknął chrapliwie, nie doznawszy ulgi. Nie wytrzymał, przycisnął ją mocno do siebie.

Pochylił się nad nią. Tym razem odwzajemniła pocałunek, z początku ostrożnie, lecz już po chwili namiętnie. Wsunął język głęboko w jej usta.

Przycisnął ją mocniej. Pieścił ją, coraz bardziej jej pragnąc. W końcu nie był już w stanie odczuwać niczego innego poza cudownym naciskiem jej ciała i biciem swego serca. Cicho jęknęła z pożądania.

Myśl o tym, że Lainie go pragnie, wprowadziła go w ogromne podniecenie. Uniósł stanik i poczuł gęsią skórę na jej brzuchu. Nie przerywając pocałunku, ujął pierś.

Zesztywniała, ale się nie cofnęła.

Przesuwał kciukiem po brodawce, doprowadzając ją do stwardnienia. Jęknął i wsunął drugą rękę pod stanik.

Niespodziewanie Lainie ześliznęła się z jego kolan i osunęła do wody.

Popatrzył na nią, zmieszany.

- Lainie...

I - Nie możemy tego zrobić - powiedziała zdyszonym głosem, wstając. - To nie w porządku.

Oddychał tak szybko, że przez chwilę nie był w stanie wydobyć słowa, lecz kiedy zobaczył potworny strach w jej oczach, opuściło go pożądanie. Poczuł chłód i pustkę. Westchnął. - Wszystko jest w jak największym porządku. Dobrze o tym wiesz. Zbladła. Przełknąwszy z trudem ślinę, wyszła z wody, uniosła ubrania i przycisnęła je do piersi. i - I właśnie na tym polega problem, prawda? - zapytał i łagodnie.

i Bez słowa odwróciła się i zniknęła w ciemności. ! Zamknął oczy, zwiesił głowę i westchnął ze smutkiem. Słyszał, jak Lainie biegnie szybko, byle dalej od niego.

- Nie uciekaj - wyszeptał, wiedząc, że i tak nie usłyszy jego słów, a jeśli nawet by do niej dotarli, nie spełni jego prośby.

Po raz pierwszy od wielu, wielu lat poczuł się samotny.

To ona sprawiła, że zaczął odczuwać coś, o czym dotychczas myślał, że jest niemożliwe.

W dodatku ona też to czuła; był tego pewien. Bał się jednak, że nie będzie to miało dla niej znaczenia, że nie stworzy mu już drugiej szansy przeżycia czegoś podobnego.

Tymczasem marzył o tym, by przeżyć to jeszcze raz. Chciał wziąć ją w ramiona i mocno przytulić, zapewnić jej bezpieczne miejsce na tym świecie.

Jego reakcje coraz bardziej go zadziwiały.

Zmarszczył czoło. Był czterdziestotrzyletnim bandytą, który mógł zaproponować kobiecie jedynie życie pełne bólu i straconych szans, tymczasem, co niewiarygodne, chciał się zmienić. Dla Lainie, z jej powodu. Tak, chciał się zmienić.

I marzył o tym, żeby zechciała dać mu szansę.

Postanowiła, że nigdy, pod żadnym pozorem i w żadnych okolicznościach, już go nie pocałuje.

Nawet jeśli byli połówkami ^jednego jabłka. Ani w upał, ani w mróz. Po prostu nie pocałuje już tego mężczyzny.

Otarła ręką wargi, ale to nie pomogło. Nie była w stanie wytrzeć ich wystarczająco dokładnie, by zmyć z nich wspomnienie pocałunków... i Killiana. Czuła jego obecność, pamiętała jego dotyk, dręczył ją zapach, który przywarł do jej ubrania.

Dość, dość, dość.

Takie pocałunki nie powinny niczego oznaczać. Całowała się chyba z tysiącem mężczyzn. Dobrze wiedziała, czym jest pocałunek.

Przez wiele lat całowała się z każdym mężczyzną, który parę razy na nią spojrział i miał ochotę

ją pocałować. Cały czas jednak wierzyła, że któregoś razu, gdy będzie z mężczyzną -tym jednym, jedynym - zdarzy się coś szczególnego, że którejś nocy, tej jednej, niezapomnianej, pocałuje właściwego mężczyznę i poczuje się z kimś związana, że od tej pory w jej życiu liczyć się będzie już nie tylko ona, że będzie mogła żyć normalnie.

Lecz to się nigdy nie zdarzyło. Pocałunki były dla niej takie

- Usiądź przy ognisku- powiedział, nie patrząc w jej stronę. - Możemy... porozmawiać.

Ta propozycja wyprowadziła ją z równowagi.

- O czym?

Zmarszczył czoło; cienie na jego twarzy poruszyły się.

- A czy musi to być rozmowa na jakiś temat? Lainie, czy nigdy nie rozmawiałaś z mężczyzną tak sobie, o niczym?

- Nie. - To słowo wywołało ból, gdyż łączyło się z wyznaniem.

- No, chodź. - Cofnął się i usiadł na ziemi, ze skrzyżowanymi nogami.

Powoli podeszła, bojąc się każdego kroku, który ją do niego zbliżał. Zatrzymała się jednak w pewnej odległości, usiadła i podciągnęła nogi pod brodę.

Bardzo długo panowało milczenie. Lainie wpatrywała się w ogień, starając się nie odczuwać miłego ciepła bijącego od płomieni.

- Nie powinieneś być tego robić - powiedziała w końcu bez zastanowienia, nie wiedząc, czy dobrze robi, że to mówi i czy kieruje te słowa do siebie, czy do niego.

- Czego? - zapytał, chociaż dobrze wiedział, o co jej chodzi, a ona domyślała się, że on wie.

Z ociąganiem uniosła głowę.

- Całować mnie.

- Pierwsza mnie pocałowałaś.

- Tak, ale mój pocałunek nic nie znaczył. A twój... - Ich spojrzenia spotkały się ponad płomieniami; zapanowała cisza. Lainie starała się wymyślić takie zakończenie zdania, które obróciłoby wszystko w żart, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Jej słowa zawisły w ciszy, poważne, zapowiadające pojawienie się problemu.

- Ja też to czułem, Lainie.

Serce gwałtownie podskoczyło jej w piersi. Zagryzła dolną wargę. Chciała odwrócić wzrok, ale przyciągało ją spojrzenie Killiana, kryjące obietnice spełnienia jej marzeń...

- Nie powiedziałam, że coś czułam.

- Widocznie nie czułaś. Ja czułem.

Nagle uwierzyła we wszystko, co zobaczyła w jego wzroku. Przeraziło ją to nie na żarty. Zerwała się na nogi.

- Chodzi o seks, prawda? Uniósł brwi.

- Co?!

Rzuciła się w jego stronę, zerwała z siebie sweter i cisnęła nim w kierunku namiotu.

- To... twoje uwodzenie. Chodzi ci o seks. Chcesz się ze mną przespać.

Powoli wstał, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

- Lainie, przestań...

- Nie musisz się ze mną bawić, Killian. Jeśli chcesz się ze mną przespać, powiedz to otwarcie. - Zaśmiała się gorzko; jej oczy zaszyły łzami. Nerwowo rozpiniała guziki spodni zdrętwiałymi palcami. — Każdy może się ze mną przespać.

Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Uniosła głowę, chcąc coś powiedzieć, lecz wyraz jego twarzy sprawił, że głos uwiązł jej w gardle. Killian był smutny, sprawiał wrażenie potwornie zmęczonego.

- Lainie - powiedział chrapliwym szeptem, przytulając ją mocno.

Ten łagodny pocieszycielski gest sprawił, że straciła całą ochotę do walki i wtuliła twarz w zagłębienie jego ramienia. W końcu się cofnął, ale nie pozwolił jej odejść. Mimowolnie popatrzyła na niego.

- Nie wiem, czego ode mnie chcesz, Killian - odezwała się niemal bezgłośnie. Było jej wstyd, oddychała z trudem. - Ale cokolwiek to jest, nie mogę ci tego dać.

- Myślę, że możesz.

Znieruchomiała, wstrzymała oddech. Serce biło jej tak szybko, że czuła łomotanie w uszach.

Było to prowokacyjne stwierdzenie, pomyślała jednak, że mogło tkwić w nim ziarenko prawdy...

Przez chwilę czuła się jak w bajce, jednak zaraz wróciła do rzeczywistości. W przeszłości już chyba milion razy miała takie myśli i zawsze musiała się pogodzić z upokarzającą prawdą. Pewnie było w niej coś brzydkiego, nieprzyjemnego, co odstręczało mężczyzn, sprawiało, że ją odtrącali. A teraz była już za stara na to, żeby cokolwiek mogło się zmienić.

- Nie mogę ci niczego dać, Killian.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz, Lainie. - Usłyszawszy swoje imię, wypowiedziane cichym, łagodnym tonem, uniosła wzrok. Poglądził ją po policzku, przyprowadzając ją o dreszcz.

- Nie myślę się, Killian. Uwierz mi.

- Nie - zaoponował. - To ty mi uwierz.

Te słowa, tak zgodne z tym, co mówiła jej Viloula, sprawiły, że serce Lainie zaczęło bić szybciej.

- Co masz na myśli?

- Lainie, minęło już piętnaście lat, odkąd pragnąłem kobiety. - Urwał, jakby dla nabrania sił. - Była nią Emily. Kochałem ją.

Lainie przełknęła z trudem ślinę.

- Wiem.

- Po jej śmierci na nikim mi nie zależało. - Westchnął. - Na nikim... aż do teraz.

- Nie...

Uciszył ją spojrzeniem.

- Nie wiem, co to znaczy i dokąd nas to zaprowadzi, Lainie. Ale jednego jestem pewien: jesteś w stanie dać mi to, czego chcę. Ponieważ chcę po prostu ciebie.

Pokręciła głową.

- Nie znasz mnie, Killianie. Gdybyś mnie znał...

- W takim razie pozwól mi się poznać.

Usłyszawszy te słowa, wypowiedziane cichym, spokojnym tonem, gwałtownie zaczerpnęła tchu i się cofnęła.

- N...nie mogę - wyjąkała.

- Lainie...

Wymówił jej imię w taki sposób, że miała ochotę się rozplakać. Nagle poczuła żal, że wszystko ułożyło jej się tak, a nie inaczej, że ona nie jest inna. Żałowała, że nie może cofnąć swoich słów, chciała powiedzieć, że jednak spróbuje. Lecz lata złudnych nadziei i gorzkich rozczarowań sprawiły, że nie była w stanie się odezwać, tylko stała nieruchomo i w milczeniu patrzyła na Killiana.

Zaczął padać deszcz. Poczowała chłodne krople na twarzy, świeży zapach wody, mieszający się z aromatem mydła na jej skórze.

Deszcz pozbawił ją ostrości widzenia i zmienił Killiana w dużą plamę przed oczami. Nie była już w stanie odczytać wyrazu jego twarzy, nie potrafiłaby nawet powiedzieć, czy się krzywi, czy uśmiecha.

Cofnęła się i przetarła oczy. Chwila bliskości i nadziei rozmyła się w kroplach deszczu.

To łzy, pomyślała, zmęczona. Miała wrażenie, że to sam Bóg płacze nad nią, widząc, kim się stała.

K

Iljan i Lainie leżeli obok siebie w niewielkim namiocie, słuchając uderzeń kropel deszczu o brezent i wpatrując się w kręte strużki ściekającej wody. Widzieli ściemnione, migotliwe błyski płomieni ogniska na dworze.

Lainie leżała % szeroko otwartymi oczami i śpiworem naciągniętym aż pod brodę.

Pozwól mi się poznać.

Te słowa brzmiały bardzo romantycznie. Miała wrażenie, że całe życie czekała na to, żeby je usłyszeć i w nie uwierzyć, a teraz, kiedy ta chwila nadeszła, bała się otworzyć. Nie mogła zrozumieć, dlaczego KiUianowi na niej zależy, i wydawało jej się, że to tylko złudzenie, a może nawet fragment jej książki, nie mający oparcia w faktach, nie istniejący w realnym świecie.

- O czym myślisz? - zapytał.

Nie była w stanie zdobyć się na szczerość. Jej myśli były zbyt smutne i chaotyczne. Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem... po prostu słucham deszczu.

Znów zapanowała między nimi cisza, przerywana tylko monotonnym szumem wody.

- Powiedz mi coś o sobie, Lainie - powiedział po chwili.

Zesztywniała.

- Na przykład?

- Nie wiem. Co chcesz. Jaki jest twój ulubiony kolor? Kiedy masz urodziny? Co ci smakuje? Gdzie się wychowałaś?... Cokolwiek.

Odpowiedziała mu po dłuższym namyśle.

- Czarny. Trzynastego grudnia. Wszystko, co ugotuje ktoś inny.

Roześmiał się.

- Zapomniałaś mi powiedzieć, gdzie się wychowałaś.

Miała nadzieję, że tego nie zauważy.

- Bo to trudne pytanie. Istnieją dwie wersje odpowiedzi, długa i krótka. Większość ludzi woli krótką.

Obrócił się na bok i wsparł głowę na rękę.

- Myślę, że woję usłyszeć tę długą.

Na chwilę przeniosła się myślami w przeszłość, do lat, które spędzała sama, skulona na progach domów albo w szpitalnym oddziale zamkniętym. Mocno zacisnęła powieki, oddalając przerażające wizje.

- To nudne.

Poczuła jego badawczy wzrok na swojej twarzy. Miała ochotę się odwrócić, ale, co dziwne, była także ciekawa, co też mógł wyczytać z jej oczu.

- Dla mnie na pewno nie będzie nudne.

W końcu popatrzyła na niego. Nikt dotąd nie pytał wprost o jej życie, z wyjątkiem psychiatrów i pracowników opieki społecznej, którym płacono za zadawanie takich pytań, lecz którzy rzadko uważnie słuchali odpowiedzi. Często kłamała na temat swojej przeszłości, by kogoś zaszokować, albo przedstawiała córce optymistyczną wersję wydarzeń, tak że prawie zapomniiała, jak bolesna jest prawda. Ich twarze znajdowały się blisko siebie, tak że w każdej chwili mogli się pocałować. Ta myśl wzbudziła w niej tęsknotę.

- Moja przeszłość jest straszna. Gdybyś wiedział, co robiłam...

Westchnął, a może cicho się zaśmiał?

- Spójrz, do kogo to mówisz, Lainie. Jestem bandytą. Kłamałem, oszukiwałem, kradłem. Mierzyłem z broni do niewinnych kobiet, by zabrać im pieniądze. Zabijałem męż czyzn, którzy prawdopodobnie bardziej zasługiwali na życie niż ja. A żadne z wymienionych przestępstw nie jest najgorsze z tych, które popełniłem.

Zaśmiała się drżącym głosem i popatrzyła na Killiana.

- Dobrana z nas para.

- Moglibyśmy nią być. Może...

Przez chwilę miała wrażenie, że serce zamarło jej w piersi. Jej uśmiech zbladł. Pochyliła się, czując, że za chwilę padną ważne słowa.

- Może... co?

- Może razem działalibyśmy więcej niż osobno. Wiem, źył to brzmi śmiesznie, ale... - Machnął ręką.

M

- To wcale nie brzmi śmiesznie.

•'''

- Pewnie większość ludzi czuje to codziennie, a dla nas to zupełna nowość.

- Czy to możliwe? - zapytała szeptem, bojąc się wzbudzić w sobie nadzieję.

- Nie wiem już, co jest możliwe, a co nie. A ty?

Zastanawiała się przez chwilę nad jego słowami. W minionym

tygodniu przeniosła się w czasie, doświadczyła swego przeszłego życia i pocałowała wytwór swojej wyobraźni... a w dodatku jej się to spodobało. Nie, teraz już nie wiedziała, co jest możliwe, a co nie.

- Jednego jestem pewien, Lainie. Zależy mi na tobie. Przez piętnaście lat nie powiedziałem tego żadnej kobiecie.

To wyznanie przyprawiło ją o oszołomienie.

- A ja w ogóle jeszcze nigdy nie słyszałam takich słów.

Odsunęła się nieznacznie i zamknęła oczy. Nie mogła teraz na

niego patrzeć, ponieważ gdyby dostrzegła w jego oczach uczucia potwierdzające te słowa, nie byłaby w stanie się opanować.

- Lainie?

Powoli otworzyła oczy. Uśmiechnął się do niej ze zrozumieniem.

- Już późno, kładźmy się spać. Jutro musimy wstać o świcie.

- Sypiam bardzo krótko.

- Chodź tutaj.

Przesunęła się w jego stronę i znieruchomiała. Oddychała z trudem, ściskając materiał śpiwora.

Pochylił się nad nią. Był tak blisko, że owiewał ją swym oddechem. Szybko zamknęła oczy.

- Jestem przy tobie, Lainie. Pamiętaj.

A potem zrobił coś, co wprawiło ją w zdumienie. Pocałował ją w skroń. Delikatnie musnął wargami jej skórę, jednocześnie gładząc ją po włosach.

Cichutko westchnęła. Przez całe życie czekała, aż ktoś pomoże jej zasnąć, opowie bajkę, pogłodzi po głowie i zaśpiewa kołysankę. Wyobrażała sobie, że tak postępują matki. Najpierw czekała na to, będąc dzieckiem, samotnym, pozbawionym przyjaciół, skazanym na system opieki społecznej, potem jako młoda dziewczyna włócząca się po ulicach, a w końcu jako kobieta, szukająca w ciemnych zaułkach miłości u mężczyzn, którzy nie byli do niej zdolni. Ani razu nie doświadczyła nawet odrobiny prawdziwej troski, aż do tej pory, aż do chwili, kiedy spotkała tego nieprawdopodobnego mężczyznę w nieprawdopodobnym miejscu i czasie.

Aż do chwili, w której spotkała Killiana. Mógł sobie mówić, co chciał. Mógł wrzeszczeć i wmawiać jej, że nie jest jej godny, lecz dobrze знаła prawdę. W głębi duszy był uczciwym, szlachetnym człowiekiem. Gdyby tylko sobie na to pozwoliła, mogłaby się w nim zakochać.

Wsunął ramię pod jej szyję i delikatnie przyciągnął ją do siebie. Drugim ramieniem otoczył ją w pasie. Czowała ciepły oddech na swoich włosach.

Świat ograniczył się teraz dla nich do ich dwojga, zamk niętych w niewielkim namiocie stojącym na środku rozległej ciemnej pustyni. Padał deszcz, wiatr wydymał brezentowe ściany, ale w środku było ciepło, przytulnie i sucho.

I bezpiecznie.

Po raz pierwszy w życiu zasnęła bez trudu.

vJrozne cienie zbliżały się, towarzyszył im śmiech i ściszone głosy.

- Nie. - Ta prośba wyszła z jej ust. Słyszała swój głos, który jednak dobiegał do niej jakby z oddali. - Proszę... nie...

Ogarnęła ją duszna, nieprzenikniona ciemność. Starła się zaczerpnąć tchu, ale poczuła ostry zapach amoniaku i zaczęła się dławić i pluć. Na jej czoło wystąpił zimny, lepki pot.

Z ciemności wyłoniły się skórzane pasy. Zaczęła się więc, uniosła ręce, by osłonić twarz. Czyjeś ręce przycisnęły ją do ziemi tak, że nie była w stanie się poruszyć. Głosy docierały do niej w niezrozumiałych monosylabach.

Odgłosy kroków stawały się coraz cichsze.

- Nie! - krzyknęła. - Nie odchodź! Ktoś trącił ją w bok.

- Lainie, obudź się... Lainie.

Gwałtownie usiadła. Ciężko dysząc, walcząc o złapanie tchu, rozejrzała się, starając się zorientować, gdzie się znajduje. Siedziała w bladym zielonkawym świetle otaczającym ją ze wszystkich stron. Ściany drżały, zbliżały się do niej.

Ogarnął ją paniczny strach. Gdzie się znajdowała?

- Lainie? - Ten głos dotarł do niej jakby z kręgu światła; był ciepły, spokojny i znajomy.

Poczuła przypływ ulgi. Killian. Odwróciła się w jego stronę. Siedział obok niej, w śpiworze opuszczonym do bioder, i przyglądał się jej z zatroskaniem. Srebrzyste włosy lśniły w słońcu zagładającym do wnętrza przez brezentowe ścianki.

- Killian. - Bez namysłu rzuciła mu się w ramiona.

Chwycił ją mocno, przytulił, żeby się uspokoiła po koszmarze sennym.

- Już wszystko dobrze, Lainie - powiedział cicho, gładząc ją po włosach mokrych od potu.

Odetchnęła z ulgą i zamknęła oczy, rozkoszując się ciepłem męskiego ciała. Jeszcze nigdy w życiu nikt nie pocieszał jej po koszmarach, tak że teraz z trudem radziła sobie z natłokiem doznań. Oparła się policzkiem o pierś Killiana.

- Już wszystko dobrze. Nic ci nie grozi.

Usłyszawszy te ciche słowa pociechy, wybuchnęła płaczem.

Zawstydziała się takiej dziecinnej reakcji, lecz po chwili zapomniała o wstydzie; liczyło się dla niej tylko to, że jest w ramionach Killiana. Płakała z powodu straconych lat dzieciństwa, rodziców, którzy uciekli, zostawiając ją samą, córki, która była dla niej ważniejsza niż życie.

Załkała spazmatycznie i wtuliła twarz w zagłębienie ramienia Killiana. Głaskał ją po włosach, mówił coś, lecz słowa miały dla niej mniejsze znaczenie niż łagodny, ciepły ton jego głosu. Przez całe życie czekała na czułe dotknięcie, najpierw ze strony matki, potem ojca, a w końcu ze strony napotykanym mężczyzn.

Płakała, aż zabrakło jej łez, aż poczuła wyczerpanie, osłabienie i potworny ból głowy.

Pociągnęła nosem i wytarła go w rękaw. Wiedziała, że powinna wstydzić się swojej słabości, że powinna teraz cofnąć się, uśmiechnąć i udawać, że nic się nie stało. Jednak tym razem nie miała ochoty przeproszać za to, co zrobiła i kim była. Czuła się teraz dużo lepiej. Miała wrażenie, że te łzy były przez wiele lat uwięzione w jej wnętrzu pod postacią bryły lodu w okolicy serca.

Odchyliła głowę i uniosła wzrok. To, co zobaczyła, sprawiło, że zaczerpnęła tchu. W oczach Killiana dostrzegła prawdziwe współczucie.

Ten wyraz twarzy wydał jej się dziwnie znajomy, jakby

widziała go już setki razy. I wszystkie dziwne rzeczy, o które opowiadała jej Viloula, wydały jej się... nie tak znów dziwne. Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nie kłamiesz?

- Na jaki temat?

- Że... ci na mnie zależy. Poglądził twarde kciukiem jej policzek.

- Nie kłamie.

- Dlaczego?

- Lainie... - Mówił tak cicho, że ledwie go słyszała. - C
naprawdę nigdy nikt nie był dla ciebie dobry?

Zdała sobie sprawę, że zaczyna jej na nim niebezpieczniej zależeć, a co gorsza, miała ochotę znów go pocałować. Przy- pomniała sobie wszystkie jego miłe słowa, ciche obietnice, i ogarnęła ją rozkoszna fala ciepła.

- Ty - powiedziała w końcu. - Ty byłeś dla mnie dobry. ';; Westchnął.

- To tylko świadczy o tym, jak smutne było twoje życie. Ledwie go słyszała w natłoku emocji, jednak dobrze wie-

działa, że ta chwila jest dla niej wielkim darem. Po raz pierwszy \ dostrzegła moc cudu, który napełnił ją podziwem, ale i prze- i rażeniem. Czuła się jak człowiek, który zobaczył światło i nigdy już nie będzie bać się śmierci.

To Bóg dał jej ten dar, tę chwilę. Przez wiele lat nie wykazywała pokory, domagając się nagrody, rekompensaty za wszystkie cierpienia i niepowodzenia życiowe. Miała wprawdzie Kelly, którą kochała całym sercem, ale często, kiedy córka spała, Lainie czuła bolesną, dojmującą samotność. Leżała w pustym łóżku, modląc się o to, by w jej życiu pojawił się jakiś mężczyzna, z którym zwiąże się na stałe.

Myślała, że nikt nie słucha jej błagalnych próśb; potem doszła do wniosku, że Boga nie ma, ale bardzo się myliła.

Słyszał wszystkie jej modlitwy, każde wypowiedziane szeptem błaganie małej dziewczynki i odpowiedział jej w niewiarygodnie cudowny sposób. Nawet nie marzyła o otrzymaniu tak wspaniałego daru. Po tym, co się wydarzyło na pustyni, jej życie nigdy już nie będzie takie samo.

Bóg dał jej Killiana i pozwolił poznać, czym jest miłość.

Miłość.

Poczuła wzruszenie, a zarazem przerażenie. Starła się zmienić temat rozmyślań, ale jej się to nie udawało; to słowo utkwilo w jej sercu jak odłamek szkła, który czuła przy każdym oddechu.

Głośno zaczerpnęła tchu i popatrzyła na Killiana. Dlaczego tak niepokoiła ją świadomość, że go kocha? Nie powinno to być dla niej bolesne. Powinna przeżywać uniesienie, czuć radosne podniecenie... tymczasem była przerażona i jeszcze bardziej samotna niż dawniej.

Zauważyła zmieszanie na jego twarzy. Domyśliła się, że jej milczenie trwa już zbyt długo. Serce zaczęło mocniej bić w jej piersi, gwałtownie chwytając powietrze, ogarnięta panicznym strachem.

Musiała mu teraz powiedzieć, co do niego czuje. Teraz, natychmiast, zanim będzie za późno, zanim znów schowa swe uczucia głęboko w sercu, by nigdy już nie znaleźć odwagi do ich wyjawienia.

- Killian... - Znieruchomiała, nie była w stanie wypowie-
dzieć dalszych słów. Co będzie, jeśli on się roześmieje? Jeśli
nie uczyni tego samego wyznania? Tak często zdarzało jej się
przed laty, kiedy rozrzucała te najpiękniejsze słowa jak tandetne
ozdoby i nigdy nie doczekała się wzajemności.

Dotknął kciukiem jej policzka.

- Co, Lainie?

Popatrzyła na niego i nieznacznie, z wahaniem pokręciła głową.

- Co chciałaś mi powiedzieć?

Kocham cię, kocham cię. Kocham cię. Te słowa kołatały w jej głowie, przyprawiając ją o oszołomienie. Czuła, że niezwykła szansa łada chwila może przepaść i że musi coś zrobić, żeby nie stracić okazji.

Ciało. Użyje ciała dla pokazania Killianowi, jak bardzo jej na nim zależy.

Zawahała się na chwilę. Stosowała tę taktykę już setki razy, usiłując uzyskać od mężczyzny to, czego rozpaczliwie potrzebowała. Dawała wtedy jedyną rzecz, jaką miała do zaoferowania - ciało. Ale nigdy nie przyniosło to spodziewanego rezultatu.

Tym razem będzie inaczej - pomyślała, zdesperowana. Killian o nic jej nie prosił. Tym razem po

raz pierwszy miała zamiar oddać się mężczyźnie dlatego, że go kocha. Może nawet nie przeżyje rozczarowania, jeśli się okaże, że on jej nie kocha. Może tym razem wystarczy jej tylko to, co czuje do niego...

Włatarła na niego jak rozpędzony pociąg. Killian ledwie zdążył napiąć mięśnie przed jej atakiem, ale i tak uderzył w ściankę.

Nakryła go swym ciałem, objęła i mocno przycisnęła do siebie.

- Boże, La...

Zamknęła mu usta gwałtownym pocałunkiem. Usiłował odzyskać równowagę, ale wiła się na nim, całując go, przyciskając do siebie, przytulając się jak najmocniej.

Obsypywała pocałunkami jego usta, policzki, oczy. Słyszał jej urywany, chrapliwy oddech, czuł mocne bicie jej serca. Całowała go szybko, z dziką pasją i zupełnie bez czułości.

Odchylił się, lecz nawet tego nie zauważyła. Była jak pijak, łapczywie wlewający w siebie zawartość butelki i zupełnie nie zwracający uwagi na smak trunku.

Chwycił ją za ramiona.

- Uspokój się, Lainie.

Spazmatycznie wciągnęła powietrze i przycisnęła usta do czoła Killiana.

- Nie odtrącaj mnie - poprosiła chrapliwie.

Delikatnie przyciągnął jej głowę.

- Nie odtrącam cię, Lainie, ale ty... nie dopuszczasz mnie do siebie.

Znieruchomiała.

- Jeśli coś robiłam źle, to mogę to zrobić inaczej. Daj mi szansę. - Miała szorstki głos, w którym pobrzmiwała rozpacz.

Posmutniał na myśl o tym, jak okrutnie obeszło się z nią życie.

Chwycił ją za ramiona.

- Nie tego od ciebie oczekuję, Lainie.

- Nie chcesz się ze mną kochać? - Jej dolna warga drżała. Zauważył, że walczy ze łzami, napływającymi do oczu.

- Nie w ten sposób.

Odwróciła wzrok i zapatrzyła się w błyszczącą od słońca ściankę namiotu.

- Umieję to robić tylko tak.

- Wiem. - Delikatnie dotknął jej policzka. - Zaufasz mi? Zaśmiała się niepewnie.

- Czy to grozi kajdankami?

- Lainie - odezwał się cicho, nie mogąc się doczekać, kiedy na niego spojrzy. Gdy wreszcie uniosła wzrok, dostrzegł w nim przerażenie i niepewność, które głęboko go rozczuliły. - Zaufaj mi - poprosił łagodnie.

Znieruchomiała. Przez chwilę miał wrażenie, że przestała oddychać. Wolno pokiwała głową.

- Ufam ci, Killian.

Te cicho wypowiedziane słowa sprawiły, że przepełniła go miłość tak wielka, tak silna, że przez chwilę nie mógł złapać tchu. Był już pewien, że niezależnie od tego, co wydarzy się w jego życiu, jaki obrót przybiorą sprawy, nigdy nie zapomni tej chwili, nie zapomni odwagi Lainie, która tak rozpaczliwie się bała, a jednak znalazła w sobie dość siły, żeby pokonać strach. Miał poczucie, że wreszcie znalazł kobietę, na którą czekał całe życie. Nie powtórzy się już sytuacja taka jak z Emilią. Lainie przeżyje.

- Nie zranię cię. Obiecuję ci, że cię nie zranię - powiedział przez zaciśnięte gardło.

Popatrzyła na niego smutnym wzrokiem.

- Wiesz, Viloula powiedziała, że się tu znalazłam, bo muszę przerobić jakąś lekcję. Myślę, że właśnie ją przerobiłam.

- Co masz na myśli?

- Możesz mnie zranić, choćby podświadomie, nawet jeśli nie będzie to twoim zamiarem. Ale... mam zamiar podjąć to ryzyko. - Popatrzyła na niego. Tym razem w jej wzroku nie było strachu ani niepewności, a jedynie wyraz zdecydowania i wewnętrzna siła. Uśmiechnęła się do niego nerwowo, po czym zagryzła dolną wargę. - Nigdy jeszcze go nie podjęłam, ale... chcę je podjąć z tobą.

Killian przez chwilę miał wrażenie, że osuwa się w otchłań, że są sami we wszechświecie. Popatrzył na twarz Lainie, dostrzegł w niej odwagę, na którą musiała się zdobyć, aby mu zaufała, i nagle zrozumiał, co do niej czuje. Kochał ją.

Chciał jej to powiedzieć, marzył o tym, ale coś go powstrzymywało — może wyraz jej oczu, jej smutek, strach i niepewność, a może jego ponura przeszłość. Nie wiedział, ale w tej chwili nie miało to dla niego znaczenia.

Liczyło się tylko to, że jest z nią, widzi jej uśmiech i wie, że jest przeznaczony dla niego. Wystarczało mu to, że on ją kocha.

Powoli wychyliła się do przodu, z dziewiczym wahaniem, które sprawiło, że krew zawrzała mu w żyłach. Ametyst rozbłysł tysiącem purpurowych i białych promieni.

Dotyk jej warg, miękkich i niepewnych, wzbudził w nim falę gorąca. Ujął drobną twarz Lainie dużymi, szorstkimi dłońmi. Podziwiał gładkość jej skóry i aksamitne włosy, muskające mu palce.

Delikatnie posadził ją sobie na kolanach, tak że objęła go nogami. Czuli jej bosc stopy splecione za jego plecami, i ramiona otaczające mu szyję, uroczy ciężar jej pośladków uciskających jego męskość. Chciał ją pieścić, poznawać jej ciało, jednak postanowił się nie śpieszyć. Pragnął ofiarować Lainie wszystko, co mógł, lecz żeby to było możliwe, musiał poczekać, aż będzie na to gotowa.

Siedział więc nieruchomo, opanowując narastające pożądanie, pozwalając, by to ona panowała nad sytuacją.

Wciągnęła powietrze i pocałowała go, jednocześnie mocniej przyciągając go do krągłych piersi. Poczul jej charakterystyczny zapach i uzmysłowił sobie, że jest z kobietą, na którą czekał całe życie.

Zanurzył dłonie w jej krótko obciętych włosach, delektując się ich jedwabistością. Pogłębił pocałunek, wsunął język w jej, } wilgotne usta, badając ich słodkie wnętrza. Zrobiło mu się gorąco; oddychał z trudem, czując bolesną nabrzmiałość. Głucho stęknął. Odchyliła głowę.

- Czy zrobiłam coś nie tak?

Patrzyła na niego tak niewinnym wzrokiem, że miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Na jej twarzy widać było trudy życia. Świadczyła o nich pionowa zmarszczka przebiegająca przez czoło, nieznacznie opadnięte kąciki ust. Od tej pory będzie sobie mogła do znudzenia powtarzać, że jest zła, ale nigdy już go tym nie zwiedzie. Zdażył już poznać prawdę i wiedział, że w głębi duszy Lainie jest dziewiczo niewinna. Jej ciało było wielokrotnie brutalnie wykorzystane, jednak żaden mężczyzna nie poznał wnętrza jej duszy.

- Nic podobnego - powiedział i delikatnie ją pocałował. Przywarła do niego ustami, gdy chciał się odchylić. - Co powinniśmy teraz zrobić?

Popatrzyła na niego, zdziwiona.

- Nie powiesz mi chyba, że jesteś prawiczkim? .iZachichotał.

- A jednak to prawda, Lainie. Oszczędziłem się dla ciebie,

- Cha, cha, cha. W takim razie po co pytasz? Przecież wszystko wiesz.

- Może chciałbym wiedzieć, co ty chcesz.

- Ale... ja nie wiem. - Zarumieniła się. - To znaczy, znam zasady. Tyle że mężczyźni, z którymi się zadawałam, byli mistrzami szybkości, nie techniki.

- Nie będziemy się śpieszyć, Lainie. Mamy mnóstwo czasu. Może zaczniemy od tego, że się rozbierzemy?

Wybałuszyła oczy.

- Jest dzień. M.. myślałam, że może dziś rano tylko rozepnie my dzinsy. A potem, w nocy...

Pocałował ją i zsunął sweter z jej ramion. Gruby czerwony materiał opadł jej na uda. Zadrżała i próbowała się wycofać.

Powstrzymał ją. - Spokojnie, Lainie. Rozluźnij się. | - Jestem rozluźniona. ; - Myślę, że nie. i - Nigdy nie byłam... w tym dobra.

i: Wsunął sweter z powrotem na jej ramiona, przesuwając przy |, tym dłońmi po skórze. Uniosła ręce i zamknęła oczy, gdy ściągał sweter przez głowę. Skrzyżowała ręce na piersiach i znieruchomiała.

Killian rzucił sweter na ziemię, a potem chwycił Lainie za nadgarstki i przyciągnął ją do siebie. Przez chwilę się ; opierała, potem zadrżała i opuściła ręce, nie otworzyła I jednak oczu.

Światło poranka sączące się do wnętrza przez ściany namiotu opromieniło ją, załśniło niebieskawo w

jej czarnych włosach. Jej skóra wydawała się teraz niemal przezroczysta. Zagłębienie na szyi kusiło aksamitną jedwabistością i alabastrową gładkością, aż prosiło się o dotyk. - Spójrz na mnie, Lainie.

Powoli otworzyła oczy, popatrzyła na Killiana. Ciemne rzęsy rzucały cień na jej policzki. Przesunął palcem po jej nagim brzuchu, pomiędzy piersiami, a potem przewędrował na szyję i przyłożył palec tam, gdzie mógł poczuć puls. Koniuszkiem palca obwiodł czarną bieliznę. Jak na to mówiła...? Stanik?

Zadrżała i znów zamknęła oczy.

Miał ochotę obdarzyć ją tysiącami czułych słów. Chciał powiedzieć, że jest piękna i że zatracą się w jej oczach, dotyku i pocałunkach, jednak jeszcze nigdy w życiu nie przemawiał w ten sposób i niezwykle trudno było mu się wysłowić.

Brakowało mu tchu, czuł rosnące pożądanie. Pragnął przytulić ją i się w niej znaleźć.

- Ech, Lainie - rzucił zachrypniętym głosem. - Jesteś taka" piękna. - Żałował, że nie ma talentu literackiego i nie potrafi pięknie wyrazić uczuć przepełniających mu serce i domagających się spełnienia.

Siedziała jak przerażona dziewczyna, ufna, ale wciąż niepewna siebie. Wiedział, że go pragnie i to prawdopodobnie równie silnie, jak on jej, jednak życie Lainie było dotąd puste i smutne, więc nawet teraz bała się sięgnąć po to, o czym marzyła.

Gdyby tylko wiedziała, jak bardzo jej pożąda, że chodzi mu, nie tylko o jej ciało, ale i o to, by dzięki niej rozjaśnić mroczne zakamarki swojej duszy... Pochylił się i ją pocałował. Chciał, by jego pocałunek był czuły i łagodny, ale gdy tylko dotknął jej wargami, coś w nim pękło. Gwałtownie przyciągnął ją do siebie, nie mogąc doczekać się zespolenia ich ciał i dusz. Jęknął głucho, boleśnie.

Odwzajemniła pocałunek i zarzuciła ramiona na szyję Killiana. Wsunął język pomiędzy jej wargi, rozchylając je. Zacerpnęła tchu i objęła go mocniej. Czuł, że drżą jej ręce, delikatnie przesuwające się po jego koszuli. Pieścił ją, próbując językiem i palcami dać do zrozumienia, że pragnie jej aż do bólu.

Doczekał się reakcji Lainie, najpierw nieśmiałej, lecz po chwili dowodzącej tego, że i ją ogarnęło pożądanie. Ruchy jej wilgotnego języka sprawiały, że zaczynał tracić opanowanie.

- Zdejmij mi koszulę - wydyszał prosto w jej usta.

Zawahała się, ale po chwili rozpięła ją drżącymi palcami.

Zdjął ją i odrzucił na bok. Przywarli do siebie, i zaczęli ocierać się o siebie odkrytymi częściami ciała. Spocila się, a sterczące brodawki piersi, znaczące się na powierzchni rozciągliwego materiału stanika, drażniły tors Killiana, wznecając w nim ogień.

Przyciągnął ją do siebie i przewrócił na plecy. Patrzą teraz na niego oczami pociemniałymi z pożądania. Znów ją pocałował, starając się tym pocałunkiem przekazać wszystkie romantyczne słowa, których nie był w stanie wymówić.

Westchnęła cichutko, otoczyła go ramionami i wygięła się w łuk. Znów poczuł twarde brodawki jej piersi.

Powoli, Killian, napomniął się. Wziął głęboki oddech i zmusił się do opanowania. Miał ochotę zerwać jej stanik i zanurzyć się w miękkości piersi, zatracić się w tej kobiecie.

Drżąc na całym ciele, zaczął całować jej podbródek, policzki i skronie. Pieścił językiem i delikatnie nagryzał aksamitne płatki uszu. Zadrżała i poruszyła się pod nim niespokojnie, co jeszcze bardziej go podnieciło.

Z wysiłkiem przeniósł swe pocałunki na szyję, przesuwając po niej koniuszkiem języka, wzdłuż złotego wisiora, a potem całował delikatną skórę zagłębienia, w którym bije puls.

Przesunął się niżej, tak że jego twarz znalazła się tuż nad piersiami Lainie, których jednak nie dotknął, i dotarł do miękkiej powierzchni brzucha. Całował wyraźnie rysujące się zebra i laskotał pepek językiem.

Chwyliła go za głowę, starając się go odciągnąć.

- Nie... Killian, nie...

Ściągnął jej spodnie, potem skarpetki. Całował jej łydki, kolana, jedwabistą wewnętrzną powierzchnię ud. Poruszała się pod nim niespokojnie, głośno dysząc.

Przesunął wargami po dziwnych bawełnianych majtkach, które przylegały do jej ciała jak druga skóra. Ciemna kępka włosów powodowała wybrzuszenie na napiętym materiale, kusząc wyobrażeniami tego, co się pod nią znajduje. Zdjął jej te skąpe majteczki; były lekkie jak piórko. Rzucił je przez ramię jak białą flagę, oznaczającą kapitulację.

Na biodrze miała niewielki niebieskawy znak. Zmarszczył czoło.

- To tatuaż - powiedziała zdyszonym głosem, nakrywając go dłonią.

Odsunął jej rękę, zafascynowany. Tatuaż przedstawiał niewielką ósemkę odwróconą na bok.

- Co to jest?

Zaśmiała się cicho.

- To symbol nieskończoności. Kazałam go sobie wytatować, kiedy miałam trzynaście lat. Jeszcze jeden błąd w moim życiu.

Pochylił się i pocałował ją w to miejsce, obwiodł językiem atramentowy znak.

- Myślę, że to nie był błąd.

Zadrżała i chwyciła go za ramiona, wbijając krótkie, ostre paznokcie w jego skórę. Zesztywniała, a po chwili ścisnęła nogi.

- Przesuń się w górę.

Uniósł głowę.

Leżała nieruchomo, szybko oddychając. Jej szeroko otwarte oczy wyrażały jakiś stary, nigdy niezapomniany lęk. Były zaskakująco ciemne w porównaniu z porcelanową bielą jej skóry. Usta miała obrzmiałe od pocałunków.

Uśmiechnął się do niej serdecznie i czekał, aż odwzajemni uśmiech.

Nerwowo zwilżyła dolną wargę i próbowała się uśmiechnąć. To lekkie skrzywienie ust zniknęło równie szybko, jak się pojawiło. Patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem, z rękami przyciśniętymi do boków. Jej piersi unosiły się i opadały w rytm przyspieszonych oddechów.

Pochylił się i zaczął całować jej obojczyk, znacząc skórę wilgotnymi śladami. Delikatnie wsunął dwa palce pod zaskakująco rozciągliwy stanik, przesuując nimi po skórze. Na ciele Lainie pojawiła się gęsia skórka. Zdjął stanik przez głowę i rzucił na ziemię.

Przełknęła z trudem ślinę i popatrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

Przyglądał się jej szyi i krągłościom piersi, ich uroczym różowym brodawkom.

Była tak piękna, że aż zaparło mu dech. Przepelniała go bolesna żądza. Teraz był już pewien, że spotkali się nieprzypadkowo i że będzie kochał tę kobietę do końca swoich dni.

Przytulił ją mocno i pocałował, rozkoszując się miękkością skóry, delikatnym dotykiem jej palców.

Pożądanie, które go ogarnęło, było jak błyskawica przelatująca przez ciało. Głucho stęknął i zaczął niecierpliwie ugniatać jej pośladki, jednocześnie obejmując stopami jej nogi. Czuł jej wilgotne ciepło przy *swojej twardości*.

Ich pocałunek okazał się równie gorący jak rozpalone ciała. Killian nieznacznie odchylił się do tyłu i przesunął wargami po jej szyi i piersiach. Gdy dotknął ich językiem, zadrżała i wygięła ciało w łuk. Zaczął ugniatać jej jędrne piersi, a potem ssał stwardniały koniuszek brodawki, wciągając go coraz głębiej w usta.

Wydała cichy jęk rozkoszy i rozciągnęła się na posłaniu. Pieścił i drażnił jej piersi palcami, zębami i językiem, a potem przesunął dłoń na brzuch i dalej, aż na jedwabisty trójkąt włosów pomiędzy nogami.

Usiłowała zewrzeć nogi.

- Rozluźnij się, Lainie - wyszeptał. - Zaufaj mi.

Wypuściła powietrze i rozsunęła kolana.

Przedarł się palcami przez włosy i zanurzył głębiej. ' Jęknęła i poruszyła się niespokojnie. |

- Och, Killian...

Na dźwięk swego imienia, wypowiedzianego głosem ścisłym z pożądania, poczuł ostry, przenikliwy ból lędźwi. Objął ustami brodawkę piersi i mocno wciągnął.

Rozchylił wilgotne włosy i dotarł do jej czułego miejsca. Z ochryplym westchnieniem wsunął w nią palec, poczuł śliską wilgoć i mocny uścisk jej ciała.

Rozchyliła nogi szerzej i wyszła naprzeciw jego dłoni, dostosowując się do rytmicznych, kolistych ruchów ręki. Wiła się, jęczała i przeczesywała palcami jego włosy.

Nigdy jeszcze nie doświadczyła czegoś takiego. Całe jej ciało drżało, przepelnione rozkosznym bólem. Miała wrażenie, że płonie w niej ogień, który rozpalał się powoli, lecz podsycany ręką Killiana, buchnął silnym płomieniem i był coraz gorętszy, tak że cała się spociła i wiła się z pożądania. Miała wrażenie, że cała jej istota znajduje się pod jego ruchliwym palcem, jakby zmieniona w ziarenko pulsującej, bolesnej żądzy. Odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy, poddając się jego

dotykowi.

Miała ochotę objąć go, przytulić i powiedzieć mu, co teraz czuje, lecz jej ciało stało się dziwnie ciężkie i bezwolne. Nie była w stanie się poruszyć ani zaczerpnąć tchu.

- Killian - wyszeptala, tocząc głową na boki i wypychając biodra w stronę jego dłoni. - Co ty ze mną robisz?

Oderwał się od jej piersi. Chłodne powietrze owiało stwardniały koniuszek brodawki, przyprawiło Lainie o dreszcz. Obsypywał gorącymi, wilgotnymi pocałunkami jej szyję.

- Kocham się z tobą- odpowiedział, nakrywając jej usta pocałunkiem.

Te proste słowa podziałały na nią jak magiczne zaklęcie. Zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do spoconego ciała, odwzajemniając pocałunek z oddaniem, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyła ani nawet sobie nie wyobrażała. Przycisnął ją swoim potężnym ciałem do miękkiego posłania.

Jego ręce wciąż dokonywały cudów, doprowadzając ją do rozkosznego dygotu. Serce waliło Lainie w piersi jak oszalałe, zagłuszając wszystkie dźwięki z wyjątkiem chrapliwego oddechu Killiana. Miała wrażenie, że za chwilę oszaleje z bolesnego pragnienia.

Głośno jęknęła.

- Teraz - zamruczała. - Teraz...

Ściągnął spodnie i znów położył się na niej, nakrywając ją swym ciałem. Mocniej przyciągnęła go do siebie. Poczula, że wsuwa nogi pomiędzy jej kolana.

Miała wrażenie, że dotyk Killiana parzy jej ciało. Jego męskość uciskała wrażliwe, bolesne miejsce pomiędzy nogami, sprawiając, że jej oddech przeszedł w spazmatyczne łkanie. Oszalała z podniecenia, czekała, aż w nią wejdzie.

Dygocząc z pragnienia, ścisnęła jego ramiona i wyszlochała jego imię. Wygiąwszy ciało w łuk, zaczęła odwzajemniać pocałunki, zatracając się w nich. Nikt jeszcze tak jej nie całował. Teraz wiedziała już dlaczego. To był smak miłości, jej dotyk i zapach. Miłość nie jest związana z bajkami i rycerzami w błyszczącej zbroi. Jest słodka, pachnie potem, a czasem powoduje bolesne pragnienie.

Przed wszystkim jednak wiąże się z przyjemnością. Zacisnęła powieki. Tak, z przyjemnością. Nigdy już nie pomyli brutalnej chuci z miłością. Miłość to pożądanie, namiętność, która przenikała teraz jej ciało jak prąd, pobudzając zapomniane zakamarki ciała i duszy.

Czula przypływ fal podniecenia i nie była w stanie myśleć o miłości na całe życie, o dzieciach. Była cudownie bezwolna, zawieszona w ciemności, w której liczył się tylko rozkoszny ból między nogami i męska twardość napierająca na jej ciało.

Po chwili wśliznął się w nią i nie była już w stanie w ogóle o niczym myśleć. Poruszał się powoli, zadając jej rozkoszne dreszcze. Uśmiechnęła się do niego tak, że krew znów zaczęła tętnić mu pod skórą.

- To znaczy, że jest jeszcze coś równie wspaniałego?

Roześmiał się cicho i mocno przytulił ją do siebie.

- Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, co potrafię zrobić moim językiem.

- Mylisz się - zaoponowała, oplatając go nogami. - Właśnie to sobie wyobrażam.

Uśmiechnął się do niej i położył rękę na jej brzuchu.

- Ale musisz wiedzieć, że fakty są o wiele lepsze od wyobrażeń.

Zadrżała pod wpływem jego dotyku.

- Teraz jestem już tego pewna.

słońce przedzierało się przez gęstwinę liści, rzucało złocisty blask na piasek i tworzyło magiczne wzory na wodzie. W powietrzu unosił się delikatny znajomy zapach kawy, bekonu i kurzu.

Killian włożył pozostałości zapasów żywności do juków i popatrzył na Lainie. Siedziała przy ognisku z pochyloną głową; sweter ześliznął się jej z jednego ramienia. Grzebała patykami w piachu, wzniecając obłoczek kurzu. Płomienie dogasającego ognia tworzyły grę światłocieni na jej twarzy.

Patrząc na nią, doświadczał bolesnego natłoku emocji. Pokręcił głową i westchnął. Kochał się z nią przez tyle godzin, a znów czuł nieprzepartą ochotę, by jej dotykać. Z uśmiechem skierował się w jej stronę.

- Hej - powiedziała, nie unosząc wzroku.

Usiadł tuż obok niej.

~ Wiem, że powinniśmy już jechać, ale mam lepszy pomysł, jeśli będziesz miała ochotę.

Popatrzyła na niego. Spróbowała się uśmiechnąć, lecz miała oczy mokre od łez.

Natychmiast spowaźniał.

- Żałujesz tego, co się stało?

Pokręciła głową.

- Nigdy nie będę tego żałować.

- W takim razie co się dzieje?

- Myślałam o Kelly. - Westchnęła i oparła się o niego. Pogładził ją po włosach.

- Jest dla mnie wszystkim... Tak było od chwili, kiedy zaszłam w ciążę. Zanim pojawiła się Kelly, byłam... zagoniona.

Po tych słowach zapanowała cisza, przerywana jedynie trzaskaniem i sykiem dogasającego ogniska i łagodnym szelestem wiatru. Killian domyślał się, że Lainie chce jeszcze coś powiedzieć, więc czekał w milczeniu, otaczając ją ramieniem.

- Dzięki tobie na chwilę o wszystkim zapomniałam - powiedziała cicho. - Zaraz ci wyjaśnię, o co mi chodzi. Przez całe życie nie byłam w stanie niczego zapomnieć. Czułam się stale obciążona moją przeszłością. Była dla mnie jak kotwica zawieszona u szyi, ciągnąca mnie w dół. Ale dzisiejszego ranka... to wszystko nie miało dla mnie znaczenia.

- Może gdybyś powiedziała mi o tym...

- Killian, miałam w życiu tak wiele terapii, że mogę opowiedzieć o swoim życiu nawet hydraulikowi. To nie mówienie o problemach pomaga zapomnieć. Trzeba mieć inne wspomnienia, które zastąpią te najgorsze. - Popatrzyła na niego dużymi błyszczącymi oczami. - Takie, których mi właśnie dostarczyłeś. A ja zachowam je na całe życie.

Dotknął jej twarzy. Być może powinien przyjąć do wiadomości to, co powiedziała, i zostawić temat, jednak odczuwał gwałtowną potrzebę dowiedzenia się o niej wszystkiego, zanurzenia się w jej przeszłości. Zanim zdążył poprosić ją o dalsze zwierzenia, przysunęła się do niego tak blisko, że dostrzegł ból w jej oczach.

- Ja... - Opuściła wzrok, zagryzła dolną wargę. - Ja... Chciałabym opowiedzieć ci teraz o swoim życiu. - Zaśmiała się z przymusem. - Powinieneś wiedzieć, z kim się zadajesz.

- Lainie...

- Nie zatrzymuj mnie, Killian. Naprawdę nigdy jeszcze tego nie robiłam. To znaczy... owszem, opowiadałam o swoim życiu, ale nigdy tak naprawdę nie chciałam dzielić tych wspomnień. Przy tobie... - popatrzyła mu w oczy - chcę, żeby przy tobie było inaczej.

Uśmiechnął się.

- Dobrze.

- Lubię zaskakiwać, ale tym razem rozpocznę tradycyjnie, od rodziców. - Zadrżała gwałtownie i zapatrzyła się w przestrzeń, w stronę stawu. - Byli młodzi i nigdy nie powinni mieć dzieci. Oboje byli uzależnieni od heroiny. W pierwszym tygodniu życia miałam objawy odstawienia. - Znów zaśmiała się gorzko. - Więc jaką miałam szansę na normalne życie? Niemniej jednak starali się mną zajmować, ale, oczywiście, im to nie wychodziło, i pewnego dnia, kiedy miałam dziesięć lat, po prostu odeszli.

Spochmurniał.

- O, Boże...

- Kilka miesięcy później moja matka została znaleziona martwa z powodu przedawkowania narkotyku, a ojciec... - Wzruszyła ramionami. - Nigdy nie wrócił. Po tym wszystkim zaopiekowały się mną organizacje społeczne i zaczęłam przenosić się z jednego domu dziecka do drugiego. To trwało wiele lat. Z początku bardzo starałam się jakoś dopasować do otoczenia, ale potem przestało mi na wszystkim zależeć. - Popatrzyła na niego szeroko otwartymi, rozdzierająco szczerymi oczami. - To wtedy zaczęłam ostro się bawić. Przez kilka lat żyłam w narkotycznym transie i było mi wszystko jedno. Byłam jednym z miliona dzieciaków, włóczących się nocami po ulicach.

Którejś nocy zostałam zgwałcona. To było głupie, okropne. Byłam na jakimś przyjęciu, mocno odurzona, i poznałam paru starszych chłopaków. Oni też zażywali narkotyki... - Odwróciła wzrok, miała oczy pełne łez. - Uważali, że dziewczyna taka jak ja nie ma prawa powiedzieć nie - dodała szeptem.

Patrzył na nią, czując, jaki musiał być ból młodej dziewczyny. Ogarnęło go przerażenie. Chciał coś

powiedzieć, pocieszyć ją, ale zdawał sobie sprawę, że słowa zabrzmiały sztucznie i pusto, więc się nie odezwał.

Po dłuższym milczeniu podjęła opowieść.

- Bardzo długo w to wierzyłam. Doprowadziło mnie to do próby samobójczej, po której wylądowałam w szpitalu na oddziale zamkniętym, za kratkami. Lecz o dziwo, właśnie kraty mnie uratowały. W końcu odnalazłam swoje miejsce, a przynajmniej tak mi się wydawało. Oczywiście na początku walczyłam z sanitariuszami jak dzika kotka... ale oni mieli swoje sposoby, żeby mnie poskromić. Aż wreszcie któregoś dnia wszystko się zmieniło.

Uśmiechnęła się smutno.

- Doktor Gray, psychiatra, kierowniczką kliniki, uświadomiła mi, że to nie była moja wina, że każda kobieta ma prawo powiedzieć nie. Nie uwierzyłam jej od razu, ale po pewnym czasie doszłam do wniosku, że miała rację. Pomogła mi zapanować nad moim życiem i jakby zacząć je jeszcze raz. Skończyłam szkołę i zaczęłam pisać w szpitalu. Staralam się nie myśleć o przeszłości, ale czasami, w nocy...

Popatrzyła na niego wyzywająco, jakby czekała, kiedy się od niej odwróci, powie, że nie jest go godna.

- Lainie. - Pokręcił głową. - Kocham cię.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Nawet nie wiesz, od jak dawna czekałam, żeby to usłyszeć. - Zamknęła oczy. - To niesprawiedliwe.

- Co? Otworzyła oczy.

- To, że spotkałam cię teraz, sto lat w przeszłości. Poczuliście się jak rażony piorunem. Przypomniłam sobie wszystko, co mi powiedziała - o rodzicach uzależnionych od heroiny, objawach odstawienia, domach dziecka, lekarzach... i te wiadomości nabrały dlań nagle nowego, przerażającego znaczenia. Miałam wrażenie, że jakaś niewidzialna siła dusi go, uciska płuca.

To wszystko była prawda.

- Co się stało, Killian?

Nie był w stanie myśleć; oddychał z trudem. Wpatrywał się w nią przerażony.

- To wszystko prawda. Wszystkie te niewiarygodne rzeczy, które mi opowiadałaś, są prawdą. Rzeczywiście jesteś z przeszłości i masz córkę, czekającą na ciebie w domu.

Pokiwała głową.

- Tak, to prawda.

Pochylił się i ukrył głowę w dłoniach.

- Boże... Dotknęła jego pleców.

- Killian?

Odchylił się i wstał. To prawda, to prawda. Te słowa wypełniały mu myśli i powodowały ukłucia serca przy każdym oddechu. W końcu znalazł kobietę swoich marzeń, a ona okazała się tylko... właśnie, marzeniem. Mogła być z nim tylko przez chwilę, moment wystarczający do tego, by wyrwać mu serce z piersi i przekroić na połowę, a zaraz potem zamierzała odejść z jego życia.

Miała zamiar go opuścić. Zaciśnięte powieki, przypomniał sobie, czym było jego życie przez ostatnie piętnaście lat i jak bardzo zmieniło się, odkąd pojawiła się w nim Lainie. Wniosła w jego życie światło, zmusiła go do poznania mrocznych zakamarków duszy i podjęcia próby zmienienia się. Ale przecież zmieniał się dla niej, tymczasem teraz miał się znaleźć z powrotem w swoim świecie bez jej wsparcia.

Wolał sobie nie wyobrażać, ile go to będzie kosztowało, jak wielkie będzie jego cierpienie.

Nagle zdał sobie sprawę, że dobrze wie, jaki jest ból po utracie bliskiej osoby. Przeżył go już raz... po śmierci Emily.

Popatrzył na Lainie, siedzącą przy ognisku, z twarzą zalaną łzami. Zauważył, że drżą jej wargi.

Jej obraz zapadł mu głęboko w duszę. Nigdy nie zapomni wspólnie przeżytych chwil. Będzie to jedno ze wspomnień, na zawsze wiążących go z miłością, którą znalazł za późno.

Gwałtownie odwrócił się i popatrzył na wschód.

Gdzieś tam, na pustyni, w odległości nie większej niż trzydzieści mil, wznosiła się skała, w którą uderzyła błyskawica. Ta poszarpana czerwona skała zabierze mu Lainie.

Zaczął się zastanawiać, co ma począć w tej sytuacji.

Odpowiedź nadeszła wraz z szeptem wiatru, napełniając go nadzieją. Wystarczyło tylko ominąć skałę lub dojechać tam za późno.

Podeszła do niego. Jak przez mgłę zobaczył jej bladą, drobną dłoń na znoszonym materiale niebieskiej koszuli. Dotykała go delikatnie, miękko i czule, tak jak mógł sobie tylko wymarzyć.

- Powinniśmy już jechać - powiedziała cicho, patrząc na niego. - Mamy przed sobą długą drogę.

- Tak, tak - odpowiedział w zamyśleniu.

- Czy mogłabym dzisiaj jechać z przodu? Chciałabym... żebyś mnie obejmował.

- Oczywiście. - Ujął podbródek Lainie i dostrzegł ślady łez na jej twarzy. Miał tylko jedno wyjście i nie dbał o swoją duszę. Widocznie nie było mu pisane zostać bohaterem. - Będę cię obejmował cały dzień. I nie pozwolę ci odejść.

JL/ainie patrzyła na pustynię, niewiele jednak dostrzegając spomiędzy włochatych końskich uszu. Otaczająca ich okolica była mieszaniną złota, brązu i czerwieni pod bezchmurnym błękitnym niebem. Gorące słońce paliło jej twarz, przesiąknięty potem sweter drażnił skórę. Była tak zmęczona, że marzyła o odpoczynku w małej, przytulnej chacie na środku pustyni.

Zamknęła oczy i odchyliła się do tyłu, chcąc poddać się kojącemu działaniu objęć Killiana. Jednak tego dnia nawet w jego ramionach nie znajdowała pocieszenia. Ogarnęło ją dojmujące poczucie utraty.

Już niedługo będzie musiała go opuścić. Tak szybko... ledwie go odnalazła...

Wydawało jej się to bardzo niesprawiedliwe. Żałowała, że nie potrafi wzbudzić w sobie gniewu, który pomagał jej przetrwać w dawnych, złych czasach. Gdyby wpadła w złość, prawdziwą, dziką wściekłość, wyprostowałaby się i zaczęła wykrzykiwać pretensje pod adresem losu.

Nie było już w niej jednak zaślepiającego gniewu ani dawnej wojowniczości. Czowała tylko rozpacz z powodu utraty tego, czego nigdy nie spodziewała się znaleźć.

Los domagał się od niej niewyobrażalnej ofiary, zmuszał do dokonania wyboru, którego nie życzyłaby żadnej kobiecie. Mogła wybrać Killiana albo córkę, nie mogła jednak mieć obojga. A chociaż całym sercem i duszą kochała Killiana, nie potrafiłaby tu zostać, wybierając go zamiast dziecka.

To było takie niesprawiedliwe... i Killian powoli przesunął rękami po jej ciele, zaczepił palce i o dekolt swetra i pociągnął. Czerwona dzianina ześlizgnęła się i z jej ramion i opadła na uda.

j Lainie zadrżała pod wpływem nagłej zmiany temperatury j i odwróciła głowę. j - Killian...

- Ciii - wyszeptał jej do ucha, owiewając ją oddechem gorącym jak słońce nad ich głowami.

Przesunął dłońmi po jej płaskim brzuchu, a potem wsunął zrogowaciałe palce pod szerokie paski, zsunął je na ramiona, i ściągnął stanik tak, że znalazł się na wysokości talii. Lainie oparła się o Killiana, wystawiając nagie, uwolnione piersi na działanie promieni słonecznych. Czowała się wspaniale i była w stanie myśleć tylko o wilgotnym, gorącym oddechu ukochanego mężczyzny, owiewającym jej szyję, i silnych ramionach obejmujących ją w pasie.

Delikatnie pogładził jej brzuch, przyprowadzając ją o gęsią skórę. Chwycił jej piersi i zaczął delikatnie muskać kciukami ich brodawki, powodując ich zeszywnienie.

Zamknęła oczy, ciesząc się jego dotykiem, pieszczotami, opieką. W tym, co robili, był także element wyuzdania, co tylko dodatkowo ją podniecało. Znajdowali się na środku pustyni, nadzy i bezbronni...

Przestał ważyć jej piersi w dłoniach i zajął się teraz tylko brodawkami. Zacisnąwszy palce wokół różowych stożków szarpał je i drażnił. Poczwała mrowienie między udami i przyspieszone tętno. Roześmiała się, lecz śmiech zabrzmiał jak westchnienie.

Całował jej szyję, przesuwając językiem po ciele Lainie. Drżała, podniecona dziwnym połączeniem doznań: żaru słońca na nagim ciele, wilgoci języka, szorstkiego materiału koszuli ocierającej się o jej plecy, chłodnego ciężaru ametystu. Coraz gwałtowniej pieścił brodawki, ciągnąc je i szarpiąc tak długo, aż nie była w stanie złapać tchu.

Cicho cmoknął na konia, który natychmiast zwolnił.

Lainie zaczęła rytmicznie unosić się i opadać w siodle. Łęk drażnił jej delikatne miejsce między nogami, tak że aż jęczała z podniecenia.

Wygięła się w łuk. Ręce Killiana, pieszczące jej piersi, poruszały się w rytmie konnej jazdy. Natłok doznań przyprawił ją o oszołomienie.

- Och, Killian - mruknęła, czując pojawienie się wilgoci pomiędzy nogami.

- Prrr - powiedział chrapliwie.

Koń się zatrzymał. Lainie natychmiast odwróciła się, by dotknąć Killiana, jednak jej ręka zawisła w powietrzu. Otworzyła oczy, mrugając z niedowierzaniem. Czowała się jak pijana, pragnęła jego dotyku.

- Co...

- Zsiadaj.

Stał obok niej z wyciągniętymi rękami. Przeniosła nogę nad siodłem i zsunęła się w ramiona Killiana. Objął ją i mocno przytulił. Poczowała zapach jego potu. Nie była w stanie się opanować. Żar między nogami przybierał na sile. Zapominając o wstydzie, wysunęła miednicę w przód i zaczęła ocierać się o nabrzmiąłą męskość.

Mocno przyciągnął ją do siebie. Z całej siły przywarła piersiami do jego ramienia, odchyliła głowę. Zauważyła, że Killian zaczepia wodze o pal.

Skąd wziął się tu pal?

Rozejrzała się, po raz pierwszy dostrzegając małą chatę pod skalną ścianą. Drzwi wisiały na złamanych zawiasach, wokół komina leżały pokruszone cegły.

- Doskonałe miejsce na nocleg - wyszeptał Killian do jej ucha, chwytając ją w ramiona. Zaśmiała się i zarzuciła mu ręce na szyję. W tej chwili przestali myśleć o swoich problemach, ogarnięci falą namiętności.

Kopnięciem otworzył przechylone drzwi. Odchyliły się do środka z przenikliwym skrzypieniem i trzasnęły o ścianę. Z belek stropowych posypał się kurz, opadając na podłogę pełną gruzu. Małą izbę wypełniał cierpki zapach stęchlizny.

Złączyli się w namiętnym pocałunku, podczas którego chłodny ametyst wpił się w rozpaloną skórę Lainie. Nagle wydało jej się, że ręce Killiana są wszędzie, pieszcząc ją, pocierając, lekko drażniąc, głaszcząc, doprowadzając brodawki piersi do bolesnej twardości. Mocno przycisnęła obrzmiałe sutki do jego torsu. Szorstki materiał koszuli mile je drażnił.

Jęknął chrapliwie i rozpiął jej spodnie. Miedziane guziki ustąpiły, a spłowiały dzins rozchylił się, ukazując większą część jej brzucha. Chłodne powietrze owiało skórę Lainie, powodując pojawienie się gęsiej skórki.

Poczowała gwałtowną, pierwotną żądzę. Chwyciła kołnierzyk koszuli Killiana, a potem nerwowo zaczęła rozpinąć guziki, odrywając jeden z nich. Chciała jak najszybciej poczuć dotknięcie jego skóry na swoim ciele, poczuć jej słodko-słony smak. Zdjął koszulę i odrzucił na bok. Nie zauważyła nawet momentu, w którym niebieski materiał znalazł się w powietrzu i wylądował na łóżku z bali.

Killian pchnął Lainie na ścianę. Oparła się o nią z głuchym uderzeniem i sięgnęła do guzików jego spodni. Gwałtownie wysunęła je z dziurek i zsunęła nogawki aż do kostek.

Wciąż się całując i pieszcząc zdjęli kowbojskie buty, potem I skarpety i spodnie i rzucili je na oślep. Killian znów ujął jej piersi, pieszcząc je tak, że czowała słodkie mrowienie na całym ciele.

Odsunął się nieznacznie, ciężko oddychając.

- Chcesz skorzystać z tego łóżka?

Popatrzyła na rozpadające się, prymitywnie sklecone łoże i bez pościeli. Na poplamionym brudnym materacu leżał zakurzony koc. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby się położyć na czymś takim.

- Nie - odpowiedziała chrapliwie, obejmując jego męskość. - Nie mogę tak długo czekać.

Zatrząśł się pod wpływem jej dotyku.

- Lainie... - Zdarł z niej majtki i rzucił przez ramię, Chwyciła go za ręce i przyciągnęła do siebie. Zachwiali się i znów opadli na ścianę. Chropowate drewno drażniło jej skórę, obijała się o nie głową, ale prawie w ogóle tego niezauważała. Była świadoma jedynie swego

pożądania, które wzbierało w niej z coraz większą siłą i powodowało szybkie tętnienie krwi. Poglądził ją po plecach i objął dłońmi pośladki, po czym uniósł ją. Zarzuciła mu ręce na szyję i otoczyła nogami w pasie, wsuwając się na jego męskość.

Oparł ją o ścianę i wykonał mocne pchnięcie, i zaczął się o nią ocierać. Nieprzytomna z uniesienia, wyla się i dyszała chrapliwie.

Z jej gardła wydarł się głośny jęk. Nie zdołała go powstrzymać, nie panowała już nad swoimi odczuciami. Jej uwaga skupiona była wokół ciała i zakazanych, zmysłowych doznań, które przeżywała dzięki Killianowi. Przywarła do niego, ujeżdżając go zapamiętałe i kalecząc mu plecy paznokciami. Przy każdym pchnięciu krzyczała, wyginała się i dostrajała do rytmu kochanka, wsuwała się na niego swym śliskim wnętrzem. Ściana za nią trzeszczała i drżała, kurz sypał się na głowę. W powietrzu unosił się zapach potu, zmieszany z wonią namiętności.

Wili się i wykonywali pchnięcia w szaleńczym rytmie, który przyprawiał Lainie o obłęd. Przywarła do Killiana, poddając się kolistym ruchom jego pośladków. To wysuwał się z niej, to znów się pogrążał, a każde pchnięcie było mocniejsze i gwałtowniejsze od poprzedniego. Z rozkoszą odwzajemniała doznania, pchnięcie za pchnięcie, z nogami ciasno splecionymi za jego udami, z rękami obejmującymi szyję.

Przez chwilę cały świat był dla nich ograniczony do miejsca złączenia ich ciał. Czują, że pali ją skóra, nie mogła złapać tchu, oszalała z pożądania. Mrowienie między nogami przybrało na sile, ze słodkiego ciężaru przeszło w pulsujący, ostry ból.

- Och, Killianie... - Odchyliła głowę i zamknęła oczy.

Całował jej szyję, po czym objął wargami brodawkę piersi, wciągnął ją głęboko i zaczął obwodzić sterzący koniuszek językiem.

Poczuła rytmiczne skurcze, które stawały się coraz silniejsze.

I

Nieruchomią, drżała i wykrzykiwała jego imię chrapliwym, zdyszonym głosem. Miała wrażenie, że jej ciało wiruje w czarnej otchłani i, pozbawione ciężaru, wraca na ziemię. Poczuła łzy ściekające jej po policzkach.

W końcu, drżąc z rozkoszy, uniosła głowę i popatrzyła na Killiana. Smutek i czułość w jego oczach sprawiły, że ścisnęło się jej serce. W tym spojrzeniu było wszystko, co ich łączyło - miłość, namiętność... ale gdzieś, w głębi, także świadomość, że nie będą mogli dłużej być ze sobą.

Ogarnęła ją rozpacz. Całe życie czekała na tę chwilę, na takie uczucie. Miała ochotę cieszyć się nim, smakować jak kieliszek dobrego wina, tymczasem nie będzie jej to dane. Chciała zachłannie chwycić pozostałości tego, co ją spotkało, zanim rozpułną się we mgle.

Powinni się przytulać, rozmawiać i śmiać jak młodzi kochankowie. Chciała powiedzieć mu o tak wielu rzeczach, zadać mnóstwo pytań na temat jego życia, jednak nie miało to żadnego znaczenia. Takie sprawy były ważne tylko dla par, planujących wspólną przyszłość, tymczasem ona i Killian jedynie ożywili przeszłość i nie mieli gdzie się podziać.

Z cichym westchnieniem oparła głowę o jego spocony tors i zamknęła oczy. Stali ciasno spleceni; w powietrzu unosił się zapach ich miłości, a już czuli się tak, jakby dzieliło ich wiele mil. Nie przeżywali wspólnej radości, świadomi tego, że czas szybko upływa i mają go dla siebie bardzo niewiele.

Przełknęła z trudem ślinę i odgarnęła wilgotne kosmyki włosów z czoła. Uścisk Killiana na jej pośladkach zelżał, ześliznęła się wzdłuż jego ciała i uderzyła bosymi stopami o podłogę.

Uniosła głowę, która wydała jej się bardzo ciężka. Ich spojrzenia się spotkały. Zauważyła odbicie własnego żalu i bólu w jego ciemnych oczach. Zmusiła się do uśmiechu.

- Przy tobie staję się ladacnicą, Killian.

Widziała, że chciał się uśmiechnąć, ale mu to nie wyszło.

- Zostań ze mną, a zobaczysz, co się z tobą stanie.

Miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej serce.

- Przestań - zwróciła się do niego łagodnie. - Nie prosź mnie o to, Killian. Mam w domu dziecko, które mnie potrzebuje.

- Ja też cię potrzebuję.

Jej rozpacz pogłębiła się. Lainie poczuła się nagle zmęczona i pozbawiona sił. Miała wrażenie, że mówiąc, zużywa więcej energii, niż jej pozostało.

- Ja też cię potrzebuję, ale możemy tylko jak najlepiej wykorzystać czas, który nam pozostał. Nie ma dla nas przy szłości.

Odwróciła się, by przejść obok niego i się ubrać. Chwila bliskości minęła. Lainie poczuła się nagle bardziej samotna niż kiedykolwiek w życiu.

Zdażyła zrobić krok, może dwa, kiedy ją zatrzymał. Bardzo potrzebowała tego dotknięcia jego ręki. Krzyknęła cicho i rzuciła mu się w ramiona. Przytulił ją tak mocno, że musiała walczyć o złapanie tchu.

- Lainie - wyszeptał chrapliwie do jej ucha. - Co my zrobimy?

Wtuliła twarz w zagłębienie jego ramienia, moczając go łzami.

- Nie wiem.

Stali tak przez dłuższy czas, nadzy w swoich ramionach. Żadne z nich nie chciało przerwać tej chwili, ale nawet teraz Lainie czuła się tak, jakby dzieliły ich lata świetlne i nie mogła go dotknąć.

W końcu, jakby w bezgłośnym porozumieniu, oderwali się od siebie. Natychmiast poczuła zimny dreszcz. Przez chwilę zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu będzie jej ciepło. Sięgnęła po spodnie, leżące na stosie ubrań przy łóżku.

- Sprzątnę tu trochę i rozpalę ogień, a ty dogładnij konia.

- Dobrze. - Z ciężkim westchnieniem sięgnął po spodnie.

Lainie przytrzymała dzinsy pod pachą i schyliła się po skarpetki. Jedna leżała na podłodze, druga wisiała na krzywym oparciu łóżka. Podeszła do łóżka, dotknęła łydkami drewnianej konstrukcji i sięgnęła po skarpetkę.

Usłyszała cichy szelest, przypominający odgłos przesuwanego celofanu. Znieruchomiła, uniosła brwi i zacisnęła dłoń na skarpetce.

- Słyszałeś...?

Nagle poczuła ból w okolicach kostki, ostry jak ukłucie igły. Krzyknęła, gwałtownie odskoczyła.

- Co się stało?

Pochyliła się, by zajrzeć pod łóżko.

- Coś mnie ugryzło!

Pod łóżkiem było ciemno. Znów usłyszała szelest. Coś się poruszało.

Killian jednym susem znalazł się przy Lainie i odepchnął ją. Zatoczyła się do tyłu.

Z cienia wyłonił się smukły stwór w słomkowym kolorze. Poruszał się powoli, na sześciu odnóżach. Miał dwie pary groźnie wyglądających kleszczy, a nad jego odwłokiem wznosił się długi, zakrzywiony ogon, zakończony ostrym kolcem.

- Boże - wydyszał Killian. - Skorpion. - Chwyił swój kowbojski but i obcasem zgniótł pajęczaka.

Zanim Lainie zdażyła się odezwać, zerwał brudny koc z łóżka i zarzucił na nią. Poczuła nieprzyjemny zapach starej, brudnej wełny. Killian wziął ją na ramiona i przeniósł przez drzwi. Przebiegłszy pędem przez zaniedbane podwórze, przyklęknął przy strumieniu i włożył jej nogę do chłodnej wody.

- Zostań tu. - Wstał.

Chwyła go za nadgarstek tak mocno, że wbiła mu paznokcie w skórę.

- Czy od ukąszenia tego skorpiona można umrzeć? - zapytała słabym, przerażonym głosem. To pytanie z trudem przeszło jej przez gardło.

Wyraz jego twarzy wystarczył jej za odpowiedź.

- Zostań tutaj - powiedział szorstko. - Przygotuję dla ciebie chatę.

- Dobrze, dzięki.

- Będziesz musiała położyć się do łóżka - powiedział cicho. Słowa, które wymówił, pobrzmiwały echem tysięcy niewypowiedzianych.

Nagle przyszła jej do głowy przepowiednia Vilouli. Śmierć. Lainie zadrżała i objęła ramionami nagie ciało, patrząc na stopę zanurzoną w wodzie. Miała wrażenie, że ta część nogi należy do kogoś innego, że stanowi czyjś, a nie jej problem.

Niedługo potem poczuła tępy, pulsujący ból w okolicy kostki, i wiedziała już, że czekają ją poważne kłopoty. Wiele czytała na temat tego regionu Ameryki i dobrze orientowała się, że skorpiony są najbardziej niebezpiecznymi stworzeniami na pustyni.

Przypomniała sobie też jednak, że dorośli rzadko umierają z powodu ukąszeń.

Rzadko.

Zamknęła oczy, pochyliła głowę i szczerzej otuliła się kocem. Statystyki nie przyniosły jej takiego pocieszenia, jakiego by sobie życzyła.

- Nigdy - powiedziała do siebie i zaśmiała się histerycznie. - Byłabym zadowolona, gdyby napisano, że dorośli nigdy nie umierają.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu, starając się opanować. Zniesie ból. W końcu przecież urodziła dziecko. Zniesie wszystko.

Na chwilę straciła poczucie rzeczywistości. Zamrugnęła. Miała wrażenie, że musiała zasnąć, ale raczej to się jej nie przydarzyło. Popatrzyła na żółtawy piach i kamienie pustyni.

Niebo było tak błękitne, że aż raziło ją w oczy. Zastłoniła ją drżącą dłonią i popatrzyła w stronę chaty.

Jak długo nie było już przy niej Killiana? Pięć, dziesięć minut? Godzinę? Nie miała pojęcia. Przelknęła z trudem ślinę, starając się opanować strach.

Ból w kostce ustępował. Chciała wyciągnąć nogę z wody, by przyjrzeć się miejscu użądlenia, ale nie była w stanie się poruszyć. Jej noga była zdrętwiała i ciężka jak kamień.

Była sparaliżowana. Ta myśl wprawiła ją w tak wielkie j przerażenie, że zabrakło jej tchu i miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej serce, a krew tryśnie z żył.

- Us...spokój się - napomniała się stanowczo. - T...to tylko dlatego, że trzymasz nogę w zimnej wodzie.

Chwyciła się za kostkę i wyciągnęła nogę. Zauważyła dwa czerwone punkciki na skórze w zagłębieniu pod kostką, ale nie było dużego zaczerwienienia ani opuchlizny.

Pomyślała, że to dobry znak.

Sparaliżowana.

Odegnęła złe myśli gniewnym machnięciem ręki, lecz ciągle powracały, napętniając ją przerażeniem. Nie była w stanie siedzieć nad strumieniem jak kukła, musiała się poruszyć, zmusić do spaceru.

Udało jej się wstać. Noga była zdrętwiała, ale nie sparaliżowana. Lainie pomyślała, że przy odrobinie skupienia będzie w stanie chodzić. Ta świadomość trochę ją uspokoiła.

Przytrzymując koc na wysokości szyi, pokuśtykała do chaty, ciągnąc za sobą nogę jak Quasimodo.

- Killian! - Starła się go zawołać, lecz nie była w stanie wydobyć głosu. Jej język był równie bezużyteczny i ciężki jak noga.

Co się z nią działo?

Trzęsąc się gwałtownie, pokuśtykała dalej. Ledwie doszła do chaty, drzwi otworzyły się i w progu stanęli dwaj mężczyźni.

Zmarszczyła czoło, zastanawiając się, kim jest ten drugi.

- Layyynee?

To słowo - czyżby jej imię? - dobiegło z mrocznej otchłani i zawisło w powietrzu jak echo. Głos wydał się jej znajomy.

Dwaj mężczyźni stali się znów jednym, wysokim, mającym na sobie tylko dzinsy. Nie od razu go rozpoznała, gdyż miała dziwnie rozproszoną uwagę. Killian.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale nie wiedziała, czy to jej się udało.

- Pomóż mi - wymknęło się jej z ust, chociaż nie zamierzała tego powiedzieć. Nie wiedziała już, co naprawdę chciała mu przekazać.

Przemówił do niej. Słyszała jego głęboki głos, lecz słowa nie łączyły się dla niej z żadnymi znaczeniami. Zamrugła, starając się zorientować, co się dzieje, co odczuwa. Serce biło jej tak szybko i głośno, że nie słyszała innych dźwięków. Miała dziwne wrażenie, że za chwilę wyrwie się z jej piersi jak ten dziwny stwór w filmie *Obcy - ósmy pasażer Nostromo*.

Nie była w stanie oddychać, czuła się tak, jakby czyjeś niewidzialne ręce gwałtownie zaciskały się wokół jej szyi. Starła się wciągnąć powietrze, ale udało jej się wykonać tylko kilka płytkich, nerwowych oddechów.

Podszedł do niej. Miała wrażenie, że porusza się z szybkością błyskawicy. Chciała się do niego przytulić, znaleźć pocieszenie w jego ramionach, ale była jak przyklejona do jednego miejsca, bezradna, sparaliżowana.

Dotknął jej ramienia. Ból był tak silny, tak nieoczekiwany, że krzyknęła. Natychmiast cofnął rękę.

- Idź za mną - powiedział, dziwnie rozciągając sylaby. Jego wypowiedź trwała chyba całą wieczność.

Poprowadził ją do łóżka, w którym leżały już dwa śpiwory. Opadła na posłanie, z nogami zwieszonymi z boku.

Bardzo delikatnie uniósł jej nogi na łóżko, lecz nawet ten dotyk wywołał silny ból. Miała wrażenie, że jej skóra płonie, cal po calu, poczynając od nóg. Nawet jego oddech czy jakikolwiek ruch powodowały podrażnienie skóry, przyprawiały o cierpienie.

Zagryzając dolną wargę, oparła się o poduszki, które Killian musiał skądś wyciągnąć. Uderzył ją zapach stęchlizny długo niepranej pościeli.

- To będzie bolało - powiedział Killian.

Dotknął jej łydki. Poczowała potworny ból. Zaciśnęła zęby i zamknęła oczy. Słyszała, jak Killian drze jakiś materiał. Potem wsunął coś pod jej kolano, naciągnął i zawiązał.

Krzyknęła, ale udało się nie zapłakać. Wydawało jej się, że płomienie ognia palą jej skórę. Toczyła głową na boki, cicho jęcząc.

Pochylił się nad nią. Poczowała ciepły, wilgotny oddech na swoim czole.

- Wyzdrowiejesz...

Kłamał. Słyszała w jego głosie strach równie wielki jak ten, który sama odczuwała. Z jakiegoś dziwnego, absurdałnego powodu chciała zapewnić go, że wszystko będzie dobrze.

Uniosła powieki, by nań spojrzeć, ale przed oczami miała tylko czerń. Zamrugła, próbowała jeszcze raz. Efekt był taki sam.

Ogarnął ją lodowaty strach. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Boże... Killian. Nie widzę cię.

- Nie bój się, Lainie. Wszystko będzie dobrze. To tylko przejściowa ślepotą.

- Nie. - Miała zamiar zaprotestować krzykiem, ale nie była w stanie wydobyć głosu. Słowa nie chciały wydostać się z jej suchego gardła i spękanych warg.

Przyłożył dłoń do jej czoła. Chociaż ten dotyk sprawiał jej ból, jednocześnie ją koił.

Był blisko, tuż obok niej. Usłyszała plusk wody, a po chwili poczuła zimny, wilgotny ręcznik na rozpalonym czole.

Wtulila się w ciepłe poślanie. Roztaczająca się wokół niej ciemność przeniosła ją w nieprzeniknioną pustkę, w której nie istniało nic i nawet jej ból się zmniejszył. Ciemność przyzywała ją przebiegle, uwodzicielsko. Nie chciała tam iść. Była już kiedyś pogrążona w ciemności i bała się, że tym razem może się z niej nie wydostać.

Wszystko wydawało jej się odległe, małe i pozbawione znaczenia. Nic nie miało sensu, a ona była bardzo zmęczona. Chciała tylko spać...

- Nie opuszczaj mnie, Lainie. - Usłyszała czyjś zaniepokojony głos. Kto to do niej mówił? Gdzie się znajdowała?

Ciemność znów wciągnęła ją w cień. Ledwie tam się znalazła, żar palący jej skórę zmniejszył się, podobnie jak ból brzucha i nóg. Usłyszała jakiś szept, podobny do delikatnych uderzeń fal przyplywu o morski brzeg. Ten dźwięk ją koił. Koił...

Zamknęła oczy, pogrążając się w otchłani, pozwalając sobie na zapomnienie. Noc była zimna, ciemna i pełna cichych odgłosów. Gdzieś w oddali wyło jakieś zwierzę. Ostry, przenikliwy głos przebijał się przez ciemność, wzbudzając niepokój. Wszystko wydawało się nierzeczywiste, spowite mgłą. Killian miał wrażenie, że jest cieniem, przesuwanym się po tajemniczej krainie.

- Boże - westchnął, wylewając letnią już wodę na ziemię. Zachowywał się jak mieszczuch, który nigdy jeszcze nie był nocą na pustyni, a nie jak mężczyzna, który pół życia spędził sam, narażając się na rozmaite niebezpieczeństwa.

Stawy w kolanach strzeliły mu, gdy przykucnął, by zaczerpnąć wody ze strumienia, z ulgą zanurzając w nim dłonie. Światło księżyca zmieniało strumień w srebrny łańcuch na tle czarnej ziemi.

Wstał i skierował się do chaty. Po kilku krokach przystanął, by zastanowić się nad swoimi odczuciami. Przez ostatnie cztery godziny, kiedy Lainie leżała w prymitywnie skleconym łożu, wijąc się z bólu przy najmniejszym dotyku, ze spoconym czołem i zbielełą twarzą, całkowicie poświęcił się opiece. Każda czynność, ubranie jej, zszycie jej rozdartej bielizny, obmywanie rozpalonej twarzy pochłaniało go tak bez reszty, że nie był w stanie myśleć o innych sprawach.

Lecz teraz, gdy nie miał już żadnych zadań do wykonania, ogarnął go strach.

Popatrzył na niewielką chatę, osiadłą w ziemi, jakby skuloną na tle ciemnego płaskowyżu. Światło księżyca odbijało się w rozbitych szybach, za którymi wisiały podarte brudne zasłony. W nocnym powietrzu unosił się cierpki zapach dymu.

Nie powinni się tu teraz znajdować.

To właśnie tę myśl odganiał od siebie, odkąd Lainie została ukąszona.

Teraz powróciła ze zdwojoną siłą. Ogarnęło go poczucie winy, przyprowadzając o mętlik w głowie i ściskanie w żołądku.

Ta chata znajdowała się o wiele mil od właściwej trasy. Około dwunastej w dzień skręcił na południe, tak nieznacznie, że Lainie się nie zorientowała.

Nie zauważyła tego. Zaufała mu i to właśnie z tego powodu leżała teraz w nędznej chacie w bezludnej okolicy.

Dobiegł go jęk bólu. Zaklął pod nosem, popędził do chaty i otworzył drzwi z takim impetem, że uderzyły w ścianę, powodując opadanie kurzu ze szczelin dachu krytego darnią.

- Jestem przy tobie, kochanie - powiedział, stawiając miskę z wodą na chwiejącym się stoliku przy łożku.

Nieznacznie poruszyła się, szczerzej okrywając się kocem. Nie otworzyła oczu. Mokre czarne rzęsy trzepotały o sinawe policzki. Wargi przybrały barwę kości zbielełych na słońcu; pod zapadniętymi oczami pojawiły się szare cienie.

Zanurzył ściereczkę do naczyń w wodzie, wykręcił i delikatnie przyłożył do czoła Lainie. Lekko dotknął jej głowy. Była bardzo rozpalona, musiała mieć wysoką gorączkę.

Wydała zduszony, chrapliwy jęk bólu.

Popatrzył na nią, przerażony własną bezradnością. Natłok emocji pozbawił go sił, sprawił, że bał się teraz bardziej niż kiedykolwiek w życiu. To on ponosił winę za to, że Lainie leżała tutaj, walcząc ze śmiercią.

Zboczył z trasy prowadzącej do skały. Chciał zatrzymać Lainie dla siebie...

Zacisnął powieki i pochylił głowę. Serce ścisnęło mu się bólem, w końcu czuł go przy każdym oddechu.

- Boże, weź moje życie. Proszę... nie pozwól jej umrzeć...

Ujął jej rękę. Była bezwładna i przerażająco gorąca. Poczł

nagłą ochotę porwania Lainie w ramiona i przytulenia tak mocno, że nigdy już nie byłaby się w stanie od niego uwolnić. Pochylił się i delikatnie pocałował jej rozpaloną skroń, wciągając do nosa kobiecy zapach.

Nie zareagowała na jego pocałunek, więc powoli się cofnął. Z westchnieniem namoczył ściereczkę, nie słysząc nawet plusku wody w metalowej misce. Przyłożywszy okład do czoła Lainie, zamknął oczy.

- Lainie... - wyszeptał - nie opuszczaj mnie. Zawiozę cię do skały. Wrócisz do domu, tylko mi nie umieraj.

Pochylił się, oparł łokieć o brudny materac i otarł swą zmęczoną twarz. Poczł piekące łzy pod powiekami. Nagle zdał sobie sprawę, jak niewiele czasu spędzili razem. Oszukiwał się, myśląc, że mógłby skraść część jej życia, zawładnąć czasem, którego miało im zabraknąć.

Tymczasem otrzymał natychmiastową odpowiedź. Lainie nie była przeznaczona dla niego. Nie dane mu było cieszenie się tym rodzajem miłości i czułości. Stracił do tego prawo już dawno temu, kiedy inna kobieta umarła w samotności, czekając na męża, który przyrzekł jej miłość, szacunek i to, że nigdy jej nie opuści; na mężczyznę, który nie wrócił na czas.

Jak mógł o tym zapomnieć? Wiedział, że Lainie jest dla niego jedyną szansą odkupienia win... a on ją odrzucił, jeszcze raz okazał się nic niewartym egoistą.

Ogarnął go wstyd, poczuł mdłości. Wcale się nie zmienił. Po rozmowie o odkupieniu i otrzymaniu drugiej szansy okazał się jej niewart. Kobieta jego marzeń, pani jego serca, poprosiła go tylko o jedno, a on ją oszukał.

*i Dlaczego zboczył z drogi wiodącej do skały? .** - Nie zrobiłbym już tego po raz drugi.

Odpowiedziała mu cisza.

Siedział przygarbiony i drżący przy jej łóżku, pograżony w żalu i niechęci do samego siebie. Modlił się żarliwie, zgłaszając gotowość odbycia najcięższej pokuty w zamian za jedno choćby słowo od Lainie.

Cichutko zakaszłała.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że ten odgłos nie jest jedynie wytworem jego wyobraźni. Powoli uniósł głowę, patrząc na Lainie zmęczonymi, piekącymi oczami. Leżała nieruchomo, wpatrując się w sufit z napiętą twarzą i wykrzywionymi ustami. Oddychała bardzo płytko i zbyt szybko. Znów zakaszłała. Po tak długiej ciszy ten dźwięk zabrzmiał dla niego jak najpiękniejsza muzyka.

Miała otwarte oczy. Boże...

Pochylił się nad nią. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe. W ciemności pojawiło się światełko nadziei.

- Jestem przy tobie.

Coś powiedziała, a przynajmniej tak mu się wydawało. Było to cichutkie szepnięcie. Wydawało mu się, że usłyszał: „Zostałeś”.

Zdjął ściereczkę z jej czoła i delikatnie odchylił śpiwór, spod którego buchnęło gorąco. Poruszając się powoli, żeby jej nie przeszkadzać, usiadł na łóżku. Stare bale zatrzeszczały pod jego ciężarem.

Położył się na posłaniu, przytulił się do Lainie i objął ją w pasie. Nie wzdrygnęła się, więc pomyślał, że nadwrażliwość na dotyk już minęła.

, - Jestem tutaj, Lainie- wyszeptał i pocałował gorący, wilgotny płatek jej ucha. Bardzo ostrożnie ukołysał ją, szepcząc do ucha czułe słówka. Miał nadzieję, że go słyszy, rozumie.

- N...nic...

Znieruchomiał, usłyszawszy jej głos. Miał wrażenie, że czai zatrzymał się na chwilę. Chwyił ją mocniej i wstrzymał oddech

- N...nic nie widzę...

- Jestem przy tobie, Lainie. Leżę tuż obok ciebie. - Poglądzi: ją po spoconej twarzy, wsunął palce w mokre kędziory pr: jej skroni.

- Mów - poprosiła urywanym szeptem.

Gorączkowo zaczął się zastanawiać, co mógłby jej powiedzieć, choć wiedział, że temat nie ma tu żadnego znaczenia. Lainie chciała po prostu słyszeć jego głos, chciała wiedzieć, że nie jest sama w otaczającej ją ciemności.

- Zapytałaś mnie kiedyś o Emily - zaczął cichym głosem, gładząc ją po włosach i muskając ustami jej policzek. - Nie została zamordowana. Emily... sama się zabiła.

W jednej chwili oczami wyobraźni ujrzał przerażające obrazy: powrót do domu, puste domostwo na środku prerii, kartka z wiadomością...

Zacisnął powieki aż do bólu. Wiadomość. Nie myślał o niej przez piętnaście lat, nie pozwalał sobie na wspomnienia, które teraz powróciły ze zdwojoną siłą jako dowód jego porażki i zaniedbania. *Potrzebowałam Cię, Johnny. Czekałam tak długo... Gdzie byłeś?*

Gdzie byłeś, gdzie byłeś, gdzie byłeś? To upiorne pytanie dzwoniło mu w głowie, przyprawiało o ból serca i przenosiło go w przeszłość, budząc wspomnienia.

- Chciałem do ciebie wrócić, Emily. Próbowałem... - Głos mu się załamał, szloch chwycił go za gardło. Jakie to miało znaczenie, że jako strażnik był wtedy w jakimś śmierdzącym meksykańskim więzieniu? Usprawiedliwienia niczego tu nie mogły zmienić. Przysięgał, że nie opuści jej aż do śmierci, i złamał to przyrzeczenie.

Lainie poruszyła się i powiedziała coś szeptem, być może wymówiła jego imię. Cofnął się.

Odwróciła się. Patrzyła na niego szeroko otwartymi, niewidzącymi zielonymi oczami, w których błyszczały łzy. Skóra wokół oczu była zasiniona i opuchnięta. Powoli uniosła rękę, chcąc dotknąć jego twarzy.

Wstrzymał oddech. Krew tętniła mu w uszach. Pochylił się nad nią i przyłożył jej rozpaloną dłoń do swego nieogolonego policzka.

- Wybaczam ci, Johnny.

Killian zeszytniał. Przez chwilę nie był w stanie oddychać ani myśleć, przepełniony nadzieją i strachem.

- Emily?

- Johnny,.. - wyszeptala, po czym zamknęła oczy, cofnęła rękę i znów się odwróciła, a on pozostał z wrażeniem, że jego policzek natychmiast zrobił się lodowaty.

Był tak zaskoczony, że mógł jedynie się w nią wpatrywać. Przez chwilę wydawało mu się, że znalazł się pod wpływem działania magicznych sił. Świat dookoła niego zdawał się tańczyć i wirować, miłe ciepło wypełniło te zakamarki duszy, które przez wiele lat pozostawały zimne i uśpione.

Popatrzył na wisior Vilouli, oczarowany grą światła w ametystowym medalionie. Przypomniał sobie to, co stara Murzynka mówiła na temat lekcji, drugich szans i przeznaczenia. Teraz to wszystkomięło sens. Emily w końcu nauczyła się sztuki przetrwania.

On tymczasem zdradził ją znowu. Viloula jednak myliła się co do jednego: to nie Lainie, a on, Killian, miał się czegoś nauczyć. I znów zawiódł. : - Boże...- Chwyił Lainie w ramiona i przyciągnął do . siebie, przytulając twarzdojej bladej szyi. -Boże, już dostałem ' swoją lekcję- powiedział szeptem. - Proszę... niech się nie / okaże, że jest za późno.

/ Łzy nabiegły mu do oczu. Zacisnął powieki i zaczął całować ; jej szyję, wdychając wilgotny, gorący zapach Lainie, pograżając ; się w jej słodocy. Przepełniła go miłość, zmieszana z doj-: ' mującym poczuciem smutku i winy.

Splótł palce z palcami ukochanej. Chciał jej powiedzi tak wiele, ale teraz nie miało to żadnego znaczenia. Liczy się tylko to, że ją kocha, potrzebuje jak powietrza i że je przy niej.

Poczuł, że łzy wypływają mu spod zaciśniętych powie ściekając na wilgotną, rozpaloną skórę Lainie. Nie miał si wypowiedzieć na głos słów modlitwy i błagalnych prósb, któ przepelniały mu głowę.

Boże, proszę, spraw, żeby wyzdrowiała. Zrobię wszystko. Proszę...

Liczyło się tylko to. Zawiezie ją pod skałę i odjedzie. Przrzekał to Bogu każdym swoim oddechem. Zawiezie ją tam, tak jak obiecał... i odjedzie, a chociaż złamie mu to serce, to tak właśnie powinien postąpić. Spędzi resztę życia bez niej, powróci do swej skorupy. Bez Lainie czekały go tylko kolejne niekończące się puste dni i samotne noce. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Liczyła się tylko ona i jej powrót do dziecka.

- Boże- powiedział chrapliwym głosem, który zabrzmiała jak szelest suchych liści. - Proszę, nie pozwól jej umrzeć... !

J-jainie wciągnęła powietrze i otworzyła oczy. Poraziło ją światło, które nagle wdarło się w szary zimny świat. Zamknęła j powieki.

Była bardzo osłabiona. Spróbowała dźwignąć się na łokciach, lecz natychmiast opadła na nieprzyjemnie pachnące poduszki.

Wypuściła powietrze. Czowała się bardzo źle. Postanowiła odpocząć. Nie wiedziała, czy ponownie uniosła powieki po dziesięciu sekundach, czy dziesięciu godzinach.

Świat zatańczył przed jej oczami. Zamrugwała, starając się odzyskać ostrość widzenia, lecz było to niemożliwe. Wszystko było skąpane w szarości, zasnutę cieniem, poruszało się, zmieniało.

- Dzięki Bogu - odezwał się ktoś, wyraźnie wzruszony.

Usłyszawszy ten znajomy głos, przypomniała sobie urządzenie,

podróż, Killiana, Kelly. Udało jej się usiąść. Ciężko oddychając, z bijącym sercem, rozejrzała się, starając się dostrzec coś zza otaczających ją cieni.

- Jaki dziś mamy dzień?

- Jest sobota rano. Nie straciłaś jeszcze szansy - powiedział cichym, zmęczonym głosem.

Poczuła wielką ulgę. Powoli, obolała, opadła na poduszki. Tętno zmniejszyło się. Odwróciła się nieznacznie, mając wrażenie, że ten ruch trwa całe wieki. Zauważyła przesuwaną się cień Killiana. Po kilku minutach, które zdawały się trwać całą wieczność, odzyskała ostrość widzenia. Jego rozczochrane włosy okalały zatroskaną twarz. Miał blade zaciśnięte wargi i twarz pooraną zmarszczkami. W jego ciemnych przekrwionych oczach dostrzegła wyraz rezygnacji. Jej serce ścisnęło się bólem. Killian wyglądał tak, jakby zamierzał ją pożegnać.

Na chwilę opuściła powieki, a kiedy znów je uniosła, zauważyła w jego oczach łzy.

- Myślałem, że znów cię straciłem.

Widząc czułość i tęsknotę w jego oczach, omal sama nie zaczęła płakać. Uśmiechnęła się do niego, mając nadzieję, że w jej wzroku zagości wesołość, że nie wygląda tak źle, jak jej się wydaje na podstawie tego, co czuje.

- Mam irytujący zwyczaj wychodzenia cało z opresji.

- Nie żartuj na ten temat, Lainie. Boże... - Chwycił ją w ramiona i mocno przycisnął do siebie, wtulając twarz w zagłębienie jej szyi.

Poczuła łzy napływające do oczu. Otoczyła go ramionami, wdychając jego ciepły, znajomy zapach, czując włosy Killiana na swoim policzku. Marzyła o tym, żeby ta chwila mogła trwać wiecznie, żeby mogła się w nim zatracić.

- Masz rację - odezwała się cicho. - Powinnam była powiedzieć to, co czuję, tylko że nie jestem do tego pr zwyczaj ona.

Odsunął się powoli i popatrzył na nią wzrokiem pełnym ból

- Będziesz musiała szybko się tego nauczyć, Lainie. Ma bardzo mało czasu.

Te słowa zabolaly ją jak siarczasty policzek, uświadamiają! jej bezlitośnie, że wkrótce będzie musiała się zadowolić wspo-, mmeniami wspólnych przeżyć. Odwróciła głowę i wpatrzyła się w ścianę, walcząc ze łzami.

Wzięła głęboki oddech. Nagle wypełniły ją słowa, które; gromadziły się w niej przez całe życie, wezbrały w jej sercu < tak gwałtownie, jakby za chwilę miały wybuchnąć. Popatrzyła;',

na Killiana i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

i

- Kocham cię, Lianie.

- Uśmiechnął się tak melancholijnie, że poczuła ból w sercu.

- Wiem, że tak jest, ale... - Urwał i odwrócił wzrok. To nie wystarczy. Miała wrażenie, że słyszy jego słowa tak wyraźnie, jakby wypowiedział je na głos. Zadrżała, zdziwiona swoją silną reakcją. Przepęłniał ją ból niepodobny do wczes- ,; niejszych, bardzo różniący się od bólu wynikającego z braku miłości.

- Te chwile to wszystko, co jest nam dane, KiUianie. - i Musiała się zmusić do wypowiedzenia tych słów gorzkiej ij prawdy.

- Krótkie chwile... -dodał z goryczą, która ścisnęła jej serce.

- To więcej, niż się spodziewaliśmy.

Zapadła cisza. Lianie z mocno bijącym sercem czekała

na słowa Killiana, rozpaczliwie pragnąc, by powiedział cokolwiek, co zmniejszyłoby jej ból z powodu bliskiego rozstania.

Nie odezwał się jednak. Przytuliła się do niego, objęła drżącymi ramionami. Sama nie wiedziała, co można powiedzieć }. w takiej sytuacji.

W końcu odchrząknął i odwrócił wzrok.

- Musimy się zbierać do odjazdu. Będziemy musieli bardzo się śpieszyć, żeby dotrzeć do skały jutro przed zachodem słońca.

- Zdamy?

- Tak. - Przeczesał palcami włosy i pokiwał głową. Zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się. Wyglądał jak stary zmęczony człowiek. - Zdamy.

Jechali szybko aż do zapadnięcia zmroku. Mimo wielu; godzin spędzonych w siodle Killian siedział sztywno wypros-j towany. Lianie otaczała go ramionami w pasie, trzymała go>! mocno, chociaż była wyczerpana i obolała.

Nie chciał się zatrzymywać, wołał nie wyobrazać sobie' nadchodzącego wieczoru. Czuł wewnętrzną pustkę. Będzie to ich ostatni wieczór, ostatnie chwile z Lianie.

Skrzywił się i ściągnął wodze, wpychając tym samym wędzidło w pysk Kapitana. Koń się zatrzymał, dysząc ze świstem. Kark zwierzęcia w kolorze miedzi pokryty był cuchnącą białą pianą.

- Rozbijemy tu namiot - powiedział Killian.

Lianie przytuliła się do niego, objęła go tak mocno, że zabrakło mu tchu. Nie musiał na nią patrzeć, żeby wiedzieć, że i ona mocno przeżywa zbliżające się rozstanie.

Gwałtownie opuściły go siły. Pochyli! głowę i zacisnął dłoń w rękawicy na palcach Lianie.

Siedzieli przez chwilę nieruchomo, trzymając się za ręce. Otoczyła ich chłodna czarna noc, rozciągająca się nad pustynią.

- Nie chcę się z tobą rozstawać - wyszeptała prosto do jego ucha.

Wyprostował się i poklepał jej dłoń trochę zbyt szorstkim gestem. Nie mógł dać się złapać w tę pułapkę, nie chciał zrobić tego ani jej, ani sobie.

- Chodź - powiedział ze smutkiem w głosie i zeskoczył z konia.

Westchnęła i powoli ześliznęła się na ziemię.

W milczeniu przygotowywali się do snu. Killian rozstawił mały namiot, z trudem wbijając paliki w twardą ziemię. Słyszał szcęk naczyń, świadczący o tym, że Lianie przygotowuje kolację; trzaskanie i syk ognia.

Oporządzał konia dłużej, niż było to konieczne, czesząc jego sierść, czyszcząc kopyta, uwiązując go do nocnego odpoczynku. Jednak nie był w stanie dłużej odkładać tego, co i tak było nie do umknięcia. Odwrócił się powoli.

Siedziała przy ognisku i mieszała coś w kociołku. Luźny sweter ześliznął się z jej ramienia, ujawniając alabastrową łagodną krzywiznę, skąpaną w blasku księżyca. Ogień oświetlał profil Lianie, wyglądający jak kamea na tle ciemności. Sprawiała wrażenie smutnej. Jej pełne wargi były zaciśnięte w wyrazie zatroskania.

Serce podskoczyło mu w piersi, a uczucie wezbrało gorącą falą. Zwalczył smutny nastrój. Bolesne rozpamiętywanie nie miało teraz żadnego sensu. Lianie miała rację. Te chwile były wszystkim, co zostało im dane, więc powinni wykorzystać je jak najlepiej. Mieli przed sobą całe

życie na żalobę.

Zmusił się do uśmiechu i podszedł do Lainie. Miał wrażenie, że drży przy każdym jego kroku, że się kuli. Kąciki jej warg zadrżały, w oczach rozbłyły łzy. Usiadł obok niej.

W powietrzu unosił się aromat kawy, stwarzając fałszywe i wrażenie domowego ciepła.

- Nie możemy tak się zachowywać, Lainie.
Przytuliła się do niego.

- Wiem. Powtarzam sobie, że powinniśmy cieszyć chwilami, które jeszcze nam pozostały, ale... to jest bardzo trudne. Za każdym razem, kiedy patrzę na ciebie, chce mi płakać.

Położył rękę na jej ramieniu. Miał ochotę mocno ją przytulić, obsypać pocałunkami i poprosić o dokonanie wyboru, jedyń miłość do niej była zbyt wielka, żeby mógł tego od niej wymagać. Musiał być teraz silny za nich oboje.

- Jedzenie gotowe? Co mamy na kolację? - spytał po chwili. Wzruszyła ramionami.
- To fasola. A co to za różnica?

Znow zapadła cisza pełna podtekstów, niewypowiedzianych myśli i życzeń. Przypomniał sobie, co czuł, gdy Lainie leżała w prymitywnie skleconym łóżku, wijąc się w gorączce, krzyząc z bólu przy najmniejszym dotyku; kiedy pomyślał, że umarł. Tamte chwile, tamten strach, wydawały mu się teraz bardzo odległe, ukryte pod świeżymi ranami mającej nastąpić rozłąki*.

Uzmysłowił sobie, że wtedy, w chacie, podjął już decyzję. Lainie gdzieś indziej miała swoje życie, dziecko, którym musiała się zaopiekować, a on nie mógł jej stamtąd zabierać. Bóg dał mu dar jej życia, a ceną za to było pożegnanie.

Musiał pozwolić jej odejść. Był tego pewien, chociaż ta myśl rozdzierała mu serce. Wolałby mieć więcej związanych z nią wspomnień, do których nieustannie mógłby powracać, gdy nadejdą długie, puste dni bez niej.

Już jutro mieli się rozstać, a wiedzieli o sobie tak niewiele. Zabrakło im czasu.
Westchnął i włożył patyk do ognia.

- Opowiedz mi o... swoim domu, swoim życiu.

- To znaczy o Kelly - powiedziała z wielkim mówiącym rozmarzeniem w głosie. Nagle poczuł zadowolenie, że Lainie ma córkę. Ta miłość będzie jej potrzebna, gdy się rozstaną. - To takie dobre dziecko, Killianie. To znaczy Kelly nie jest już dzieckiem. To duża panienka.

Poczuł, jak ogarnia go wielka tęsknota. Przez pół życia wmawiał sobie, że nie chce mieć dzieci, że ich nie potrzebuje. Jednak teraz, słysząc miłość w głosie Lainie, poczuł zazdrość. Nie wiedział, jak smakuje ojcostwo; zastanawiał się, co stracił.

- Jaka ona jest?

Rozłożyła ręce.

- Nie wiem, chyba taka jak inne dzieci, tylko może... trochę dojrzała. Jest bardzo otwarta. Nie ukrywa swoich uczuć, mówi o tym, co ją rani.

Uśmiechnął się, chcąc rozładować napięcie.

- Nie tak jak mama, co?

Zaśmiała się cicho.

- Wychowywałam ją tak, żeby była śmiała i pewna siebie... taka, jaką ja starałam się być i mi się nie udało.

- Mylisz się, Lainie. Nie spotkałem jeszcze tak silnej osoby jak ty.

- Bałam się, że będzie podobna do mnie, tak jak wcześniej się bałam, że ja będę podobna do moich rodziców. - Popatrzyła na niego oczami pełnymi bólu. - Aż do tej pory bałam się wszystkiego, ale teraz... - Odwróciła wzrok i niemal niedostrzegalnie wzruszyła ramionami. - Teraz boję się tylko tego, że już niedługo mogę nie czuć tego co teraz, że nie będę z tobą, nie będę mogła się do ciebie przytulić, że nie będę czuła twojej obecności.

- Zostałbym z tobą na zawsze, gdyby... - Urwał.

Dlaczego wcześniej nie przyszło mu to do głowy? To było

takie proste, takie oczywiste. Uniosła brwi.

- Gdyby co?

Popatrzył na nią. Przez chwilę nie był w stanie się odezwać. W głowie aż kłębiło mu się od myśli.

- Killian... przerażasz mnie.

- Czy Viloula mówiła ci, jak to się ma odbyć, to prze chodzenie przez czas?

Pokręciła głową; lekko zmarszczyła czoło.

- Nie. Nie wiedziała.

- A jak to się w ogóle stało?

- Siedziałam przy komputerze... -Zauważywszy jego zdziwione spojrzenie, machnęła ręką. - Później ci wyjaśnię, co to ; jest komputer. W każdym razie pracowałam do późna, kiedy nagle rozpetęła się burza, uderzyła błyskawica, a ja obudziłam się z twarzą w piachu Arizony.

- Więc teraz zamierzasz dotrzeć pod skałę, mając nadzieję, że jakaś błyskawica znów przeniesie cię w czasie?

Jej zdziwienie pogłębiło się.

- Śmiejesz się ze mnie?

Roześmiał się. Nic nie poradził na to poradzić. Czuł się jak i dzieciak; przygnębienie ustąpiło miejsca nadziei.

- Oczywiście, że nie. Staram się tylko to wszystko zro- , umieć. ;

- Po co? Ważne jest tylko to, że tu jestem i muszę liczyć ' na to, że los przeniesie mnie z powrotem.

- Los albo przeznaczenie.-Wypowiedział te słowa miękko, j czując dreszcz podniecenia. W chwili, gdy mówił „przeznaczenie”, wszystko ułożyło mu się w logiczną całość. Przeznaczenie. Patrzyła na niego badawczo.

- Widzę, że coś knujesz. Co?

Pochylił się nad nią i popatrzył na nią poważnym wzrokiem.

- Uważasz, że jesteśmy połówkami jednej całości?

- To nie ma znaczenia. Wiem tylko, że kocham cię w tym życiu... bardziej, niż wydawało mi się to możliwe.

- Wierzę ci.

- Naprawdę?

Wybaczam ci, Johnny. Przypomniał sobie słowa Lainie, które nagle nabrały dla niego nowego znaczenia. Emily zawsze zwracała się do niego Johnny." Nikt inny oprócz niej nie nazywał tak gburowatego mężczyzny. A jednak z ust Lainie wymknęło się to pieszczotliwe zdrobnienie jego imienia, używane przez inną kobietę w innym czasie. Była to jednak ta sama dusza, którą kiedyś kochał, a teraz zamierzał kochać przez całe życie.

- Tak-powiedział cicho. -Wierzę ci. I dlatego wydaje mi się, że być może patrzymy na to z niewłaściwego punktu widzenia.

- Co masz na myśli?

- Myślimy, że jutrzejszy wieczór oznacza koniec. Ale może... może to będzie początek.

- Nie rozumiem cię, Killian. Jutro...

- Mógłbym pójść z tobą.

Znieruchomiała i zaczęła wpatrywać się w niego szeroko otwartymi oczami. Przez chwilę wydawało się, że przestała oddychać.

- T...to znaczy?

Obrócił się nieznacznie, chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Kto powiedział, że to niemożliwe? Przecież wszystko, co się tu dzieje, jest pozornie nieprawdopodobne. A gdybym przytrzymał cię za rękę i nie pozwolił ci odejść?

Przygryzła dolną wargę. Widział, że Lainie zmaga się z nadzieją, nie chcąc jej w sobie wzbudzać. Bała się jej, nie chciała wierzyć w coś, co mogło zakończyć się niepowodzeniem i złamać jej serce.

- Może ci się coś stać. Możesz... umrzeć.

- Nic nie zrani mnie dotkliwiej niż utrata ciebie.

- Ale jeśli coś się nie uda, jeśli okaże się to niemożliwe...
 - To umrę - powiedział z prostotą. - I wcale nie będę tego żałował.

Gwałtownie przełknęła ślinę, nie spuszczać z niego wzroku.

- Zrobiłbyś to... dla mnie?

Chociaż mógł się tego spodziewać, jej pytanie głęboko go zasmuciło. Dotknął jej delikatnie, przesunął stwardniałym palcem po jej podbródku.

- Kiedy zrozumiesz, jak bardzo cię Kocham? Spróbowała się roześmiać

- Może kiedy będę miała sześćdziesiąt lat.

- Pozwolisz mi jutro spróbować?

- Czy ci pozwolę? - Znów się roześmiała, tym razem nieco histerycznie. - Czy pozwolę ci ryzykować życie, żebyś mógł być ze mną? A cóż to znowu za pytanie? Porządna kobieta, bohaterka, powiedziała by nie. Poświęciłaby się i byłaby szczęśliwa, wiedząc, że mężczyzna, którego kocha, jest cały i zdrowy.

Kąciki ust uniosły mu się w uśmiechu.

- I właśnie taka jesteś, Lainie?

! Uśmiechnęła się, chociaż chciała

zachować powagę.

- Do diabła, Killian! Od kiedy to znasz mnie tak dobrze? Całe życie, pomyślał.

- Nie wiem - powiedział głośno. - Więc pozwolisz mi spróbować przenieść się z tobą?

Jej uśmiech zbladł. Popatrzyła na ukochanego z powagą we wzroku.

- Naprawdę chcesz to zrobić? Pokiwał głową.

- Myślę, że ja byłabym gotowa zrobić to dla ciebie. Uśmiechnął się.

- Wiem.

- Dwudziesty wiek to bardzo dziwne miejsce - powiedziała z pewnym rozmarzeniem w głosie.

- Co będę tam robił?

- Nie wiem. Możemy połączyć twoje doświadczenia i moją umiejętność pisania i razem pisać świetne westerny. Albo scenariusze filmowe.

Nie poprosi! o wyjaśnienia, nie były teraz ważne. W tej chwili interesowało go tylko planowanie przyszłości.

- Brzmi zachęcająco - mruknął.

- Moją znajomą, autorką powieści fantastycznych, na pewno pomoże nam znaleźć dla ciebie jakąś tożsamość. - Otarła się o niego tęsknie i westchnęła. - A Kelly na pewno cię pokocha.

Wiedział, że jej entuzjastyczny ton jest nieco wymuszony.

- Czy to się uda? - zapytał ją cicho. Nie odpowiedziała od razu.

- Nie wiem - wykrztusiła w końcu. Jej wargi drżały. Ujął jej twarz w dłonie i popatrzył na nią.

W tej chwili

kochał ją bardziej, niż wydawało mu się to możliwe.

- Jeśli się nie mylę, Lainie, wróć z tobą.

Pokiwała głową, ale w jej oczach dostrzegł prawdę, którą starała się ukryć, rozpaczliwy smutek, przyprawiający ją o łzy.

Nie wierzyła, że to jest możliwe, w każdym razie nie sercem i duszą. Przez całe życie w nic nie wierzyła, a teraz było już za późno na zmianę.

- Nie martw się, Lainie - wyszeptał, delikatnie ją całując. - Mam w sobie wiarę wystarczającą dla nas dwojga.

IN iebiosa zawrzały gniewem. Spadł deszcz. Krople, wściekle uderzające o ziemię, utworzyły błoto. Nadchodziła burza, przesuwaną się nad pustynią w kalejdoskopie cieni i światła.

Killian i Lainie stali na skraju wzniesienia, patrząc na rozciągającą się w dole szarą płaszczyznę pustyni. Potężne ściany skalne obramowywały wąwóz w dole.

Kapitan stał za nimi, wyczerpany, ze zwieszonym łbem. Słyszeli jego świszczący oddech, przebijający się przez szum deszczu.

Killian wskazał skałę wznoszącą się w oddali. Deszcz bębnił w rękaw jego nieprzemakalnego

płaszcz.

- To jest skała, w którą uderzyła błyskawica.

Zmrużyła oczy, starając się dostrzec ją przez ścianę deszczu.

W załomie wąwozu wznosił się wielki czerwony obelisk o postrzępionym wierzchołku.

- Ile mi) mamy jeszcze do tej skały?

- Sześć, może siedem. - Zrobił daszek z dłoni i zmrużył i oczy, Słońce wisiało nisko nad ziemią pomiędzy ciężkimi chmurami nadchodzącej burzy. -Musimy się pośpieszyć, żeby dojechać tam przed zachodem słońca.

Zadrżała na dźwięk tych słów, gdyż łączyły one w sobie wszystkie jej nadzieje, obawy i modlitwy. Zachód słońca. Cokolwiek się z nimi stanie - czy będą mogli poznać smak wieczności, czy znajdą się w piekle - zdarzy się to wtedy, kiedy ta bladożółta kula zacznie znikać za horyzontem, jakby chowała się w ciemniejącej ziemi.

Ścisnęła dłoń ukochanego w mokrej rękawicy. Żołądek skręcał się jej ze strachu, ale nie zamierzała poddać się lękowi.

Odwzajemnił uścisk dłoni.

- Chodźmy.

Pokiwała głową, nie będąc w stanie wydobyć głosu ze ściśniętego gardła, i posłusznie wspięła się na siodło.

Z westchnieniem zajął swoje miejsce na końskim grzbiecie. Zręcznie przeprowadził Kapitana nad przepaścią i skierował na wąską, krętą ścieżkę, prowadzącą do wąwozu.

Przez ponad godzinę jechali wąskim przesmykiem. Śliskie błoto rozbryzgiwało się pod końskimi kopytami. Co pewien czas Kapitan uderzał bokiem w wilgotną skalną ścianę. Deszcz spływał po twarzy Lainie lodowatymi, krętymi strugami. Mrugała, starając się zachować czujność, choć przede wszystkim miała ochotę zamknąć oczy i chwycić Killiana tak mocno, by nie pozwolić mu odejść.

Wreszcie dojechali do końca ścieżki i wyjechali na otwartą przestrzeń dna wąwozu. Dokuczliwy wiatr chłostał skalne ściany. Gwałtowny podmuch zerwał kapelusz z głowy Killiana. Nie udało mu się go złapać. Lainie patrzyła, jak czarny kapelusz wiruje w powietrzu, unosząc się coraz dalej nad błotnistą czerwoną ziemią.

Deszcz przybrał na sile, siekł lodowatymi strugami. Olbrzymie krople spadały na głowę, cililupotały w kałużach i strumykach, które natychmiast zaczęły spływać ze skał. Wiatr i woda kłuły ją w oczy, uniemożliwiając ostre widzenie.

- Widzisz?!

Usłyszała głos Killiana, starającego się przekrzyknąć wycie wiatru.

- Tak! - odkrzyknęła, czując słodkawy smak deszczu. Za kaszlała i mocno zacisnęła wargi. Chociaż nie patrzyła na słońce, była pewna, że opuściło się niżej w ciągu godziny, w czasie której jechali krętą niebezpieczną ścieżką.

Killian spiął Kapitana do galopu. Koń puścił się nierównym klusem, jednak po pewnym czasie zaczął ciężko poświstywać, drzeć i zataczać się na boki. W końcu nie wytrzymał nawet klusa i zaczął się wlec.

Killian pokręcił głową i poklepał zwierzę po pokrytym pianą karku.

Lainie wychyliła się zza jego pleców, chcąc popatrzeć na Skonia. I' - Co się stało?

- Nie jest już w stanie dać z siebie więcej.

Lainie popatrzyła na linię horyzontu, gdzie słońce kryło się za skłębionymi chmurami.

- Zdamy?

- Tak. - Jego głos wyrażał pewność, co uspokoiło Lainie. Opadła na swoje miejsce i mocno go objęła, opierając głowę o jego mokry płaszcz nieprzemakalny.

Wolno posuwali się naprzód dnem wąwozu. Wiatr boleśnie smagał jej policzki, ulewny deszcz zalewał oczy. Nagle Killian zatrzymał Kapitana.

- Co...

Uniósł dłoń w rękawicy, dając Lainie znak, by się nie odzywała.

- Coś mi się nie podoba. - Znieruchomiał, po czym wyjął rewolwer.

Lainie popatrzyła w lewo i dostrzegła jakiś ruch, błysk światła tam, gdzie nie powinno go być.

- Kil...

Przerwał jej ogłuszający huk wystrzału. Kapitan wydał chrapliwy jęk i zatoczył się na bok. Zwiesił łeb, potknął się i opadł na kolana w miękką, moką ziemię.

- Cholera! - Killian chwycił Lainie w pasie i zeskoczył z siodła.

Wyładowała twarzą w błocie, poczuła zimną breję na twarzy, gdy Kapitan, stękając i oddychając ze świstem, starał się podnieść. Ostry zapach prochu strzelniczego wyparł słodkawy aromat deszczu. Lainie czuła teraz tylko zapach mokrej ziemi, potu i siarki.

I krwi.

Zobaczyła ciemną smugę krwi wypływającą z boku Kapitana. Zwierzę wzięło ostatni, drżący oddech i padło.

Przez chwilę patrzyła na konia, nie wiedząc jeszcze, co się stało, po czym nagle wszystko zrozumiała.

- Boże! - krzyknęła, zdjeta panicznym strachem. Wiedziała już, co się dzieje i jaka jest tego przyczyna. Mocno pociągnęła rękaw Killiana. - Gdzie my jesteśmy?

- W Krwawym Wąwozie. - Nieznacznie uniósł się na łokciach i wychylił się zza końskiego brzucha, wykorzystując padłe zwierzę jako ochronę przed kulami.

Ogarnęło ją przerażenie. Krwawy Wąwóz. Co, do diabła, oni tu robili?

Nagle przypomniała sobie przepowiednię Vilouli. *Badzie śmierć,*

- Killian! - zawołał męski głos, przekrzykując głośnie szum deszczu. - Poddać się, bo cię zabijemy!

Lainie rozplaszczyła się na ziemi obok ukochanego, ujęła jego twarz w mokre, brudne dłonie i zmusiła, by na nią spojrział.

- Musisz stąd wyjść. To Joe Martin.

- Nie opuszczę cię. Musimy przedostać się pod skałę. Lainie pokręciła głową. Łzy spływały jej po policzkach,

mieszając się z zimnymi strugami deszczu.

- Nic nie rozumiesz. To jest... O, Boże... - Przez chwilę nie była w stanie wypowiedzieć słowa ani się poruszyć, wpatrywała się tylko w oczy Killiana, przepelniona żalem.

- Co ty, Lainie...

Potrząsnęła nim mocno, patrząc na niego przez łzy.

- To tutaj giniesz. Musisz natychmiast się poddać.

Zauważyła wyraz zrozumienia w jego oczach.

- Krwawy Wąwóz - powiedział cicho. - Tak, teraz sobie przypominam, jak mi mówiłaś...

- Teraz sobie przypominasz! - zawołała histerycznie. - Nie mogłeś sobie przypomnieć wczoraj?

- Nie ma innej drogi do skały, tylko ta. - Nagle zmarszczył czoło. - A jak Joe Martin się dowiedział, że tu jestem?

- Powiedział mu Mose - wyjaśniła bez wahania. - Wysłał Joego Martina, żeby cię zabił w Krwawym Wąwozie. Po

i twojej... śmierci Mose obejmie przywództwo bandy.

- Sukinsyn - wysyczał.

- Poddaj się, Killianie. Nie każ mi także zabijać damy — usłyszeli znów męski głos.

Killian popatrzył na linię horyzontu. Nie widział słońca,

zdawał sobie jednak sprawę, że szybko zachodzi.

- Musimy tam pobiec. Już.

Chwyciła go za podbródek i zmusiła, by na nią spojrział.

- Ty nie. W żadnym razie.

Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie, a potem mocno nią potrząsnął.

- Jesteśmy w tym wszystkim razem, do diabła!

- Ale ty tutaj umierasz, Killian! - Krzyczała i płakała,

straciła panowanie nad sobą.
Pocałował ją z całej siły.

- Nie rozumiesz? - wyszeptał jej do ucha. Głos z trudem przedostał się przez szum deszczu. - Tak czy inaczej jestem martwy. A teraz szybko podnieś swój śliczny tyłeczek. Ja idę pod skałę i zabieram cię ze sobą, nawet gdybym musiał cię wlec.

Wyrzwał z za końskiego zadu, Lainie zrobiła to samo. W odległości nie większej niż sto metrów zauważyła ciemne sylwetki trzech mężczyzn na koniach.

Wsunął rękę w jej dłoń. Poczuła mocny uścisk jego palców, dodający jej otuchy.

- Liczę do trzech, a potem wstajemy i biegniemy do skały ile sił w nogach. Dobrze?
- Dobrze. - Czują się tak, jakby wyrwano jej to słowo z duszy.
- Raz... dwa...
- Killian! - krzyknął Joe Martin. - Masz trzydzieści sekund na poddanie się.
- Trzy! - Killian i Lainie gwałtownie poderwali się z ziemi i pobiegli w stronę skały.
- Sukinsyn! - krzyknął Martin. - Uciekają!

Lainie i Killian puścili się pędem. Gęste, lepkie błoto rozbryzgiwało się pod ich stopami i ochlapywało spodnie. Deszcz siekł ich twarze, oślepił, ale nie przestawali biec, trzymając się za ręce. Słyszeli za sobą tętent końskich kopyt.

Znow rozległ się huk wystrzału. Słyszała uderzenia kul o skały, czuła ostry, cierpki zapach prochu.

Nagle Killian wygiął się w łuk i spazmatycznie zacisnął palce na jej dłoni. Potknął się, rzucił w przód i opadł na kolana.

Przywarła do jego ręki, nie zważając na ból.

- Killian?! - krzyknęła, przecierając oczy, zalewane deszczem.

Chwiejnie wstał i pobiegł przed siebie, pociągając ją za sobą.

- Biegnij, na litość boską!

Obejrzała się przez ramię. Trzej jeźdźcy zbliżali się, ich rosłe sylwetki drżały przed jej oczami w srebrzystej zasłonie deszczu.

Rozległ się potężny grzmot, który sprawił, że ziemia zadrżała pod ich stopami. Błyskawica przecięła ciemne niebo. Jej białe światło na chwilę oślepiło Lainie. Zamrugwała, starając się zorientować, dokąd zmiierzają. Wielka błyskawica wystrzeliła z chmur i uderzyła w stare sękatę drzewo. Gałęzie rozbłysły w deszczu złocistych iskier, z pnia buchnęły płomienie ognia. Powietrze wypełnił zapach dymu.

- Tutaj. - Killian pchnął ją bokiem w szczelinę skalną. Otoczyły ich potężne, mokre ściany z piaskowca, chroniąc przed gwałtownymi podmuchami wiatru. Wziął Lainie w ramiona i opadł na skałę, ciężko oddychając.

Przywarła do niego, przytuliła policzek do śliskiego, mokrego płaszcza.

- To jest ta skała - powiedział.

Zaskoczył ją ton jego głosu. Było w nim coś ostatecznego. Popatrzyła na niego, mrugając w deszczu.

- Killian.

- Przepraszam, Lainie. Myślałem, że może...

Cofnęła się.

- Co... - Nagle zrozumiała, o co mu chodzi. Szeroko otwartymi oczami, jeszcze nie mogąc w to uwierzyć, zaczęła wpatrywać się w ciemną plamę na jego piersi.

Krew. Został postrzelony.

Zabrakło jej tchu. Ogarnęło ją przerażenie, przeniknął ją zimny dreszcz. Przyłożyła rękę do rany, stosując ucisk. Krew przesączała się przez jego koszulę i wciskała między palce Lainie, spływając wierzchem dłoni. Deszcz rozcieńczał krew, nadając jej groteskowo różową barwę.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała, ciężko dysząc. -

Wyjdiesz z tego... - Jej głos przeszedł w szloch. Łzy pociekły z jej oczu, zmieniając Killiana w rozmazaną plamę.

- Nie płacz - wyszeptał.
- Kocham cię- powiedziała chrapliwym, przerywanym głosem.- Kocham cię- powtórzyła głośno, z rozpaczą. -Kocham cię.
- Ja też cię kocham. - Wziął oddech i natychmiast się skrzywił, przeszyty bólem. - Pamiętaj o rym.
- Nie rób tego, Killian - powiedziała, mocniej uciskając jego ranę. - Nie umieraj przy mnie. Nie pozwolę ci na to.

Gwałtownie złapał powietrze i mocno ścisnął jej dłoń, • krzywiąc się z bólu. Popatrzył na nią wzrokiem tak smutnym i tak przepelnionym miłością że miała wrażenie, iż za chwilę pęknie jej serce.

- Wiedziałem... że... mi się nie uda... że nie będę... przy... tobie...
- Nie mów takich rzeczy. Nie... - Zarzuciła mu ręce na i szyję i przywarła do niego, wdychając jego zapach, woń ,< deszczu i krwi, starając się zapamiętać jak najwięcej. - Nie pozwolę ci odejść, Killian. Nie pozwolę. Musisz pójść ze mną.

Pogłaskał ją po włosach, lecz po chwili ręka mu zadrżała i opadła bezwładnie. Westchnął. Trzęsąc się na całym ciele, cofnęła się. Przeraził ją jego widok. Gwałtownie wciągnęła powietrze, choć wolałaby przestać oddychać, położyć się obok niego i umrzeć. Po prostu umrzeć...

Szloch rozsadał jej pierś, łzy paliły w oczy. Zimnymi, drżącymi palcami odgarnęła mokre włosy z czoła.

Siedział oparty o skałę, z głową przechyloną pod nienaturalnym kątem. Miał popielatą twarz i blade wargi. Patrzył na nią zrezygnowanym wzrokiem.

- Bardzo... cię... kocham - powiedział cicho. Głos załamał mu się na ostatnim słowie. Jęknął i wysunął do niej rękę.

Czekała na jego dotyk, ale w połowie drogi jego ręka znieruchomiła i opadła bezwładnie. Zdołał tylko wydyszeć jej imię.

- Killian! - Chwyciła go za ramiona i mocno potrząsnęła.

Opadł na nią, głowa zwiśla mu na piersi.

- Nieee! - Otoczyła ramionami jego ciało i mocno przywarła do niego, jakby jej ciepło mogło przywrócić mu życie. W powietrzu unosił się zapach krwi, która sączyła się przez koszulę Killiana i lepiała się do skóry Lainie. - Nie zostawiaj mnie - szeptała mu gorączkowo do ucha, czując smak własnych łez. - Powiedziałeś, że będziesz mnie trzymał... Obiecałeś... - Splotła palce z jego bezwładnymi palcami, a potem, szlochając, przycisnęła dłoń ukochanego do swego serca. - Powiedziałeś, że nie odejdziesz. Obiecałeś... - Głos jej się załamał, przeszedł w nieludzkie, upiorne wycie.

Nalge przypomniała sobie wisior i słowa Vilouli. *Korzystaj z niego mądrze.* Lainie się myliła. To nie ona potrzebowała wisiora, by wrócić do domu. To Killian go potrzebował.

- Boże... - Odsunęła się i drżącymi lodowatymi rękami zaczęła nerwowo szarpać zapięcie na karku, nie udawało jej się jednak rozpiąć zamka, więc w końcu, z krzykiem, zerwała wisior z szyi i przycisnęła go do piersi Killiana.

Medalion ześliznął się w dół.

Szlochając, chwyciła bezwładną rękę ukochanego i wcisnęła w nią ametyst.

- Weź go, trzymaj, Obiecałeś...

Znów rozległ się grzmot, tak głośny, że długo wibrował echem wśród otaczających ją skał. Błyskawica przecięła niebo, na chwilę zmieniając świat w płonąca kulę oślepiająco jasnego światła. Lainie zamrugnęła i wtuliła twarz w zagłębienie szyi Killiana, mocno przy tym ściskając jego dłoń.

Kiedy tak leżała, kołysząc go w drżących ramionach, doznała dziwnego wrażenia. Nagle poczuła ogromne zmęczenie, opuściła ją chęć walki i wewnętrzny ogień, pozostawiając jedynie pękniętą, pustą skorupę. Znowu rozbłysła błyskawica, uderzyła w skałę nad głową Lainie, wzniciając snop ognistych iskier. Wiatr przyniósł mocny zapach róż, zmieszany z przenikliwą wonią dymu.

A potem nie czuła już, że dotyka ciała Killiana.

Przeżona, odchyliła głowę i popatrzyła na niego. Siedział oparty o skałę, tak jak dotąd, błądy, z zamkniętymi oczami.

Jednak nie czuła ani jego ciepła, ani wilgoci deszczu na skórze, ani sztywnego materiału nieprzemakalnego płaszcza.

Z westchnieniem spróbowała dotknąć go jeszcze raz, lecz jej ramiona i palce były owiane mgłą, dziwnie błyszczące i nierzeczywiste, jak ramiona i palce ducha.

Odpywała od niego, niewidzialna unosiła się na wietrze. Wykrzychała jego imię, szlochając, i usiłowała się zatrzymać, ale im mocniej się starała, tym bardziej się od niego oddalała.

Jak przez mgłę zobaczyła trzech jeźdźców, którzy pojawili się w szczelinie skalnej obok Killiana. Z przerażeniem patrzyła, jak zbliżają się do niego.

Joe Martin zeskoczył z siodła i ostrożnie podszedł do Killiana, ze strzelbą wymierzoną w jego pierś, i dźgnął go w ramię lufą.

Killian przewrócił się na bok w gęste błoto.

- Nie żyje - stwierdził Martin.

Stojący obok niego mężczyzna zaśmiał się cicho.

- W liście gończym było powiedziane: poszukiwany żywy lub martwy. A co on trzyma w ręku?

Ametyst w dłoni Killiana zamigotał bladym światłem, a *po* chwili rozbłysł purpurowymi promieniami. Białe światło prześliznęło się przez jego palce i wpełzło na ramię.

- Pewnie ukradł go jakiejś wdowie- powiedział Martin, chowając strzelbę do olstra. - Połóżmy go na konia.

Lainie znowu zawołała Killiana, ale jej głos utonął w wyciu wiatru. Chwyliła garść powietrza, a potem przycisnęła rękę do piersi, chcąc w ten sposób "zachować wrażenie, że wciąż go czuje, dotyka.

Doznała niemiłego wrażenia ciągnięcia w żołądku. Po chwili to uczucie przeszło na kończyny, rozlało się aż po palce. Zaczęła wirować, a przynajmniej tak jej się wydawało. Oszołomiona, nie była już w stanie wymówić słowa.

Odgłosy nocy ucichły. Słyszała już tylko swój własny przyśpieszony oddech. Miała wrażenie, że zapada się w ciemność i unosi w niej wśród niezliczonych złocistych iskierek.

A potem, równie nagle jak niegdyś, zapadła się w nicość.

Lainie budziła się powoli. Przez chwilę towarzyszyło jej cudowne uczucie, że wszystko jest w porządku.

Przeciągnęła się leniwie i otworzyła oczy. Zobaczyła białą ścianę z fotografiami i obrazami.

Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, gdzie się znajduje.

Gwałtownie się cofnęła. Metalowe kółka fotela zadudniły na parkiecie.

Wjechała w otwarte drzwi i rozejrzała się, mrugając i z trudem łapiąc oddech.

Siedziała w swoim fotelu, w swoim gabinecie. Przed nią stał komputer.

Wygaszony, pusty ekran zdawał się z niej szydzić.

Zamknęła oczy, nie chcąc jeszcze powracać do rzeczywistości.

Z trudem łapała powietrze, a serce waliło jej tak mocno, że aż szumiało w uszach.

Usłyszała jednak grzmot.

Zmusiła się do otwarcia oczu i spojrzała w okno.

Krople deszczu bębniły o okno, ściekały po szybie błyszczącymi strużkami.

Wiatr szarpał rynnymi i klonami na podwórzu.

Burza wciąż szalała... tak jak dawniej, tak jakby Lainie nigdzie się stąd nie ruszała

Lainie budziła się powoli. Przez chwilę towarzyszyło jej cudowne uczucie, że wszystko jest w porządku. Przeciągnęła się leniwie i otworzyła oczy. Zobaczyła białą ścianę z fotografiami i obrazami.

Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, gdzie się znajduje.

Gwałtownie się cofnęła. Metalowe kółka fotela zadudniły na parkiecie. Wjechała w otwarte drzwi i rozejrzała się, mrugając i z trudem łapiąc oddech.

Siedziała w swoim fotelu, w swoim gabinecie. Przed nią stał komputer. Wygaszony, pusty ekran zdawał się z niej szydzić.

Zamknęła oczy, nie chcąc jeszcze powracać do rzeczywistości. Z trudem łapała powietrze, a serce waliło jej tak mocno, że aż szumiało w uszach.

Usłyszała jednak grzmot.

Zmusiła się do otwarcia oczu i spojrzała w okno. Krople deszczu bębniły o okno, ściekały po szybie błyszczącymi stróżkami. Wiatr szarpał rynnami i klonami na podwórzu.

Burza wciąż szalała... tak jak dawniej, tak jakby Lainie nigdzie się stąd nie ruszała.

Ogarnął ją strach. Potrząsnęła głową. To nie może być prawdą, to niemożliwe...

- Przecież nie jestem aż tak szalona! - krzyknęła.

A jednak była.

Chwyliła sweter i uniosła go do nosa. Pachniał świeżością, mydłem i perfumami Fendi. Nie było w nim zapachu kurzu, krwi i błota.

Pomyślała, że to wszystko było snem i ani na chwilę nie opuściła tego domu.

- Neeee! - pisnęła. Nigdy w to nie uwierzy, nie będzie mogła w to uwierzyć. Killian naprawdę istniał. Dotykała go, kochała, była z nim tak blisko...

Musiał istnieć.

Jeśli nie, znaczyłoby to, że jest szalona... zbyt szalona, by móc pełnić obowiązki matki, by przebywać na wolności...

Wstała, odwróciła się od biurka i zaczęła chodzić po mieszkaniu, ogarnięta strachem.

Trzęsły jej się palce, serce waliło jak oszalałe. Poruszała się niezgrabnie, rozpaczliwie szukając ;j jakiegoś zajęcia, czegoś, o czym mogłaby myśleć, co pomogłoby i jej opanować lęk. Uspokój się, Lainie. Weź się w garść. Przecież to wszystko "I zdarzyło się naprawdę.

Musiała znaleźć jakieś potwierdzenie, musiała się upewnić. | Ale jak?

Pomyślała o Judith.

Rzuciła się do telefonu i szybko wybrała jej numer w New Jersey. Był zajęty.

Z wściekłością cisnęła słuchawkę na widełki. Przemierzając niewielki pokój w tę i we w tę, odczekała kilkanaście minut, chwyciła słuchawkę i znów wybrała numer.

Tym razem odpowiedział jej normalny sygnał. Judith podniosła słuchawkę po drugim dzwonku.

- Halo?

Lainie zaczerpnęła tchu. Starła się nadać swemu głosowi normalne brzmienie.

- Jude?~ powiedziała ledwo dosłyszalnie nawet dla siebie. Z najwyższym trudem zmuszała się do opanowania.

- Lainie, to ty?

- Tak, to ja. Jude, właśnie się zastanawiałam... k...kiedy wyleciałam z Nowego Jorku?

W słuchawce długo panowała cisza, potem Jude zapytała:

- Piłaś? Lainie zaśmiała się gorzko.

- Niestety, jestem zupełnie trzeźwa.

- Dzięki Bogu - odetchnęła Jude. - Wyleciałaś z lotniska!

Kennedy'ego jakieś dziesięć godzin temu. Więc jesteś w domu od jakichś trzech godzin. Ale czemu mnie o to pytasz?

Ta odpowiedź była dla Lainie ciosem w serce. Odwróciła się, mocno zaciskając palce na słuchawce. Strach przeszedł w rozpacz. O sekundę za późno zorientowała się, że wolałaby się bać. Strach nie wykluczał nadziei. Teraz jednak nie pozostało jej nic. Czowała wielką pustkę.

Pomyślała, że była już samotna, zanim spotkała Killiana, ale aż do tego spotkania nie zdawała sobie sprawy, jak wielka była to samotność.

- Trzy godziny - powtórzyła drewnianym głosem. Był to czas wystarczający na ugotowanie obiadu, wypicie drinka i porozmawianie z Kelly. Właśnie to zrobiła, zanim usiadła do pracy przy komputerze.

Pośpiesznie się pożegnała i odłożyła słuchawkę. Ręce trzęsły się jej tak, że nie trafiła w widełki, słuchawka upadła na podłogę, a po chwili rozległ się ciągły sygnał.

Poruszała się po domu jak automat, omiatając niewidzącym wzrokiem znajome kąty. W końcu podeszła do pianina i przebiegła palcem po chłodnych klawiszach, ledwie słysząc dźwięki. Na czarnej błyszczącej płycie stały liczne zdjęcia w ramkach

różnych kształtów i wielkości. Wszystkie fotografie przedstawiały uśmiechniętą Kelly.

Wspomnienia. To słowo było jak cięcie ostrego noża.

Nie miała zdjęć Killiana, które mogłaby wieczorami tulić do piersi, żadnych obrazków, które przypominałyby jej, co do niego czuła.

Popatrzyła na sufit, czując piekące łzy pod powiekami. Gdzie jesteś, Killianie? Jak tam jest?

A jeśli się bał? Jeśli jej potrzebował? Nie chciała, żeby jeszcze kiedykolwiek był sam; oboje w swoim życiu byli samotni już wystarczająco długo...

Odeszła od pianina. Obrazki rozmasały się przed jej oczami. Wiedziała, że powinna zatelefonować do doktor Gray, znów zgłosić się do szpitala. Na tę myśl wezbrał w niej bunt.

Przeszła do sypialni i spojrzała w okno. Wiatr łomotał w szyby, deszcz zmieniał je w prostokąty krętych srebrzystych strużek. Z zachwytem patrzyła na ten pokaz sił przyrody. Co dziwne, wcale nie czuła strachu. Po raz pierwszy w życiu nie bała się burzy.

Kolejna przerobiona lekcja, pomyślała z goryczą. Jeszcze jeden zły duch został wygnany.

Nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Chętnie dalej żyłaby w strachu za jedną choćby sekundę z Killianem, za jeden pocałunek.

Przez chwilę miała wrażenie, że stoi przy niej, poczuła ciepło otaczających ją ramion, zobaczyła zmysłowy uśmiech na jego twarzy. *Tylko jeden pocałunek, Lainie. Tylko jeden...*

Zdrętwiałymi palcami obróciła klamkę i otworzyła okno. Zimne świeże powietrze owionęło jej twarz, poruszyło brudnymi włosami. Jak zawsze pachniało sosnami, cedrem i deszczem.

Ten codzienny znajomy zapach przyprawił ją o ból. Łzy nabiegły jej do oczu, podwórze zmieniło się dla niej w teatr cieni. Krople deszczu skapujące z drzew spadały na trawnik,

biegnąc wzdłuż płotu jak oświetlona księżycem srebrna rzeczulka.

Oślepiająco biała błyskawica przecięła niebo, uderzając w wierzchołek derenia i wzniecając ognisty deszcz iskier. Huk grzmotu rozszedł się echem po domu. Przez otwarte okno wleciał gęsty, gryzący zapach dymu. Kolejna błyskawica na nocnym niebie rozświetliła okolicę niezmiernym białym światłem.

A potem zapadła ciemność.

- Cholera. - Skuliła się, zbyt zmęczona, by martwić się kolejną awarią zasilania. Odwróciwszy się od okna, po omacku przeszła przez sypialnię i sięgnęła po świecę, które trzymała w pudełku pod łóżkiem. Zapaliła kilkanaście i ustawiła je w pokoju, na każdej płaskiej powierzchni, aż ściany rozbłysły złocistoróżowym światłem. Nad jej głową przyklejone gwiazdy migotały na granatowym tle.

Pomyślała, że sufit wygląda jak nocne niebo na pustynia w Arizonie.

Nie myśl o tym, nie myśl... Nie potrafiła jednak skupić myśli na czymkolwiek innym.

Opadła na łóżko, okryła się miękką niebieską kołdrą i zwinęła w kłębek. W tej pozycji łatwo powinna się rozgrzać pod ciepłą kołdrą, tymczasem było jej zimno, bardzo zimno...

Cicho zakwiliła. Łzy piekły jej oczy i dławiły w gardle, wołała jednak nie płakać. Bała się, że jeśli się wypłacze,

poczuję się lepiej, a wcale nie chciała czuć się lepiej, wolała czuć ból przez resztę swego życia. Dopóki trwać będzie ten ból, dopóty wszystko będzie rzeczywiste.

Podciągnęła kolana pod brodę i zamknęła oczy. Przyjdź do mnie, Killianie. Jestem tutaj.

Z zapartym tchem czekała na odpowiedź, której nie było.

Magia przestała działać.

Nie, pomyślała. Nie przestała: Po prostu nigdy nie istniała.

Łzy nabiegły jej do oczu. Tym razem ich nie powstrzymamy

wała, nie była w stanie. Szlochając, drżąc na całym ciele, skuliła się jeszcze bardziej, miała ochotę zniknąć.

Nic ci teraz nie grozi. Kocham cię. Oprzyj się o mnie, Lainie.

Starła się przypomnieć sobie, jak wyglądał, jednak to jej się nie udało, nie potrafiła wyobrazić sobie jego uśmiechu, roziskrzonych oczu. Pamiętała tylko jego ostatnie chwile, ciężki oddech, *jej* cicho wymówione imię, bladość skóry.

Wiedziałem, że mi się nie uda, że nie będę przy tobie.

- Boże - jęknęła.

Nagły podmuch wiatru załomotał oknami. Zasłona wydeła się, lodowate powietrze wdarło się do sypialni, przynosząc zerwane liście. Drzwi na dole otworzyły się z trzaskiem, cały dom trząsł się i jęczał w nawałnicy.

Lainie nie zwracała na to uwagi, dopóki krople deszczu nie zaczęły uderzać o podłogę. Z westchnieniem wstała, zamknęła okno, sięgnęła po świecę i zeszła na dół, by zamknąć drzwi.

Podmuch wiatru zgasił płomień, otoczył ją ciemność. Liście wirowały u jej stóp, unosiły się aż do łydek. Otwarte drzwi łomotały w ścianę, deszcz siekł o parkiet, tworząc kałużę.

Odłożyła bezużyteczną świecę i usiłowała zamknąć drzwi, lecz nie ruszyły się z miejsca. Mocniej chwyciła mosiężną gałkę i pociągnęła z całej siły.

Bez efektu. Nie była w stanie tego zrobić.

Zagrzmiało. Z chmur wyłoniła się błyskawica, która uderzyła w huśtawkę Kelly, wzniecając snop iskier.

Coś przyciągnęło uwagę Lainie, Niemal bezwiednie wyszła za próg. Wiatr smagał jej twarz, szarpał włosy, deszcz siekł policzki i moczył sweter, który oblepiał ją teraz wilgotnym pancerzem.

Znów uderzyła błyskawica, wywołując całą serię trzasków i oświetlając podwórze upiornym blaskiem.

Lainie dostrzegła jakiś pagórek koło huśtawki, rzucający potężny cień. Ogarnięta nagłym strachem, miała ochotę zatrzasać drzwi.

Jeszcze poprzedniego dnia tak by postąpiła, a potem wezwałaby policję i schowałaby się pod łóżko. Lecz dzisiaj czuła się zupełnie inaczej; była silniejsza.

Ostrożnie postąpiła o krok, wstępując w wir nawałnicy. Porywisty wiatr szarpał jej ubranie, włosy i powodował łzawienie. Deszcz przesłaniał jej widok, mimo to szła naprzód.

Cień poruszył się. Usłyszała niski, gardłowy jęk, przypominający głos cierpiącego zwierzęcia.

Lainie pobiegła w stronę huśtawki, ślizgając się na mokrej trawie.

Kiedy była już blisko, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, był czarny nieprzemakalny płaszcz, a potem lawendowy błysk światła.

Wstrzymała oddech, przepelniona nadzieją, i gwałtownie przystanęła. Poczowała taką miękkość w kolanach, że musiała przykłęknąć.

-K...killian? - Wypowiedziała jego imię tak cicho, że nie słyszała swego głosu w szumie deszczu.

Jęknął i się obrócił. Deszcz padał mu na twarz i ściekał po policzkach.

Co dziwne, burza natychmiast ustała. Ciemne deszczowe chmury pędziły po niebie, odsłaniając księżyc w pełni, który rzucał na nie migotliwy blask. Krople deszczu na trawie wyglądały jak gwiazdy, które spadły z nieba.

Otworzył oczy. Ich spojrzenia się spotkały. W jego oczach zobaczyła wszystko, co zawsze chciała w życiu znaleźć.

Nie była w stanie wydobyć głosu przez zaciśnięte gardło. Wciągnęła powietrze i przygryzła dolną wargę, bojąc się uwierzyć i z przerażeniem myśląc o tym, że to wszystko może okazać się nieprawdą.

- Ja naprawdę istnieję, Lainie.

Ostrożnie wyciągnęła rękę. Dotknąwszy palcami płaszcza, poczuła nieopisaną ulgę.

Ze szlochaniem przesunęła rękami po jego torsie, szukając

śladów lepkiej krwi, czekając, aż usłyszy świszczący oddech. Killian był jednak silny, mocny i rzeczywisty. Nie mogła nacieszyć się tym, że może go dotykać.

- Już po wszystkim - powiedział cicho, głosem zdumionym i pełnym zachwytu. - Zginąłem w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym roku, ale teraz znów żyję. - Uśmiechnął się do niej promiennie.

- To wielki cud. - Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do potężnego, mokrego ciała, całując każdy chyba kawałek odkrytej skóry.

Śmiejąc się cicho, lekko ją odsunął i wstał, pociągając ją za sobą. Po chwili uniósł rękę. Na rozpostartej spracowanej dłoni leżał ametyst, lśniący magicznym, tęczowym światłem. Kiedy na niego patrzyli, światło przygasło, schowało się w oszlifowanym kamieniu, a zaraz potem złoty filigran stracił swój kolor i zbladł, przybierając barwę skóry.

Wisior zniknął w obłoczku dymu.

Killian popatrzył na Lainie.

- Myliłem się - powiedział łagodnie. - Jestem tu przy tobie i dla ciebie, kochanie. I tym razem nigdzie już się nie wybieram.

Popatrzyła na męską, poraną bruzdami twarz człowieka, którego kochała nad życie. Jego uśmiech sprawił, że wielka radość przepełniła jej serce, a łzy szczęścia same pociekły jej z oczu, wypłukując z duszy ostatnie pozostałości smutku.

Pocałował ją, a ona przywarła do niego, napawając się słodyczą jego ust.

- Och, Killianie... - wyszeptła prosto w jego wargi.

Roześmiał się głośno, radośnie, tak że od razu zrobiło jej się lekko na sercu.

- Myślę, że możesz już mówić na mnie John.

Cofnęła się i popatrzyła na niego.

- John... - Wymówiła to imię i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Wzruszenie ścisnęło ją za gardło, pozbawiając ją tchu. Nagle poczuła ogromną potrzebę powiedzenia mu prawdy,

wyrażenia wszystkiego, co czuła. Otrzymała od niego ten dar, dał jej prawo do szczerości i nigdy już nie zamierzała wrócić do dawnych nawyków. - Bardzo cię Kocham. Bardzo...

Popatrzył jej w oczy i nagle przestał się uśmiechać, oczy mu pociemniały, wkradł się do nich smutek. Lainie przypomniała sobie, jak się czuła w samotności. Ujął jej twarz w duże, twarde ręce i uniósł jej podbródek jak do pocałunku.

- Lainie - powiedział głosem, w którym pobrzmiwało wzruszenie. - Czekałem na ciebie całe życie.

A potem pocałował ją gwałtownie i namiętnie, tak że poczuła miłe mrowienie, i chwycił w ramiona. Roześmiana, zarzuciła mu ręce na szyję.

- Dokąd pójdziemy?

- Chciałbym zobaczyć twój dom. - Wszedł do środka i zamknął drzwi kopnięciem.

- To jest korytarz. To jest obraz namalowany przez... Nie zatrzymał się w korytarzu, tylko od razu przeszedł do kuchni.

- To jest kuch...

Po chwili znaleźli się w jadalni. Lainie już się nie odzywała, gdyż szybko przeszedł przez jadalnię, a potem wniósł Lainie na górę do sypialni.

Znaleźli się w tajemniczym niebieskim pokoju, w którym płonęły świece.

- No, bandyto - powiedziała, uśmiechając się do niego. - Zamierzasz mnie teraz wziąć siłą?

Rzucił ją na łóżko, za chwilę opadł na nie obok niej i mocno przyciągnął ją do siebie. Uśmiechnął się do niej szelmowsko i drapieżnie, co natychmiast przyspieszyło bieg jej krwi. Wiedziała, że niezależnie od tego, jak długo będzie żyła, na zawsze zapamięta tę chwilę i tego mężczyznę.

Musisz uwierzyć, dziecinko.^ Miała wrażenie, że słyszy skrzypiący, monotony głos Vilouli. Uśmiechnęła się do Killiana, oddając mu w tym uśmiechu wszystko - serce, duszę, życie.

Nagle zrozumiała, co miała na myśli stara Murzynka. Lainie odrobiła swoją lekcję i wyciągnęła wnioski z przeszłości, niepostrzeżenie nauczyła się kochać, ufać i wierzyć. Nie bała się już odtrącenia.

- Kocham cię, Johnny - powiedziała cicho, a to imię zabrzmiało dla niej najbardziej naturalnie pod słońcem, jakby nigdy nie zwracała się do Killiana inaczej.

Znieruchomiał, a potem uśmiechnął się do niej tak uwodzicielsko i radośnie, że zrobiło jej się lekko na duszy.

- Zawsze mnie kochałaś - odpowiedział, odgarniając kosmyk włosów z jej oczu. I zawsze będzie go kochała. Zawsze.

Cuda nie pozostają w sprzeczności z naturą, a jedynie z tym, co wiemy o naturze.

Święty Augustyn